

Morris West

SALAMANDRA

Lecz wy się ucicie patrzeć, a nie gapić.
Czynu potrzeba, nie zbytecznej mowy.
Ten pomiot niemal świat zagarnął w łapy!
Ludy go starły, lecz niechaj do głowy
Tryumf przedwczesny ludom nie uderza
Płodne wciąż łono, co wydało zwierza.

Bertold Brecht *Kariera Artura* VI
Przełożył Roman Szydłowski

*Dla Słuchacza,
mądrego doradcy, prawego
przyjaciela od serca.*

Od autora

Ta książka jest powieścią.
Opisane w niej wydarzenia
mają charakter analogii i alegorii.
Postacie są wytworem wyobraźni autora.

Księga pierwsza

Osoby skrupulatne nie nadają się
do prowadzenia spraw wielkich.

Turgot

Między północą a pierwszym brzaskiem dnia, w momencie kiedy jego rzymscy przyjaciele świętowali zakończenie karnawału, Massimo hrabia Pantaleone, generał sztabu generalnego, zmarł we własnym łóżku. Przekroczył już sześćdziesiątkę, był kawalerem, prowadził spartański tryb życia - umarł w samotności.

Służący, sierżant kawalerii w stanie spoczynku, jak zwykle o siódmej rano przyniósł kawę i znalazł generała leżącego na plecach, w ubraniu, z szeroko otwartymi ustami, patrzącego na kasetonowy sufit. Służący odstawił ostrożnie kawę, przeżegnał się, dwiema pięćdziesięciolirówkami zamknął martwe powieki i zatelefonował do adiutanta generała, kapitana Girolamo Carpiego.

Carpi zadzwonił do dyrektora. Dyrektor do mnie. Moje nazwisko znajdziecie w teczkach sprawy Salamandry: Dante Alighieri Matucci, pułkownik karabinierów, odkomenderowany do zadań specjalnych w Służbie Wywiadu Obronnego.

Ten rodzaj pracy określaną jest zwykle włoskim skrótem SID (Servizio Informazione Difesa). Podobnie jak każda inna służba wywiadowcza, nasz wydział wydaje ogromne sumy pieniędzy, z kieszeni podatników, na podtrzymanie własnego istnienia oraz — w mniejszym jednak stopniu — na przechwytywanie rozmaitych informacji, co chronić ma Republikę przed najeźdźcami, zdrajcami, szpiegami, sabotażystami i terrorystami. Domyślicie się bez trudu, że sceptycznie odnoszę się do wartości tych usług. Mam do tego prawo. To mój fach, a każdy, kto w tym siedzi, szybko pozbywa się złudzeń. Służba sprzyja utracie niewinności, czyni z ludzi giętkie narzędzia polityki. Ale to tylko dygresja...

Massimo hrabia Pantaleone, generał sztabu, nie żyje. Wyznaczono mnie do gładkiego załatwienia sprawy szczątków doczesnych generała. Potrzebna mi była pomoc. Dostarczyła jej armia w postaci lekarza w randze pułkownika oraz adwokata w randze majora. We trzech pojechaliśmy do mieszkania generała. Przyjął nas kapitan Carpi. Służący lkał w kuchni nad kieliszkiem grappy. Na

razie wszystko w porządku. Bez komplikacji. Żadnych sąsiadów na schodach. Krewni jeszcze nie zawiadomieni. Nie żywię specjalnego szacunku dla Carpiego, ale muszę pochwalić jego dyskrecję.

Lekarz dokonał pobieżnych oględzin i stwierdził, że przyczyną śmierci było przedawkowanie środków nasennych. Sporządził świadectwo zgonu, które podpisał wojskowy prawnik. Stwierdzono w nim, że przyczyną śmierci było ustanie pracy serca. Dokument nie był więc fałszywy; po prostu został wygodnie sformułowany. Ustała praca generalskiego serca. Szkoda, że nie parę lat wcześniej. Skandal nikomu nie wyszedłby na dobre. Mógłby natomiast zaszkodzić wielu niewinnym osobom.

O ósmej trzydzieści przyjechał wojskowy ambulans i zabrał ciało. Zostałem w mieszkaniu z Carpim i ze służącym. Zaparzył kawę. Pijąc zacząłem go indagować. Odpowiedzi pozwoliły mi ustalić pewną liczbę banalnych faktów.

Generał jadł kolację poza domem. Wrócił dwadzieścia minut przed północą i natychmiast udał się do sypialni. Służący zabezpieczył drzwi, okna, włączył urządzenie alarmowe i poszedł spać. Wstał o szóstej trzydzieści. Przygotował poranną kawę... Czy ktoś był z wizytą? Nie, nikt... Goście nieproszeni? Nie było. Urządzenie alarmowe nie zostało uruchomione. Były może jakieś telefony, może generał telefonował do kogoś? Nie sposób stwierdzić. Generał mógł posłużyć się prywatną linią w swoim pokoju. Natomiast telefon domowy na pewno nie dzwonił... Zachowanie generała? Normalne. Był człowiekiem mało mównym. Trudno było odgadnąć, o czym w danym momencie myśli. To wszystko... Poklepałem służącego po ramieniu i pozwoliłem mu wrócić do kuchni.

Carpi zamknął za nim drzwi, napełnił dwie szklanki generalską whisky, podał mi jedną i zapytał:

— Co powiemy jego znajomym i... prasie?

Właśnie takiego pytania można się było po nim spodziewać — trywialnego, błahego i ni w pięć, ni w dziewięć.

— Widział pan świadectwo zgonu, podpisane i poświadczone: przyczyna naturalna, ustanie pracy serca.

— A sekcja zwłok?

— Drogi kapitanie, jak na człowieka z ambicjami jest pan bardzo naiwny. Nie będzie żadnej sekcji zwłok. Ciało generała zostanie przeniesione do domu pogrzebowego i tam przygotowane do krótkiego wystawienia. Chcemy, żeby go widziano. Chcemy, żeby oddane mu zostały honory. Chcemy, by opłakiwano go jako szlachetnego sługę Republiki — zresztą w pewnym sensie był nim naprawdę.

— A następnie?

— Następnie chcemy, żeby został zapomniany. Pan może nam w tym pomóc.

— W jaki sposób?

— Pański przełożony nie żyje. Sprawował się pan dobrze. Należy się panu wyższa pensja. Proponuję coś daleko od Rzymu — Górna Adyga, może Tarent albo nawet Sardynia. Tam znacznie łatwiej o awans.

— Chciałbym się nad tym zastanowić.

— Nie ma czasu! Jeszcze dzisiaj rano odbierze pan papiery dotyczące przeniesienia. Odda je pan, wypełnione i podpisane, o piątej po południu. Zaręczam, że nowy przydział będzie pan miał natychmiast po pogrzebie... I jeszcze jedno, kapitanie.

— Słucham, panie pułkowniku.

— Proszę pamiętać, że pańska sytuacja jest bardzo delikatna. Zgodził się pan szpiegować wyższego oficera. My z SID jesteśmy panu wdzięczni, ale koledzy, oficerowie, mogliby panem gardzić. Najmniejsza niedyskrecja zaszkodzi pańskiej karierze, a pana osobiście wystawi na niebezpieczeństwo. Myślę, że mnie pan rozumie?

— Rozumiem.

— Dobrze. Może pan już odejść... Aha, jeszcze małe pytanie.

— Tak?

— Ma pan klucz do tego mieszkania. Proszę go zostawić.

— Co będzie dalej?

— Och, normalna procedura. Przejrzę papiery i dokumenty. Sporządzą raport. Niech pan stara się być smutny podczas pogrzebu... Ciao!

Carpi wyszedł dźwigając strzępy swojej godności. To jeden z tych słabych przystojniaczków, którzy potrzebują, i na ogół mają, swojego szefa; no i zdradzają go bez wahania dla kogoś potężniejszego. Donosił mi o posunięciach, kontaktach i politycznej działalności Pantaleonego. Teraz jest już zbędny. Nalałem sobie następną szklaneczkę whisky i spróbowałem uporządkować myśli.

Sprawa Pantaleonego ma wszelkie cechy politycznej bomby z opóźnionym zapłonem. Ironia sytuacji polega na tym, że można było wykrzykiwać jego nazwisko na całe Corso i nawet jednemu na tyśiąc spośród obywateli Republiki nic ono nie powie. A między tymi, którym to nazwisko coś powie, nawet jeden na dziesięciu nie zdaje sobie sprawy z potęgi i rozległości spisku, w jaki owo nazwisko jest wmieszane. Rozumiał to dyrektor. Ja też. Mam kartotekę wszystkich głównych uczestników spisku. Długo drażniła mnie niemożność podjęcia przeciwko nim jakiegoś działania. Nie są zbrodniarzami — przynajmniej na razie. Wszyscy wysoko postawieni — ministrowie, deputowani, przemysłowcy, oficerowie, urzędnicy. Czekają na dzień, kiedy chaos we Włoszech — niestabilny rząd, zła sytuacja w przemyśle, chwiejna gospodarka, głupia biurokracja i rozczarowany naród — doprowadzi państwo na skraj rewolucji.

Tego dnia — bliższego, niż wielu osobom się zdaje — spiskowcy mają nadzieję przechwycić władzę i przedstawić siebie samych zdumionemu na-

rodowi jako zbawców Republiki, obrońców **ludu** oraz praw człowieka. Ich nadzieje nie są pozbawione podstaw. Jeśli mogła tego dokonać junta greckich pułkowników, nie ma żadnego powodu, żeby liczniejsza i potężniejsza grupa Włochów nie zdołała zrobić tego samego jeszcze lepiej... zwłaszcza mając zapewnione poparcie wojska i aktywną współpracę sił porządku.

Ich przywódca został mianowany już dawno: szlachetny żołnierz, adiutant marszałka Badoglio, gorący patriota, przyjaciel prostego człowieka, generał Massimo Pantaleone. Teraz generał sam usunął siebie ze sceny. Dlaczego to zrobił? Kto lub co skłoniło go do tego czynu ostatecznie; i znowu — dlaczego? Czy kryje się za tym jakiś nowy człowiek? Kim on jest? Kiedy i jak się ujawni? Czy dzień wystąpienia jest już bliski na wyciągnięcie ręki? Polecono mi znaleźć odpowiedzi na te pytania; a margines pozostawiony na błąd jest naprawdę niezwykle wąski.

Wystarczy cię podejrzenia, że toczy się śledztwo, a cały kraj natychmiast głęboko się podzieli. Jeśli tylko prasa zacznie się choćby niejasno domyślać, że jakiś wątpliwy dokument został zarejestrowany i wystawiony przez wojsko, wiadomość pojawi się wielkimi literami na pierwszych stronach wszystkich gazet na świecie.

Spiskowanie jest we Włoszech zjawiskiem endemicznym i było nim zawsze od czasów, kiedy Romulus i Remus zaczęli handlować końmi z wyspy na Tybrze; jeśliby jednak opinia publiczna dowiedziała się, jaki jest zasięg spisku i jak bardzo realne miał szanse powodzenia... Dio! W ciągu jednego dnia pojawiłyby się na ulicach barykady, a szynami tramwajowymi popłynęłaby krew; nie zdołano by nawet opanować buntu w siłach zbrojnych, których polityczna lojalność była głęboko podzielona między lewicę a prawicę. Uznałem, że ostrzeżenie kapitana Carpiego jest całkowicie zbyteczne. Jeśli spróbuje sprzedać siebie albo swoją informację nowym panom, natychmiast padnie ofiarą zaaranżowanego wypadku. Na razie mam swoją robotę do wykonania.

Dopiłem whisky i zacząłem przeczesywać mieszkanie w poszukiwaniu papierów. Otwierałem szuflady i kredensy, obmacywałem je szukając skrytek. Przetraszałem wszystkie kieszenie garderoby. Przeglądałem książki, brałem do ręki wszystkie bibuły leżące na biurku. Nie próbowałem nawet rozemnąć się w tym, co znalazłem; po prostu złożyłem wszystko na stos. Trzeba będzie godzin pracy, żeby cały ten materiał przeczytać, przeanalizować. A w końcu diabli wiedzą, co z tego wyniknie. Generał był zbyt szczwanym lisem, żeby dokumenty poniewierały się po domu.

Nie mogłem jednak pozwolić sobie na ryzyko. Zaglądałem więc pod obrazy i maty w poszukiwaniu ukrytego sejfu. Potem obszedłem jeszcze raz mieszkanie podnosząc bibeloty, odwracając do góry dnem filiżanki i wazony. Podważałem atlas szkatulek na biżuterię, w których generał trzymał orderzy i odznaczenia. Mimo to omal nie przeoczyłem — kartonika.

Leżał za nocnym stolikiem, oparty o listwę podłogową. Mały tekturowy prostokąt z rysunkiem po jednej stronie i napisem po drugiej. Zarówno

rysunek, jak napis zostały wykonane odręcznie, czarnym tuszem. Rysunek zrobiono jedną linią, serią zawitych spirali, zakrętasów i ozdób. Przedstawiał leżącą w płomiennym łożu salamandrę z diademem na głowie. Napis stanowiły cztery pięknie wykaligrafowane słowa: „Un bel domani, fratello”.

„Pewnego pięknego dnia, bracie”... To bardzo włoski zwrot, który może wyrażać najrozmaitsze uczucia: daremną nadzieję, obietnicę zadośćuczynienia, groźbę zemsty, szyderczy okrzyk. Słowo „brat” jest także wieloznaczne, a salamandra zupełnie bez sensu, chyba że stanowi symbol jakiegoś klubu lub bractwa. Ale nie przypominała żadnego znaku lub kryptonimu z moich kartotek. Postanowiłem odwołać się do specjalistów. Wróciłem do gabinetu, włożyłem kartonik do nowej koperty i wsunąłem do kieszeni marynarki.

Doszedłem do wniosku, że nadeszła już pora na osobistą pogawędkę z sierżantem kawalerii. Znalazłem go w kuchni. Przygnębiony stary człowiek rozmyślający o niepewnej przyszłości. Pocieszyłem go przypuszczeniem, że generał pewnie nie zapomniał o nim w testamencie i że w ostateczności jest uprawniony do zapomogi z majątku zmarłego. Rozjaśnił się, poczęstował mnie winem i serem. Kiedy trochę wypiliśmy, stał się gadatliwy. Pozwoliłem mu pleść trzy po trzy.

— ...Wie pan, on nie musiał służyć w wojsku. Pantaleonowicz zawsze mieli pieniędzy po same uszy. Nie znaczy to, że wydawali pieniądze na prawo i lewo. O nie! Zanim wydali grosz, długo obracali go na wszystkie strony. Pewnie dlatego właśnie byli bogaci. Ziemia w Rumunii, domy mieszkalne w Lazio, stara posiadłość we Frascati, willa na wyspie Ponza — oczywiście teraz to wszystko trafi w jej ręce.

— W czyje?

— Pan nie wie? Tej Polki, z którą był wczoraj wieczorem na kolacji. Jej nazwisko?... Anders... tak, tak... Anders. Żyła z nim od lat. Chociaż, muszę przyznać, nigdy o niej nie mówił. Nigdy jej tu nie przyprowadził. Zabawne... Nie chciał, żeby wiedziano, iż lubi się zabawić. Jak to się mówi w wojsku, był zawsze sztywny, jakby połknął wycior. Oczywiście wiedziałem o niej. Często podnosiłem słuchawkę, kiedy dzwoniła... Czasem chodziłem do niej, żeby jej zanieść coś od generała. Ładna kobieta, jeszcze niestara. To mi przypomina... Ktoś powinien ją o wszystkim zawiadomić.

— Zrobię to. Gdzie mieszka?

To pytanie było strzałem w powietrze. Znałem odpowiedź i wiedziałem znacznie więcej o Liii Anders.

— Parioli. Adres jest w notesie generała.

— Znajdę.

— Coś takiego! — wykrzyknął. — Nie ma pan chyba zamiaru brać niczego z rzeczy generała? Jestem za wszystko odpowiedzialny. Nie chcę mieć kłopotów.

— Zabieram papiery i wtfffi^{^^}gl[^]którą je zapakuję.

— Po co?
— Chodzi o tajemnicę państwową. Nie możemy pozwolić, żeby poufne dokumenty poniewierały się po domu. Przejrzymy więc wszystkie, zabierzemy te, które są własnością wojska, a prywatne oddamy prawnikowi generała. Nie będzie żadnych kłopotów, ponieważ zostawię pokwitowanie. Jasne?
— Skoro pan tak mówi... Niech pan zaczeka! Kim pan jest? Nie wiem nawet, jak się pan nazywa.
— Matucci. Z karabinierów.
— Karabinierzy!... Chyba nie stało się nic złego?
— Zupełnie nic... Normalne postępowanie w przypadku kogoś tak ważnego jak generał.
— Kto załatwi wszystkie sprawy, zawiadomi znajomych...?
— Wojsko.
— Co ja mam robić? Siedzieć tu?
— Jest coś, co mógłby pan zrobić. Będą telefonować znajomi. Proszę zapisywać nazwiska i numery ich aparatów.
— Będę dostawał moją pensję?
— Proszę się nie martwić. Oczywiście. Takie jest prawo... Jeszcze jedno pytanie. Gdzie generał był wczoraj na kolacji?
— W Klubie Szachowym.
— Na pewno?
— Bez wątplenia. Musiałem zawsze wiedzieć, gdzie jest. Czasem dzwonili z naczelnego dowództwa lub z ministerstwa... Jeszcze kropelkę?
— Nie, dziękuję. Będę się zbierał.
— I jest pan pewien w sprawie pieniędzy?
— Jestem pewien. A pan będzie pamiętał o telefonach?
— Zaufaj mi, przyjacielu. Generał mi ufał. Nigdy go nie zawiodłem. Wie pan, on był zimny jak ryba, ale brak mi będzie starego drania. Naprawdę.

Facet roztkliwił się i miałem go już dosyć. Nabazgrałem pokwitowanie, wziąłem walizkę z dokumentami i wyszedłem na wątle wiosenne słońce. Było dziesięć po pierwszej. Sklepikarze opuszczali żaluzje, ulice pełne były rzymian spieszących na obiad i sjęstę.

Szczerze mówiąc, nie lubię rzymian. Jestem Toskańczykiem, a rzymianie są najbliższymi krewnymi Hotentotów. Ich miasto to śmietnik, a cały rejon — wysypisko na śmieci. Są najgorszymi kucharzami i gotują najbardziej niestrawne w całym kraju potrawy. Są prymitywni, brudni, cyniczni i absolutnie pozbawieni wdzięku... Twarze mają zamknięte na współczucie, a dusze lodowate i zawzięte. Widzieli wszystko, ale niczego się nie nauczyli poza najnikczemniejszą ze sztuk, sztuką przeżycia. Zaznali imperialnej wielkości, papieskiej pompy, wojen, głodu, morowego powietrza i grabieży; a jednak gotowi są paść na kolana przed każdym tyranem, który podsunie im dodatkowy bochenek chleba i darmowy bilet na igrzyska.

Wczoraj był to Benito Mussolini, upojony własną retoryką, przemawiający do nich z balkonu przy Piazza Venezia. Jutro może to być ktoś inny. A gdzie jest ów ktoś w tym momencie, w Środę Popielcową tego roku wątpliwej łaski Pańskiej...? Jednego mogę być pewny: nie stoi jak Dante Alighieri Matucci na swoich płaskich stopach pośrodku Campo Marzio.

Otrząsnąłem się z zamyślenia, przeszedłem do miejsca, gdzie kilka domów dalej zaparkowałem samochód, rzuciłem dokumenty na siedzenie i pojechałem do biura. Mogłem zaoszczędzić sobie kłopotu. Dwaj moi wyżsi rangą urzędnicy wyszli na lunch, numer trzeci flirtował właśnie z maszynistką, a bank danych nie funkcjonował, gdyż wyłączono elektryczność, jako że trwał dwugodzinny strajk. Czekala na mnie notatka z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych żądająca „natychmiastowego skontaktowania się w sprawie niecierpiącej zwłoki”. Kiedy zadzwoniłem, okazało się, że facet, z którym miałem się skontaktować, podejmuje właśnie zagranicznych gości i być może wróci na czwartą. Na Bachusa! Co za kretyni! Może nadejść i minąć dzień Sądu Ostatecznego, maoiści mogą właśnie w tej chwili szturmować Anielską bramę w Watykanie, ale rzymianin musi dokończyć sjesty, zanim przystąpi do działania.

Wywaliłem te wszystkie papiery na biurko i wrzasnąłem na urzędnika numer trzy, żeby je posegregował i przejrzał. Ponieważ strajk unieruchomił windy, pokonałem na piechotę trzy piętra dzielące mnie od laboratorium kryminalistyki, gdzie musiał ktoś być nawet podczas przerwy obiadowej. Jak zwykle został stary Stefanelli, który, jeśli wierzyć lokalnej legendzie, spał co noc w butli z formaliną, a rankiem wylaniał się świeżutki jak skowronek. Był to drobny zasuszony facet o wątlym owłosieniu, żółtych zębach i skórze jakby wygarbowanej. Musiał z dziesięć lat temu przekroczyć wiek emerytalny, ale trwał ciągle na stanowisku dzięki protekcji i autentycznemu talentowi do pracy, którą wykonywał.

Inni pracownicy techniczni głowili się czasem nad jakimś problemem tak, że mózg im pękał z wysiłku, a Stefanelli po prostu to wiedział. Nasypiesz mu odrobinę kurzu na dłoń, a Stefanelli powie, z jakiej prowincji ten kurz pochodzi, z jakiego regionu, a nawet ze sporym prawdopodobieństwem poda nazwę wsi. Dasz mu strzęp materiału, a on pogłodzi go przez moment, a potem powie, ile jest w nim bawełny, ile poliestru, i poda listę fabryk, które mogły go wyprodukować. Daj mu kroplę krwi, obrzynek paznokcia, kosmyk włosów, a odtworzy ci, jaka dziewczyna była tego wszystkiego właścicielką. Jest geniuszem na szczególnych prawach, chociaż geniuszem wiecznie zagniewanym i kłopotliwym, geniuszem, który gotów jest splunąć ci w oczy, jeśli ośmielisz się mu sprzeciwić, ale też będzie tyrał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę dla tych, którzy mu ufają. Jest kolosalnie odczytany i chętnie przyjmuje zakłady dotyczące swojej wiedzy technicznej. Jedynie zupełnie zieloni albo nadmierne pewni siebie nowicjusze odważali się z nim zakładać. Kiedy wszedłem, dysząc ciężko i z kwaśną miną, Steffi powitał mnie wylewnie.

— No, pułkowniku! Co masz dla Steffiego? Bo ja mam coś dla ciebie... Śmierć przez uduszenie... zielone alkaloidy we krwi... żadnych nakłuć, żadnych zadrapań skóry, żadnych widocznych śladów wtargnięcia do krwioobiegu. Pięć tysięcy lirów, jeśli potrafisz zgadnąć, o co tu chodzi.

— Z tego, co powiedziałeś, Steffi, widzę, że byłoby to wyrzucanie pieniędzy przez okno. Co to jest?

— Skorupiak z Południowego Pacyfiku. Nazywają go złotogłowem. Przy dotknięciu wysuwa maleńkie igiełki wypełnione alkaloidem, który paraliżuje centralny układ nerwowy. W tym przypadku mamy oceanologa, który pracował z Amerykanami na Południowym Pacyfiku... Jeśli chcesz, przysyłę ci na ten temat notatkę.

— Dziękuję, Steffi, ale nie dzisiaj. Mam własne sprawy na głowie. — Wyłowilem z kieszeni kartonik z salamandrą i podałem mu. — Potrzebne mi są pełne informacje dotyczące tej kartki: gatunek papieru, charakter pisma, znaczenie symbolu i wszystkie odciski palców, jakie znajdziesz. Muszę mieć to szybko.

Stefanelli przez chwilę studiował bacznie kartkę, a następnie przedstawił swoje spostrzeżenia:

— Sama kartka wyprodukowana została z surowca japońskiego; papier ryżowy wysokiej jakości. Do jutra dowiem się, kto taki papier importuje. Charakter pisma fantastyczny! Nie widziałem niczego podobnego od czasów Aida Kaligrafa, który zmarł w 1935 roku. Pamiętasz go? Oczywiście nie, jesteś za młody. Miał biuro w pobliżu Cancelleria. Zbił forszę na podrabianiu papierów wartościowych i wypisywaniu patentów szlacheckich dla facetów, którzy chcieli poślubić bogate Amerykanki... Ale Aldo nie żyje, nic ci nie pomoże. Musisz zobaczyć w kartotece, kto przejął po nim praktykę... Rysunek? No więc... rysunek przedstawia oczywiście salamandrę, zwierzę żyjące w ogniu. Co oznacza salamandra tutaj, nie wiem. Może to jakiś znak firmowy. Może tessera — legitymacja członkowska jakiegoś klubu — albo kopia herbu. Dam to Solimbenemu... Nie znasz go. Stary przyjaciel. Pracuje w Consulta Araldica. Zna wszystkie herby. Odczytuje je, jak inni czytają gazetę.

— Dobry pomysł. No i może byś wykonał kilka kopii kartki, zanim reszta wróci z lunchu. W każdym razie ja będę potrzebował jednej do dalszego śledztwa.

— Skąd to masz?

— Dziś w nocy umarł generał Pantaleone. Znalazłem ten kartonik w jego sypialni.

— Pantaleone? Ten stary fascista! Co mu się stało?

— Śmierć naturalna, Steffi... i mamy na to dowód: poświadczony świadcstwo zgonu.

— Bardzo wygodne.

— Bardzo niezbędne.

— Samobójstwo czy morderstwo?
— Samobójstwo.
— Aha! To brzydko mi pachnie.
— I dlatego, Steffi, ta sprawa pozostaje na razie między tobą, mną i dyrektorem. Nie wypuszczaj kartki z rąk. Żadnych fiszek, żadnej dyskusji w laboratorium. Całkowite milczenie.

Stefanelli uśmiechnął się i dotknął nosa kościstym palcem wskazującym — gest oznaczający, że przyjął rzecz do wiadomości i zgodził się na konspirację.

— Kocham faszystów akurat tak samo jak ty — a mamy ich odpowiedni procent w naszym wydziale. Czasem nie wiem, czy są jeszcze we Włoszech jacyś demokraci — albo raczej, czy kiedykolwiek byli — poza nami dwoma. Jeśli nie zdobędziemy się na ustabilizowany rząd, będziemy mieli już wkrótce zamach stanu i faszystów mocno osadzonych w siodle. Tydzień później nastąpi wojna domowa lub coś w tym guście — lewica przeciwko prawicy, Południe przeciwko Północy. Jestem już stary. Czuję, skąd wieje wiatr... I boję się. Mamy synów, córki, wnuki. Nie chcę, żeby przeszli przez to, co przeszliśmy my...

— Ani ja, Steffi. Musimy więc wiedzieć, kto zajął miejsce Pantaleonego. Pracuj nad kartką. Dzwon, jak tylko coś będziesz miał — o każdej porze dnia i nocy.

— Życzę szczęścia.

— Będzie mi potrzebne... Ciao, Steffi.

Nie wiedziałem, co zrobić z resztą dnia. Nic sensownego nie wyciągnę z dokumentów Pantaleonego, dopóki nie zostaną zarejestrowane i skonfrontowane z dossier generała. Jedynym człowiekiem, z którym mógłbym rozmawiać swobodnie, jest dyrektor, ale nie było go w biurze. Mogłem oczywiście zadzwonić do Franceski, małej modelki, która po południu jest zawsze wolna. Ale potem byłbym senny i zupełnie do niczego przez resztę popołudnia. Wolałem więc wstąpić do baru na kawę. Potem pojechałem do Parioli zobaczyć się z Liii Anders.

Mieszkała na trzecim piętrze nowego bloku — aluminium, szkło, portier w liberii i ściany windy wyłożone włoskim orzechem. Według danych zawartych w dossier tej pani mieszkanie kosztowało sześćdziesiąt milionów lirów, koszty utrzymania zgodnie z umową sto dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Dane skarbowe z Comune di Roma mówiły, że Liii Anders oceniano na milion lirów miesięcznie. Ponieważ płaciła podatek bez sprzeciwu, jest rzeczą oczywistą, że musi żyć na stopie dwukrotnie wyższej. Ja sam utrzymywałem mieszkanie, służącego, fiata — model sprzed trzech lat — i od czasu do czasu szkolnych kumpli za sumę sześciuset tysięcy lirów miesięcznie minus podatki. Uważałem więc, że Liii Anders jest kobietą bardzo zamożną. Kiedy dzwoniłem do jej drzwi, byłem w nie najlepszym humorze i dosyć na nią zawzięty. Niemłoda gospodyni, ubrana w czarną krepę i wykrochmalone białe płótno, przyjęła mnie, jak przystało na rzymiankę: zwięźle i niechętnie.

— Słucham?

— Matucci, z karabinierów. Chciałbym zobaczyć się z **panią Anders**.

— Jest pan umówiony?

— Nie.

— Będzie więc pan musiał przyjść później. Signora śpi.

— Przykro mi, ale muszę poprosić, żeby ją pani **obudziła. Bardzo pilna** sprawa.

— Ma pan jakiś dokument?

Podąłem legitymację. Wzięła, przeczytała powoli linijka po linijce, potem zaprosiła mnie do korytarza gestem, jakby wymiatała obłok kurzu, i zostawiła samego.

Czekałem ponury i pełen złości, ale jednocześnie ogarnięty kwaśnym podziwem dla wiekowej matrony, której przodkowie ciskali dachówkami w papieży, kardynałów i marionetkowe książątka. Wkroczyła Liii Anders. Jak na kobietę dobrze już po trzydziestce trzymała się wspaniale; trochę za pulchna jak na mój gust, ale ciągle jeszcze, i to zdecydowanie, znajdowała się po właściwej stronie życia. Trochę inaczej wyobrażałem sobie kobietę wyrwaną gwałtownie ze snu; każdy blond włos na swoim miejscu, ani śladu rozmazanego makijażu, ani jednej zagniecionej fałdy na spódniczce, bluzce lub pończochach. Przywitała mnie uprzejmie, lecz chłodno.

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

— W cztery oczy, jeśli to możliwe.

Wprowadziła mnie do salonu i zamknęła drzwi. Poprosiła, żebym usiadł, a sama stanęła przy kominku, pod portretem konnym Pantaleonego.

— Jest pan, zdaje się, karabinierem.

Y

— Tak, pułkownik Matucci.

— A powód pańskiej wizyty?

— Chodzi niestety o przykrą sprawę.

— Ach tak?

— Z żalem muszę panią poinformować, że generał Pantaleone zmarł dzisiaj wczesnym rankiem.

Nie płakała. Nie zaczęła krzyczeć. Patrzyła na mnie cała drżąc, z szeroko otwartymi oczami, oparta o kominek. Chciałem podejść, żeby ją podtrzymać, ale skinęła ręką, że nie trzeba. Skręciłem więc do barku, nalałem brandy i podałem jej. Wypiła duszkiem i zakrztusiła się alkoholem. Podałem jej czystą chusteczkę, a ona przyłożyła ją do warg, a potem do bluzki. Powiedziałem spokojnie:

— To zawsze wstrząsające, nawet w naszym zawodzie. Jeśli chce pani płakać, proszę się nie krępować.

— Nie będę płakać. Generał był dla mnie miły i dobry, ale nie mam dla niego łez.

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinna pani wiedzieć.

— Słucham.

— Zginął z własnej ręki.

Ani śladu zaskoczenia. Wzruszyła jedynie ramionami i rozłożyła dłonie w bezradnym geście.

— Po nim wszystkiego można się było spodziewać.

— Dlaczego tak pani uważa?

— W jego życiu było zbyt wiele ciemnych plam, pułkownika, zbyt **wiele** tajemnic; zbyt wielu ludzi czyhało na jego klęskę.

— Mówił o tym?

— Nie, ale ja wiem.

— Może więc pani wie także, dlaczego wybrał właśnie tę noc, żeby zadać sobie śmierć? Dlaczego nie tydzień temu albo za miesiąc?

— Nie wiem. Od dawna już, od miesiąca albo jeszcze wcześniej, był w złym nastroju. Nieraz pytałam, co go gnębi. Zawsze mnie zbywał.

— A wczorajszego wieczoru?

— Tylko jedno. Podczas kolacji kelner przekazał mu jakąś wiadomość. Proszę nie pytać, co to za wiadomość. Zna pan Klub Szachowy: jak w kościele — szepty i kadzidła. Generał zostawił mnie przy stoliku i wyszedł. Nie było go jakieś pięć minut. Po powrocie powiedział, że dzwonił jeden ze współpracowników. Nic więcej. Później, kiedy odwiózł mnie do domu, zaprosiłam go do siebie. Czasem zostawał na noc, a czasem nie. Tym razem powiedział, że ma jeszcze coś do zrobienia w domu. To było zupełnie normalne. Nie namawiałam go. Byłam zmęczona.

Wyjęłam fotokopię kartonika z salamandrą i podałam jej.

— Czy kiedykolwiek widziała pani tę kartkę? Albo coś w tym rodzaju?

Przez chwilę przyglądała się uważnie, potem potrząsnęła głową.

— Nie, nigdy.

— Poznaje pani to zwierzę?

— Rodzaj jaszczurki... może smok?

— A korona?

— Nic mi nie mówi.

— Słowa?

— Co one znaczą?... „Pewnego pięknego dnia, bracie”... tylko tyle.

— Czy kiedykolwiek słyszała już pani to zdanie?

— Nie przypominam sobie niczego takiego. Przykro mi.

— Ależ, signora! Proszę nie robić sobie wyrzutów. Był to dla pani wielki wstrząs. Straciła pani drogiego przyjaciela. A teraz... jak by to powiedzieć... będę musiał znowu sprawić pani przykrość. Jest moim obowiązkiem ostrzec, że w obecnej sytuacji pani osobiście zagraża poważne niebezpieczeństwo.

— Nie rozumiem.

— Pozwoli więc pani, że wyjaśnię. Bardzo długo była pani przyjaciółką kogoś ważnego, kogoś uważanego przez pewne środowiska za człowieka nie-

zwykle niebezpiecznego. Na ogół zakłada się, że kobieta w tej sytuacji jest kimś zaufanym, powiernikiem. Nawet jeśli generał nic pani nie mówił, znajdują się tacy, którzy dojdą do wniosku, że powiedział pani wszystko. Nie uniknie więc pani śledzenia, nacisków, a nawet gróźb.

— Z czyjej strony?

— Ekstremiści z prawicy i z lewicy, osobnicy nauczeni, że można użyć przemocy jako broni politycznej; zagraniczni szpiedzy działający w obrębie granic Republiki, a nawet — mówię o tym ze wstydem — funkcjonariusze naszej służby bezpieczeństwa. Jako cudzoziemka mająca wizę pobytową jest pani w szczególnie złej sytuacji.

— Ależ ja nie mam nic do powiedzenia! Żyłam, jak kobieta żyje z mężczyzną potrzebującym uczucia. Żadnych innych spraw z nim nie dzieliłam. Kiedy drzwi zamykały się za nami, odgradzaliśmy się od całego świata. Tego pragnął. Musi mi pan wierzyć.

Była teraz wstrząśnięta. Miała bez przerwy chusteczkę. Odchyliłem się na krześle i wygarnąłem:

— Chciałbym pani wierzyć. Ale znam panią, Liii Anders. Znam panią jak własną dłoń, od chwili urodzenia w Warszawie aż do ostatniej przesyłki oddanej niejakiemu Colombie, drukarzowi i introligatorowi z Mediolanu. Przedstawiła się pani jak zwykle pseudonimem Falcone. Wszyscy współpracownicy pani siatki są oznaczeni nazwami ptaków, nieprawdaż? Pieniądze wypłaca Canarino z konta numer 68-Pilau w zuryjskim banku kantonalnym... Widzi pani, Liii, my Włosi nie jesteśmy w rzeczywistości takimi głupcami, na jakich wyglądamy. Jesteśmy bardzo dobrymi konspiratorami, ponieważ lubimy grę i umiemy dobrać sobie wygodne dla nas reguły... Jeszcze brandy? Ja napiję się, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Proszę się odprężyć, nie mam zamiaru pani zjeść. Podziwiam ludzi dobrze wykonujących swój zawód. Ale pani stanowi dla nas problem, prawdziwy problem... Salute! Życzę pani zdrowia!

Wypiła zaciskając kieliszek w obu dłoniach, jakby był to filar, którego można się przytrzymać.

— Co teraz stanie się ze mną?

— No tak. Problem jest otwarty, Liii. Tak jak widzę to w tej chwili, istnieją dwie możliwości. Zamykam panią w areszcie pod zarzutem spiskowania i szpiegostwa. Oznacza to długie śledztwo, ciężki wyrok i brak nadziei na choćby tymczasową wolność. Ale jeśli zostaną spełnione pewne warunki, może pani pozostać na wolności i nadal żyć sobie wygodnie w Rzymie. Co pani woli?

— Zmęczyłam się już grą, pułkownika. Chciałabym się wycofać. Jestem za stara.

— Na tym polega cały kłopot, Liii. Nie może pani wyłączyć się z gry. Może pani jedynie zmienić partnerów.

— To znaczy?

- Pełna informacja o siatce i o pani działalności; rola podwójnego **agenta**.
- Czy jest pan w stanie zapewnić mi bezpieczeństwo?
- Tak, dopóki będzie pani potrzebna.
- Byłam dobrą kochanką, pułkowniku. Generał był zadowolony. Miał to, za co płacił.
- Przystąpmy do dalszych pytań. Kto zorganizował pierwsze spotkanie z generałem?
- Markiza Friuli.
- Jej pseudonim?
- Pappagallo.
- Pasuje do tej starej panny. Rzeczywiście wygląda jak papuga. Jakie było pani zadanie?
- Możliwie najwcześniej ostrzegać o próbach zamachu stanu planowanych przez ugrupowania faszystowskie oraz o działaniach zmierzających do sprowokowania zamachu stanu.
- Na przykład?
- Plany aktów przemocy wobec policji lub karabinierów podczas robotniczych demonstracji, zamachy bombowe, które mogłyby być przypisane maoistom lub marksistom, szerzenie niezadowolenia wśród rekrutów i poborowych, wszelkie kontakty, tajne i oficjalne, między reżimem greckim a osobistościami politycznymi Republiki Włoskiej, przesunięcia wpływów lub zmiany poglądów politycznych we włoskim Dowództwie Naczelnym.
- Czy ostatnio takie zmiany miały miejsce?
- Nie... przynajmniej ja nic o nich nie wiem.
- Dlaczego więc generał popadł w stan depresji?
- Nie wiem. Staralam się to wy badać.
- Problemy finansowe?
- Nie sądzę... Nigdy nie był rozrzutny — nawet gdy chodziło o mnie.
- Naciski polityczne, szantaż?
- Mam wrażenie, że chodziło tu o sprawy osobiste, a nie o politykę.
- Skąd to wrażenie?
- Na podstawie tego, co mówił, kiedy był u mnie i czuł się swobodnie.
- Na przykład?
- Ach, różne dziwaczne uwagi. Miał zwyczaj mówienia czegoś — jak by to powiedzieć — czegoś niezrozumiałego; potem przechodził nagle do innego tematu. Jeśli naciskałam, zamykał się w sobie jak ślimak w skorupie. Szybko nauczyłam się hamować język. Na przykład pewnego wieczoru powiedział: „Moja przyszłość, Liii, nie ma być prosta, ponieważ moja przeszłość jest zbyt skomplikowana”. Innym razem zacytował Biblię: „...I będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy”. Tego rodzaju uwagi.
- Nic więcej?
- Próbuje sobie przypomnieć... Ach tak, jakieś trzy tygodnie temu spotkał się w Wenecji. Zaprosił mnie do teatru Feniks na operę. Mówił o historii

teatru i wyjaśniał znaczenie jego nazwy. Powiedział, że feniks jest legendarnym ptakiem, który odrodził się z własnych popiołów. Potem stwierdził, że istnieje zwierzę jeszcze bardziej legendarne i niebezpieczne — żyjąca w ogniu i niewrażliwa na najgorętsze płomienie salamandra... Zaraz! Pańska kartka... Salamandra!

— No właśnie, Liii. Widzi pani, jak daleko możemy zajść, jeśli rozmawiamy po przyjacielsku? Co jeszcze powiedział generał o salamandrze?

— Już nic. Zupełnie nic. Podeszli do nas znajomi. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu.

— Zostawmy to. Nieraz się jeszcze spotkamy i niejedno będę miał pytanie. Od tej chwili będzie pani stale śledzona. Proszę, oto moja wizytówka z dziennym i nocnym numerem telefonu. Zawiadomimy panią o dacie pogrzebu. Chciałbym, żeby pani przyszła.

— Och nie, proszę!

— Ależ tak! Chcę pani łez, Liii. Chcę głębokiego smutku i najczarniejszej żałoby. Nie wróci pani do życia towarzyskiego, dopóki pani na to nie pozwoli. Naturalnie będą dzwonić pani mocodawcy i przyjaciele generała. Gospodyni będzie chciała poznać powód mojej wizyty. Wszystkim proszę opowiedzieć tę samą historyjkę. Generał zmarł na atak serca. Nie zaszkodzi zwierzyć się, że generał cierpiał na dolegliwość, która czasami czyniła go bezużytecznym w łóżku... Jeszcze jedno. Żadnych nowych przyjaciół, dopóki jest pani w żałobie. Mogłoby to wywołać złe wrażenie. Jeśli pani potem znajdzie sobie kogoś, najpierw ja będę musiał się nim zająć.

Obdarzyła mnie słabym uśmiechem przez łzy.

— Nim czy mną, pułkowniku?

— Jest pani piękną kobietą, Liii, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Jeśli potrafiła pani dać szkołę temu staremu mamutowi Pantaleonemu, Bóg jeden wie, co zrobiłaby pani z takim wygłodniałym facetem jak ja. Ale to jest myśl. Pewnego pięknego dnia zagramy być może nasz koncert kameralny. Teraz wszystkiego najlepszego. I otrzyma pani premię za każdą łzę podczas requiem. Gdzie tu jest telefon?

Pół godziny później siedziałem nad sandwiczem i filiżanką cappucino w przeszklonym barku na Via Veneto i przerzucałem wieczorne wydania rzymskich i mediolańskich gazet. O śmierci generała donoszono tylko w wiadomościach z ostatniej chwili. Wszędzie posłużono się tymi samymi słowami zaczerpniętymi, bezpośrednio z komunikatu wojska. Żadnej klepsydry, żadnych komentarzy redakcyjnych. Pierwsze pojawią się zapewne w wydaniach wieczornych, ale żadne krwi psy naprawdę zaczną szczekać dopiero jutro rano. W tym momencie generał będzie już bezpiecznie zabalsamowany i wystawiony na widok publiczny w rodzinnej kaplicy we Frascati, a honorową straż będą pełnili kadeci z jego dawnego pułku.

Uroczystości pogrzebowe generała sztabu głównego Massimo hrabiego Pantaleone stanowiły doprawdy niezwykle przedstawienie. Requiem odśpiewał biskup podmiejskiego Frascati, kardynał Amleto Paolo Dadone, a towarzyszył mu chór z klasztoru w Sant' Antonio della Valle. Ujęty w klasyczne okresy panegiryk wygłosił dźwięcznym głosem generał Towarzystwa Jezusowego, kolega zmarłego ze szkolnej ławy. We mszy wzięli udział: prezydent Republiki, ministrowie, deputowani z obu izb, prałaci z Kurii Rzymskiej, wyżsi oficerowie wszystkich służb, przedstawiciele NATO i korpusu dyplomatycznego, krewni i przyjaciele zmarłego, służba domowa, dziennikarze, fotografowie, a także pstry tłum rzymian, wieśniaków i przypadkowych turystów. Sześciu oficerów sztabowych zaniósł trumnę do krypty, gdzie pułkowy kapelan pobłogosławił ciało na spoczynek do dnia zmartwychwstania, a w tym samym czasie oddział młodszych oficerów wystrzelił salwę honorową i penitencjariusze Sant' Ambrogio odmówili bolesne tajemnice różańca. Drzwi wiodące do krypty zostały zamknięte i zaryglowane przez samego prezydenta i gest ten, świadczący o szacunku, wdzięczności i narodowej solidarności, nie uszedł uwagi dżentelmenów z prasy. Zjawiała się także Lili Anders w obfitym welonie i wsparta na ramieniu kapitana Girolama Carpicgo, po którym widać było, że śmierć umiłowanego zwierzchnika głęboko go przejęła.

Byłem oczywiście wśród żałobników, ale mniej obchodził mnie przebieg uroczystości niż starania mojego zespołu fotografów zmierzające do uzyskania wyraźnego zdjęcia każdej osoby obecnej na pogrzebie, poczynając od kardynała celebrującego uroczystość, a na człowieku układającym wieńce kończąc. Nienawidzę pogrzebów. Sprawiają, że czuję się stary, niepotrzebny. Byłem zadowolony, że nabożeństwo dobiegło wreszcie końca i mogłem pojechać do Franceski, podczas gdy moi koledzy ciągle jeszcze popijali spumante i napychali sobie brzuchy łakociami w Villa Pantaleone.

O trzeciej trzydzieści po południu wróciłem do laboratorium, żeby porozmawiać ze Stefanellim. Staruszek podskakiwał jak konik polny.

— A nie mówiłem! Nie ma to, jak zakładać się ze starym Steffim! Pokazałem kartkę Solimbenemu; rozpoznał rysunek od pierwszego wejrzenia. Salamandra w koronie to godło Franciszka Pierwszego. Wywodzi się, z pewnymi zmianami, od herbu Domu Orleańskiego, Księstwa Angouleme i rodziny Farmer w Anglii. Poprosiłem Solimbenego o listę żyjących współcześnie włoskich rodzin, które używają tego symbolu. Musisz zgodzić się na podpisanie rachunku dla Solimbenego. Rysunek? Oparty jest na technice Aida Kaligrafa, ale wykonany został zapewne przez Carla Metapontego, który niegdyś był fałszerzem, fabrykował dokumenty dla partyzantów podczas wojny, potem zaś nie zbaczał już z drogi cnoty. Sama kartka... Pomyliłem się. To nie ma nic wspólnego z Japonią. Jest to niezła włoska imitacja, wyprodukowana w Modenie przez braci Casaroli. Dostarczyli nam listę swoich głównych klientów europejskich. Napis jeszcze nie został rozszyfrowany, ale dojdziemy do tego.

Tak to wygląda. Nieźle jak na czterdzieści osiem godzin. Powiedz natychmiast, że jesteś zadowolony, bo inaczej pójde się utopić w klozecie.

— Jestem zadowolony, Steffi. Ale muszę mieć znacznie więcej. Na przykład odciski palców.

— Przykro mi. Jedyne, jakie byliśmy w stanie zdjąć, należały do świętej pamięci generała. Chyba nie spodziewałeś się niczego więcej?

— Potrzebne mi są cuda, Steffi. I to potrzebne na wczoraj.

— Litości. To wszystko wymaga czasu... Jak przebiegł pogrzeb?

— Przepięknie. Przez cały czas płakałem! Jakież popis elokwencji!... „Ta szlachetna dusza, którą śmierć wyrwała spośród nas, ten oddany sługa Republiki, ten patriota, ten bohater wielu bitew...” Merda!

— Requiescatinaeternum... — Stefanelli skrzyżował ramiona na wychudłej klatce piersiowej i wznosił wzrok w górę. — Jeśli poszedł do nieba, mam nadzieję, że nigdy tam się nie znajde. Amen!... Czytałeś dzisiejsze gazety?

— Niby kiedy miałem to zrobić?

— Są u mnie w gabinecie. Chodź! Warto to zobaczyć.

Klepsydry, podobnie jak pogrzeb, były popisem krasomówstwa. Prawica nieprzyzwoita w hymnach pochwalnych, centrum pełne szacunku, jedynie delikatnie wyrzucające generałowi faszystowską przeszłość; lewicy udało się osiągnąć pewną poezję w obelgach, których kulminację stanowił paszkwil, z powodów czysto grzecznościowych przypisany anonimowemu rzymianinowi.

Estirpato oggi,
L'ultimo della stirpe,
Pantaleone,
Mascalzone.

Pogrzebany dzisiaj,
Ostatni z linii,
Pantaleone,
Łobuz.

Nie mogę powiedzieć, żeby to wszystko, co przeczytałem, sprawiło mi przykrość. Było to robienie dobrej miny do złej gry, była to księga pełna sprzeczności. Nikt nie próbował podważyć oficjalnej wersji zgonu generała; co nie oznaczało zgola, że wszyscy w nią uwierzyli, ale po prostu, że wszystkim była ona na rękę. Trochę zmartwił mnie paszkwil. Na pierwszy rzut oka jest tylko nieszkodliwą satyrą. Generał był ostatnim z rodu Pantaleone i na dodatek starym łobuzem. Jeśli odczytać go inaczej, może oznaczać, że lewica przyłożyła rękę do usunięcia generała i że na szczęście nie widać na horyzoncie kandydata na następcę. Jeśli zaś ktoś jest bardzo subtelny — a mnie płacono wszak za to, żebym umiał odczytać całkiem nawet nieczytelne stronicę — może się w tym dopatrzeć gambitu do kampanii zmierzającej do oczernienia generała i wydobycia na światło dnia wszystkich kościotrupów z jego rodzinnego grobowca. Byłoby to niedobrze, ale w tej sprawie nic nie mogłem zrobić. Czułem się nadal senny i niezdolny do żadnego wysiłku, zacząłem więc przerzucać gazety, słuchając jednocześnie pikantnego komentarza Stefanellego:

— A tutaj mamy smakowity kąsek! „Księżna Faubiani przedstawia swoją letnią kolekcję!” Wiesz, kto to jest? Pochodzi z Argentyny, wyszła za młodego księcia Faubiani, rzuciła go dla kochanka i wniosła sprawę o separację, podając jako uzasadnienie impotencję małżonka. W ten sposób stała się wolna, zachowała tytuł i prawo do pieniędzy. Odtąd ma co dwa lata nowego opiekuna — obecnie wybiera samych starych i bogatych. Finansują jej kolekcje mody i podnoszą standard życiowy. Ostatnio był bankier Castellani... Ciekawe, kto to jest w tym roku? Najdziwniejsze, że utrzymuje z nimi wszystkimi przyjazne stosunki. Patrz, tutaj masz Castellaniego, to ten obok modelki w bikini. O, jest i nowy, w pierwszym rzędzie, za samą Faubiani i wydawcą „Vogue”. To honorowe miejsce. No wiesz, obowiązuje pewien rytuał. Kiedy najwyższa kapłanka ma cię dosyć, oddaje cię modelkom. Co to ma zresztą za znaczenie, jeśli osiągnęło się co najmniej sześćdziesiątkę? Dziewczęta wychodzą taniej niż cała letnia kolekcja, no nie?... Muszę dojść do tego, kim jest ten nowy.

— Co cię obchodzi świat mody, Steffi?

— Moja żona ma boutique na Via Sistina... haute couture dla bogatych turystów.

— Ty stary przebiegły lisie!

— Jestem szczęśliwym człowiekiem. Ożeniłem się z miłości, a jednak na starość mam pieniądze. A oprócz tego cała ta paczka jest wielce dekoracyjna, a plotki zawsze interesujące... To mi coś przypomina. Podobno Pantaleone ma brata, który snuje się tu gdzieś po Rzymie.

— Nie ma go w mojej kartotece, Steffi. Stary hrabia Massimo miał dwie córki w pierwszych trzech latach małżeństwa i syna jakieś dziesięć lat później. Jedna z córek wyszła za Continiego i zmarła przy porodzie dziecka. Druga — za hiszpańskiego dyplomatę i mieszka w Boliwii. Troje dorosłych dzieci, wszystkie mają obywatelstwo hiszpańskie. Syn hrabiego, nasz generał, był jedynym męskim potomkiem. Odziedziczył tytuł i większość majątku. Tyle mówią dane zweryfikowane w Centralnym Archiwum i porównane ze świadectwem chrztu z Frascati.

— Dobrze, zgadzam się, stara baronowa Schwarzburg to źródło nie tak oficjalne jak Centralne Archiwum, ale od wielu lat jest klientką mojej żony. Stoi nad grobem, a jednak ciągle wydaje majątek na kiecki. Utrzymuje, że znała ojca Pantaleonego — wydaje się to prawdopodobne, bo stary ganiał za spódniczkami do dnia, kiedy w ogrodach Pincio spadł z konia i skrzył kark. Według baronowej hrabia spłodził bękarta guwernantce córek. Zapłacił dziewczynie i wydał za kogoś, kto dał chłopcu nazwisko, chociaż baronowa nie może przypomnieć sobie, jakie. Pamięć jej już szwankuje, więc mogła to być po prostu oszczercza plotka. Wiesz, jakie są stare panny. Nie wychodzą nigdy poza swój pierwszy walc i poza czasy, kiedy król Umberto pokazał im swoje zbiory numizmatyczne... W każdym razie to taka uwaga na marginesie. Może cię zainteresuje.

— Nie bardzo, Steffi. Widzisz, gdybyś znalazł mi pożegnalny list napisany przed samobójstwem albo notatkę mówiącą o szantażu, byłbym o wiele bardziej zadowolony... Dio! Prawie piąta! Fotografowie, którzy obsługiwali pogrzeb, są już pewnie gotowi. Jeśli nie, przyślę ci trzy głowy, które możesz umieścić w formalinie. Zobaczymy się później. Bądź ze mną w kontakcie.

Jak zwykle fotografowie nie byli gotowi, a kierownik działu dokumentacji fotograficznej cierpiał na wstręt i miał pretensję do całego świata. Wszyscy rozumieją, że sprawa jest pilna, ale muszą być rozsądny. Czy nie widzę, że kuwety przepelnione są taśmami filmowymi, że powiększalniki pracują poza godzinami i że nawet mając do dyspozycji trzech fotografów i dwóch ekspertów od kartotek fotograficznych trzeba godzin, żeby zidentyfikować wszystkie osoby? A i tak mogą być luki. To jak film kostiumowy, gdzie kadry przepelnione są setkami statystów. Jak tu przypisać nazwiska okolicznym wieśniakom i turystom, którzy przyjechali trzema autokarami?

Po dziesięciu minutach obopólnego warczenia zrezygnowałem i wróciłem do swego gabinetu. Przynajmniej tutaj panował pozorny porządek i gotowość do pracy. Wszystkie dokumenty, które przyniosłem z mieszkania Pantaleonego, zostały opatrzone indeksami i zarejestrowane, a urzędnik numer jeden dokonał kilku interesujących spostrzeżeń.

— Zawiadomienia od maklera, pułkownika. Wszystkie dotyczą sprzedaży. W ciągu ostatnich czterech tygodni generał pozbył się papierów wartościowych na jakieś osiem milionów lirów. Potwierdzenia od maklerów, wszystkie identycznie sformułowane... „Dokonaliśmy przelewu uzyskanej sumy zgodnie z pańskimi instrukcjami...” Pytanie: Co się z tymi pieniędzmi stało? Nie zostały przelane do banku, bo mamy stan konta sprzed tygodnia. Jest tu też list z Agenzia Immobiliare della Romagna. Donoszą, że chociaż majątek Pantaleonego był wystawiony na sprzedaż przez okres ponad dwóch miesięcy, nie znalazł się żaden poważny klient, który mógłby przyjąć podaną cenę. Radzą wycofać ofertę, dopóki warunki kredytowe w Europie nie ulegną pewnej poprawie i dopóki nie dojdzie do nowego porozumienia rolniczego w ramach Wspólnego Rynku... Teraz proszę spojrzeć na tę małą kartkę. Jest to odręczna notatka sporządzona przez Emilia del Giudice z Florencji. Wie pan, kto to jest? Znane nazwisko, pośrednik w handlu dziełami sztuki. Oto co pisze: „Stanowczo odradzam wszelkie transakcje, które wiązałyby pańskie nazwisko z eksportem prac z kolekcji Pantaleone. Jako sprzedający oferuje pan pewne dzieła zgodnie z obowiązującym prawem. W ten sposób cała odpowiedzialność za formalności eksportowe spada na nabywcę...”

— Chciał się więc wyprzedać. Nie ma żadnych wskazówek, dlaczego?

— W tych dokumentach nie.

— Co jeszcze mamy?

— Odcinki czekowe, domowe rachunki, wyciągi przysyłane z banku, korespondencję z zarządcami nieruchomości i agencjami zajmującymi się

wynajmem, biurową księgę adresową, kieszonkowy notatnik z telefonami. Ciągle jeszcze porównuję to z nazwiskami w naszych aktach, ale jak na razie nie ma żadnych niespodzianek. Tutaj jest breloczek z kluczem do sejfu w Banco di Roma. Chciałbym zobaczyć, co jest w tym sejfie.

- Zobaczymy. Jutro rano, jak tylko otworzą banki.
- Prawnik generała jęczy, żeby wydać mu dokumenty.
- Zajmę się nim później. Pogawędzę również z maklerami. Chciałbym wiedzieć, gdzie ulokowali pieniądze uzyskane ze sprzedaży... W ciągu najbliższej godziny będę w Klubie Szachowym. Potem w domu.

Rzymski Klub Szachowy jest instytucją niemal równie czciogodną jak Klub Myśliwski. Można wyobrazić sobie, że pewnego dnia tak właśnie będzie człowiek wstępował do nieba — przechodzi się pod szlachetnym zarysem portyku na dziedziniec o klasycznych proporcjach. Następnie schody i amfiteatr kularów, gdzie służba w liberii przyjmuje gości z ogromną atencją. Stąpa się miękko i rozmawia przytłumionym głosem, jakby w obawie zbudzenia duchów, które zamieszkują tu od wieków — duchów królów, książąt krwi i zwykłych, baronów, hrabiów i ich dam. W salonie przytłaczają cię pnące się wysoko kolumny i pokryte freskami sufity, a także złożone meble pomyślane dla zadków hiszpańskich grandów. W jadalni w przerażenie wprawia cię tchnienie szeptów, rozmowy mężczyzn, którzy mają do czynienia z wielkimi sprawami, jak forsa, problemy państwowe i sfery wpływów handlowych. Odwagę odbierają ci zimne spojrzenia wdów zgorzkniałych z upływem lat. Osaczają cię kelnerzy tak doskonale wyszkoleni, że byle okruszek na gorsie wydaje się świętokradztwem... I daremnie będziesz rozglądał się za szachistami, aczkolwiek krążą pogłoski, że naprawdę istnieją, zamknięci niby karmelici w jakichś sekretnych celach.

Nie przyszedłem, żeby grać w szachy. Przyszedłem, żeby czekać na sekretarza, który być może zechce poznać mnie z maitre d'hôtel, ten zaś z kolei, jeśli tylko konstelacja gwiazd okaże się sprzyjająca, być może skontaktuje mnie z kelnerem, który obsługiwał generała Pantaleonego w przeddzień jego śmierci.

Nie rozkoszowałem się bynajmniej tą perspektywą. Klub Szachowy to jedno z tych miejsc, które sprawiają, że tracę wszelką wiarę w moich ziomeków. Na wyżynach Sardynii, gdzie służyłem niegdyś jako młodszy oficer, żyją pasterze, którzy przez całą zimę odżywiają się plackami z kukurydzy, czarnymi oliwkami i kozim serem i stają się bandytami, bo ich rodziny nie mają co włożyć do ust, podczas gdy posiadacze ziemscy popijając w Klubie brandy rozprawiają z senatorami i ministrami. W kostnicy w Palermo identyfikowałem ciało jednego z moich kolegów, zamordowanego przez mafię, a w tym samym czasie człowiek, który polecił go zabić, jadł lunch z mediolańskim

bankierem — oczywiście w Klubie Szachowym. Ekonomisci płaczą krwawymi łzami nad ucieczką kapitału z Włoch do Szwajcarii, człowiek zaś, który uskrzydla te pieniądze, siedzi, stateczny i otoczony szacunkiem, nad lunchem przy stoliku w kącie sali. Tutaj ci, którzy są przeżytkami starego porządku, i wyzyskiwacze z nowego zawierają zawieszenia broni, traktaty i małżeństwa oparte na interesach, podczas gdy lud, biedny, niewykształcony, bezsilny, burzy się, gdyż cierpi szykany ze strony polityków i tyranie małych biurokratów.

Kiedyś igrałem z myślą o przyłączeniu się do komunistów, którzy obiecywali przynajmniej zrównanie, czystki i to samo prawo dla wszystkich. Mój zapał zgasł, kiedy zobaczyłem pewnego razu wysokich funkcjonariuszy partyjnych dzielących wędzonego łososia i stek z polędwicy z prezesem wielkiej chemicznej korporacji. Im bardziej wszystko się we Włoszech zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo. Potomek starego rodu wstępuje do Chrześcijańskiej Demokracji; młodszy syn może sobie flirtować z lewicą lub prawicą; i nie ma znaczenia, kto wygra ostatecznie wyścig, gdyż i tak wszystkie zakłady są obstawiane w Klubie Szachowym... Tak to jest! Filozofowie są dla kraju takim samym przekleństwem jak polityczni macherzy; a zamęt w sumieniu to złe lekarstwo dla kogoś, kto prowadzi śledztwo. Trzeba odwalić swoją robotę i wracać do domu.

Była dopiero ósma trzydzieści i gości przyszło na razie niewielu. Sekretarz był niezwykle dworny, a maitre d'hôtel chętny do pomocy. Usadził mnie w pokoju dla gości, przyniósł aperitif i pięć minut później zjawił się znowu ze starszym portierem i kelnerem, który podawał generałowi ostatni jego posiłek. Wyjaśniłem moją misję w sposób odpowiednio ogólnikowy. Podczas kolacji generał wezwany został do telefonu. Z powodów, które wiążą się ze sprawami obrony kraju, pragnąłem dowiedzieć się, z kim generał rozmawiał, i spotkać się z tą osobą. Pierwsze zaskoczenie:

— Nie, panie pułkowniku — maitre d'hôtel był stanowczy — źle pana poinformowano. Generał został wywołany z sali jadalnej, ale nie do telefonu. Senior klubu pragnął porozmawiać z nim prywatnie. Czekał w pokoju karcianym. Kelner zaprowadził tam generała. Rozmawiali przez chwilę, potem generał wrócił do swojego stolika, a senior klubu odebrał płaszcz i wyszedł. Widziałem, jak wychodził.

— A kto jest tym seniorem?

— Pewien dżentelmen z Bolonii. Cavaliere Bruno Manzini. Jest w tej chwili w klubie. Przyszedł jakieś dwadzieścia minut temu z księżną Faubiani.

— Faubiani? — Pozwoliłem sobie na uśmiech wyrażający satysfakcję. W końcu punkt dla mnie w grze ze starym Steffim. Maitre d'hôtel kaszlnął wymownie.

— Panie pułkowniku...?

— Czy mógłby pan powiedzieć mi coś o cavaliere?

— Mógłbym, proszę pana, ale — przepraszam pana bardzo — tego rodzaju pytania winny być adresowane do sekretarza klubu.

— Oczywiście. Gratuluję panu dyskrecji. Czy mógłby pan podać cavaliere moją wizytówkę i poprosić go o chwilę rozmowy ze mną?

Manzini zrobiłby wrażenie w każdym towarzystwie. Siedemdziesiątka na karku, śnieżnobiała lwia grzywa zaczesana do tyłu, plecy proste jak sosna, cera jasna, spojrzenie inteligentne i pełne dowcipu. Ubranie modne, koszula nieskazitelna, zachowanie charakteryzujące człowieka przyzwyczajonego do faktu, że otoczony jest szacunkiem. Nie podał mi dłoni, lecz przedstawił się spokojnie i bardzo formalnie.

— Jestem Manzini. Zdaje się, że chciał pan ze mną rozmawiać. Czy mógłbym zobaczyć pańskie dokumenty?

Podałem mu dokumenty. Przeczytał je uważnie, oddał mi i usiadł.

— Dziękuję, pułkowniku. Słucham, jakie ma pan pytania?

— Był pan, jak się zdaje, przyjacielem generała Pantaleone?

— Nie przyjacielem, pułkowniku, znajomym. Nie żywiłem wielkiego szacunku dla niego, a żadnego szacunku dla jego polityki.

— Jak określiłby pan jego poglądy polityczne?

— Faszysta i oportunistą.

— A pańskie?

— To moja sprawa, pułkowniku.

— Wieczorem, przed śmiercią, generał był tu na kolacji z damą. O ile wiem, rozmawiał pan z nim.

— Tak, rozmawiałem.

— Czy mogę znać z grubsza przebieg rozmowy?

— Oczywiście. Jestem klientem pośrednika w handlu dziełami sztuki z Florencji. Jego nazwisko: del Giudice. Powiedział mi, że Pantaleone ma zamiar sprzedać rodzinną kolekcję. Byłem zainteresowany kupnem niektórych pozycji: jeden Andrea del Sarto i jeden Bosch. Powiedziałem Pantaleonemu, że chciałbym rozmawiać bezpośrednio z nim. Obaj zaoszczędzilibyśmy w ten sposób pieniądze.

— No i?...

— Oświadczył, że przemyśli to i wkrótce do mnie napisze.

— Nie nalegał pan, żeby określił datę?

— Nie. Zawsze mogłem dokonać zakupu przez del Giudicego. Czy mógłbym znać przyczyny tego śledztwa?

— W obecnej chwili, cavaliere, nie jestem upoważniony do udzielania wyjaśnień. Następne pytanie: kolekcja Pantaleonego jest stara i liczy się. Dlaczego generał pragnął ją rozbić?

— Nie mam pojęcia.

— Czy mógłbym prosić o utrzymanie tej rozmowy w tajemnicy?

— Nie, nie może pan! Nie prosiłem o tę rozmowę. Nie obiecywałem, że dochowam tajemnicy. Rezerwuję sobie prawo mówienia o niej lub nie, kiedy tylko zechcę i z kim zechcę.

— Cavaliere, czy wie pan, jaką instytucję reprezentuję?

— Służbę Wywiadu Obronnego? Wiem o jej istnieniu. Obca jest mi natomiast jej działalność.

— Wie pan w każdym razie, że mamy do czynienia z bardzo delikatnymi sprawami, zarówno wojskowymi, jak i politycznymi.

— Drogi pułkowniku! Jestem starym człowiekiem. Mleczne zęby straciłem już dawno. Nie czuję sympatii dla szpiegów, prowokatorów ani dla tych, którzy mają z nimi do czynienia. Wiem, że wywiad może stać się narzędziem tyranii. Wiem, że wywiad na ogół deprawuje ludzi, którzy w nim pracują. Jeśli nie ma pan dalszych pytań, myślę, że pozwoli pan... Dobranoc!

Wyszedł z pokoju, sztywny jak grenadier, a ja z ulgą wypuściłem powietrze z płuc. Ten dla odmiany należał do ludzi śmiałych, do ludzi, których trudno wziąć na pochlebstwa i których nie da się zastraszyć. Patrzy prosto w oczy i daje jasne odpowiedzi: trzask, trzask, trzask, wiedząc, że człowiek nie ośmieli się mu zaprzeczyć. Ale wiele ważnych pytań pozostało bez odpowiedzi. Dlaczego Pantaleone, mając zamiar popełnić samobójstwo, zabiera się do długiej i żmudnej operacji sprzedaży majątku? A skoro już to zaczął, dlaczego nie skończył? I po co obiecywał napisanie listu, którego — wiedział o tym — nigdy nie napisze?

Dosyć! Jak na jeden dzień wystarczy! Czuję, że głowę mam jakby napchaną bawełną, a w sercu zazdrość wobec siedemdziesięcioletniego cavaliere, który może pozwolić sobie na taką kosztowną maskotkę jak kś*ięźna Faubiani. Wyszedłem z Klubu na łagodny wiosenny deszczyk, wyprowadziłem samochód z dziedzińca i bez zapału ruszyłem w stronę domu, gdzie czekała mnie gorąca kolacja, nudna godzina telewizji oraz zimne łóżko na zakończenie tych uciech.

W rzeczywistości czekała mnie bardzo niespokojna noc. Tuż po dziesiątej zadzwonił kolega mediolański i doniósł, że młody maoista przesłuchiwany w sprawie zamachu bombowego wypadł przez okno pokoju przesłuchań i zabił się. Pojawią się wielkie tytuły na pierwszych stronach wszystkich porannych gazet. Lewica będzie przysięgać, że został wypchnięty. Prawica będzie twierdzić, że wyskoczył. Tak czy inaczej mają teraz na karku męczennika. Mój kolega nie był zbyt wymowny, ale kiedy wymienił nazwisko przesłuchującego, wiedziałem już, jak sprawy stoją. Ten facet był sadystą, wściekłym idiotą, któremu wszystko jedno, w jaki sposób uzyskuje dowód i do czego go dopasuje. Miał także przyjaciół, którzy gotowi byli spryskać go wodą różaną, gdyby wdrożono przeciwko niemu śledztwo. Było to jedno z tych szaleństw, które szkodzą całemu krajowi i przynoszą ujmę policji i całemu systemowi wymiaru sprawiedliwości. Przez tydzień na każdym rogu ulicy będzie można zobaczyć

wojsko, a to także przyczyni się do spolaryzowania różnych odłamów i wzmożenia napięcia, jedni zaczną krzyknąć o tyranii i represjach, a drudzy domagać się głośno rządów prawa, porządku i skończenia z anarchią. Dio! Co za koszmarny mętlik! Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, wsiałbym na pierwszy lepszy statek i popłynął do Australii.

O jedenastej trzydzieści zadzwoniła przerażona Liii Anders. Człowiek, z którym kontaktowała się w siatce, zatelefonował do niej i polecił przyjść do Osteria del Orso. Ma tam być o północy. Co ma robić? Powiedziałem, żeby poszła na spotkanie, poleciłem przepowiedzieć sobie trzy razy historyjkę, którą jej podałem, i spędziłem piętnaście minut na nerwowym przegrupowywaniu moich agentów.

Już miałem z powrotem wleźć do łóżka, kiedy znowu rozległ się dzwonek telefonu. Tym razem zgłaszał się cień kapitana Carpiego. Kapitan upił się i bełkotał coś niezrozumiale do ucha dziewczynom z baru Tour Hassan. Jakie mam w związku z tym rozkazy? Na Boga! Niech ten dureń uchła się marnym szampanem. Dziewczynki z Tour Hassan nie wychodzą przed czwartą rano. Jeśli po tej godzinie Carpi będzie jeszcze trzymał się na nogach — a nawet jeśli nie — należy wpakować go do taksówki i zawieźć do domu... Kto pokryje koszty? Alkohol niech pójdzie na rachunek Carpiego. I tak dolewają wody. Dobranoc i niech was obu wezmą wszyscy diabli!

Następnego dnia o dziewiętej trzydzieści rano odbyłem konferencję z wyższym urzędnikiem Banco di Roma. Był grzeczny, ale stanowczy. Dostęp do sejfu generała będzie możliwy dopiero, kiedy wszystkie wymogi prawne zostaną spełnione. Doskonale rozumie moją sytuację. Zdaje sobie sprawę, że chodzi tu o problemy związane z bezpieczeństwem kraju. Jednakże jemu chodzi o to samo. Bank jest instytucją państwową. Zaufanie klientów zależy od formalistycznego przestrzegania umowy między klientem a bankiem. Wymaga tego prawo, a przecież karabinierzy służą prawu. Poza tym — przerwał na chwilę, zanim wymierzył mi cios ostateczny — sejf jest pusty. Prawnik generała otworzył schowek przedstawivszy wszystkie wymagane upoważnienia. Przyjąłem porażkę do wiadomości i poszedłem spotkać się z maklerami Panta-leonego.

Maklerzy, przedstawiciele dużej amerykańskiej firmy, okazali większy zapał do współpracy. Rzeczywiście sprzedali znaczną część akcji zmarłego generała. Zgodnie z instrukcjami uzyskane pieniądze przekazali na ręce prawnika generała, doktora Sergia Bandinello. Jeśli chodzi o nich, transakcja w tym momencie skończyła się. Nie posiadają żadnych informacji dotyczących dalszego dysponowania kapitałem. Są tylko maklerami. Udzielają informacji rynkowych w zamian za prowizję. Kupują i sprzedają zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Działają ściśle w ramach określonych przez prawo. Koniec konferencji.

Po powrocie do biura podpisałem wezwanie, prosząc doktora Sergia Bandinellego, żeby był do dyspozycji w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Potem rozłożyłem na biurku fotografie z pogrzebu i przejrzałem je dokładnie, porównując z dołączoną listą uczestników. Interesowały mnie nie tyle nazwiska i osoby, ile sytuacje: kto z kim rozmawiał, która z grup wydaje się najbardziej spójna i najbardziej zżyta. Czasem, szperając w ten sposób, można było zauważyć, że znani powszechnie wrogowie są sekretnymi sojusznikami. Czasem — istniała jedna szansa takiego odkrycia na tysiąc — można było ujrzeć jakiś przekazywany znak, jakiś list przechodzący z ręki do ręki. Po upływie godziny spotkała mnie niespodzianka.

Tą niespodzianką był cavaliere Manzini, stary autokrata z Klubu Szachowego. Pojawił się na trzech zdjęciach. Raz rozmawiał z kardynałem Dadonem, raz z ministrem skarbu, a trzeci raz, oddalony nieco od grobowca, stał obok starszego wieśniaka, który, jak wynikało z listy nazwisk, pracował w Villa Pantaleone. Jak na człowieka żywiącego niewiele szacunku dla Pantaleonego, uważającego generała za faszystę i oportunistę, był to gest dosyć szczególnie. Byłem ciekaw, dlaczego zadał sobie trud, żeby spotkać tego człowieka. Zadzwoiłem do kolegów z Bolonii i poprosiłem o jak najszybsze wysłanie mi dossier cavaliere. Potem połączyłem się z laboratorium i wezwałem Stefanellego na rozmowę.

Stary Steffi miał dużo informacji, ale niewiele z nich mogło mnie zainteresować. Przede wszystkim żona powiedziała mu, że nowym protektorem księżnej Faubiani jest niejaki Bruno Manzini, bolonczyk, bogatszy, niż można to sobie wyobrazić — wielkie przedsiębiorstwa, tekstylia, elektryczność, stal, przetwórstwo spożywcze. W każdym zjadanym przeze mnie pasztecie znajduje się cząstka należąca do Manziniego.

— Wiem o tym wszystkim, Steffi.

— Do diabła! Skąd?

Opowiedziałem mu wszystko obszernie i dokładnie. Potem rozrzuciłem zdjęcia na biurku.

— Teraz powiedz mi, Steffi, co Manzini robił na pogrzebie człowieka, którego nie lubił i którym gardził?

— Bardzo proste, mój drogi. Klub. Członkowie klubu mogą się nawzajem nie lubić, ale nie obzuczają się obelgami. Możesz mnie nie lubić, ale przyjdiesz, żeby mnie pogrzebać, prawda? Jak inaczej mógłbyś się upewnić, że naprawdę jestem nieboszczykiem?

— Być może... być może... Co jeszcze masz dla mnie?

— Bracia Casaroli sprzedają papier ryżowy jedynie hurtownikom: jednemu na każdą prowincję kraju. Hurtownicy sprzedają detalicznym drukarzom i właścicielom sklepów piśmienniczych. Oto lista hurtowników. Sprzedawców detalicznych będą setki, a może tysiące.

— Na Bachusa! Czy nie masz, Steffi, żadnej wartościowej informacji?

— Zadzwonil do mnie Solimbene z Consulta Araldica. Lista będzie gotowa na jutro rano. Dotychczas znalazł piętnaście rodzin włoskich, które mają salamandrę w herbie. Jeszcze jeden pościg na papierze, przykro mi... Przejrzałeś poranne gazety?

— Tak.

— Ogarnia mnie strach, kiedy policja zaczyna stosować gangsterskie metody...

— Albo jest przedstawiana jako banda gangsterów, Steffi.

— Tak czy inaczej, czekają nas kłopoty! Dzisiaj rano na ulicach Mediolanu było dwa tysiące karabinierów. Dodatkowy tysiąc w Rzymie; nie mówiąc o Turynie i, dalej na południe, o Reggio. W tej chwili przycisnęliśmy mocno cały kraj, ale to niczego nie załatwia, nic w ten sposób nie zmieniamy.

— To nie nasza robota, Steffi. Jesteśmy ramieniem rządu — ale nie jesteśmy rządem!

— Nie mamy rządu, mój drogi. Mamy partie, frakcje, sprzeczne interesy; a człowiek z ulicy nie wie, w którą stronę zwrócić wzrok. Kto reprezentuje dla niego rząd? Glina, który umyka, kiedy zobaczy uliczny korek, urzędnik pomocy socjalnej, który zatrząskuje mu przed nosem okienko? Jeśli sprawy nie ulegną wkrótce zmianie, człowiek z ulicy zacznie głośno domagać się przywódcy... nowego duce!

— A kto mógłby zostać tym przywódcą? No, wymień nazwisko! Pantaleone nie żyje. Odpada. Kto następny i skąd — z lewicy, prawicy czy centrum? Właśnie tego próbuję się dowiedzieć.

— A kiedy już się dowiesz?

— Powiedz sam, Steffi...

— Wczoraj pogrzebałeś bardzo kłopotliwe ciało. Działałeś na rozkaz. Powiedzmy, że natkniesz się na następną trudność, żywą tym razem — choćby na kogoś z naszej służby. Przypuśćmy, że otrzymasz rozkaz zakończenia dochodzenia i przymknięcia się. Co zrobisz? Powiedz uczciwie, jak kolega koledze.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem, Steffi. Stary Manzini miał rację. Ten zawód znieprawia ludzi. Wiem, że znieprawia mnie; nie chcę nawet wiedzieć, do jakiego stopnia.

— Być może wkrótce będziesz musiał zadać sobie to pytanie. Spójrz! Wczoraj wieczorem w Mediolanie jeden z aresztantów wyskoczył lub został wypchnięty przez okno podczas przesłuchania. Nie żyje. Nie stanie przed sądem. Nikt zresztą nie stanie przed sądem. Ty i ja jesteśmy stróżami porządku publicznego. Co robimy? Co robi cała nasza służba? Rozgrzeszamy siebie samych. Dlaczego? Ponieważ możemy wysłać na ulice dziesięć, dwadzieścia tysięcy uzbrojonych ludzi, możemy zastraszyć naród i zdusić pytania. Kto naprawdę rządzi w tej chwili Mediolanem? Rząd? Jeszcze czego! To my: karabinierzy i nasi koledzy z policji! To kusząca sytuacja, wiesz dobrze.

Straszliwie kusząca. Nie musimy już dawać ludziom chleba i igrzysk; wystarczy porządek, spokój na ulicach i autobusy kursujące jak zegarki. Mówię ci, czuję lęk. I powiem ci, dlaczego. Jestem Żydem. Nie wiedziałeś? No bo tu i teraz nie bardzo oplaca się podawać ten fakt do wiadomości. Żyję znowu w starym getcie, za synagogą. W synagodze mamy listę nazwisk — trzytysiąc mężczyzn, osiemset kobiet i dzieci. Zostali załadowani na statek i popłynęli z Rzymu do Oświęcimia. Działo się to w Czarną Sobotę 1943 roku. Po wojnie wróciło piętnaście osób. Czternastu mężczyzn i jedna kobieta. Wiesz, dlaczego wstąpiłem do wywiadu? Bo w ten sposób mogę szybciej dostrzec możliwość powtórzenia się czegoś podobnego... Ile masz lat?

— Czterdzieści dwa. Dlaczego?

— Byłeś wtedy chłopcem. Ale za każdym razem, kiedy widzę afisze przedwyborcze, w nocy dręczę mnie koszmary. Przykro mi, jeśli cię uraziłem.

— Nie uraziłeś mnie, Steffi. Dobrze, żeś mi to powiedział. A teraz może byś zabawił się mikroskopem, co?

Kiedy stary Steffi poszedł, siedziałem przez dłuższą chwilę patrząc na zaśmiecone biurko, na fotografie, opracowania, taśmy nagrane w nocy w Osteria del Orso. Nagle wszystko to wydało mi się niestosowne, trywialne aż do absurdu. Problem tkwi nie w polityce, nie w grze o władzę i plugawej intrydze szpiegowskiej, ale we mnie, w Dante Alighieri Matuccim, chodzi o moją tożsamość, moją wiarę i cenę, jaką gotów jestem przyjąć za moją duszę — jeśli mam duszę.

Łatwo jest być sługą państwa. Państwo staje się Bogiem. Nie można go zdefiniować. Tym samym nie musisz w związku z nim zadawać żadnych pytań. Nie musisz nawet wierzyć w jego istnienie. Wystarczy, że będziesz postępował tak, jakbyś wierzył. Na tym polega różnica między Anglosasami a narodami śródziemnomorskimi. Dla Anglosasów państwo to naród. Parlament jest głosem narodu. Biurokracja jego władzą wykonawczą. Dla narodów łacińskich państwo to res publica, a rzecz pospolita ma bardzo mało wspólnego z narodem, może nawet nic. Tak więc ludzie stąd przyjmują zawsze wobec państwa postawę obronną, postawę sprzeciwu wobec jego nakazów, postawę kompromisu wobec jego zachłanności. Policjant nie jest sługą państwa, ale zarządcą z ramienia władcy. W Anglii nazywają urzędników sługami publicznymi. We Włoszech są oni funzionari, funkcjonariuszami bezosobowego państwa.

Ale ja, Dante Alighieri Matucci, jestem człowiekiem — a w każdym razie mam nadzieję, że nim jestem. Jaka część mnie samego stała się własnością państwa? Do jakiego stopnia państwo ma prawo dysponować moją osobą? Czy wyrzuciłbym żywego człowieka przez okno? Zastrzeliłbym buntownika? Czy zgodziłbym się za pomocą papierków osaczyć człowieka tak, żeby nie ośmielił się susiać bez rozkazu? A jest jeszcze druga strona medalu: pięćdziesiąt milionów ludzi zamkniętych na ciasnym półwyspie, ubogim w surowce, boga-

tym jedynie w ludzką siłę żywotną i energię, półwyspie niesfornym, łatwym łupie demagogów i agitatorów. Jak zmusić ich do zaprzestania wzajemnego rozszarpywania się na sztuki, nie poświęcając od czasu do czasu kilku głów? To zbyt łatwe żyć pod ziemią jak kret podgryzający korzenie życia innych ludzi, nie racząc wystawić brudnego pyska na światło słoneczne.

Przeżuwałem ciągle te ponure myśli, kiedy zjawili się chłopcy z ekipy nadzorującej Liii Anders. Nagrania ze spotkania w nocnym klubie były prawie nie do zrozumienia. Zapytałem, dlaczego.

— Nie było czasu, żeby zainstalować wszystko porządnie, panie pułkowniku. Zatłoczony nocny lokal, przypadkowy stolik, pół godziny czasu... bez szans. Zresztą byli tam tylko pół godziny. Śledziliśmy ich aż do mieszkania pani Anders. Facet, z którym się kontaktowała, zostawił ją i odjechał. Śledził go Georgio.

— Co to był za facet?

— Picchio... Dziecioł.

— A co powiedziała ze swojej strony słodka Liii?

— Mam to tutaj. Dziecioł zapytał ją, na co umarł generał. Odpowiedziała, że na atak serca. Czy wiedziała, że był chory? Nie, ale od czasu do czasu odczuwał bóle w klatce piersiowej, mówił, że to niestrawność.

— Punkt dla Liii. Jedź dalej.

— Kto ją zawiadomił? Pułkownik karabinierów. Jego nazwisko? Matucci. Dlaczego aż pułkownik? Nie wie. Sama się dziwiła. Jak długo był u niej? Dwadzieścia minut, pół godziny. Była zdenerwowana. Pułkownik był sympatyczny. Czy zadał jakieś ważne pytanie? Tylko o zachowanie i kontakty Pantaleonego w wieczór przed śmiercią. Powiedziała prawdę, nie było nic do ukrywania. Dziecioł zapytał, kto jest spadkobiercą generała. Nie wiedziała. Nigdy nie widziała jego testamentu. Czy zna prawnika generała? Tak. Czy jest z nim zaprzyjaźniona? W rozsądnych granicach. Dziecioł rozkazał jej podtrzymać tę znajomość i — jeśli to możliwe — przyjaźń. Zdobyć wszystkie możliwe do zdobycia wiadomości o majątku generała. Czy poznała kiedykolwiek generała-majora Leporello?

— Na Boga, przecież to nasz człowiek!

— Ja też byłem zaskoczony, pułkowniku.

— Co powiedziała Liii?

— Nigdy go nie spotkała. Czy Pantaleone wspominał o nim kiedykolwiek? Nie. Przynajmniej nie przypomina sobie. Jakie będzie jej następne zadanie? Siedzieć spokojnie, skoncentrować się na prawniku, czekać na następny kontakt i na instrukcje... Koniec sceny, fine. To wszystko, pułkowniku... Aha, poszedłem spać dopiero o trzeciej nad ranem.

— Biedaczek! Mam nadzieję, że spałeś dobrze i cnotliwie. Jest coś z podsłuchu telefonu Liii Anders?

— Nic od czasu jej telefonu do pana, panie pułkowniku.

— No dobrze... A co sływać u naszego kochanego kapitana Carpiego?

— Nie mam nic do powiedzenia, panie pułkowniku. Mniej więcej o trzeciej nad ranem stracił kontakt z rzeczywistością. Zapłaciłem dziewczynie, a także za alkohol pieniędzmi z jego portfela i zawiozłem go do domu. Był pijany jak bela, panie pułkowniku.

— To coś nowego. Tak czy inaczej jutro wyrusza na Sardinie. To go otrzeźwi. Dziękuję, panowie. Możecie wracać do łóżek. Na ósmą wieczorem musicie być w pełni formy. Czeka was kolejny nocny dyżur...

Wyszli powłócząc nogami, z zapuchniętymi oczami, pomrukując pod nosem, a ja uśmiechnąłem się patrząc na ich niezadowolone twarze. I tu jest pies pogrzebany, name of the game, jak powiadają Amerykanie. Schodziłeś nogi do kolan. Stukałeś do drzwi. Czaiłeś się na rogach ulic i obszedłeś wszystkie zadymione nocne kluby. Przedzierałeś się przez stopy bezużytecznych informacji, żeby zdobyć jakiś okruszek faktu, od którego można zacząć układanie mozaiki albo na którym można to układanie zakończyć. Miałem teraz taki fakt: dlaczego Dziecioł, polski szpieg, interesował się Marcantoniem Leporello, generałem karabinierów?

Jako oficer śledczy mam wiele wad i dwa całkiem szczególne talenty. Pierwszy to fotograficzna pamięć. Drugi to fakt, że umiem czekać. W każdym śledztwie następuje moment, że nie ma nic innego do roboty, jak tylko czekać, pozwolić kwasowi danej sprawy wszystko przetrawić. Jeśli człowiek próbuje przyspieszyć proces, żeby zadowolić siebie lub przełożonego, popełnia błędy. Przyjmuje łatwo fałszywe przesłanki, *tworzy* fantastyczną logikę. Naciska podwładnych, a oni stają się krótkowidzami i podają człowiekowi półodpowiedzi, byle tylko usatysfakcjonować zwierzchnika. Rzucasz się na najłatwiejsze rozwiązanie i w końcu zostaje ci w ręku dym.

Włosi kochają krzątaninę i bałagan. Wystarczy naszkicować im jedną scenę, a w ciągu godziny dorobią do niej całą operę. Są wymowni; są opieszali; są wykretni. Jak ognia unikają angażowania się w jakiś pogląd albo jakieś przyznanie, żeby, broń Boże, nie stanąć nazajutrz wobec konieczności dotrzymania zobowiązań. Wolą stracić ząb niż podpisać dokument. Osiągnąłem w wieku czterdziestu dwóch lat stopień pułkownika, gdyż nauczyłem się obracać w cnotę przywary moich ziomków.

Minister spraw wewnętrznych chce działania? Będzie je miał — z trąbami i bębni. Na to potrzebuje głośnej afery szpiegowskiej, żeby umocnić bezpieczeństwo? Bene! Znajdzie się dwadzieścia scenariuszy, z których można sobie do woli wybierać, i znajdą się też prawdziwi przestępcy pasujący do tych scenariuszy. Jest jakiś smród w związku z dostawami dla wojska? Na to także istnieje magiczna formuła: akcja sabotażowa obcych agentów u źródła, po drodze albo w punkcie docelowym. Ale kiedy w grę wchodzi coś wielkiego,

cała sztuka polega na tym, żeby stworzyć sobie strefę spokoju, w której człowiek może się usadowić, widoczny, ale zagadkowy, przetrawiając fakty, które znajdują się w zasięgu ręki, spokojny jak Budda czekający na kolejny obrót koła życia. Ta taktyka zbijała z tropu wielu moich kolegów i irytowała niektórych zwierzchników; ale przeważnie odnosiła skutek — wystarczył leciutki ruch dłoni, żeby umocnić złudzenie.

Sprawa Pantaleonego znalazła się w martwym punkcie. Znaczenie kartki z salamandrą nie zostało jeszcze rozszyfrowane. Papiery generała i jego pieniądze znajdują się w rękach prawnika, który będzie prawdopodobnie zwlekał do ostatniej chwili, zanim zareaguje na wezwanie, a potem stanie twardo na gruncie swoich praw. Ludzie z pogrzebu mogą prowadzić donikąd. Cavaliere Manzini jest po prostu kolekcjonerem kosztownych dzieł sztuki. Nic na razie nie ma od eksperta Solimbenego. Nic... nic... nic. Jeśli nie liczyć faktu, że agent zwany Dzięciołem interesował się generałem-majorem Leporello. Chyba nadeszła pora, żeby pogadać z dyrektorem.

Dyrektor SID to dosyć szczególna postać. Przez matkę jest spokrewniony z Caracciolimi z Neapolu, a przez ojca z Morosinimi z Wenecji. U nas nazywają go Volpone — stary lis. Ja mam dla niego inne przezwisko: Cameleonte, kameleon. Raz wydaje ci się, że widzisz go jak na dłoni, następnym razem ginie ci z oczu wśród politycznego podziemia. Ma maniery księcia i umysł szachisty. A także poczucie historii i świadomość, że historia lubi się powtarzać. Umie ironizować w ośmiu językach, we wszystkich ośmiu dokonywał miłosnych podbojów. Gra w tenisa, żegluje, kolekcjonuje sztukę gotycką, uwielbia muzykę kameralną i sam gra czasem na altówce. Jest niezwykle bogaty, hojny dla tych, których lubi. Podkreśla, że ja, Dante Alighieri Matucci, należę do lubianych, do niewielkiej grupki ludzi, których szanuje. Często dochodziło między nami do konfliktów. Kusił mnie wielokrotnie, ale wahałem przynętę i obchodziłem ją z daleka z uśmiechem, wzruszając ramionami. Nie robię tajemnicy z moich słabości, ale niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę, żeby mnie nimi szantażowano — dyrektor czy ktokolwiek inny.

Jeśli dyrektor chce prowadzić swoją grę, ja mam w zapasie kilka swoich — o bardzo skomplikowanych regułach.

Właśnie teraz prowadziłem taką grę. Generał-major Leporello jest wielką figurą w karabinierach. Chciałem dowiedzieć się, czy dyrektor jest figurą dostatecznie dużą, żeby poradzić sobie z nim w razie potrzeby. Tak więc bez żadnych ceremonii postawiłem pytanie:

— Dzięcioł interesuje się generałem Leporello. Dlaczego?

Dyrektor stał się natychmiast czujny — stary lis wywęszył zatrute powietrze. Powiedział obojętnie:

— Czy nie pan jest od tego, żeby wyjaśniać mi takie rzeczy?

— Nie, panie dyrektorze, jeszcze nie. Teczka Leporella została opatrzona napisem: „Zarezerwowane do użytku dyrektora”.

- O przepraszam, zapomniałem. Zobaczymy. Generał Leporello spędził ostatnie pięć miesięcy za granicą.
- Gdzie?
- Japonia, Wietnam, Południowa Afryka, Brazylia, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Grecja, Francja.
- Kto płacił za te podróże?
- To była podróż oficjalna. Poświęcona studiom.
- Jakiego rodzaju studiom?
- Kontrola nad rozruchami i walka z powstaniem ludowymi.
- Czy zna pan generała osobiście?
- Tak. To pewny człowiek.
- Słabe strony?
- Patriota, katolik, chrześcijański demokrat, finansowo niezależny. Nie przypuszczam, żeby można było go kupić lub zastraszyć,
- A napad? Morderstwo?
- Być może.
- Czy mógłby ulec?
- Niby czemu?
- Słabości ostatecznej — ambicji.
- Na przykład?
- Człowiek, który obmyśla strategię kontrrewolucja może tę **strategię** zrealizować na własny użytek... lub na użytek potężnej rniejszości.
- Dowody?
- Zaledwie poszlaki. Dzieciół i jego siatka ma za zadanie, cytując: „Ostrzec jak najwcześniej o zamiarze zamachu stanu ze strony ugrupowań faszystowskich, a także o działaniach zmierzających do jego sprowokowania...”. Jeśli Dzieciół interesuje się generałem Leporello, także powinniśmy się nim zainteresować.
- Zabłądził pan w krainę bajek, Matucci.
- Połowę naszego życia spędzamy wśród bajek. C>ase**m** bajka staje się prawdą.
- Nie sądzę, żeby tak było w przypadku Leporella. Niech pan da mi jednak czas na przemyślenie tej sprawy. Jeszcze do teg**o** wrócimy. Na razie żadnych działań.
- Tak jest.
- Czy coś jeszcze?
- Nie, panie dyrektorze.
- Muszę w takim razie panu pogratulować. Lubię pańskie podejście do pracy — ostrożne i bez uprzedzeń. To rzadkie, a także niezwykłe w naszych czasach.
- To miło z pana strony, panie dyrektorze. Dziękuję.
- A więc do rychłego zobaczenia.

Wyszędłem zamysłony. Jeśli dyrektor zląkł się, wszyscy inni też schowają głowy w piasek. Jeśli jest w to zaplątany, może go powstrzymać jedynie kula w łeb. Jest uosobieniem człowieka czternastego wieku: z lewej strony towarzyszy mu spowiednik, z prawej poeta, a wrogowie, wyjąć z rozpacz, gniją w lochach pod jego stopami. Moje imię to nazwisko poety, potrzebuję spowiednika, ale nie mam najmniejszej ochoty dokonać mych dni w lochach oficjalnej niełaski. A i tak... i tak... Człowiek, który potrafi kontrolować demonstracje i miejską partyzantkę, pewnego pięknego dnia może kontrolować cały kraj, zwłaszcza jeśli jest patriotą, chodzi regularnie do kościoła i nie musi martwić się o płacenie komornego i o to, czy będzie miał co do ust włożyć.

Ledwie wróciłem do gabinetu, sekretarka oznajmiła, że zgłosił się doktor Sergio Bandinelli i czeka na mnie.

Adwokat był niski, ruchliwy i łatwo wybuchał gniewem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy odgrywać biurokratę, czy też dżentelmena, i w końcu postanowiłem ugłaskać go uprzejmością. Żałuję, że muszę zabierać czas człowiekowi tak zajętemu. Jestem wdzięczny za tak szybką reakcję na wezwanie. Mam nadzieję, że szybko wyjaśnimy wszystkie problemy. Zdaję sobie sprawę z natury stosunków między adwokatem a jego klientem. Jest moim obowiązkiem chronić te stosunki i zniechęcać tych, którzy próbują je zakłócić. Jednakże...

— ...Jeśli w grę wchodzi sprawa bezpieczeństwa kraju, awocato, obaj musimy być trochę bardziej elastyczni. Jestem pewien, że pan to rozumie.

— Nie, pułkowniku, nie rozumiem. Przyszedłem, żeby zaprotestować przeciwko zabraniu papierów mojego klienta i zażądać natychmiastowego przekazania ich w moje ręce.

— Nie ma żadnego problemu. Wychodząc stąd, może pan te papiery zabrać. Jeśli chodzi o protest, co panu z niego przyjdzie, awocato? SID pracuje pod bezpośrednim nadzorem prezydenta kraju i według dosyć szczególnych przepisów. Oczywiście, jeśli koniecznie chce pan złożyć skargę...

— No... w tych warunkach...

— Dobrze. Widzę, że mogę panu ufać i prosić o pomoc w sprawie wielkiej wagi.

— Będę szczęśliwy, pułkowniku, jeśli zdołam panu pomóc, ale rezerwuję sobie prawo do zmiany stanowiska w przypadku sprzeczności interesów.

— Oczywiście. Zaczynamy więc. Generał Pantaleone był człowiekiem ważnym. Jego śmierć ma pewne konsekwencje polityczne i te właśnie konsekwencje polecono mi zbadać. Interesują mnie jednakże wszystkie aspekty działalności generała. Na przykład przystąpił do likwidacji swojego majątku, przygotowywał się do zlikwidowania kolekcji. Dlaczego?

— Nie mam prawa o tym mówić.

— Maklerzy poinformowali nas, że pieniądze uzyskane za akcje zostały przekazane panu. Jakie dyrektywy otrzymał pan, jeśli chodzi o te sumy?

— Tego także nie mogę panu powiedzieć.

— Przykro mi, ale musi pan.

— Nie, pułkowniku. Chroni mnie prawo.

— Zanim się pan na nie powoła, proszę pozwolić, że coś powiem. Pański zmarły klient utrzymywał kontakty z członkami obcej siatki szpiegowskiej.

— Nie wierzę.

— A jednak to prawda. Pan także jest śledzony przez tę siatkę.

— Czy to ma być groźba, pułkowniku?

— Nie ma mowy o groźbie, awocato; po prostu stwierdzenie faktu. Tak więc... jeśli odmówi pan wyjawienia, co stało się z tymi znacznymi sumami pieniędzy, narazi pan samego siebie na niebezpieczeństwo. Chodzi o zbrodnię, o zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Pański klient nie żyje. Jest pan odpowiedzialny za swój udział w jego sprawach. Więc pytam raz jeszcze: Co stało się z pieniędzmi?

— Polecono mi je ulokować.

— Gdzie?

— Za granicą. W większości w Szwajcarii i w Brazylii.

— A jeśliby doszło do sprzedaży kolekcji oraz ziemi?

— Te same polecenia.

— Taki eksport kapitału wymaga zgody Ministerstwa Skarbu. Czy ma pan taką zgodę?

— No... nie... ale natura transakcji...

— Proszę nie mówić mi takich rzeczy, awocato. Transakcja wymagała pośredników mających bezpieczne kanały przekazywania waluty za granicę. Biorą pięć procent za przysługę. Za te pieniądze gwarantują klientowi bezpieczeństwo. Historia stara jak świat. Zupełnie pewna sprawa i pan dobrze o tym wie. Może pan zostać oskarżony o spisek zmierzający do naruszenia prawa. Ma pan szczęście, że jestem funkcjonariuszem wywiadu, a nie policjantem... ale mogę to w każdej chwili zmienić. Proszę więc mówić, awocato! Niech pan nie udaje dziecka!... Dlaczego Pantaleone eksportował kapitał?

— Przestraszył się. Związał się z neofaszystami jako wojskowy doradca i jako wódz naczelny w przypadku colpo di stato. Taktyka prowokacji budziła jego niechęć. Czuł, że nie są wystarczająco silni, żeby ryzykować zamach stanu, i że taka próba doprowadziłaby do wojny domowej. Cała siła ruchu skupiona jest na południu. Na północy lewica kontroluje sytuację i jest daleko lepiej zorganizowana. No więc ruch zaczął tracić wiarę w Pantaleonego. Pragnęli zastąpić go kimś śmielszym.

— Kim?

— Nie wiem.

— Czy Pantaleone wiedział?

— Nie. Wiedział tylko, że chodzi o **kogoś spoza** ruchu, ale o kogoś, kto może zostać do ruchu wciągnięty, gdy **nadejdzie** właściwy moment.

- Wojskowy?
- Bez wątpienia. Skoro prowokują zamieszki, muszą być w stanie stłumić je przy pomocy wojska. To istota prowokacji, prawda?
- Tak więc generał przestraszył się. Rywala czy czegoś innego?
- Bał się, że podejmą jakieś działania przeciwko niemu.
- Jakiego rodzaju działania?
- Nie wiem.
- Co więc pan przypuszcza?
- Dążenie do naruszenia reputacji. Chodzi o to, żeby w pewien szczególny sposób naświetlić jego przeszłość.
- W gruncie rzeczy po prostu szantaż?
- Tak. Miał burzliwą przeszłość i wielu wrogów.
- Czy grożono mu bezpośrednio?
- No... w sensie prawnym, nie.
- A w zwykłym sensie, awocato?
- Jakiś tydzień temu otrzymał wiadomość przez posłańca.
- Jaką wiadomość?
- Był to bardzo szczegółowy i dokładny życiorys, który zaszkodziłby w sposób nieodwracalny jego reputacji i usunąłby go raz na zawsze z **życia** publicznego, gdyby został opublikowany.
- Pokazał go panu?
- Tak. Pytał, czy istnieje jakiś sposób obrony przed publikacją lub czy można odnaleźć autora. Powiedziałem, że nie... a w każdym razie, że związane to byłoby z ryzykiem rozpowszechnienia informacji o szantażu.
- Ale grożono opublikowaniem życiorysu?
- Tak to odczytałem.
- Co pan odczytał?
- Kartkę przypiętą do maszynopisu.
- Położyłem przed nim kartkę z salamandrą.
- Tę kartkę?
- Adwokat wziął kartonik ostrożnie do ręki, przyjrzał **mu się i potwierdził**:
- Tak, to ta sama kartka. Skąd pan ją ma?
- Z sypialni generała. Co stało się z biografią?
- Umieścił ją w sejfie bankowym.
- Tym samym, który pan wczoraj opróżnił?
- Tak.
- Muszę mieć ten życiorys. I pozostałe dokumenty.
- Oddam je panu, i to chętnie... jeśli otrzymam nakaz **sądowy. Bez naku**, nie.
- Awocato, a co oznacza ta kartka?
- Dla mnie nic.
- A co oznaczała dla generała?

— Mogę jedynie powtórzyć, co powiedział generał.

— Tak?

— Był milczkiem, człowiekiem Lubiącym aforyzmy. **Powiedział:** „No, nadszedł dzień świętego Marcina”.

— A cóż to, do diabła, może znaczyć?

— Nie wyjaśnił. Nigdy niczego nie wyjaśniał. Zastanawiałem się długo, wreszcie znalazłem. To z *Don Kichota*: „Każdą świnię czeka dzień świętego Marcina”. W Hiszpanii świnię zabija się zwykle na świętego Marcina.

— Doktorze Bandinelli, jestem przekonany, że jest pan dobrym adwokatem. Nie kłamie pan nigdy. Po prostu zagrzebuje pan część prawdy, tę część, która ma naprawdę znaczenie; a prawo pana chroni. Jednakże przekroczył pan prawo i wystawił siebie, a także swój przywilej, na zagrożenie. Oczywiście może pan podjąć walkę ze mną. Może pan mnie zwodzić taktycznymi sztuczkami i wykrętami, ale pański dzień świętego Marcina nadejdzie prędzej czy później. Jeśli chce pan tego uniknąć, gotów jestem ubić z panem targ. Zapomnę o sprawie eksportu kapitałów. Wyślę z panem człowieka, który zabierze wszystkie papiery dotyczące rodziny Pantaleone. Zarejestruje dokumenty, a następnie zamknie i zapieczętuje w pańskim sejfie. Jutro przyjdę do pańskiego biura i razem z panem je przejrzę. W ten sposób pan zachowa swój prawniczy przywilej, a ja będę miał informacje, których potrzebuję. Zgoda?

— Zdaje się, że nie mam możliwości wyboru.

— W każdym razie niewielkie.

— Zgadzam się.

— Świetnie. Niech pan pokwituje odbiór papierów, które są u nas, i zabierze je. Kiedy wieczorem będzie pan szedł do domu, proszę zostawić klucze od biura mojemu człowiekowi. Spędzi tam noc.

— Po co?

— Bezpieczeństwo, awocato. Polityka to ryzykowne zajęcie w naszych czasach.

Miała to być ironia. Stary sposób traktowania cywilów przez zawodowców. Powinienem był zdobyć się na coś więcej. W tym zawodzie, w tym kraju, człowiek stoi bez przerwy na stołku z pętlą na szyi.

Zgadzam się, że konieczne są tu pewne wyjaśnienia. Cała tak zwana Republika Włoska, my tak zwani Włosi to w istocie żaden naród. Jesteśmy prowincjami, miastami, okolicami, plemionami, frakcjami, rodzinami, jednostkami — jesteśmy wszystkim i niczym, lecz na pewno nie stanowimy żadnej wspólnoty. Zapytaj tamtego faceta, zamiatacza ulic, kim jest. Odpowie: „Jestem Sardyńczykiem, Kalabryjczykiem, neapolitańczykiem, pochodzę z Roma-, nii”. Nigdy, przenigdy nie powie ci, że jest Włochem. Ta dziewczyna w ferrari jest weneccją, urodziła się w Weronie albo może w Padwie. Bez względu na to, czy będzie małżonką, kochanką, matką, czy też — co zdarza się rzadko — dziewicą, przypisze sobie do jakiegoś miejsca, do jakiegoś określonego

kawałka ziemi. Ja sam, jak już wspomniałem, pochodzę z Toskanii. Służę, gdyż za to mi płacą, mglistej sprawie publicznej zwanej państwem; ale mam swoje miejsce na ziemi — Florencję Medicich, rzekę Arno i sosny zasadzone na grobach moich przodków. Co z tego wynika? Wynika z tego ten rodzaj anarchii, którego żaden Anglosas nigdy nie pojmie; wynika porządek, który pojmuje jeszcze gorzej. Wiemy, kim jest ten a ten mężczyzna, ta a ta kobieta. Pogardzamy obcym, ponieważ jest inny niż my. Szanujemy go, gdyż i on, i my wiemy, kim jest. Tak więc stoję przed dylematem. Nigdy nic mogę powiedzieć: „To wróg, masz go zniszczyć!” Muszę powiedzieć: „W tej chwili to wróg, ale jest moim ziomkiem, jego siostra wyszła za mojego kuzyna i być może jutro zajdzie potrzeba, byśmy zostali przyjaciółmi. Jak postępować, by któreś z ogniw nie pękło, chociaż łańcuch został napięty do granic wytrzymałości?”

Wielu powiada, że w tym układzie nie ma miejsca dla patriotów, lecz tylko dla pragmatyków i oportunistów. To brudne słowa — czy jednak na pewno? Trzeba jakoś żyć — to problem czysto praktyczny. Mamy tylko jedno życie i jedną sposobność, żeby coś z nim zrobić. Tak więc dopóki warunki są do przyjęcia — próbujemy negocjować. Jeśli jesteśmy zmuszeni do ubicia podłego targu, godzimy się na to i czekamy na dzień jutrzejszy, bo może uda się anulować umowę albo za obopólną zgodą wynegocjować ją na nowo. Jak widzicie, wiem, co w trawie piszczy. Nic ma więc żadnego usprawiedliwienia dla szaleństw, jakie zacząłem popelniać tamtego popołudnia.

Pierwszym była nikczemna ugoda z doktorem Sergiem Bandinellim. Ocenilem go jako człowieka miękkiego i strachliwego. Jako strażnika przydzieliłem mu młodego karabiniera, niejakiego Giampiera Calvicgo. Dałem mu kilka prostych instrukcji. Calvi miał towarzyszyć Bandincllemu do biura. Miał wziąć papiery Pantaleonego, zarejestrować je, zamknąć w sejfie adwokata i czekać w biurze, aż zwolnię go o dziewiątej rano następnego dnia. Przez całą noc miał co godzinę dzwonić do oficera dyżurnego w komendzie. Calvi to obiecujący młody człowiek. Nie zwracałem mu głowy szczegółowymi pouczeniami. Polegałem na wyszkoleniu, przez które u mnie przeszedł.

Następnie, ponieważ byłem zmęczony, postanowiłem połączyć obowiązek z przyjemnością. Jestem i zawsze byłem zarozumiały, więc wymyśliłem małą osobistą gierkę przeciwko dyrektorowi. Zadzwoiłem do mojej dziewczyny i powiedziałem, że nie będę w domu na kolacji i być może spędzę noc poza Rzymem. Potem zadzwoniłem z kolei do Liii Anders i oznajmiłem, że w ramach obowiązków zabieram ją o ósmej trzydzieści na kolację. Dokąd? Dyskretne miejsce, ale bardzo eleganckie, będzie tam mogła zapomnieć o swoich troskach i odpocząć. Jakie mam zamiary? Ależ, droga pani, takie, jakie może mieć kolega i współpracownik — ni mniej, ni więcej.

Poszedłem korytarzem pogadać z Rigolim, moim współpracownikiem zajmującym się poczynaniami i bezpieczeństwem osobistości publicznych, a

także nie-tak-bardzo-publicznych. Rigoli to szary, podobny do myszy facet, ale jego umysł przypomina kartotekę. Czego nie wie, może odgadnąć z siedemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem. Rigoli oznajmił, że generał Leporello przebywa obecnie w Rzymie, mieszka u Hasslera i prowadzi cykl konferencji z udziałem wyższych oficerów. Zadzwońłem do hotelu i po krótkiej szermierce słownej z adiutantem uzyskałem połączenie z generałem. Rozmowa była krótka i węzłowa.

— Panie generale, tutaj pułkownik Matucci z SID.

— Słucham.

— Pilna sprawa. Chciałbym się z panem zobaczyć.

— Bardzo pilna?

— Bardzo.

— Do szóstej jestem zajęty. Potem mogę poświęcić **panu pół godziny**.

Proszę zadzwonić z hallu. Apartament 10.

— Dziękuję, panie generale.

— Jeszcze raz nazwisko?

— Matucci. Wydział E.

Odłożyłem słuchawkę i czekałem. Jeśli oceniłem go właściwie, za chwilę zadzwoni do mnie albo do dyrektora. Jeśli zadzwoni do dyrektora, czeka mnie trudna godzina. Postawiłem na znany u nas fakt, że dyrektor to facet bardzo tajemniczy, odmawiający rozmowy telefonicznej nawet starszym stopniem funkcjonariuszom. Po upływie trzech minut telefon zadzwonił i odezwał się generał Leporello:

— Z kim mówię?

— Matucci, wydział E.

— Tutaj Leporello. Zdaje się, że mamy umówione spotkanie?

— Tak jest. Apartament 10, godzina 18.00.

— Proszę o punktualność. Do widzenia.

No tak. Może się okazać, że po półgodzinnej rozmowie z tym twardzielem będę musiał nieco odsapnąć. Zafatwałem jeszcze jeden telefon: tym razem chodziło o osobliwe małe biuro, które trudni się dostarczaniem prasie i prywatnym abonamentom informacji o miejscu pobytu znanych osobistości. Ja nie mam abonamentu. Korzystam jednak z usług tej instytucji, a płacę tym, że namawiam moich kolegów z kwestury, żeby przymknęli oko na pewne uchylbienia proceduralne — niemieckie telefonistki, którym upłynął już termin określony w karcie pobytovej, angielskie maszynistki, które nie płacą ubezpieczeń społecznych, i tak dalej. Jest to rodzaj korupcji, ale istnieje określenie tego rodzaju postępowania sięgające głębiej w historię — toleranza, żyj i daj żyć innym, nie zapominając jednak o tym, że prawo ma dobrą pamięć i ciężkie buty. Moim kontaktem jest piersiasta Dunka, która żyje, zresztą nieszczęśliwie, z hiszpańskim dziennikarzem akredytowanym przy stolicy apostolskiej. Jej stan cywilny jest wielce wątpliwy, ale informacje zawsze ścisłe.

— Faubiani?... No tak, stary Manzini jest w mieście, więc ona nie odstęp-
puje go ani na krok. Zobaczymy... Wczoraj Valerio demonstrował wyroby
dziewiarskie. Dzisiejszego wieczoru Fosco wystawia biżuterię i nawiązali
kontakt z Lavezzim, który lansuje bogato ilustrowaną książkę o renesansowych
złotnikach. Faubiani najprawdopodobniej przybędzie. U Fosca odbędzie się
kolacja na stojąco — o ósmej trzydzieści i potrwa, aż wypiją cały szampan. Jeśli
chce pan kartę wstępu, mogę oddać swoją, Claudio pracuje dziś wieczorem, a
mnie ogarnia tylko zazdrość, kiedy patrzę na wszystkie te kosztowne rupiecie.

— Inge, jesteś aniołem.

— Żeby tylko Claudio o niczym się nie dowiedział. Znowu zrobił się
demoniczny... Kiedy pana zobaczę, Dante?

— Przyjdę o siódmej trzydzieści po kartę. Ciao, bambina!

W ten sposób miałem zaplanowaną godzinę po godzinie cały wieczór pełen
atrakcji. Pozostało mi podjęcie jeszcze jednej decyzji: jaki numer telefonu
zostawić funkcjonariuszowi na nocnym dyżurze? Podałem mu dwa — jeden
Liii Anders, drugi mój domowy. Mogłem przystąpić teraz do przygotowań;
zmiana ubrania, strzyżenie, golenie, masaż mający wzmocnić sflaczałe mięśnie
twarzy i pół godziny pouczającej pogawędki z moją ulubioną manikiurzystką.

Dokładnie o osiemnastej zadzwoniłem do generała-majora Leporello z
repcji hotelu Hasslera. Poleciał mi poczekać, aż przyjdzie po mnie adiutant.
Był to muskularny młodzieniec, rudowłosy i piegowaty, z akcentem z okolic
Trydentu. Traktował mnie z szacunkiem, ale był związły i zażądał okazania
legitymacji, zanim opuściliśmy hall. Podejrzewam, że kiedy zostawił mnie sam
na sam z generałem, ulokował się tuż za drzwiami apartamentu. Sam Lepo-
rello zaskoczył mnie swoim wyglądem. Był wysoki, jasnowłosy i rumiany,
bardziej germański niż latynoski. Szeroka pierś, płaski brzuch. Ruchy po-
wściągliwe, zachowanie szorstkie i rzeczowe. Całkowity brak poczucia
humoru.

— Proszę o pańską legitymację.

Podałem. Przystudiował linijka po linijce i oddał mi.

— Jaką sprawę chce pan ze mną omówić, pułkowniku?

— Problemy związane ze śmiercią generała Pantaleone.

— Na przykład.

— Ta kartka, panie generale. Została znaleziona po śmierci generała w jego
sypialni.

— Co ona oznacza?

— Właśnie to próbuję ustalić. Była przypięta do dokumentów dostarczo-
nych Pantaleonemu przed śmiercią.

— Jakich dokumentów?

— Obciążające papiery dotyczące przeszłości generała.

— Szantaż?

— Tak myślimy.

- Gdzie znajdują się obecnie?
- W biurze prawnika generała, pod ochroną funkcjonariusza SID.
- A kartka?
- To jedyny trop, który może doprowadzić do szantażysty.
- Chodzi o symbol?
- Tak. Ta salamandra.
- Dziwne.
- Dlaczego, panie generale?
- Podczas wojny jednym z największych partyzanckich ugrupowań w Valpadanie dowodził człowiek, który przyjął pseudonim Salamandra.
- Jakie jest jego prawdziwe nazwisko?
- Nie wiem. Straciłem go z oczu gdzieś w 1943 roku. Mówiono, że schwytali go Niemcy.
- Czy używał tego rodzaju kartek?
- Pamiętam te sprawy niezbyt dokładnie, ponieważ informacje docho-
dziły do mnie z drugiej albo trzeciej ręki, ale przypominam sobie, że mówiono
o kartkach przypinanych na piersiach ofiar oddziału.
- To byli komuniści?
- Na północy większość oddziałów miała stwierdzone lub przypuszczalne
związki z komunistami.
- Czy kiedykolwiek współpracował pan z tymi oddziałami, panie gene-
rale?
- Ja? Nigdy. Byłem lojalny względem Korony. I nigdy nie przestałem być
lojalny — nawet w sytuacji, kiedy byłoby to wygodne. Nie lubiłem faszystów,
nienawidziłem Niemców, ale nawet to nie skłoniło mnie do zdrady. Dzisiaj
mogę być dumny ze swojej prawości.
- Jestem tego pewien, panie generale. Jest pan także naturalnym celem dla
terrorystów lewicowych.
- Tak przypuszczam.
- To przypomina mi rzeczywisty cel mojej wizyty: chciałem poinformo-
wać, że śledzi pana przynajmniej jedna obca siatka wywiadowcza.
- Obdarzył mnie wątlym, posępnym uśmiechem.
- Nic nowego, pułkowniku. Zawsze czuwały nade mną najrozmaitsze
ugrupowania — obce i nasze.
- Nowe w tym wszystkim jest to, że ta grupa uważa pana za ewentualnego
następcę generała Pantaleone.
- W jakim sensie?
- Jako wojskowego i politycznego przywódcę w razie prawicowego za-
machu stanu.
- Co oczywiście jest nonsensem...
- Oczywiście, panie generale. Ale to osłabi pańską pozycję.
- Dlaczego?

— Mogą pana szantażować, a nawet podjąć próbę zamordowania. Myślałem, że nim wstrząsnę albo przynajmniej wzbudzę jego zainteresowanie. Bez szans. Był twardy i gładki jak kamień nagrobny.

— Szantaż? Niemożliwe, zapewniam pana, pułkowniku. Moje życie to otwarta księga. Nie wstydzę się ani jednej stronicy. Jeśli chodzi o zamach na moje życie, zostało to przewidziane i podjęto środki ostrożności zabezpieczające mnie i moją rodzinę. Bardziej interesuje mnie sugestia — chociaż jest to sugestia z wrogich ośrodków — że mogę mieć ambicje polityczne. Otóż nie mam żadnych takich ambicji. Wierzę w hierarchię i porządek. Widzę siebie jedynie w roli sługi prawomocnie powołanej władzy.

— Rozumiem to doskonale, panie generale.

— Jedno pytanie, pułkowniku.

— Słucham, panie generale.

— Czy omawiał pan tę sprawę z pańskim dyrektorem?

— Tak jest.

— Jego pogląd?

— Żadnego działania ze strony SID. Przekroczyłem moje **obowiązki** służbowe starając się o tę rozmowę.

— Dlaczego więc pan to zrobił?

— Pan i ja, panie generale, jesteśmy kolegami. Należymy do tej samej formacji. Czulem, że chodzi tu o sprawę honoru. Postanowiłem działać z własnej inicjatywy i na własne ryzyko.

— Jakie ryzyko, pułkowniku?

— No... mówiąc łagodnie, dyrektor ma bardzo stanowczy charakter.

— Boi się pan go?

— Nie, panie generale, ale czuję przed nim respekt.

— Tak więc wolałby pan, pułkowniku, żebym nie mówił dyrektorowi o naszym spotkaniu?

— Tego nie powiedziałem, panie generale. I nie powiem. Spełniłem mój obowiązek tak, jak go rozumiem. Byłem i jestem gotowy ponieść konsekwencje.

Po raz pierwszy Leporello odprężył się. Poczęstował mnie papierosem ze złotej papierošnicy i podał ogień. Odchylił się do tyłu i przyglądał mi się z chłodną aprobata.

— To godne szacunku, pułkowniku. Jeśli potrzebuje pan przyjaciela w naszej formacji, jestem nim ja. Dam instrukcje moim ludziom, żeby dopuszczali pana do mnie bez żadnych trudności.

— Czuję się zaszczycony, panie generale.

— Nie ma powodu. Mamy wspólny cel: bezpieczeństwo i stabilność Republiki. Musimy współpracować, kiedy jest to możliwe. Pantaleone był niebezpiecznym szaleńcem i niezłym draniem. W obecnej sytuacji potrzebni są nam ludzie silni, gotowi zaryzykować własne życie w służbie publicznej.

Uważam, że pan jest właśnie takim człowiekiem. Pańskie doświadczenie jest oczywiście bardzo cenne. Jeśli ma pan ochotę wejść do mojego osobistego sztabu, będę bardzo zadowolony.

- To wielki komplement, panie generale.
- Zasluguje pan. I jeszcze jedno, pułkowniku...
- Słucham, panie generale.
- Nie mam zamiaru rozmawiać o naszym spotkaniu z dyrektorem.
- Dziękuję, panie generale.

Podał mi dłoń i powierzył opiece atletycznego adiutanta, który sprowadził mnie na dół z odrobinę większym szacunkiem i łaskawie raczył zaszalutować, kiedy odjeżdżałem.

Zatrzymałem samochód w ogrodach Pincio i przez następne dwadzieścia minut próbowałem zinterpretować jakoś postać generała-majora Leporello. Instynktownie nie ufam ludziom, którzy postępują, jakby byli najbliższą rodziną Boga Wszzechmogącego. Ich cnota oślepia mnie. Ich bezwzględność zadziwia. Pasja porządku stawia poza rozumem i litością. Mają prawość godną wielkiego inkwizytora i jezuicką biegłość w kazuistyce. Są wszyscy dogmatykami, ale bez wahania piszą na nowo kodeks tak, żeby był dla nich wygodny. Przyciągają lokai, satelitów i ludzi przekupujących świadków, gdyż lechtają oni ich ambicję i rozdymają starannie wypracowaną cnotę, aż stworzą legendę nieskazitelności. Mówiąc krótko, nienawidzę ich i obawiam się bardziej niż sprzedajnych funkcjonariuszy, których spotyka się w mojej profesji. Przez nich boję się samego siebie, bo prowokują mnie do wściekłości, zaślepienia i nie kontrolowanych reakcji.

Płynęła jednak z tego pewna niewielka korzyść. Leporello kusił mnie aliansem, najpierw podając strzęp prawdziwej albo fałszywej informacji dotyczącej salamandry, a następnie obiecując przyjaźń i orędownictwo. Alians określa strategię, strategia zaś — cel. Jaki cel? Jakie następne ambitne zadanie stawia sobie człowiek, który został wyznaczony do pilnowania miast-mrowisk i mieszkających w nich milionów swawolnych istot ludzkich? Nawet jeśli go sobie jeszcze nie wytyczył, znajdują się inni, którzy chętnie mu je narzuca. No cóż! Dante Alighieri Matucci ma jeszcze czas, a może już za późno, żeby rozszyfrować przyszłość. Uruchomiłem silnik i pojechałem pstrymi alejami do Liii Anders, by wraz z nią przystąpić do picia koktajlów.

Mieszkanie zmieniło się od czasu mojej ostatniej wizyty. Konny portret Pantaleonego zniknął znad kominka, a jego miejsce zajęło barwne surrealistyczne dzieło Spira: ukwiecony krajobraz pełen uśmiechniętych twarzy z przygrywającym do tańca korowodem instrumentów muzycznych. Meble zostały przestawione, bibeloty dobrane tak, żeby wywołać wrażenie wysublimowanej kobiecości. Sama Liii zmieniła się w jakiś subtelny sposób, uchwytny dla mnie

jedynie przez szczegóły: bardziej miękko zaczesane włosy, trochę modniejszy i bardziej ekstrawagancki strój, zachowanie swobodniejsze i bardziej ufne. Nawet gospodyni była odrobinę mniej szorstka, chociaż ciągle jeszcze podejrzliwa i nieprzystępna. Kiedy skomentowałem te zmiany, Liii uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Należę teraz tylko do siebie. Nie w tym stopniu, jak bym tego pragnęła, ale jednak trochę bardziej. Czego się pan napije?

— Jeśli można, whisky.

— Pan też się zmienił.

— Jak?

— Jest pan być może trochę bardziej ludzki. Mniej w panu zawodowca. **Jak** mam pana nazywać?

— Mam na imię Dante Alighieri.

— Dante był człowiekiem bardzo posepnym. A pan?

— Czasem. Ale dzisiaj nie.

— Czym różni się wieczór dzisiejszy od innych?

— Musimy coś załatwić, ale chciałbym też, żebyśmy mogli **się zabawić**.

— To chyba niemożliwe, prawda?

— Dlaczego?

— Ponieważ, Dante Alighieri, jestem twoją własnością. **Poruszasz mną** jak marionetką. Nie mam wyboru, jeśli chodzi o sposób zabawienia **się...** Proszę wypić, mój władco.

— Twoje zdrowie, Liii.

— Gdzie zjemy kolację?

— Jesteśmy zaproszeni na wystawę i koktajl. Fosco **wystawia kolekcję** biżuterii na nowy sezon.

— To może być ciekawe. Lubisz biżuterię, Dante?

— Lubię — chociaż nie stać mnie na kupno.

— A czy chciałbyś zobaczyć moją?

— Jeśli ty tego chcesz.

— Pokażę ci, kiedy tu wrócimy. Chyba odprowadzisz mnie po kolacji do domu?^

— Źle mnie potraktowałaś, Liii.

— Nie masz racji. Chcę, byś wiedział, że doskonale pojmuję, jaka jest natura naszych wzajemnych stosunków. Obiecałam, że zapłacę za pieniądze i ochronę.

— Liii, ja nie jestem rozpustnikiem.

— Kimże więc jesteś?

— Czy uwierzysz, jeśli powiem?

— Być może.

— To proste. Jestem pobażającym sobie draniem, który lubi piękne kobiety.

— I co masz jeszcze do powiedzenia?

— Jestem zmęczony i chce mi się śmiać. Jestem w tarapatkach, a chciałbym przestać myśleć. Boję się, ale tak naprawdę nawet nie chcę wiedzieć, czego.

— Ty się boisz?

— Tak. Żyjemy w czasach morderców, Liii, w czasach fanatyków i ludzi niszczących wszystko wokół siebie. Chcą zbudować nowy świat. W tym celu gotowi są zniszczyć dwadzieścia wieków cywilizacji. Nie dostrzegają jednak, że kiedy osiadą wśród ruin, stara banda znowu się pojawi, technokraci, którzy zaczną budować fabryki, finansisci, którzy stworzą na nowo uludę pieniądza, policja, która z powrotem zastraszy ludzi, by przywołać ich do porządku, będą nawet tacy miejscy łowcy szczurów jak ja. To szaleństwo, Liii, a ja tkwię w nim po uszy. Tak samo ty. Ani dla ciebie, ani dla mnie nie ma ucieczki, ale pomyślałem, że chociaż na godzinę może powstać strefa spokoju w samym oku cyklonu. Byłem głupi. Zapomnijmy o tym. Nie jestem wcale sadystą. Więc nie czuj się, na Boga, obrażona... a teraz czy mógłbym poprosić o jeszcze jedną szklaneczkę?

Bez słowa wzięła ode mnie szklanę, napelniła i podała mi. Potem położyła mi chłodną dłoń na karku i oświadczyła bardzo spokojnym głosem:

— Nawet jeśli tylko połowę z tego powiedziałeś na serio, wierzę ci. I nie czuję się obrażona.

Nie byłem pewien, czy sam w to wszystko wierzę; ale chciałem czuć się nie jak raj fur, a znacznie bardziej jak mężczyzna, który bez wstydu może patrzeć w słońce. Przysunąłem jej dłoń do ust i leciutko pocałowałem.

— Zacznijmy więc całą scenę od początku. Wkracza Dante Alighieri Matucci, a Liii Anders wita go z radością. Słowa powitania padające z jej ust są zdawkowe, ale nie pozbawione życzliwości...

— Poprawka. Słowa powitania są przyjazne, ale jeszcze nie intymne.

Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło, a potem odeszła, żeby nalać sobie następną szklaneczkę. Dwadzieścia minut później jechaliśmy do Fosca i wkroczyliśmy na przyjęcie trzymając się za ręce jak kochankowie.

Liii tego nie wyjawilem, ale wiedziałem co nieco o złotniku nazwiskiem Fosco. Był — i prawdę mówiąc jest nadal — rodzajem fenomenu: młodym i utalentowanym homoseksualistą, który z małego florenckiego warsztatu, gdzie był czeladnikiem, w ciągu pięciu lat sięgnął po pozycję najlepszego pracującego indywidualnie złotnika w Rzymie. Pojawił się raz w naszych fiskach jako przyjaciel urzędnika jednej z arabskich ambasad, ale ten związek szybko się rozleciał i przestaliśmy się nim interesować. Jesteśmy bardzo tolerancyjni w sprawach obyczajowych, ale bardzo uczuleni na polityków z Bliskiego Wschodu. Czasem, ponieważ jego pokazy przyciągały różnorodną grupę utytułowanych osobistości i napakowanych forszą zer, wprowadzałem obserwatora między gości albo jego goryli. Chociaż te zabiegi przynosiły nam drobne profity, sam Fosco był zawsze czysty; biegły rzemieślnik o nienagan-

nych manierach i opancerzony egotyzmem, który pozwalał mu narzucać swój smak i oszalałymi cennik szerokiemu spektrum rzymskich matron, żon dyplomatów, początkujących gwiazd filmowych oraz błakających się notabli.

Prezentacja wiosennej kolekcji u Fosca jest uroczystą okazją. Posiadacze dostojnych tytułów przesuwali się wokół gablot powolnym korowodem. Najdroższe modele wystawione zostały w strategicznych punktach galerii. Mistrz ceremonii rezydował przy bufecie. Armia przystojnych młodych kelnerów roznosiła szampana i kanapki. I nawet tajniacy znaleźli sposób, żeby wyglądać jak mediolańscy przemysłowcy. Był to wyrafinowany balet towarzyski, a Fosco dyrygował nim z ogromnym wdziękiem i z cieniem jedynie pogardy dla wykonawców.

Trafiliśmy w sam środek pierwszego ożywienia; wcześnie goście, którzy przychodzą, żeby się pokazać, a potem wypijają koktajl albo dwa i wychodzą. Goście poważni, przyjaciele mistrza, przyjdą później, utkwia przy bufecie i wyjdą o północy. Fosco przywitał nas ze zdawkową uprzejmością i wskazał niedbale ręką zgromadzenie. Złapaliśmy dwa kieliszki szampana i katalogi i ruszyliśmy w obchód. Jedno stało się natychmiast jasne: Fosco miał obfity połów. Połowa wystawionych przedmiotów była zamówiona, niektóre miały karteczkę z napisem „sprzedane”, inne — „zarezerwowane”, to znaczy już z góry przeznaczone dla wielkich firm, jak Bulgari, Cartier, Buccellati, Tiffany. I trzeba przyznać, że Fosco zasługiwał na to. Był mistrzem w każdym stylu, barokowym, antycznym, awangardowym. Projekty oryginalne, wykonanie wspaniałe. Najmniejsze kamienie wyglądały jak klejnoty pierwszej wody. Najlepsze zostały w wymyślny sposób podświetlone i wyglądały jak żywe.

Trudno go także posądzać o skromność. Każdą sztukę opatrzył etykietką, jakby to był okaz muzealny, opisał genezę rysunku, cechy charakterystyczne kamienia oraz oprawy i, kiedy tylko mógł — nazwisko i tytuł osoby, która mu kamień powierzyła. Starsze firmy kręciły nosem na taką wulgarność, ale Fosco jednym ciosem niweczył ich snobizm.

— Chcę, żeby moje klejnoty mówiły. Jakże kobieta może rozmawiać o czymś, czego nie zna. Wyjaśniam, na czym polega moja praca, i w ten sposób podkreślam jej wartość. Słusznie czy nie? Proszę spojrzeć na wynik! Po każdym pokazie wyprzedają się do samego końca...

Wygląda na to, że po tym pokazie pieniądze zaczną mu wychodzić uszami. Dotarliśmy chyba do połowy wystawy, kiedy Liii pociągnęła mnie za rękaw i pokazała katalog. Rozdział, na który wskazała, był zatytułowany: „Fantazyjne wyobrażenia niezwykłych zwierząt” i odnosił się to do kolekcji złotych motyli, ptaków i zwierząt, które nosić można jako broszki, breloki, klamry, zapinki, kolczyki i symbolicznych strażników niewieściej cnoty. Liii wskazała numer 63, którego opis głosił:

„Salamandra. Broszka w kształcie heraldycznej bestii. Wysadzana szmaragdami. Korona z brylantów, ornamenty z rubinów birmańskich. Adaptacja

rysunku kaligraficznego. Wystawiona przez cav. Bruno Manziniego, Bolonia".

Sam klejnot znajdował się kilka metrów dalej. Leżał na czarnym aksamicie, w małej gablotce ustawionej na alabastrowej kolumnie. Nie był to klejnot szczególnie okazały, ale złotnik zachował charakter i linię oryginalnego rysunku; kiedy więc porównałem broszkę z moją kartką, nie miałem wątpliwości, że chodzi o ten sam rysunek.

Odciągnąłem Liiri od gabloty i zaprowadziłem w tłum cisnący się wokół bufetu. W tej samej chwili wkroczył do galerii cavaliere Bruno Manzini z księżną Faubiani i małą świtą przyjaciół. Fosco przywitał ich wylewnie, strzelił / palcami na swoich faworytów, żeby przynieśli szampana i katalogi, a następnie osobiście poprowadził gości na obchód najcenniejszych pozycji.

Natychmiastowy problem: jak skontaktować się z Manzinim, zanim opuści galerię? Teraz miałem go pod ręką. Jak tylko wyjdzie, będę musiał gonić go po całym półwyspie. Z drugiej strony prasa i plotki, które mogłyby zacząć krążyć — nie mogłem ryzykować skandalu. Zostawiłem Liiri przy bufecie i przepchałem się w kierunku wejścia, gdzie sympatycznie wyglądający młody człowiek pełnił w zastępstwie Fosca honory domu. Mignąłem mu przed oczyma legitymacją.

— Karabinierzy. Kto odpowiada za zabezpieczenie kolekcji?

— Ten wysoki siwy facet przy schodach. Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. Normalne sprawy zawodowe.

Odciągnąłem wysokiego na bok i pokazałem legitymację, ale tym razem zadbałem, żeby przeczytał ją dokładnie, zanim udzielę mu instrukcji.

— To bardzo ważne. Nie możemy pozwolić sobie na błąd. Zaprowadzi mnie pan do prywatnego gabinetu Fosca. Dam panu list dla cavaliere Bruno Manziniego. Przyprowdzi go pan do gabinetu. Podczas naszej rozmowy proszę stać przy drzwiach i nikogo nie wpuszczać. Jasne?

— Jasne. Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. Widziałem system zabezpieczający. Świetna robota.

Uszcześliwiłem go tą pochwałą. Zaprowadził mnie do gabinetu — bajecznego buduaru utrzymanego w pompejańskiej purpurze. Naskrobałem na firmowym papierze firmy Fosco notatkę dla Manziniego. Sformułowanie pełne szacunku, ale zagadkowe:

„Przykro mi, że przeszkadzam, ale mam pilną urzędową wiadomość. Proszę przyjąć z oddawcą listu do gabinetu. Matucci, SID".

Zjawił się trzy minuty później. Jak zwykle chłodny i protekcjonalny. Nie chciał usiąść. Goście czekają. Poprosił, żebym jak najszybciej wyniszczył, o co chodzi.

— Chodzi ciągle o generała Pantaleone.

— Ach tak?

- Krótko przed śmiercią przysłano **mu papiery, które w rzeczywistości** stanowiły dossier jego dawnego życia.
- I jaki to ma związek ze mną?
- Do teczki przypięta była ta kartka. Proszę spojrzeć na rysunek — salamandra w koronie. Ustaliliśmy, że rysunek odpowiada dokładnie eksponatowi numer 63 w katalogu Fosca. Ufamy, że zechce pan wyjaśnić tę zbieżność.
- Dlaczego miałbym to wyjaśniać, pułkowniku?
- Chodzi o sprawy związane z bezpieczeństwem kraju.
- To fakt, czy tylko pański pogląd?
- Fakt.
- Może mi to pan uzasadnić w sposób przekonywający?
- Tak sądzę.
- Czy zachodzi tu podejrzenie o zbrodniczą działalność?
- Na razie nie.
- Co więc pragnie pan ode mnie uzyskać, pułkowniku?
- Na tym etapie sprawy — rozmowę o charakterze informacyjnym.
- Kiedy?
- Teraz, cavaliere.
- Niemożliwe. Jestem z przyjaciółmi.
- Zatem później. Może w pańskim hotelu?
- Drogi pułkowniku, mam siedemdziesiąt lat. O północy umieram ze zmęczenia. Nie wyciągnie pan ode mnie nic sensownego. Powiedzmy, o dziewiątej rano w Grand Hotelu. Zrobię, co będę mógł, żeby pana oświecić. A teraz, proszę mi wybaczyć.
- Jeszcze kilka pytań, zanim pan odejdzie, cavaliere.
- Słucham.
- Co oznacza salamandra?
- Przetrawanie. To był mój pseudonim podczas wojny. Reszta to zbyt długa historia, żeby ją teraz opowiadać.
- Napis?
- To też długa historia.
- A więc chociaż początek tej historii.
- Początek i koniec, pułkowniku. Pantaleone był moim bratem przyrodnim. Tyle, że spłodzono go w łóżu małżeńskim.
- Patrzyłem na niego z ustami szeroko otwartymi jak idiota. Uśmiechnął się widząc moje zmieszanie i zrobił błagalny gest.
- Proszę pana! Nie szukam bynajmniej teatralnych efektów, chcę jedynie przekonać pana, że wyjaśnienia wymagają czasu.
- Zgoda.
- A teraz, czy zechce pan, pułkowniku, odpowiedzieć na jedno moje pytanie?
- Tak, jeśli będę mógł.

- Kto zabił Pantaleonego?
- Akt zgonu stwierdza, że **przyczyną śmierci było** ustanie pracy serca.
- Ależ wszyscy umrzemy na **skutek ustania pracy** serca.
- Tak jest.
- Bez dalszych komentarzy?
- Bez komentarzy. Do jutra, cavaliere.
- Moje gratulacje, pułkownik. Dobranoc.

Dlaczego go nie zatrzymałem? Dlaczego nie zasypałem pytaniami, kiedy stracił na chwilę pewność siebie? Mówiłem już wam — to szczególny człowiek, najlepszy w swoim gatunku. Czy można wytrącić go z równowagi? Nigdy. Jestem zbłąkanym nowicjuszem szukającym po omacku chwytów i stopni w dzikiej górskiej ścianie. Zresztą — i muszę postawić tę sprawę jasno — tu są Włochy, prawa sięgają wstecz do czasów Justyniana, połowy z nich nie odkurzano przez całe wieki, a reguły gry zostały zapisane palcem na piasku. Troje ludzi z orszaku Manziniego może unieruchomić mnie na całe miesiące, podnosząc po prostu słuchawkę telefonu. Ze dwadzieścia nazwisk jaśniejących na przyjęciu u Fosca mogło strącić mnie na zawsze do limbosa wykazu oficerów w stanie spoczynku. A jeśli kiedykolwiek próbowaliście uzyskać zwrot długu albo wystąpić z roszczeniami wobec Republiki, doskonale wiecie, co mam na myśli. W Chinach topiono przeciwników w puchu. Tutaj, we Włoszech, duszą ich wytwarzając dokoła toń milczenia i grzebią pod kopcem z carta bollata.

Była dopiero dziesiąta trzydzieści. Wyciągnąłem Liui z tłumu przy bufecie i zawiozłem na kolację do Trastevere, w znane mi dobrze miejsce, gdzie jedzenie jest naprawdę toskańskie, wino szacowne, a kelnerzy dumni, że mogą człowieka obsłużyć. W zimie pali się w kominku ogień, a na letnie wieczory ma się do dyspozycji obrośniętą winoroślą altaną. Jest tu też muzyka; kościasty, płaczliwy facet z gitarą, który przychodzi do stolika, kiedy goście są już w odpowiednim nastroju, i wyśpiewuje z człowieka duszę swoimi starymi piosenkami z Południa. Byłem tu znany, ale nie z racji mojego zawodu, a dlatego tylko, że ceniłem tutejszą kuchnię i czasem piłem wystarczająco dużo, żeby zaśpiewać jedną lub dwie piosenki, pobrzdkując na gitarze w czasie, kiedy smutny grajek jadł swoją kolację.

Mam tutaj przyjaciół: Castiglione, który był genialnym ślusarzem, zanim dopadł go artretyzm; monsignore Arnolfa Ardizzonego z watykańskiego Sekretariatu Stanu, uczonego i dyskretnego księdza, który wyrzekł się małżeństwa, żeby służyć Bogu, i obrał sobie butelkę za jedyną kochankę możliwą do przyjęcia dla Matki Kościoła; Giuffrediego, poetę, który pisał satyry w języku romanesco, chociaż nikt już nie umie czytać w tym dialekcie; i Magdalene, która sprzedawała wczorajsze róże po pięćset lirów sztuka i o której mówiono, że ma całą kamienicę przy Via Tuscolana. Ile w tym prawdy? Nigdy nie próbowałem tego dociec. Byłem tam sobą — bez względu na to, kogo mogłoby to oznaczać. Każdego akceptowałem takim, jakim go widziałem. Nikogo nie

wykorzystywałem. Płaciłem rachunek i byłem tu mile witany. No, dość już tego! Każdemu potrzebne jest miejsce, gdzie mógłby się schronić. To było moje.

Próbowałem wyjaśnić to wszystko Liii, kiedy przemierzaliśmy ostatnie sto metrów uliczki zawieszanej suszącym się praniem, by wyjść na maleńki placyk strzeżony przez Maryję Panne, którą umieszczono pod zakurzonego szklanym kloszem. Chciałem wszystko wytłumaczyć, a w moim zawodzie to słabość. Wydawało się, że jest szczęśliwa słuchając, przytulona do mnie, kiedy przekraczaliśmy cuchnące rynsztoki i rozrzucone śmieci, podczas gdy tutejsze koty czmychały przed nami w cień. Czasem wątle światło padało na jej twarz i wyglądała wtedy na młodą dziewczynę. Kiedy przeżegnała się, przechodząc obok małej figurki, wyglądała jak wieśniaczka zmęczona po długim dniu pracy na polu. Możecie nie wierzyć, ale nic dbałem o nic. Nic polowałem w tym momencie, po prostu cieszyłem się, że nie jestem sam.

Kiedy zasiedliśmy przy stoliku, na którym był chleb, wino i nowa świeca, Liii nachyliła się do mnie i włożyła swoje dłonie w moje.

— Wyglądasz teraz inaczej, Dante Alighieri.

— Jak?

— U Fosca byłeś napięty i ostrożny jak lis. Teraz jesteś rozluźniony, swobodny. Przywitałeś się z nimi jak z ludźmi. Oni też są zadowoleni, że cię widzą.

— To Trasteverc, kochanie. Z drugiej strony rzeki. Wiesz, jak ci ludzie mówią o sobie? Noantri, inni. Chcą należeć tylko do siebie.

— Podoba mi się. Teraz my także jesteśmy noantri. Należysz mi wina?

— Mogę upić się i śpiewać.

— Będę śpiewała z tobą.

— I kto przewiezie nas z powrotem przez rzekę?

— Może już nie wrócimy. Nigdy.

Był to szczęśliwy pomysł i pieściliśmy go, wzbogacając przez cały czas jedzenie zuppa, pasta, griglia i dolci. A potem wpleliśmy tę myśl w muzykę smutnego grajka, kiedy ten usadowił się na stołku obok Liii i śpiewał jej najosobliwsze utwory ze swojego repertuaru — *Piosenkę praczek z Vomero*, *Przyjacielu, nie ufaj starym pannom*, *Rozbieraną piosenkę*, *Balladę sprośnego sprzedawcy chodaków*.

Nadeszła północ, a my ciągle śpiewaliśmy. O pierwszej trzydziści byliśmy na niezłym rauszu i kelnerzy zaczęli już tracić siły; powędrowaliśmy więc na placyk, powiedzieliśmy dobranoc stojącej tam samotnej Maryi Pannie i ruszyliśmy w stronę parkingu. Liii oświadczyła sennie:

— Muszę ci coś wyjawić.

— Co?

— Chcę pójść z tobą do łóżka, ale nie chcę jechać do domu.

— Dlaczego?"

- Dlatego, że dom to dzień wczorajszy. Chcę o nim zapomnieć.
- A dzień jutrzejszy?
- Jutro zacznie się, kiedy wszędzie słońce i to miejsce stanie się brzydkie, cuchnące i pełne smutnych ludzi bojących się siebie nawzajem, a ty znowu staniesz się mądry i ostrożny.
- Więc pojedziemy obwodnicą. Znam takie miejsce...
- Wszystko mi jedno, caro mio, gdzie tylko zechcesz.
- Muszę najpierw zatelefonować.
- Po co?
- Zostawiłem twój numer oficerowi dyżurnemu. Muszę **sprawdzić, czy** nie dzwonił, i podać nowy numer.
- Nie ma więc ucieczki?
- Uciekliśmy dzisiejszego wieczoru.
- To prawda. Ale musisz jednak telefonować...
- Proszę cię, Liii.
- Proszę cię, Dante, pocałuj mnie...

Jeśli macie nadzieję — tak jak ja ją miałem — na pogodną opowieść o miłości i rozpuście, zapomnijcie o tym. Wieczór wolności zakończył się na tym pocałunku. Ze stojącej na rogu budki telefonicznej zadzwoniłem do komendy. Była druga dziesięć. Oficer służbowy oznajmił, że Calvi nie dzwonił o drugiej. Jakie mam w związku z tym rozkazy? Poleciłem, żeby jeden samochód z lotnej brygady pojechał po Stefanelliego, a drugi przyjechał pod biuro adwokata. Skinąłem na taksówkę, zapakowałem do niej Liii i wysłałem ją do domu. Wsiadłem do własnego samochodu i jak szalony popędziłem przez uśpione miasto.

Biuro doktora Sergia Bandinellogo mieściło się na piątym piętrze ogromnego nowoczesnego bloku przy Via Sicilia, dwieście metrów zaledwie od zgiełku Via Veneto. Kiedy przyjechałem na miejsce, wóz lotnego patrolu już tam stał, zaparkowany nie opodal wejścia. Drugi samochód, wiozący Stefanelliego i jego czarny kuferek, znalazł się na miejscu kilka sekund później z piskiem opon na zakręcie. Zanim weszliśmy do budynku, wydałem kilka poleceń dowódcom patroli: chodzi o sprawę związaną z bezpieczeństwem kraju — żadnej policji, żadnej prasy, żadnych gapiów. Dwóch ludzi pozostaje przy samochodach, jeden pilnuje dozorczy, trzej towarzyszą mnie i Steffiemu na piąte piętro. Zadzwoniliśmy.

Portier, zaspany i gderający, otworzył bramę i natychmiast zaczął bełkotać pytania. Machnęliśmy legitymacjami, zostawiliśmy go bełkoczącego i pojechaliliśmy windą na piąte piętro. W biurze Bandinellogo było ciemno, drzwi zamknięte, ale tylko na klamkę. Wszedłem pierwszy i zapaliłem światło.

Scena była dziwnie spokojna. Doktor Bandinelli leżał na skórzanej kanapie. Agent Giampiero Calvi siedział za biurkiem, z głową opartą na ramionach. Obok niego na biurku leżała powieść Moravii, naładowany pistolet, dwie kanapki z szynką, jajko na twardo i butelka z kawą. Kawa była ciepła. Obaj mężczyźni zimni jak gład. Stary Steffi powęszył, obejrzał pobieżnie ciała i wygłosił werdykt.

— Nie żyją. Lotny kwas ej ano wodorowy. Pistolet lub ładunek pod ciśnieniem.

Obejrzałem sejf. Pieczęcie złamane, drzwiczki otwarte, papierów Pantaleonego brak. Natychmiastowa pokusa to rzucić się w wir działania: normalna kryminalna procedura, wypytywanie świadków itd. Każdemu, kto przeszedł szkolenie policyjne, trudno jest oprzeć się pokusie, ale w moim fachu takie postępowanie mogłoby okazać się fatalne dla dalszego obrotu delikatnej sprawy. Wzięłem słuchawkę i wykręciłem numer prywatny dyrektora. Zgłosił się zdumiewająco szybko. Powiedziałem:

— Mamy kłopoty. Dokumenty zniknęły, dwa tobołki brudnej bielizny, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Jeden nasz.

— No więc...?

— Jak tylko sytuacja się wyklaruje, złożę osobiście raport.

— Kiedy mniej więcej?

— Mam nadzieję, że przed śniadaniem.

— Czekam na pana ze śniadaniem. Im wcześniej, tym lepiej.

Steffi nastroszył się i zarechotał jak stara sparszywiąta papuga:

— Kiedy sytuacja się wyklaruje! No, no! Odkąd to robimy w branży cudów?

Chłopcy z lotnego patrolu przestępowali z nogi na nogę, oczekując na moją decyzję. Problem polegał na tym, że każda decyzja mogła prowadzić do sytuacji krytycznej. Jeśli zaaranżuję widowisko z policyjną procedurą i wypytywaniem ludzi, prasa zacznie się tu roić jak osy wokół garnka z miodem. Jak tylko odkryją, że chodzi o papiery Pantaleonego, natychmiast zaczną wypytywać o zgon generała i o pośpieszny pogrzeb. Z drugiej strony, jeśli nie będziemy mogli poprowadzić swobodnie śledztwa, zaszkodzi to poważnie rekonstrukcji wydarzeń tego wieczoru, a w konsekwencji utrudni poszukiwanie dokumentów Pantaleonego. Poza tym mamy dwa ciała, z którymi trzeba coś zrobić w przekonywający, jeśli nie zgodny z prawem, sposób. Chcąc nie chcąc musimy zabrać się do robienia cudów. Czas więc zacząć czynności obrzędowe.

Pierwszy kłopot to jak wydostać dwa ciała z budynku bez prowokowania zamętu i komentarzy. Posłałem Steffię na dół, żeby przesłuchał portiera w jego klitce, ale tak, by ten nie mógł widzieć wejścia. Wymowa Steffię mogłaby zahipnotyzować koguta podczas walki. Liczyłem na to, że portier będzie tak otumaniony, iż nie byłby w stanie dostrzec stada słoni przesuwających się dwa metry od jego nosa.

Następnie opróżniliśmy kieszenie Bandinellego, a także Calviego. Chłopcy z lotnej brygady zataszczyli ciała do windy, zwieźli na parter i wpakowali do czekających samochodów, jakby chodziło o dwóch zapóźnionych pijaków. Jeden samochód powiózł ciało Bandinellego na oddział urazowy polikliniki; drugi złożył Calviego w szpitalu prowadzonym przez siostry zakonne. W obu przypadkach podano tę samą legendę: lotna brygada znalazła na ulicy nieprzytomnego mężczyznę. Oddają go do szpitala, a sami zajmą się ustaleniem tożsamości. Martwy w chwili dotarcia do szpitala? O Boże! Prosimy więc o pokwitowanie i przetrzymanie w szpitalnej kostnicy do chwili zakończenia śledztwa!

Brzmi to naiwnie! Może więc wyjaśnię, że jeśli nawet twoja babka, mając w torebce wszystkie dokumenty, zasłabnie na środku Corso i zostanie zawieziona do szpitala miejskiego przez jakiegoś ulicznego samarytanina, minie tydzień, zanim uda ci się ją wytropić. Brak talentu do prac administracyjnych to nasza narodowa cecha, ale w powszechnej służbie zdrowia panuje bałagan niemożliwy do opisania. Jeśli nie korzystasz z usług prywatnej kliniki, możesz stwierdzić ni z tego, ni z owego, że twoja analiza krwi w rzeczywistości należy do pewnej primaballeriny, a moczu dostarczył ci facet, który złapał trypra we Fregene. Tak zatem zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem dwa nie zidentyfikowane ciała poleżą sobie spokojnie, aż będziemy w stanie w ten czy inny sposób coś z nimi zrobić.

Podczas gdy Stefanelli wypytywał portiera, ja popijałem kawę Calviego i jadłem plasterki jego szynki, odczytując jednocześnie wpisy w notatniku.

20.00 Wyszli pracownicy Bandinellego.

20.30 Zakończenie spisywania dokumentów Pantaleonego.

Zamknięte i zapieczętowane w sejfie w obecności Bandinellego.

Podpisanie kwitu na dokumenty i klucze. Bandinelli wychodzi.

21.00 Telefon do oficera służbowego Komendy.

21.15 Przybycie sprzątaczek.

21.55 Wyjście sprzątaczek.

22.00 Telefon do oficera służbowego Komendy.

23.00 Telefon do oficera służbowego Komendy

23.36 Ostatnia kontrola piątego piętra.

24.00 Telefon do oficera służbowego Komendy.

00.37 Telefon od Bandinellego. Chce wstąpić do biura, żeby odbyć nocną naradę z dwoma klientami. Wyjaśnił, że chodzi o sprawę policyjną.

Nie będzie mi przeszkadzał, skorzysta z zewnętrznego gabinetu.

Ponieważ moje instrukcje dotyczą tylko sejfu i jego zawartości, nie mogę zabronić mu dostępu do własnego biura. Zgodziłem się.

01.00 Telefon do oficera służbowego. Poprosiłem, żeby zanotował prośbę Bandinellego oraz moją decyzję.

Na tym kończyły się wpisy. Zadzwońłem do oficera służbowego. Potwierdził te wpisy na podstawie swojej książki służbowej. To postawiło mnie w obliczu kwestii o żywotnym znaczeniu: czy Bandinelli przybył do biura pod przymusem, czy też jako współnik, który został usunięty, kiedy przestał być potrzebny? Ciągle jeszcze zastanawiałem się nad tym, kiedy wrócił niezadowolony i zrządzający Steffi.

Portier nic nie wiedział, nikogo nie widział. Trzymał się ściśle litery swojej umowy, która stwierdzała, że powinien nie spać i pełnić swoje obowiązki do północy, czyli do opuszczenia gmachu przez sprzątaczkę, które wychodziły najpóźniej. Potem może iść spać. Wszyscy wynajmujący biura mają klucze do bramy. Mogą dostać się do swoich biur o dowolnej porze. Osoby z zewnątrz, poza właścicielem i sprzątaczkami, nie miały prawa wstępu po godzinach urzędowania.

— .. Tak więc, Steffi, każdy posiadacz klucza może po północy wprowadzić do budynku całą armię i nikt tego nie zauważy.

— Dokładnie na to wygląda.

— Skąd dzwonił Bandinelli trzydzieści siedem minut po północy?

— Tylko w jeden sposób można to stwierdzić, pułkowniku. Zadzwoń do niego do domu.

Podniosłem znowu słuchawkę i wykręciłem numer willi Bandinellogo przy Via Cassia. Telefon dzwonił przez jakiś czas, a potem odpowiedział gburowaty męski głos:

— Villa Bandinelli! Kto mówi?

— Karabinierzy. Chcielibyśmy rozmawiać z panem mecenasem.

— Nie ma go.

— A więc z jego żoną.

— Pani jest w Neapolu.

— Kim pan jest?

— De Muro, lokaj.

— Gdzie mogę znaleźć mecenasa?

— Bóg jeden wie, gdzie może być o tej porze!

— Kiedy wyszedł z domu?

— Nie był w domu od wczorajszego ranka. Dzwonił wieczorem, żeby powiedzieć, że nie przyjdzie na kolację.

— Nie domyśla się pan, gdzie może być w tej chwili?

— Zupełnie nie.

— Dziękuję. Do widzenia.

Nie odwzajemnił mi pozdrowienia. Przerwał połączenie, Wedy trzymałem jeszcze słuchawkę przy uchu. Steffi uśmiechnęła się.

— Nie poszczyściło się?

— Nie. Żony nie ma w domu. Nie zjawił się w domu na kolację.

— Co wesprze twoją bajeczkę o nie zidentyfikowanych zwłokach.

- Ale nie powie mi, kto popełnił morderstwo i zabrał dokumenty.
- Czy to ważne, pułkowniku?
- Steffi, na Boga! Co to za pytanie?
- Myślę, że bardzo dobre pytanie. Spójrz! To robota fachowa, czysta, spokojna, prosta jak drut. Kto jest ci potrzebny? Zabójcy, czy też ci, co zabójcom zapłacili? To robota nie dla policji, przyjacielu; wystarczy analiza, zwykle rozmowianie. Zacziesz od dna i będziesz grzązał w bagnie przez sześć miesięcy. Zacziesz od góry i będziesz miał dwa razy mniej pracy i dwukrotnie większe szanse sukcesu — wierz mi!
- Wierzę ci, Steffi. Ale za jakieś trzy godziny muszę stanąć przed dyrektorem. Co mu pokażę?
- Ofiarę z człowieka... — Steffi obdarzył mnie szubienicznym uśmiechem. — Proszę, nalej mi kawy i przedyskutujemy kandydatury.

Mieszkanie dyrektora mieści się na ostatnim piętrze szesnastowiecznego pałacu, tuż obok Via delia Scrofa. Dochody z pozostałej części pałacu — mieszkań, sklepów modniarskich — wystarczą na utrzymanie go w królewskim stanie do końca dni. Malowidła, rzeźby, cenne przedmioty same w sobie stanowią fortunę. Biblioteka jest skarbcem białych kruków, specjalistycznych opracowań i egzotycznej poezji w najrozmaitszych językach. Sam dyrektor to także facet egzotyczny — jaśniał, promieniał w swoim haftowanym szlafroku, obsługiwany przez żylastego Sycylijczyka, który był jednocześnie kamerdynerem i gorylem. O szóstej rano, niechlujny, nie ogolony i bardzo siebie niepewny, nie byłem w nastroju pozwalającym doceniać efekty dramatyczne.

Dyrektor przyjął mnie zimnym uśmiechem i angielskim śniadaniem — herbata, grzanki, jajecznica i dżem. Poprosiłem o kawę i coś słodkiego. Dyrektor przyznał mi z uśmiechem punkt przewagi i natychmiast zabrał się do powiększania swojego konta punktowego.

— Wiedział pan, pułkowniku, że papiery Pantaleonego są bardzo ważne. Dlaczego nie wszedł pan natychmiast w ich posiadanie?

— Potrzebny był mi nakaz sądowy. Żeby go otrzymać, musiałbym stawić się przeciwko Bandinellemu u sędziego. Pomyślałem, że nie byłoby to mądre.

— Tak więc doszedł pan do porozumienia, którego rezultatem była śmierć Cah/iego i Bandinellego.

— Tak jest.

— Usprawiedliwienie?

— Brak usprawiedliwień. Jedyne wyjaśnienie. Próbowałem przez zastraszenie wydobyć z Bandinellego dalsze zeznania. Myślałem, że ryzyko jest minimalne. Jak się okazało, byłem w błędzie.

— Kto jeszcze zna przebieg wypadków?

— Tylko SID. Usunęliśmy ciała i doprowadziliśmy wszystko do porządku o czwartej rano. Trzymamy sytuację mocno w garści, przynajmniej na kilka najbliższych dni.

— Ale nie wiemy, kto ma papiery Pantaleonego?

— Nie.

— No więc spróbujmy odgadnąć. Włosi czy obcy?

— Myślę, że Włosi.

— Prawe czy lewe skrzydło?

— Prawe.

— Dlaczego?

— Lewica dysponuje całą masą brudów, których dotychczas nie opublikowała. Prawica dysponuje całą masą brudów, które pragnie pogrzebać jak najgłębiej — myślę, że ubiegła noc była małą uroczystością pogrzebową.

— To mnie nie przekonuje, pułkownik.

— Nie próbuję nawet pana przekonać, panie dyrektorze. Mówię to, w co wierzę. Jeśli myśli pan o Dzieciole i jego siatce, spokojnie może pan o tym zapomnieć. Przymknąłem go dzisiaj o czwartej. Rozpracowywałem go osobiście przez blisko dwie godziny, zanim tu przyszedłem. Wiem, jakie jest jego zadanie. Morderstwo nie wchodzi w grę. Poza tym znajdował się pod stałym nadzorem i nie miał żadnych możliwości ani kontaktów, które pozwoliłyby mu zorganizować całą robotę w ciągu jednego popołudnia. Spójrzmy teraz na drugą stronę medalu. Bandinelli był człowiekiem prawicy. Służył Pantaleonemu. Ale mógł go sprzedać następcy generała.

— I w nagrodę za ten trud został zabity?

— To także.

— Proszę więc podać nazwisko ewentualnego następcy Pantaleonego.

— Generał-major Marcantonio Leporello.

Po raz pierwszy dyrektor był wstrząśnięty i nie ukrywał tego. Stuknął filiżanką stawiając ją na stoliku i przez dłuższy moment siedział patrząc na mnie badawczo i wrogo. Potem powiedział spokojnie:

— Przypuszczam, pułkownik, że ma pan jakieś dowody.

— Kilka. Rozmawiałem wczoraj z generałem w hotelu Hasslera.

— Co pan robił?

— Rozmawiałem z Leporellem.

— Wbrew moim rozkazom zabraniającym podejmowania jakichkolwiek działań w tej sprawie?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— I co mu pan powiedział?

— Że obserwuje go obca siatka szpiegowska, która wskazała go jako politycznego kandydata prawicy.

— Co jeszcze?

— Powiedziałem, gdzie są papiery Pantaleonego.

- Och...
- Oraz to, że działałam wbrew wyraźnym rozkazom.
- Jak na to zareagował?
- Obiecał, że zachowa naszą rozmowę w tajemnicy — i zaoferował mi pracę w swoim sztabie.
- Mam wielką ochotę natychmiast pana zwolnić z pracy, Matucci.
- Ma pan do tego prawo, panie dyrektorze. A nawet z punktu widzenia SID jest to nie najgorszy pomysł.
- Próbuje się pan ze mną targować, Matucci. Nie lubię tego.
- A pan grozi mi, panie dyrektorze. Ja też tego nie lubię.
- Nie słucha pan rozkazów, a to jest niebezpieczne.
- To było ryzyko. Podjąłem je. Myślę, że opłaciło się.
- Mamy w ten sposób podejrzanego, nic więcej.
- Coś więcej.
- Co?
- Zidentyfikowałem Salamandrę.
- To go zamurowało. Zatrzymał kawałek grzanki z masłem w pół drogi między talerzem a cienkimi wargami. Potem wepchnął jednak grzankę do ust i zaczął ją żuć z namysłem. W końcu powiedział:
 - A czy raczy mi pan powiedzieć, kto to jest?
 - Tak jest, panie dyrektorze. Jeśli o dziewiątej będę jeszcze pańskim pracownikiem, spotkam się z nim. To cavaliere Bruno Manzini. Powiedział, i mam nadzieję znaleźć potwierdzenie tego w dokumentach, że jest przyrodnim bratem generała Pantaleonego.
 - Najpierw Leporello, teraz Manzini. Leporello jest pańskim wojskowym przełożonym, Manzini należy do najpotężniejszych finansistów we Włoszech. Sięga pan wysoko, mój drogi.
 - A pan łatwo może sprowadzić mnie bardzo nisko, jeśli tylko pan zechce.
 - Może to nie będzie potrzebne. Ten, kto zabił Calviego, może równie łatwo zabić pana.
 - Wiem.
 - No więc, jeśli pozwolę panu dalej działać?
 - Chcę mieć wolne ręce i dostęp do teczki Leporella.
 - Czy mogę panu ufać, Matucci?
 - Może pan, ale chyba pan nie będzie.
 - Czy pan mi ufa?
 - Z pewnymi zastrzeżeniami.
 - Z jakimi zastrzeżeniami?
 - Pan jest dyrektorem. Wiem, jakie zadania panu powierzono. Nie wiem natomiast, jak pan interpretuje te zadania i ku jakim tajnym celom ukierunkowuje pan działalność SID.
 - A czy ma pan prawo o tym wiedzieć?

— Z prawnego punktu widzenia sędzę, że nie. Jestem wojskowym, mam robić to, co mi się powie... basta! Osobiście? To już inna sprawa. Gdyby to samo pytanie zadał mi pan tydzień temu, dałbym grzeczną, usłużną odpowiedź: pobłogosław mnie, ojczy, prowadź drogą zbawienia i pilnuj mojego prawa do emerytury! Dzisiaj sprawa wygląda inaczej. Jestem w średnim wieku, jestem zmęczony, nie ogoliłem się i straciłem porządnego chłopaka, ponieważ nie chciałem myśleć prostopadłościennie. Tak więc nie chcę już, żeby mną manipulowano. Chcę wiedzieć, dokąd idę i dlaczego, a jeśli mi się to nie spodoba, porzucę pracę u pana i wrócę do biurka lub do policji.

Dyrektor wypił resztkę herbaty i przyłożył lnianą serwetkę do warg. Odepchnął krzesło, podszedł do okna i długo stał patrząc na wypolerowane szczyty rzymskich dachów, złote, umbrowe i karmazynowe w świetle poranka. Kiedy odwrócił się, światło padało na jego plecy, a kontury twarzy znalazły się w cieniu. Zaczął mówić, najpierw spokojnie, potem z narastającą namiętnością i elokwencją.

— Lubi pan zbytnio grę, pułkowniku. Jednakże potrafię to panu wybaczyć, ponieważ ja też gram za dużo i za często. Stawiam na dobrobyt, na rodzinę i na siebie samego jako na produkt wszystkich małżeństw dobranych i niedobrych, które zawarte zostały w ciągu naszej historii. Jestem w pewnym sensie człowiekiem dnia wczorajszego. Ale w takim razie Włochy są w tym samym stopniu krajem wczorajszym, co dzisiejszym. Budujemy domy na grobowcach. Budujemy nasz dobrobyt na ruinach pomników papieżstwa i na martwym geniuszu przeszłości. Nasze prawo jest idiotyczną mieszanką Kodeksu Justyniana, Kodeksu Kanonicznego, Napoleona, Mussoliniego i ojców Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nasza arystokracja to mieszanina starych rodów i parweniuszy z tytułami nadanymi przez Dom Sabaudzki. W polityce jesteśmy marksistami, monarchistami, socjalistami, liberałami, faszystami, chrześcijańskimi demokratami, jednym słowem, wszyscy bez wyjątku oportunistami! Mamy najlepszych biznesmenów i najgorszych biurokratów na świecie. Jesteśmy narodem antyklerykalnym i przez całe wieki manipulowaliśmy Kościołem katolickim. Krzyczymy o federalnej demokracji republikańskiej, a jednocześnie każda z prowincji stanowi osobny kontynent. Ojczyznę każdego jest wioska, w której się urodził, choćby była najnędzniejsza... Pan, drogi pułkowniku, żąda, żebym powiedział, w co się zaangażowałem i dokąd prowadzę Służbę Wywiadu Obronnego. Niech pan pozwoli mi odwrócić pytanie i zapytać, w jakim kierunku szedłby pan będąc na moim miejscu — na tym miejscu, na którym może się pan pewnego dnia znaleźć, jeśli ma pan dostatecznie chłodny umysł, jest pan dostatecznie sprytny i jeśli zrozumie pan, jaką cenę trzeba za to zapłacić... Nic pan nie mówi? Zatem, oto moja odpowiedź. Naszych problemów nie rozwiążą wybory, koalicja partii, zwycięstwo jednego z systemów. Jesteśmy ludźmi śródziemnomorskimi, pułkowniku. Czy to się

nam podoba, czy też nie, jesteśmy skundlonymi bękartami po Grekach, Rzymianach, Fenicjanach, Arabach, Celtach iberyjskich, Wikingach, Wizy*gotach i Hunach Attyli. Żyjemy, jak żyliśmy wieki całe, w stanie nietrwałej równowagi interesów plemiennych i rodzinnych. Jeśli równowaga zostaje zachwiana, chociażby lekko, znowu pogrążamy się w bałaganie i konfliktach domowych. Kiedy konflikt staje się dla nas wszystkich zbyt krwawy, krzyczymy stop i błagamy o ratunek z ręki Kościoła lub jakiegoś zbawiciela albo, co jest najbardziej rozrzewniające, z ręki jakichś polityków i biurokratów, tak samo krwawych i zagubionych jak my. Hiszpanie, Grecy i Portugalczycy zwrócili się ku dyktatorom. Arabowie zrzucili kolonialne jarzmo i zastąpili je autokratami rodzimego chowu. My, Włosi, wypróbowaliśmy dyktatora, a demokrację obróciliśmy w powszechną rzeź. Nie wiemy, czego chcemy. Ja? Nie wiem, czego pragnie naród. Nie potrafię nawet ocenić, co zechce tolerować. Więc manipuluję sytuacjami i informacjami w ten sposób, żeby jak najdłużej utrzymać równowagę. Nie chcę dyktatury. Nie chcę marksizmu. Jestem pewien, że rodzaj demokracji, w jakiej żyjemy, jest niestabilny. Ale niech się dzieje, co chce, będę zawsze starał się uczynić tę demokrację możliwą do przyjęcia. Polityka to sztuka realizowania możliwości. Polityka śródziemnomorska jest sztuką realizowania niemożliwości i ja rozumiem to lepiej niż ktokolwiek. Niepokoi pana Leporello, ale nie ma pan przeciwko niemu żadnych dowodów, a ja nie mam zamiaru robić z niego wroga właśnie teraz, w momencie kiedy może być użyteczny. Niepokoi pana pański Salamandra, który zresztą na razie nie pasuje do całej sprawy. Pragnie pan mieć możliwość swobodnego pokierowania śledztwem? Dam ją panu, ale proszę mnie zrozumieć, Matucci, kiedy wykonuję jakiegokolwiek posunięcie, ja jestem na tej szachownicy królem, a pan pionkiem. Może pan się na to zgodzić albo nie. Dałem mu odpowiedź bez chwili wahania.

— Zgadzam się. I dam panu uczciwe sprawozdanie. Jeśli nie spodoba mi się to, co pan robi, będę argumentował otwarcie. Jeśli nie dojdziemy do zgody, będę z panem walczył. Ale będę walczył otwarcie.

— To nierozważna obietnica, Matucci. Zwalniam z niej pana. Jeśli kiedyś przyjdzie panu ze mną walczyć, będzie pan musiał klamać jak dziwka i szachrować jak szuler, żeby ratować własną skórę... A propos, nie może pan spotkać się w tym stanie z Manzinim. Lokaj pokaże panu pokój gościnny, da zyletkę i czystą koszulę.

Tego samego wiosennego ranka, o ósmej, nie wiedząc, co zrobić z godziną czasu dzielącą mnie od spotkania z Manzinim, przyłączyłem się do Stefanellego, który pogwizdując schodził Hiszpańskimi Schodami. Słońce świeciło jasno, powietrze było świeże, podesty schodów ukwiecone dziewczętami. Byłem przez całą noc na nogach, ale czułem się cudownie odświeżony i zdawało mi się, że nawet z wyschniętego ciała Steffiiego tryska energia.

Był to Rzym od swojej najlepszej strony: zapach kurzu, kobiet, świeżego chleba i równie świeżych fiołków; gwar pogawędek po drodze na targ, klaskony taksówek, uroczysta defilada turystów bladych od mgieł Danii i północnych Niemiec; rozgardiasz kopuł, dzwonnicy i rdzawych dachów pełnych sznurów do bielizny i anten telewizyjnych. Była to fontanna młodości dająca człowiekowi fantazję, sadzająca mu ptaki na głowie i przypinająca skrzydła do zreumatyzowanych stóp.

U dołu schodów przystanęliśmy; Steffi kupił sobie goździk, który wetknął w butonierkę. Następnie skręciliśmy do herbaciarni Babingtona, gdzie Steffi miał postawić Solimbenemu herbatę i angielskie bułeczki. Solimbene był pedantem, ale pedantem pełnym wdzięku, pozwalającym sobie na małe ekscentryczności — smokingowa marynarka z aksamitu, fidesieciowy krawat, złoty łańcuszek od zegarka i monokl na jedwabistej tasiemce. Żywił również namiętność do rudych kobiet i angielskich obyczajów, chociaż nigdy w życiu nie wyprawił się dalej niż do Paryża.

Zastaliśmy go usadowionego już w kącie herbaciarni, ściskającego dłoń jasnowłosej kelnerce i wyznającego swoją namiętność w okropnej niemczyźnie. Puścił ją niechętnie i skierował potok swojej wymowy na Steffięgo:

— Drogi kolego! Bracie w heraldyce i w sztuce! Steffi mój, mam dla ciebie rewelacje! Rewelacje, tajemnice i skandale! Nie śmieć się! Masz okropny zawód — krew, kurz, ekskrementy i ubrania zdarte z trupów. Ja? Ja żyję wśród czarownych bajek — pelzające gryfony i odpoczywające jednorożce, heraldyczne wielbłądy i lwy, tańczące delfiny, magiczne miecze w dłoniach bez ciał. Ale kiedy potrzebny ci najdrobniejszy fakt, kto go znajduje? Ja! Solimbene, heraldyk!... Tak, skarbie, tak, gołębico moja, herbatę, bułeczki i dżem. Kawa to napój szaleńców. Powoduje niestrawność i wysusza kiszki... Otóż, moi przyjaciele, zaczniemy od tego — położył kartkę z salamandrą na stole i przebił ją widelczykiem do ciastek — co nic ma nic wspólnego z heraldyką, lecz z kaligrafią, sztuką mnichów. Nawet korona jest podrobiona. Jednakże nie upierałem się, byłem przygotowany na przyjęcie *mutatis mutandis* heraldycznej wersji pochodzenia. Rezultat? Zacząłem polować na salamandry na wszystkich europejskich tarczach herbowych. Oblęd! Istny oblęd! W końcu zredukowałem liczbę możliwości do pięciu. Znowu oblęd! — Rozłożył lśniące fotografie na stoliku i skomentował je: — Te dwie rodziny wygasły. Jedyнным żyjącym potomkiem tej rodziny jest mnich, kartuz z Florencji. W ten sposób, drodzy przyjaciele, pozostaje nam ostatnia fotografia. Znalazłem ją w naszych katalogach w dziale *Curiosa* i *exotica*. Tu jest wasza salamandra w pierwszej i czwartej ćwiartce. Podtrzymują ją pelzające lwy. Wykonanie, jak widzicie sami, wspaniałe. Jeden tylko problem: to nie jest wcale herb. To zostało w całości wymyślone przez artystę. Nie należy do żadnej znanej rodziny.

Stefanelli wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście charakterystycznym dla Lewantyńczyka.

— Tak więc rzecz okazała się piękna, ale nic nie znaczy. Po co nam to pokazujesz?

— Och, coś jednak znaczy, drogi kolego. I to znaczy sporo — oznacza szalbierstwo, oszustwo i skandale soczyste jak befsztyk. Ile ty masz lat, Steffi?

— Nie twoja sprawa.

— No no, nie obrażaj się. Wyświadczam ci łaskę.

— Żadna łaska, zapłacono ci, i to dobrze, zakładając, że pułkownik podpisze rachunek. A teraz wyduś wreszcie z siebie, co masz do powiedzenia.

Kelnerka wróciła z herbatą i bułeczkami, a Solimbene znowu obsypał ją komplementami i pochlebstwami. Wreszcie, kiedy udało jej się umknąć, zaczął od nowa odgrywać swoją komedię z notesem, monoklem i kwiecistą retoryką.

— W roku pańskim tysiąc dziewięćset i dziesiątym, kiedy panował nam łaskawie Pius X, żyła sobie na rzut kamieniem od miejsca, gdzie się w tej chwili znajdujemy, sławetna dama zajmująca się modniarstwem — hrabina Salamandra. Utrzymywała stosunki jedynie ze szlachetnie urodzonymi i majątynymi — wśród nich z pewnym operowym śpiewakiem, który opuściwszy jednego ranka jej dom został śmiertelnie postrzelony, przypuszczać należy — przez zazdrosnego rywala. Naturalnie wybuchł skandal. Dama w towarzystwie pewnego ze swych klientów opuściła kraj i udała się do Nicei. Śledztwo przeprowadzone przez policję wy dobyło na światło dnia fakt, że hrabina Salamandra nie była ani trochę hrabiną, ale młodą Szkotką o nazwisku Anna Mackenzie, która wypadłszy z miękkiego szlacheckiego łóża, postanowiła wzbogacić się tymże sposobem... Jak się panu podoba ten wstęp, pułkowniku? Czy podpisze pan rachunek? A może już się pan znudził?

— Mów dalej! Człowieku, mów dalej!

— Tego herbu używała hrabina Salamandra. Wykombinowała go dla swoich zawodowych celów.

— Czy to wszystko?

— Wszystko? — Solimbene poczuł się urażony. — Drogi pułkowniku, kiedy ja coś robię, robię do końca. Schodziłem całe miasto, by pana zadowolić. Zakopałem się jak borsuk w kartotekach Centralnego Archiwum. Całe godziny mojego życia spędziłem wśród zaszuszonych wdów, które prawie, chociaż nie całkowicie, wyleczyły mnie z chuci. Panna Anna Mackenzie była swego czasu na służbie u hrabiego Massimo Pantaleone jako niańka i guwernantka jego córek. Zaszła z hrabią w ciążę i porzuciła służbę. W sierpniu 1900, poślubiła niejakiego Lukę Salamandrę, określonego w świadectwie ślubu jako cyrkowiec, który dwa dni po weselu spadł z liny i skrzył kark. Dziecko, chłopiec, urodziło się tydzień po zgonie Salamandry i na chrzcie, który odbył się w kościele kapucynów przy Via delie Zoccolette, otrzymało imię Massimo. Oto świadectwo ślubu, urodzin i chrztu, wszystkie z 1900 roku. W październiku tego samego roku dama nazywająca siebie hrabiną Salamandra osiedliła

się w Palazzo Cherubini i zaczęła przygotowywać się do wejścia w rzymskie towarzystwo. Można założyć, opierając się na plotkach moich wdów, że jej awantura finansowana była z hojnej pensji płaconej przez starego hrabiego Pantaleone.

— A co stało się z chłopcem?

— Uciekając do Nicei matka zabrała go ze sobą. Następnie brak śladów aż do roku 1923, kiedy młody człowiek o nazwisku Massimo Salamandra stanął przed Trybunałem Rzymskim wnosząc sprawę o zmianę nazwiska na Bruno Manzini. Trybunał zgodził się i zmiana zapisana została w Centralnym Archiwum w Rzymie — tam gdzie znalazłem ją wczoraj... No więc, dzentelmeni, dostanę moje pieniądze?

Nie pisałem ani słowa, ale w tym momencie mógłby potroić swoje wynagrodzenie i zapłaciłbym bez mrugnięcia okiem.

Kiedy prowadzi się grę przeciwko własnej firmie, zawsze opłaca się zachować asa w rękawie. Oczywiście nawet to nie pomoże, jeśli reszta talii została ułożona niekorzystnie.

Cavaliere Bruno Manzini przyjął mnie w apartamencie wystarczająco obszernym, żeby mogła się w nim zmieścić dywizja piechoty i jeszcze byłoby miejsce dla służb kwatermistrzowskich. Jego poorana twarz była dobrotliwa. Troszczył się nawet o moje zdrowie.

— Wygląda pan dzisiaj dosyć mizernie, pułkowniku. Długa noc?

— Długa, cavaliere. Jeszcze nie spałem.

— Mój drogi! Gdybym wiedział, moglibyśmy umówić się na późniejszą godzinę.

— To bardzo miło z pana strony, ale rozpaczliwie potrzebne mi są wszelkie informacje, jakich może mi pan udzielić.

— Nie traćmy więc czasu. Co pan już wie?

— Że pana matką była niejaka Anna Mackenzic, przez pewien czas guwernantka u Pantaleonów. Że jest pan dzieckiem z jej związku ze starym hrabią. Że został pan ochrzczony jako Massimo Salamandra w Rzymie w 1900 roku. Że pańska matka ze względu na interesy obrała sobie fałszywy tytuł i odpowiedni herb. Godło Salamandry widoczne jest w herbie. W roku 1923 zmienił pan nazwisko na Bruno Manzini...

— Jak pan zdobył te wszystkie informacje?

— Trochę szczęścia, trochę heraldyki i Centralne Archiwum.

— Co jeszcze może mi pan powiedzieć?

— To zależy, cavaliere, jak wiele jest pan gotów powiedzieć mnie.

— Wszystko, co pan chce wiedzieć.

— To znaczy?

— To, co powiedziałem.

— Zatem, dlaczego szantażował pan brata?

— Szantażował? Drogi Matucci, od czasów wojny stałem się człowiekiem nieprzeciętnie bogatym. Mojego brata mogłem sprzedać i kupić dwadzieścia razy. Groziłem mu publiczną hańbą! Gdyby upierał się przy tej szaleńczej polityce, jaką prowadził, poświęciłbym go bez litości.

— Zamiast tego zabił go pan?

— Przepraszam, nie dosłyszałem!

— Umarł z powodu przedawkowania lekarstw, które sam zażył.

— Ten fakt nie został podany do wiadomości publicznej. Dlaczego?

— Mówiąc bez ogródek, cavaliere — obawiano się politycznego skandalu, który mógłby wstrząsnąć krajem.

— Teraz ja mogę zrobić skandal.

— Zrobi pan?

— Nie. Zniszczyłbym cel, do którego dążę, a który jest także pańskim celem. Zapobiec wytworzeniu się politycznej próżni i zamieszkom.

— Zatem następne pytanie. Jeśli dokumenty, które wysłał pan bratu, wpadły w czyjeś ręce, jaki może być z nich zrobiony użytek?

— Teraz, kiedy Pantaleone nie żyje, niewielki. No, któraś z gazet może je opublikować i zrobić wokół nich huczek przez dziesięć dni, ale politycznie — takie jest w każdym razie moje przekonanie — byłaby to bomba o spóźnionym zapłonie. Dlaczego pan pyta?

— Ponieważ wszystkie papiery Pantaleonego zostały skradzione wczoraj w nocy z biura doktora Sergia Bandinello. Bandinelli oraz jeden z naszych agentów zostali zamordowani.

— Prasa nic o tym nie pisze.

— I nie będzie pisała, chyba że pan zdecyduje się tę wiadomość opublikować.

Patrzył na mnie z ogromnym zdumieniem. Potem potrząsnął głową jak człowiek, którego zbudzono nagle i który nie wie, gdzie się znajduje. Wymawiał teraz słowa powoli, jakby nie mogły wyrazić dokładnie jego myśli.

— Nie wierzę... Nie mogę uwierzyć... że inteligentny, rozumny człowiek mógłby... może być tak nierozważny, żeby oddać się w ten sposób w ręce kogoś obcego. Dał mi pan do ręki bombę atomową, pułkownik. Przy jej użyciu mogę wysadzić w powietrze cały kraj... Boże, czy pan tego nie widzi! Pan, oficer służby czynnej, ni mniej, ni więcej, tylko zgodził się na sfalszowanie danych o samobójstwie, a następnie... ukrył pan dwa morderstwa! Skąd pan wie, że nie wezmę do ręki słuchawki, nie wezwę prasy — pewna jej część jest zresztą moją własnością — i nie rozgłoszę wiadomości na cały świat?

— Nie wiem tego, cavaliere. Gram.

— Jest więc pan szaleńcem.

— Tylko w przypadku, jeśli pan podniesie słuchawkę. Jeśli nie, jeśli odda pan swoją wiedzę do mojej dyspozycji, wtedy jestem najzdrowszym umysłowo człowiekiem w Rzymie.

— Ale nie ma pan żadnych gwarancji, czy nie tak?

— Na tym cholernym świecie, cavaliere, nie można mieć nigdy żadnych gwarancji i pan wie o tym. Prawo jest tylko cienką osłonką nad gniazdem mrówek-żołnierzy. Nawet śmierć to teraz wielki biznes — biznes międzynarodowy. Chce pan, żeby zabito kogoś w Izraelu, sprowadza pan samolotem zabójców z Japonii. Chce pan dokonać morderstwa w Wenecji, dzwoni pan do Londynu lub Monachium i następnego dnia mordercy przybywają. Porwać samolot? Nic prostszego. Umawia się pan w Nowym Jorku, załadowuje swoich ludzi w Sztokholmie i każe pilotowi lecieć do Libii, jeśli to panu odpowiada... Muszę komuś ufać. Powiedzmy, że ufam panu, bo gardzi pan robotą, którą ja wykonuję, i nie kryje się pan ze swoją pogardą... Teraz, możemy iść dalej?

— Oczywiście skontroluje pan wszystkie moje odpowiedzi?

— Jakbym był samym wielkim inkwizytorem.

— Tak lepiej. Proszę zaczynać.

— Cavaliere, co według pana może znajdować się w papierach Pantaleonego, co warte byłoby życia dwóch ludzi i ryzyka samej zbrodni?

Rozważał to przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

— W samych papierach rodzinnych bardzo niewiele. Są tam pewnie akty nadania, transakcje, testamenty, ugody, stare listy, zapewne niektóre z nich o posmaku skandalicznym, ale interesujące jedynie dla badacza obyczajów. W osobistych papierach brata... Zastanówmy się nad nim jako nad żołnierzem i politykiem, rozgrywającym partię o władzę. Mógł zgromadzić dossier dotyczące zarówno przyjaciół, jak nieprzyjaciół. Niektóre z tych dokumentów mogą być bardzo wartościowe bądź dla samych zainteresowanych, bądź dla ich politycznych rywali. Ale morderstwo?... Jakoś tego nie widzę. Jest pan ekspertem w sprawach dossier. Ja też korzystam często z takich dokumentów. Ale prawdę mówiąc, jaką mają naprawdę wartość uzyskiwane tą drogą informacje? We Włoszech każdy zna odrobinę — albo i nie odrobinę — brudów z życia najbliższego sąsiada... wszyscy kupczymy plotkami i skandalami, a jeśli czegoś nawet nie wiemy, zmyślamy. To choroba społeczna, którą można znieść tylko dlatego, że ma charakter endemiczny jak syfilis wśród kozaków. Nasza moralność seksualna jest bardzo osobliwa, etyka społeczna nie istnieje. Po faszystach i wojnie, po okupacji i zabieganiu o międzynarodowe rynki, po całej niedawnej historii Watykanu i wszystkich szykanach najnowszych dziejów politycznych, któż jeszcze ma czyste ręce? Bez względu na to, co mój brat zapisał w swoim notatniku, może pan spokojnie stawiać na fakt, że dwadzieścia innych osób wiedziało o wszystkim wcześniej niż on. Nie twierdzę, że taki zestaw dokumentów jest bezwartościowy... Ale zamordować prawnika i funkcjonariusza państwowego?... Nie, nie wydaje mi się. Musi tu być coś więcej.

— Na przykład?...

— Najprawdopodobniej jakieś plany. Taktyka i strategia colpo di stato. Polityczna i wojskowa organizacja, która musi być przygotowana na właściwy

moment. Lista uczestników aktywnych i biernych. Magazyny broni i rozmieszczenie jednostek wojskowych sympatyzujących ze spiskowcami. Nawet pańska instytucja mogłaby uciec się do morderstwa, żeby coś takiego zdobyć.

— W tym wypadku nie ona dokonała morderstwa.

— Tak więc, Matucci, dotarliśmy do sedna sprawy. Musimy zdecydować się, czy możemy sobie nawzajem ufać. Do kogo należy następny ruch?

— Pana kolej, cavaliere!

— Przed pana przyjściem dzwonił do mnie dyrektor.

Znacie to dziwne uczucie w momencie szoku — jakby człowiek odłączał się od swojej powłoki cielesnej. Nagle znajdujesz się na zewnątrz siebie samego, patrząc na błazeństwa ciała, które już do ciebie nie należy. Patrzyłem na siebie samego miotającego się w pułapce, która utworzyła się pod moją nieostrożną stopą. Potem złudzenie minęło i znowu znalazłem się we własnej skórze, zżymając się na ironię tej sytuacji. Manzini patrzył na mnie poważnie, bez uśmiechu. Ciągnął dalej:

— Jest pan wściekły. Słusznie. Znam bardzo dobrze pańskiego dyrektora. To człowiek niezwykle sprytny, gdy chodzi o jego własną skórę, i pyszny jak Lucyfer. Chciał zademonstrować mi swój spryt, a także, jak przypuszczam, dać panu nauczkę za jakieś przewinienie.

— Tak, to chyba prawda. Co dalej, cavaliere?

— Teraz podam panu informację, której dyrektor jeszcze nie posiada. Wczoraj wieczorem, o godzinie ósmej, z ramienia jednego z moich towarzyszy podpisałem wstępną umowę z rządem. Umowa dotyczy dostawy znacznych ilości sprzętu do walk ulicznych. Specyfikacja została przygotowana przez generała-majora Marcantonia Leporello i sprzęt będzie używany przez oddziały znajdujące się pod jego rozkazami... Wyciągnąłem z tego pewne wnioski. Być może chce je pan usłyszeć?

— Proszę!...

— Gdybym był faszystą, starym czy nowym, gdybym szukał nowego przywódcy, byłbym w najwyższym stopniu zainteresowany możliwością ubicia targu z Marcantoniem Leporello.

— Być może targ został już ubity.

— Nie, pułkownik. Leporello czekał na podpisanie umowy; da mu to siłę ognia i większy jego wartość przetargową. Czekał jeszcze na coś innego.

— Na co?

— Nie mógł zaangażować się, dopóki papiery Pantaleonego nie znalazły się w jego rękach.

— I teraz je ma?

— Tak sędzę.

— Mam wrażenie, cavaliere, że jest pan kimś więcej niż człowiekiem interesu.

— Jestem salamandrą, pułkownik, tym, który wszystko przetrwa. A pan?

— Sługą państwa. Tylko że nie jestem pewien, czym jest obecnie państwo, i boję się tego, czym może stać się jutro.

— To czyni z nas sojuszników.

— Koślawy sojusz.

— Przeraża to pana?

— Tak, cavaliere, to mnie przeraża.

— Proszę więc pozwolić, że nieco pana uspokoję. Zapiszę pewne nazwisko i pewien adres. Można tam poznać cząstkę prawdy o mnie. Jeśli ta prawda okaże się satysfakcjonująca, odwiedzi mnie pan w Bolonii. Jeśli nie, i tak odniesie pan pewną korzyść.

Wyjął z portfela wizytówkę, zapisał na odwrotnej stronie nazwisko i adres i podał mi ją. Nazwisko: Raquela Rabin, adres: jedna z ulic w okolicy teatru Marcellusa. Żadnych dalszych wyjaśnień. I ja o nic nie pytałem. Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym odprowadził mnie do drzwi i otworzył je przede mną.

— Jeszcze jedno, pułkowniku...

— Słucham.

— Rada starego żołnierza. Niech pan chodzi zawsze przy ścianie i śpi z jednym oknem otwartym... Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

— Ja też mam nadzieję, cavaliere. Do widzenia.

Kiedy wyszedłem na ulicę, była dokładnie dziesiąta. Dzwony Santa Susanna wybijały godzinę; intensywny ruch uliczny tworzył dramatyczny dysonans z bezmyślną obojętnością na twarzach przechodniów. Poczulem się nagle zmęczony, chwiałem się na nogach. Wsiadłem do samochodu i w niebezpiecznym oszołomieniu pojechałem do Liii. Załomotałem w drzwi mieszkania i prawie padłem w jej ramiona, kiedy otworzyła. Nie pytała o nic. Zaprowadziła mnie do sypialni i pomogła się rozebrać. Nie wiem, co mówiłem lub usiłowałem powiedzieć, ale otuliła mnie kocem jak dziecko i zostawiła, kiedy zapadłem w głęboki sen.

Ten sen był wędrówką do świata podziemnego, tak głęboko, że porzuciłem nadzieję na wyrwanie się koszmarom, które mnie osaczyły; ścigali mnie pozbawieni twarzy łowcy ludzi, pędzono mnie mrocznymi tunelami, stałem obnażony na pustyni, gdzie wpatrywała się we mnie setka oskarżycielskich oczu, znalazłem się w grobowcu i jakiś nieboszczyk wskazywał mnie jako winnego, wieszano mnie za kciuki w moim własnym pokoju przesłuchań i zamaskowany oprawca podsuwał mi pod nos fiolkę z trucizną. Krzyknąłem, kiedy zmiażdżył ją w swoich olbrzymich palcach, i obudziłem się, spocony, drżący i owinięty w pościel niby w całun.

Raził mnie zapach własnego ciała. Był to zapach strachu zbyt długo powstrzymywanego, zakwaszającego soki ciała, rozsiewanego jak odchody zwierzęce, które dają trop drapieżnikowi. Zostałem już napiętnowany; przez dyrektora jako człowiek nieprzejednany, przez Leporella jako człowiek, którego trzeba oczarować albo przekupić, przez Manzinico jako pożyteczny w

tym momencie współpracownik, gotowy do usług na każde drgnienie brwi. Byłem w niebezpieczeństwie, bo za dużo wiedziałem. Zawszą czyły się zagrożenia, bo zbyt mało mogłem zrobić. Byłem głupią kozą, którą uwiązano, by przywabić tygrysa, a jeśli tygrys się nie zjawi, ukryty na drzewie strzelec zastrzeli mnie, jeśli tylko zechce.

Liii grozi to samo. Od jej ludzi, jeśli nie od naszych. Stałem na drodze Dzieciola. Jego siatka jest w rozsypce. Liii skompromitowana. W tym fachu oznacza to, że została przeznaczona do likwidacji. Jeśli nie dopadną jej mordery, dyrektor poleci ją aresztować, choćby tylko po to, żeby dać mi nauczkę. Spojrzałem na zegarek. Trzecia. Trwa pora sjęsty. Podniosłem słuchawkę telefonu znajdującego się przy łóżku i wykręciłem numer mieszkania Stefanellego.

— Steffi? Tu Matucci.

— Na Boga, czy ty nigdy nie śpisz?

— Steffi, dach wali mi się na głowę. Masz wolny pokój?

— Dla ciebie?

— Nie. Chodzi o bardzo delikatny towar.

— Jak bardzo delikatny?

— Musi być chroniony przed ciepłem i światłem, dopóki nie znajdę innego magazynu.

— Porca miseria! Całą noc spędziłem z tobą. Z tobą jadłem śniadanie. Spałem kiepsko dwie godziny i jeszcze jestem w piżamie!

— Steffi, towar może eksplodować i urwać mi głowę!

— Ojejej!... Skąd mam go odebrać?

— Przywiozę ci sam. Wracaj do łóżka.

— Dziękuję serdecznie, przyjacielu.

Odłożyłem właśnie słuchawkę, kiedy przyszła Liii, marszcząc brwi, zadowolona.

— Zdawało mi się, że mówisz przez sen. Krzyczałeś i jęczałeś.

— Miałem złe sny, Liii.

— Sam wyglądasz jak zły sen. Co zdarzyło się od chwili, kiedy rozstaliśmy się ubiegłej nocy?

— O nic nie pytaj. Słuchaj, co powiem.

— Ale...

— Liii, zapaliło się dla ciebie ostrzegawcze światło. Spróbuję wywieźć cię z kraju do Szwajcarii. To wymaga czasu i starannego zaplanowania. Umieszczę cię w bezpiecznym domu. Zostaniesz tam, dopóki ja nie przygotuję przerzutu. Tak czy nie?

Wyczułem nagle napięcie jej dłoni; zobaczyłem podejrzliwość w oczach.

— Jeśli powiem nie?...

— Zabiją cię twoi ludzie albo moi wsadzą do więzienia.

— Nie wierzę. Ubiegłej nocy...

— Ubiegła noc była milion lat temu. Kiedy my śpiewaliśmy *Rozbieraną piosenkę*, dwaj ludzie zostali zamordowani; jednym z nich był mój człowiek, drugim prawnik Pantaleonego. Nie napisano o tym w gazetach, ponieważ zablokowaliśmy informację. O czwartej nad ranem aresztowałem Dzieciwoła. Twoja siatka jest rozbita. Ty sama skompromitowana. Mogę chronić cię nie dłużej niż kilka dni; i tak narazam się na ryzyko.

— Po co?

— Żeby dowieść samemu sobie, że nie jestem sukinsynem. Zrobisz to? Masz piętnaście minut czasu; mniej więcej tyle, ile ja potrzebuję na prysznic i ubranie się. Potem rób, co ci się podoba.

— Dante!... Pomóż mi! Boję się.

— Chcę, żebyś się bała, Liii. Chcę, żebyś robiła dokładnie to, co powiem, i na rany Boskie, nie próbuj niczego zrozumieć. Jasne?

— Tak.

— Ruszaj. Zapakuj się w mały neseser. Bizuteria, książeczka czekowa, cała płynna gotówka, jaką masz w domu.

W tej samej chwili zabrzączał dzwonek: cztery melodyjne nuty, złowieszczy dźwięk wśród ciszy. Położyłem palec na wargach Liii i szepnąłem:

— Gospodyni?

— Nie. Ma dzień wolny.

Stoczyłem się z łóżka, śmieszny w mojej nagości, i poczołgałem salonem do korytarza. Przez otwór na list wrzucono kopertę, która leżała teraz mniej więcej stopę od drzwi. Pochyliłem się, żeby podnieść list, i nagle cofnąłem rękę. Jest pora sjesty. Żaden szanujący się listonosz nie będzie chodził o tej porze po ulicy. Wróciłem do sypialni.

— Liii, czy masz łąpatkę do obracania kotletów na patelni lub coś w tym rodzaju?

— Chyba tak, dlaczego?

— Daj mi.

Liii szperała w kuchni, a ja w tym czasie ubrałem się. Potem bezsensownie uzbrojony w łąpatkę wróciłem do korytarza i podniosłem list wsuwając ją pod spód. Położyłem go ostrożnie na stojącym pośrodku pokoju stoliku. Adres napisany był na maszynie. Znaczek włoski. Ale nie ostemplowany. Zostawiłem list, poszedłem do sypialni, krzyknąłem do Liii, żeby kończyła pakowanie, i zadzwoniłem do kumpla pracującego w pocztowej służbie bezpieczeństwa. Podał mi radosną wiadomość, że normalny list-bomba mieści wystarczającą ilość ładunku wybuchowego, żeby zabić tego, kto go rozpierze, i okaleczyć wszystkich, którzy znajdą się w pokoju przeciętnych rozmiarów. Obiecał, że przyśle eksperta za trzydzieści minut. Powiedziałem, że nie mogę czekać tak długo. Oznajmił, że lepiej będzie, jak zadzwonię po policję i postawię kogoś na straży, dopóki nie zjawi się ekspert.

Popędzałem pakującą się Liii. Zamknęliśmy mieszkanie i nie korzystając z windy zeszedliśmy cztery piętra do hallu. Portier siedział przy swoim pulpicie z nosem w „Corriere delio sport”. Po obu stronach ulicy stały jeden za drugim samochody. Mój własny wóz był pięknie zaklinowany między jakimś mercedesem a fiatem 600.

Zostawiłem Liii w hallu i wyszedłem. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć pani, która wyszła na spacer z psem, starego zmiatacza, pracowicie pchającego śmietnik na kółkach, i kwiaciarki na rogu, która drzemała w swoim kiosku. Przyjrzałem się domom po przeciwnej stronie ulicy. Wszystkie okna były pozamykane, niektóre zasłonięte żaluzjami. Nie ma tu miejsca dla strzelca wyborowego. Wróciłem do budynku i wykręciłem numer Pronto Soccorso, pogotowia policyjnego karabinierów.

Pięć minut później wóz lotnego patrolu zahamował przed wejściem i przybiegli dwaj mężczyźni. Brigadiere był chłodny i rzeczowy. Zadzwoeni po brygadę od materiałów wybuchowych, żeby załatwili sprawę listu i skontrolowali mój wóz, czy nie ma jakiejś pułapki. Czy w tym czasie mógłbym złożyć zeznanie?... Moja legitymacja przekonała go, że może z tym poczekać. Potrzebny mi jest jego samochód i kierowca, żeby odwieźć panią i mnie do hotelu Excelsior.

Senz'altro...

Ruszyliśmy na pełnym gazie i po chwili znaleźliśmy się naprzeciwko hotelu. Przez pięć minut oglądaliśmy wystawy u Rizzolego, potem wzięliśmy taksówkę do teatru Marcellusa i przez labirynt alejek poszliśmy do domu Steffiego...

Steffi powitał nas z charakterystyczną dla niego wylewnością. Cmoknął na widok Liii, obsypał ją komplementami, nalegał na to, żeby osobiście zaprowadzić ją do przeznaczonego dla niej pokoju, a potem popędził na dół, by przypomnieć mi, że potrafi mieć ostry język.

— Matucci, ty chyba zwariowałeś! Ten bagaż na górze jest diabelnie niebezpieczny! Kiedy dojdzie to do dyrektora, a dojdzie wcześniej czy później, będziesz ugotowany jak langusta i będziesz wył z bólu. Boże Wszechmogący! Sam podsuwasz pretekst, żeby wysłać cię na dwadzieścia lat w odstawkę. Pułkownik SID zaprzedał się polskiej agentce! Mógłbym z zawiązanymi oczami przygotować akt oskarżenia! I na dodatek cały ten melodramat, list-bomba i wzywianie karabinierów, żeby oczyścili twój samochód. Tylko czekać, jak zaczną krążyć papierki w tej sprawie!

— Steffi, czy masz whisky?

— Dla ciebie cykute z wodą sodową.

— Nalej więc mi dużą, ale zamknij się.

— Patrzcie, każe mi się zamknąć! Brakuje jeszcze tylko tego, żebyś zapragnął przespać się z tą kobietą pod moim dachem.

— Może do tego dojść, Steffi.

— Ale nic z tego! To porządny żydowski dom. Jeśli ktoś miałby go splugawić, to na pewno nie taki głupi goj jak ty. Masz tu drinka.

— Wiwat, Steffi.

— Niech ci spali przełyk... Czy moglibyśmy teraz porozmawiać przez minutę poważnie?

— Jestem poważny, Steffi. Spływam krwawym potem.

— To dobrze! Wypoć jeszcze trochę dla mnie.

— Powiedz mi, kto to jest Raquela Rabin?

— Po co ci ta informacja?

— Zostałem jej polecony. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o niej, zanim się z nią spotkam.

Przez chwilę patrzył na mnie z zakłopotaniem i wrogo; potem usiadł ciężko na krześle, zacisnął obie dłonie na szklaneczce i bez ruchu wpatrywał się w zawarty w niej płyn. Starzec zniszczony przez czas i bieg historii.

— ...Z Oświęcimia powróciło piętnaścioro, pułkownik. Raquela Rabin była wśród nich jedyną kobietą. Kiedy w getcie wymawiasz jej nazwisko, robisz to z szacunkiem, z wielkim szacunkiem. Nie musiała wyjeżdżać z transportem, miała potężnych protektorów. Ale kiedy podjechały ciężarówki, była na miejscu, stała na piazza czekając niby córka Dawida. Była artystką, Matucci, anielski głos, była jedną z największych artystek swoich czasów. Kiedy ją zobaczysz, pomyślisz, że jest starsza ode mnie, ale ma tylko sześćdziesiąt sześć lat. Przeżyła wszystko, czego kobieta nie powinna przeżywać, ale nadal jest przy zdrowych zmysłach i wspaniała jak gwiazda wieczorna... Będziesz wobec niej zachowywał się bardzo łagodnie. Będziesz wierzył bez zastrzeżeń we wszystko, co ci powie, nie zadając żadnych pytań. Nie wmieszasz jej w swoje śmierdzące afery. Nie wmieszasz jej, jasne?

— Spokojnie, Steffi... Spokojnie!

— Zaprowadzę cię do niej, bo chcę, byś idąc tam był czysty i pokorny, ponieważ jest to wielka kobieta. Zrobiłem ci przysługę, pułkownik. Twoja kobieta — a jest to twoja kobieta, czy nie tak? — znalazła się pod moim dachem i ja narażam się. A teraz powiesz mi, kto cię polecił?

— Bruno Manzini.

— Po co?

— Powiedział, że jeśli Raquela Rabin będzie miała o nim dobrą opinię, być może mu zaufam. Potrzebuję tego, Steffi. Ostrzegłeś mnie kiedyś, że mogę pójść pod młotek. I to się stało, Steffi. Jutro albo pojutrze ktoś otworzy licytację. Będą dawać dużo, będą kusić. Nie jestem pewny, czy potrafię się im oprzeć... Powinien mi pomóc jakiś mądry przyjaciel. Silny może natchnąć mnie odwagą. Wycofuję się z gry, Steffi, bo nie wiem już, w co wierzę. Nie wiem nawet, kim jestem.

Rozpromienił się na te słowa, jakbym odczytywał mu najpomyślniejsze wiadomości. Zadarł głowę przyjmując pozę starej papugi i przyglądał mi się ze wstrzemięźliwą aprobatą.

— Otóż to! Historyczny moment. Risorgimento pułkownika Dantego Ali-ghieriego Matucci. Tak zatem nie wiesz, kim jesteś? A kto wie? Jedno jest pewne jak dwa a dwa cztery: dobrze byłoby, gdybyś wiedział, co się z tobą dzieje.

— Wiem. Ale nie rozumiem.

— Bo nie chcesz dojść do ładu z samym sobą. Nie chcesz się zdecydować, kim jesteś, patriotą czy najemnikiem.

— To twarde słowa jak na przyjaciela!

— To słowa prawdy, właśnie dlatego, że jestem twoim przyjacielem.

— Zbyt wiele razy widziałem, Steffi, jak łobuz przypina sobie etykietkę niewinności.

— Zadam ci więc bardzo proste pytanie. Mogłeś dzisiaj stracić życie. Jutro to niebezpieczeństwo będzie jeszcze większe. Dlaczego je podejmujesz? Kiedy stawką jest twoje życie, na co je stawiasz albo przeciwko czemu?

— Może na marzenie, Steffi... sam nie wiem. Może przeciwko szaleństwu, które śmierdzi mi dzień w dzień na ulicach. W jakimś sensie w centrum tego wszystkiego jest ziemia. Winorośl dojrzewająca na zboczach, białe wzgórza, brunatne ścierniska, nadrzeczna turzyca otulona mgłą. Moja ziemia! Nie chcę żyć na niej kosztem cierpienia i przywilejów. Lud? To co innego. Nienawidzę tłumu, który mnie potrąca, bezmyślnych urzędników, którzy poniewierają mną od rana do wieczora; ale wtedy nagle staje mi przed oczyma kobieta nabrzmiała niby winne grono; obsługuje mnie wieśniak, który mówi: Salve! i podaje mi wino, chleb i sól, jakbyśmy byli braćmi... To dobre rzeczy, Steffi, rzeczy namalowane na ścianach etruskich grobowców, wychwalane w pieśniach rybaków... O Boże! To jest dom. I nie chcę, żeby zdeptano go buciorami, nie chcę, żeby splugawił go bezmyślny motłoch... A teraz może byśmy dali już temu spokój?

— Nie mogę dać temu spokoju, przyjacielu. Ty też nie. Jesteś człowiekiem, który zna politykę od podszewki, zna wszystkie tryby w machinie władzy. Do ciebie należy decyzja, jak masz tę wiedzę wykorzystać.

— Nie płaci mi się za jej wykorzystywanie, tylko za jej zbieranie.

— Zbierasz ją, to prawda, ale także filtrujesz. Przekreślasz, podkreślasz, interpretujesz. Ku czemu zwracasz wtedy wzrok?

— Na Boga, czego my wszyscy chcemy? Spokojnego życia. Odrobiny godności w naszym życiu i umieraniu.

— To nie wystarcza! To nie wystarcza nawet w połowie! Spójrz tylko...

— Spokojnie, panie starszy! — sprzeciwiła się Liii stając w drzwiach, chłodna i jednocześnie zawzięta. — Niech sam znajdzie sobie odpowiedź, kiedy przyjdzie na to pora.

— Nie ma czasu — Steffi był szorstki i brutalny. — Okradł sam siebie oddając swój czas pani.

— Jestem tu, gotowa mu go zwrócić. Czy mogłabym usiąść?

Steffi wskazał krzesło i Liii usiadła między nami. Położyła dłonie płasko na stole, jakby chcąc podkreślić, że siedzi tu wyprostowana, panująca nad sobą. Przez chwilę milczała skupiając myśli, potem powiedziała:

— Wy dwaj jesteście przyjaciółmi. Ja jestem kimś z zewnątrz. Zgadzam się zostać tu, bo się boję. Nie chcę, żeby mnie zabili. Nie chcę spędzić reszty życia w rzymskim więzieniu. Ale nie jestem żebrakiem. Mogę zapłacić za wszystko, co mi dacie.

— Nikt nie prosi cię o zapłatę.

— Nie. Ale zapłacę. — Zwróciła się w moją stronę i położyła swoją dłoń na mojej. — Będziesz na mnie bardzo zły, Dante Alighieri.

— Zły?

— Jest coś, o czym ci nie powiedziałam. Być może powiedziałabym ubiegłej nocy, gdyby... gdyby wszystko ułożyło się inaczej. I znowu... nie mogłam. Wtedy jeszcze stale dobijaliśmy jakiegoś targu. Dzisiaj miałeś w rękach moje życie. Nie targowałeś się. Nie targował się też twój przyjaciel.

— No więc...?

— Massimo Pantaleone nie złożył wszystkich dokumentów w banku.

— Gdzie jest reszta?

— W willi na wyspie Ponza.

— Co to za dokumenty?

— Mikrofilmy i mapy.

— Od jak dawna się tam znajdują?

— Zabrał je ze sobą, kiedy po raz ostatni jechaliśmy do willi — tydzień przed śmiercią.

— Ale nie powiedziałeś o tym Dzieciołowi ani ludziom z siatki?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie miałam żadnej kontroli nad poczynaniami Dziecioła. Jeśliby ukradł dokumenty, byłabym skończona. Jedynie Massimo i ja mogliśmy znać schowek.

— Czy możesz opisać ten schowek?

— Nie. Ale mogę cię tam zaprowadzić.

— W takim razie trzeba ułożyć wszystko od nowa. Musisz poczekać tutaj, dopóki nie dojdziemy z tym do ładu. Steffi, ciebie i mnie czeka pewna wizyta. Nie wychodź z domu, Liii. Jeśli ktoś zadzwoni, nie podnoś słuchawki. Będziemy z powrotem mniej więcej za godzinę.

— Ja być może nie wrócę — oznajmił ponuro Steffi. — Chyba rzucę się do Tybru. Nie chcę żyć, kiedy będziesz wyjaśniał dyrektorowi tę zwariowaną sytuację.

Nie rzucił się do Tybru. Dobrowolnie zaszył się we własnej przeszłości i zmusił mnie, bym podążył za nim, jakbym musiał przed spotkaniem z Raquelą

Rabin poddać się jakiemuś rytuałowi inicjacji. Kiedy kroczyliśmy — a nie pozwoliliby mi przyspieszyć kroku — ulicami starego getta, przy każdej bramie wywoływał duchy; stary stolarz meblowy Marco, który z sosnowego pnia wystrugał kształt przerażającego zbrojcy i od spodu wyłoblił litery swojego nazwiska; aptekarz Ruggiero, który wprowadził go niegdyś w tajemnicę zmumifikowanej dłoni i wody zmieniającej kolor, kiedy się ją tą ręką wymieszało; rusznikarz Blasio i pistolety, z których zabito w pojedynkach pięciu mężczyzn.

W miarę jak mówił, jego opowieść stawała się coraz żywsza, jego gesty coraz obszerniejsze i coraz bardziej egzotyczne. Zmiotł nimi wszelkie ślady teraźniejszości i osadził mnie mocno w mieście swojej młodości. Tutaj na przykład miał swoje miejsce Salamone zwany przez mieszkańców dzielnicy Salamone Vecchione. Był tak stary, że robił wrażenie bliźniaka Matuzalema, tak skurczony, że jeszcze rok, a zniknąłby całkowicie. Nosił długi czarny chałat, który stawał się zielony, kiedy padał nań promień słońca, małą czarną czapkę na czubku drobnej czaszki i srebrny łańcuch z gwiazdą, zwieszający mu się na dychawiczną, wklęsłą pierś. Ciągnął wózek, z którego sprzedawał stare druki i książki o pokrytych pleśnią okładkach, metalowe tuby zawierające zwoje i gliniane tabliczki, wyglądające, jakby przeszły po nich jakieś ptaki, zanim wypalono je w piecu.

Ludzie na targu bali się Salamonego — i traktowali go z przesadnym szacunkiem należnym mędrcom albo komuś, kto rzuca urokami. Kiedy przechodził, robili znaki zabezpieczające przed złym spojrzeniem i mruczeli, nie szczęśliwi, coś o ogniu, który pochłonie Żydów i pogan. Ale dla młodego Stefanellego był on jak dobry duszek, który w każdej kieszeni skrywa jakieś cuda.

Nie wszystkie cienie wywołane przez Steffiego były przyjazne. Niektóre to posepni zdrajcy; inne — wrogowie z sennych koszmarów. Na przykład garbus Luca, który siedział na stołku przed fryzjerem i pozwalał za pieniądze dotknąć swojego garbu. Luca był policyjnym prowokatorem, który szpiegował mieszkańców getta na polecenie faszystów. Balbo zaś był łotrowskim policjantem, który ścigał haracz z każdego sklepikarza w swoim rewirze, a fra Patrizio wygolonym franciszkaninem, który w każdym kazaniu szydził z Żydów, bo codziennie krzyżują Zbawiciela...

— Czasem — oznajmił Steffi markotnie — chciałbym ich wszystkich zapamiętać. Ale Bóg lubi ironię i trzyma w swoich dłoniach klucze do pamięci... Jesteśmy na miejscu, pułkowniku. Przedstawię cię Raqueli Rabin i wyjdę. W rozmowie z nią będziesz zmierzał prosto do sedna sprawy i nie zabierzesz jej zbyt wiele czasu. Jest bardzo krucha.

Rzeczywiście była krucha, białowłosa, blada jak mleko, prawie przezroczysta, miało się wrażenie, że najbliższy sirocco zabierze ją ze sobą. Jedyne oczy miała pełne życia, ciemne i błyszczące, i dziwnie litościwe. Siedziała wyprostowana, słuchając w milczeniu moich wyjaśnień, kim jestem i po co przycho-

dżę. Kiedy skończyłem, popadła w zamyślenie niby starożytna Pytia czekająca, by duch wieszczki tchnął w nią życie. Czulem się dziwnie pomniejszony — jak neofita ignorant w obecności kobiety, która wszystko widziała i wszystko przecierpiała. Nawet kiedy odezwała się — a była wobec mnie bardzo miła — w tonie jej głosu brzmiała jakaś kapłańska nuta, która sprawiała, że czulem się jeszcze bardziej pomniejszony.

— Czy wie pan, dlaczego Bruno pana tu przysłał?

— Nie, proszę pani.

— Byliśmy długo kochankami. Nie zawsze szczęśliwymi, gdyż otaczała mnie sława i nadskakiwano mi, a Bruna nękała jego przeszłość: matka, która była niegdyś słynną kurtyzaną, ojciec, który obsypywał go pieniędzmi, ale nigdy nie zamierzał uznać. A jednak była między nami miłość. I jest nadal.

— Nawet kiedy panią zabrali, a on został.

— Wtedy już dawno ze sobą zerwaliśmy. Odeszłam z własnej woli. Został, żeby walczyć z tymi, którzy mnie wzięli. I walczy z nimi po dziś dzień.

— Jak?

— To dziwny człowiek. Wierzy > i wybaczenie. Nie wierzy w zapomnienie.

— Czy jest jakaś różnica?

— On uważa, że tak.

— A pani?

— Ja akceptuję to, co jest: ja żyję, podczas gdy innych już nie ma; tego nie mogę zmienić; ten naród musi o tym zapomnieć, gdyż nie zniesie życia z pamięcią.

— Czy mogę zaufać Bruno Manziniemu?

— Owszem... że będzie tym, kim jest.

— Kim jest, proszę pani?

— Człowiekiem, który komórka po komórce zbudował samego siebie z niczego... Jest bardzo silny, bardzo wierny. Dotrzymuje raz złożonych obietnic, choćby miało go to dużo kosztować. Co roku w rocznicę Czarnej Soboty przysyła mi kartkę. W prawej szufladzie biurka znajdzie pan skoroszyt. Proszę mi go podać.

Skoroszyt był z tłoczonej skóry: dzieło florenckiego rzemieślnika. Na okładce widniała wypukła złota gwiazda Dawida. Podałem jej. Otworzyła go trzymając na kolanach, wyjęła jakieś wizytówki i podała mi. Były identyczne jak te, które znalazłem w sypialni Pantaleonego. Tyle że co innego na nich napisano.

Hans Helmut Ziegler
Sao Paolo — 3 stycznia 1968

Emmanuele Salatri
Londyn—18 sierpnia 1971

Franziskus Loeffler
Oberlap, Austria

— Co to oznacza, proszę pani?

— To nazwiska ludzi wplątanych, każdy w inny sposób, w to, co stało się z mną i z innymi w 1943 roku. Dotychczas mam piętnastu. Będzie jeszcze dziewięciu. Bruno Manzini wytropił ich wszystkich. Wiele lat pracy, bo rozproszyli się po całym świecie. Kiedy ich wytropił, każdemu wysłał tę kartkę i dokumentację dotyczącą jego przeszłości.

— Co oznacza data?

— To data ich śmierci.

— Kto ich zabił?

— Samobójstwa.

— Przy ostatnim brak daty.

— Bo nadal żyje...

— Dlaczego?

— Bruno powiedział mi, że to najlepszy dar: człowiek, który znalazł sposób, żeby móc spojrzeć sobie samemu w oczy. Bardzo się tym ucieszyłam.

— Czy jest pani szczęśliwa z Bninem Manzinim, człowiekiem, który gra rolę Boga?

— On nie patrzy na to w ten sposób.

— Więc jak?

— Mówi, że każdy człowiek powinien mieć szansę osądzić siebie samego; ale nie można mu pozwolić na pogrzebanie dowodów.

— A co o tym sądzi pani?

— Zgadza się z nim, pułkownik. Zeznawałam w Norymberdze — za tymi, którzy znaleźli się na ławie oskarżonych, i przeciw nim. Ale znowu pojawił się terror. W Wietnamie, Brazylii, Afryce, także tutaj, w Europie. Czy nie dlatego pan tu przyszedł, że pan też się boi?

— Tak, proszę pani, bardzo się boję.

— Niech więc pan zaufa mojemu Brunowi, ale nie ślepo, gdyż wtedy straciłby cały szacunek dla pana. Niech się pan z nim spiera, walczy jak przyjaciel z przyjacielem. Być może nie uda się panu go przekonać, może nawet dojść do tego, że staniecie po przeciwnych stronach barykady, ale on nigdy, przenigdy pana nie zdradzi...

— Dziękuję pani.

— Dziękuję, że pan przyszedł. Życzę panu pokoju w domu i w sercu.

Byłem wdzięczny za to błogosławieństwo, ale kiedy wyszedłem na światło słoneczne, zamyśliłem się głęboko. W mrocznym zamęcie moich myśli zaczęło krystalizować się nowe przekonanie. Nic nie da się zaradzić na dolę człowieka, gdyż każdy z nas odczytuje teraźniejszość i kreśli przyszłość w świetle własnej przeszłości. Nie ma czegoś takiego jak zaczynanie wszystkiego od początku, gdyż nikt nie jest w stanie naprawdę wybaczyć ani całkowicie zapomnieć. Na koniec zdradza nas ludowa pamięć. Na synach bierzemy odwet za niegodziwości ojców. Rozumiałem Manzinię i jego chłodne przekonanie, że tyranom

nie można pozwolić na to, by rozkwitnęli, nawet na wygnaniu. Rozumiałem dyrektora i jego pragnienie równowagi, choćby miała być ona nietrwała. Rozumiałem Leporella i jego fanatyczną wiarę, że porządek za wszelką cenę jest tańszy jednak niż chaos. Jedyłą osobą, której nie rozumiałem, byłem ja sam...

W drodze powrotnej ze Stefanellim zatrzymałem się w jakimś barze i zadzwoniłem do Manziniego do Grand Hotelu. Nasza rozmowa była krótka.

— Cavaliere, rozmawiałem właśnie z Raquelą Rabin.

— No i...

— Cieszę się, że ją poznałem. Chciałbym zobaczyć się z panem jak najszybciej.

— Za pół godziny wyjeżdżam do Bolonii. Z przyjemnością przyjmę tam pana w każdej chwili. Kiedy mogę się pana spodziewać?

— Najdalej za dwa, trzy dni. Nawet wcześniej, jeśli tylko mi się uda.

— Świetnie. Jak wygląda pana położenie?

— Trudne. Wkrótce może się poprawić. W każdym razie taką mam nadzieję.

— Życzę więc powodzenia.

Jego życzenie musiało mieć niemałą moc, bo kiedy zadzwoniłem do dyrektora, sekretarz powiedział, że dyrektor wezwany został na pilną konferencję do ministerstwa. Czy coś mu przekazać? Nic, co mogłoby być powiedziane przez miejski telefon. Ma powiedzieć dyrektorowi, że w prowadzonym przeze mnie śledztwie zaszły nowe okoliczności i że będę nieuchwytny przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Odsuwałem tylko w przyszłość zły dzień; ale jeśli dostanę się na Ponzę i położę rękę na reszcie dokumentów Pantaleonego, może zdołam dalej prowadzić podwójną grę z moim szefem.

Stanałem teraz wobec problemu przestrzeni i czasu. Wyspa Ponza — która nie należy do moich ulubionych okolic — znajduje się jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Gaety. Legenda powiada, że urodził się na niej Poncjusz Piłat. Faszyści używali Ponzy jako miejsca odosobnienia dla więźniów politycznych. Po wojnie, ponieważ wyspy są na ogół ubogie, a w naszych czasach biednieją z każdym rokiem bardziej, ludzie zaczęli wykupywać działki i budować wille na zboczach gór i wzdłuż linii wybrzeża. Wyspa jest obsługiwana przez promy odpływające z Anzio, Formii i Neapolu, ale którykolwiek z tych promów by się wybrało, zawsze oznacza to jazdę samochodem z Rzymu i trzy, cztery godziny na promie, co przy złej pogodzie jest piekłem. Za wszelką cenę pragnąłem uniknąć publicznych środków komunikacji i skrócić do minimum czas trwania całej operacji. Gdyby dyrektor, ogarnięty nagle paniką, zechciał mnie natychmiast znaleźć, rzucałbym się w oczy jak brodawka na twarzy Mony Lizy.

Poza tym istniała jeszcze inna, bardziej złowroga ewentualność. Papiery skradzione z biura Bandinellogo znajdują się w rękach nieznanymi osobników.

Wiedzą więc już doskonale, że nie mają ich kompletu. Wniosek: myśliwi znowu wyruszą na łowy i logika mówi, że wcześniej czy później muszą wrócić do Liii Anders i willi, którą dzieliła z Pantaleonem. Post scriptum do wniosku: potrzebna jest mi szybko pomoc.

Zamówiłem więc służbową rozmowę z jakimś Carlem Malinowskim, pułkownikiem z kwatery głównej NATO w Neapolu. Malinowski jest sympatycznym Amerykaninem — czasem nawet zbyt sympatycznym: wychodzi na tym nie najlepiej. Dwa lata temu wyciągnąłem go z kłopotliwej sytuacji, w którą wpłatała go jego neapolitańska dziewczyna i pewien radziecki agent działający na terenie doków. Malinowski był mi wdzięczny. Obecnie jego wdzięczność — w postaci dużego baglietto, którego używał do urządzania popijawek i uwodzenia dziewczyn, a który robił przy rozsądnej pogodzie dwadzieścia pięć węzłów — była mi bardzo potrzebna.

Malinowski był szczęśliwy mogąc oddać mi przysługę. Sam może wypisać upoważnienie. Ma nową dziewczynę, która chętnie popłynie na ten wypad. Jeśli możemy być w basenie portowym Margellina o świcie, sam też popłynie z nami. Jeszcze lepiej, jeśli przyjedziemy do Neapolu dzisiaj; przygotowuje nam kolację i odda łóżko we własnym mieszkaniu. Łóżko o wymiarach małżeńskich! Przypuszcza, że będzie dobre. Jeśli nie ma to być tego rodzaju przyjęcie, mogę spać na kanapie i niech mnie diabli wezmą. Reszta była prosta. Wynająłem fiata 130 i o siódmej wieczorem — dla Steffiego była to ogromna ulga — byliśmy z Liii poza Rzymem i mknęliśmy południową autostradą do Neapolu.

Prowadzenie samochodu sprawiało mi przyjemność; odczułem nagłą ulgę, kiedy zostawiliśmy za sobą miasto. Zmierzch łagodził kontury wzgórz Lazio, światła wytryskiwały z mijanych w górach domów, samochody defilowały obok nas, żółty księżyc wylaniał się zza turni Apeninów — krótka, ale czarowna intymność mężczyzny i kobiety zamkniętych w małym, poruszającym się świecie.

Liii była z początku napięta; widocznie żywiła urazę, bo zbyt obcesowo się z nią obszedłem. Podkreślałem już przedtem niebezpieczeństwo jej sytuacji; ale teraz, bezdomna i pozbawiona miejsca na ziemi, nie widziała przed sobą pomyślnej przyszłości, a ja nie mogłem jej takiej obiecać. Siedziała sztywna i zamknięta w sobie, jakby nie mogła znieść tego, że jestem obok. Włączyłem radio, rozległa się muzyka neapolitańska. Starąłem się nie zwracać uwagi na Liii. Po chwili zaczęła wybijać takt, a kiedy przyciągnąłem ją do siebie, nie opierała się. Położyła głowę na moim ramieniu i drzemała, dopóki nie minęliśmy Monte Cassino.

Była teraz spokojniejsza. Siedziała blisko mnie i rozmawialiśmy swobodnie, przeskakując z tematu na temat, aż wrócił nastrój naszego pierwszego wieczoru.

— Coś ci chciałam powiedzieć, Dante Alighieri.

— Co?

— W tej chwili jesteśmy naprawdę noantri. Ja nie mogę wrócić do domu. Ty nie wiesz, dokąd zmierzasz.

— To szczerą prawdą, kochanie.

— Lubię Steffię.

— O tak... To jest postać.

— Lubi cię.

— Dobrze się rozumiemy.

— Ale boi się, że podejmiesz złą decyzję, prawda?

— Ja też się tego boję, bambino.

— Mam nadzieję, że się nie sprzedasz. Nikomu. Wystarczy raz to zrobić, a nie ma już odwrotu. Wiem...

— Dlaczego przystąpiłaś do tej gry, Liii?

— Czy nie ma tego w twojej dokumentacji?

— Jest, jak do tego doszło. Nie ma jednak prawdziwych powodów.

— W każdej kobiecie tkwi dziwka, caro, i dobrze o tym wiesz. Nadchodziła zła chwila, kiedy czuje się samotna i nie kochana przez nikogo, a kiedy pokażą się w kącikach oczu pierwsze kurze łapki, sprzedaje się, byleby zapłata wyglądała jak prezent, a słowa zostały wypowiedziane w miły sposób i byleby jutro nie wydawało się zbyt bliskie. Nie ma żadnego usprawiedliwienia. Dziękuję też za litość.

— Przypuśćmy, że udało się nam wydostać z kraju.

— Jestem panną i dysponuję skromnymi środkami na rynku mężczyzn.

— Jakich mężczyzn?

— To moje osobiste marzenie i nie chciałabym, żebyś się ze mnie śmiał.

— Nie będę się śmiał.

— Jakiej kobiety potrzebujesz, Dante Alighieri?

— Miałem kobiety wszelkiego rodzaju, Liii. Nie było tylko takiej, przy której usatkwiałbym się i płodził dzieci.

— Czy nigdy nie czujesz się samotny?

— Często. Ale można z tym wytrzymać. A w każdym razie można było dotychczas...

— A teraz?

— Nie podoba mi się facet, który żyje w mojej skórze.

— Mnie się podoba. Czasami.

— Za mało go znasz, Liii.

— Wystarczająco, żeby go nazwać.

— Jak?

— Bufalo solitario. Byk samotnik.

— Któremu płaci się za to, że pilnuje stada.

— Kto mu płaci? Marksści, faszyci, monarchiści? Nie wierzę w ich „protekcję” i ty też w nią nie wierzysz. Jesteś narzędziem politycznym. Pierwsza lepsza dłoń może ująć cię i wykorzystać do dowolnej pracy.

— Pomówmy o czymś innym, dobrze?
— Jak chcesz. Co robisz, kiedy nie możesz już znieść samotności?...
— Wychodzę z domu, żeby się zabawić.
— Jak zeszłego wieczoru w Trastevere?
— Jak w Trastevere...
— Wolalabym, żebyśmy nie musieli płynąć na Ponzę.
— Ja też.
— Co będzie po powrocie?
— Zależy od tego, co znajdziemy i jak dobrze zdołamy to ukryć... Tam jest Kapua, miejsce, gdzie Spartakus wywołał bunt niewolników.
— Wiem o Spartakusie, caro. Mam tylko nadzieję, że szczęście będzie sprzyjało nam bardziej niż jemu.

Carl Malinowski, major amerykańskiej piechoty morskiej, podzielał krzepiąco na nasze znużone dusze. Miał sześć stóp wzrostu, sama krzepa i mięśnie, pięści jak bochny chleba, głośny śmiech i amerykański akcent, co sprawiało, że chociaż nieźle mówię po angielsku, czasem rozumiałem go z największym trudem. Żył niezachwiane przekonanie, że świat jest ciągle jeszcze rajem, pełnym ochoczych Ew i pobłażliwych węży. Jego apartament, umeblowany w stylu amerykańskim, stanowił też istny raj dla wolnego mężczyzny; widok poprzez zatokę, rozciągający się od Wezuwiusza po Capo di Sorrento, zadziwiający barek i muzyka w każdym pokoju. Jego nową dziewczyną była Szwedka, rozkwitły wspaniale po transplantacji plon letniego rzutu turystów. Carl zerknął na Liii i całej okolicy obwieścił swoją aprobatę.

— Bella! Bellissima! Dante, chłopcze, poprawił ci się gust! To prawdziwa kobieta w południowym stylu! Honey, bądź dobra dla tego chłopca. To najlepszy Ejtalian, jakiego znam — serce na dłoni, wspaniały popęd płciowy. A oprócz tego, inteligentny — chociaż na pierwszy rzut oka tego nie widać. Helga, może byś wzięła Liii i pomogła się jej rozpakować, a ja i Dante wykombinujemy jakiegoś drinka. — Zacisnął stalową pięść na moim ramieniu i skierował mnie do barku. — Powiedz, pułkowniku sir, chodzi tu o biznes, czy o przyjemność?

— Biznes, Carl.
— No więc, czego ci potrzeba?
— Żebyś zawiózł nas na Ponzę, a potem zabrał szybko z powrotem.
— Przy tej pogodzie trzy godziny w jedną stronę — więcej, jeśli zaczniesz wiać. Jak długo chcesz tam zostać?
— Dwie godziny powinny wystarczyć.
— Ruszamy o szóstej rano, jesteśmy z powrotem wczesnym popołudniem. Pasuje?
— Świetnie.

— Spodziewasz się kłopotów?

•— Znikoma szansa.

A wy: Lili-belle i ty?

Trochę biznesu, trochę przyjemności. Zbyt wiele pierwszego, za mało drugiego.

— Rozumiem doskonale, pułkowniku sir. Czytam w twoich myślach na głos i wyraźnie. No więc, wieczorem będziemy pić Lacrima Christi i zachowywać się jak dzieci-kwiaty. Rano kierunek wyspa Ponza.

Była to noc długa i radosna. Zjedliśmy królewską kolację: kawior, befsztyk i lody neapolitańskie. Wypiliśmy dwa litry Lacrima Christi i pół butelki Courvoisiera, przedyskutowaliśmy problem naprawy świata, opowiadaliśmy sprośne kawały, wylegiwaliśmy się i drzemaliśmy przy muzyce z magnetofonu. Gdzieś po północy ustawiliśmy się parami i pomaszzerowaliśmy do łóżek. Muszę wam powiedzieć, że nie ma na całym świecie łóżka wygodniejszego, właściwszego do miłości, niż wielkie neapolitańskie mosiężne letto matrimoniale.

Była to dobra noc dla nas obojga. Robiliśmy, co nam się podobało, i podobałiśmy się sobie nawzajem. Byliśmy zadowoleni, byliśmy wdzięczni i — na moment — nie byliśmy samotni. Spaliśmy głęboko i bez snów. Obudziliśmy się i cieszyliśmy się znowu sobą, kiedy w drzwi zastukał Malinowski i wezwał nas na śniadanie.

Opowiedziałem to źle; tych samych słów mógłbym użyć opisując dziesiątki innych przygód. Ponieważ — i mówię o tym z wdzięcznością — jestem człowiekiem, który był szczęśliwy ze wszystkimi prawie kobietami, jakie miał. Ale tym razem zachodziła pewna różnica, miałem poczucie odpowiedzialności, jeśli jeszcze nie zaangażowania. Była jeszcze inna różnica: ja nabrałem skłonności do sentymentalizmu, podczas gdy Liii ani trochę.

Powiedziała mi to bez ogródek, kiedy staliśmy obok siebie na tylnym pokładzie baglietto i patrzyliśmy na zielony stożek Ischii, niknący w blasku poranka...

— Caro, czasem traktujesz mnie, zupełnie jakby brak mi było piątej klepki. Wiem, o co idzie gra. Jeśli materiały znalezione w willi okażą się ważkie, dadzą ci siłę do ręki. Myślisz, że zdołasz za nie kupić także mój wyjazd z Włoch.

— Taką mam nadzieję.

— I zapewnisz sobie, jeśli chodzi o mnie, czyste sumienie.

— Skoro tak stawiasz sprawę.

— Ale niczego nie obiecasz?

— Nie mogę.

— Bzdury! I bez ciebie potrafię wydostać się z Włoch, Dante Alighieri.

— Myślisz, że sama wymkniesz się straży granicznej? Liii, nawet nie próbuj.

— Nie muszę tego robić. Mogę wynająć pierwszego lepszego rybaka i popłynąć jutro z Ponzy na Korsykę.

— Co masz na myśli, Liii?

— Że potrzebujesz mnie jako karty przetargowej, podobnie jak potrzebujesz dokumentów Pantaleonego. Jeśli pozwolisz mi odejść, sam siebie obrabujesz z siły, sam siebie wytrzebisz. Doskonale to rozumiem. Godzę się na to. Ale znieważasz mnie, kiedy próbujesz sztuczki, która polega na tym, że wkradasz się w moje zaufanie. Twój przyjaciel Steffi miał rację. Nie chcesz dojść do ładu z sobą samym... Czy moglibyśmy teraz wejść do środka? Jest mi zimno.

Było rzeczywiście zimno. Wiatr od północnego zachodu chłostał niespokojne morze i Malinowski z trudem panował nad jachtem, przeciwstawiając swoją biegłość sternika tendencji stateczka do schodzenia z kursu i krótkiej, niebezpiecznej fali. Usiedliśmy w salonie i podjąłem desperacką próbę ocalenia dyskusji i mojej dumy.

— Postawmy sprawę jasno, Liii. Zawarłem z tobą układ. Honorowałem go. Jak dotąd jesteś wolna i bezpieczna. Racja?

— Racja.

— A teraz chcesz to zmienić. Chcesz, żebym przymknął oczy, kiedy ty będziesz umykać na Korsykę.

— Nie! Chcę tylko, żebyś zdał sobie sprawę z tego, jakiego rodzaju układy zawierasz z innymi ludźmi i czym się to w ostatecznym rachunku dla ciebie kończy.

— A co cię to, do diabła, obchodzi?

— Biedny Dante Alighieri! Tyle miałeś kobiet, a tak mało się nauczyłeś! Co za strata!

— Przynajmniej nie mam żadnych złudzeń.

— No i dobrze! Przestańmy się więc klócić. Ty piszesz scenariusz; ty wypowiadasz kwestie; ty ciągniesz za sznurki; a kiedy zapadnie kurtyna, marionetka Liii zostanie zapakowana do pudła. Tylko tyle umiemy, najdroższy.

— I pomyśleć, że obiecałeś, że nie będzie żadnego szantażu! O Boże!

— Składnikiem szantażu jest groźba, prawda? W jaki sposób mogę ci grozić? Dokumentami Pantaleonego? Znajdą się w twoich rękach, kiedy tylko dotrzemy do willi. Tą nocą w łóżku? W tym fachu taki jest zwyczaj, czy nie mam racji? Twoją obietnicą chronienia mnie? To także zwyczajna rzecz w tym fachu. Pierwszy lepszy policjant stosuje takie sztuczki przy przesłuchaniu. Cóż więc, kochany pułkowniku, tak cię przeraża, jeśli nie ty sam?

— Skoro tak to odczytujesz, w porządku! Słusznie czy niesłusznie, niczego to nie zmienia... Wyjdźmy na pokład.

— Chciałabym zostać na chwilę sama.

— Tu chodzi o biznes, Liii.

— Jestem na usługi, pułkowniku.

Malinowski powitał nas uśmiechem w błękitnych oczach i nie było w tym uśmiechu nic poza zdrowiem i niewinnością, a potem rozpostarł na stole mapę Ponzy w małej skali. Liii wskazała położenie willi, mały cypel na wschodnim brzegu wyspy. W *Locji* willa została określona jako punkt orientacyjny dla marynarzy: „...Wielki, kwadratowy budynek z szarego kamienia; na wschód od niego widoczne wyraźnie kolumny i łuki rzymskich ruin. Przy wietrze N do N W południowa zatoczka daje dobrą ochronę małym jednostkom. Dno: piasek, skała i trochę wodorostów”. Spytałem Liii:

— Czy z tego miejsca jest dostęp do willi?

— Tak. Jest tam wyboista ścieżka, która prowadzi aż do ruin.

Malinowski wtrącił pytanie czysto żeglarskie:

— Jeśli zarzucimy kotwicę, trzeba będzie spuścić dinghy, a potem wciągnąć ją z powrotem. Czekają was niewygody i przemoknięcie do suchej nitki. Może byśmy cumowali w porcie, wtedy pojechalibyście do willi taksówką.

— To sprawa strategii, Carl. W porcie będziemy rzucać się w oczy. Już po sezonie. Miejscowi zaczną gadać. Raczej na to nie pójdę.

— Jasne, pułkowniku sir. Zarzucamy kotwicę.

— Sama willa, Liii. Służba?

— Nie ma. Poza sezonem dom jest zamknięty. Pewna rodzina z wioski przychodzi raz na tydzień posprzątać i włączyć na kilka godzin ogrzewanie. Ale wcale nie musimy zbliżać się do willi. To, czego szukamy, jest w ruinach.

— Dlaczego w ruinach?

— Zobaczysz, kiedy znajdziemy się na miejscu.

— Czy z domu ma się wgląd w ruiny?

— Widać tylko ich górną część. Nasza posiadłość jest otoczona murem. Ruiny są na terenie należącym do rządu, mieszczą się w obrębie linii brzegowej. Przebiega tędy granica demanio.

— Tym lepiej. Spójrz na mapę, Carl. Jak blisko brzegu możesz zarzucić kotwicę?

— Zobaczmy... Na odległość kabla; ze względu na bezpieczeństwo.

— Czy będziesz widoczny z domu?

— Kiedy będziemy podpływali, tak. Tam, gdzie zarzucimy kotwicę, prawdopodobnie nie. Nie rozumiem jednak, dlaczego tak się przejmujesz? To teren publiczny. Każdemu wolno przybić do brzegu. Ten fragment włoskiego prawa znam doskonale.

— Nie martwię się tym, że moglibyśmy wtargnąć na czyjś teren prywatny, Carl. Zresztą Liii jest właścicielką willi. Powiedzmy, że moją troskę budzą nieproszeni goście.

— Tymi, pułkowniku sir, możemy się bardzo elegancko zająć. — Sięgnął do szafki pod stolikiem na mapy i wy dobył karabin automatyczny. — Wożę ze sobą tę zabawkę na wypadek, gdyby rekiny zaatakowały którąś z moich dziewcząt, kiedy ta kapie się z gołym tyłkiem. Tak więc kiedy ty i Lili-belle

zejdziecie na ląd, ja zostanę na pokładzie i będę rozglądał się za nieproszonymi gośćmi... Pasuje?

— Nie. Nie mogę pozwolić sobie na wplątanie amerykańskiego oficera we włoskie sprawy domowe. Jeśli więc nie masz nic przeciwko temu, ja zabiorę karabin.

— Jak sobie życzysz. Czy mógłbyś włączyć radio? Za minutę będą wiadomości i chciałbym wysłuchać potem prognozy pogody.

— Jeśli już ci nie jestem potrzebna — oznajmiła Liii — chętnie położyłabym się w salonie. Chyba cierpię trochę na chorobę morską.

— Powinnaś była mi o tym powiedzieć, Lili-belle. Mam coś, co powinno...

— Nie, Carl, dziękuję. Zaraz poczuję się lepiej. Przepraszam.

Kiedy opuściła nas, Carl uśmiechnął się i spojrzał na mnie porozumiewawczo.

— Kłopoty, braciszku? Przydałaby ci się jakaś poślubna rada?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Okay, wal śmiało, wujaszek Carl cię wysłucha.

— Co byś powiedział, gdybym oznajmił ci, że Liii jest podwójnym agentem pracującym dla mnie i dla komunistów?

— Powiedziałbym, że jesteś szczęściarz w połowie. I zapomnij, żeś mi to wyznał.

— A jeślibym powiedział, że muszę wsadzić ją do więzienia, żeby zadowolić moich szefów?

— Powiedziałbym, że znalazłeś się w niezłych tarapatkach.

— A jeślibym poprosił cię, żebyś zatrzymał ją na pokładzie i wywiózł poza zasięg włoskiej jurysdykcji, co powiedziałbyś wtedy?

— Powiedziałbym wtedy, pułkowniku sir, że jesteś moim bardzo dobrym przyjacielem i że mam wobec ciebie dług wdzięczności, który gotów jestem w każdej chwili spłacić. Ale powiedziałbym też, że urodziłem się republikaninem i że pozostanę nim na wieki wieków, że widziałem, jak moi bracia umierali w Korei i Wietnamie, i że nie przepadam za Murzynami, chociaż nauczyłem się z nimi współżyć, ale komunistów, obojga płci i wszelkiej maści, nie potrafię znieść. Tak więc, gdybyś mnie spytał — a jestem pewny, że nie zechcesz — powiedziałbym: Nie, sir, dziękuję, w żaden żywy sposób. Pojmujesz, co mam na myśli, pułkowniku?

Pojmowałem go tak jasno, że nie mogłem w to uwierzyć. Przez chwilę myślałem, że żartuje. Żartował na prawie każdy temat. Teraz był śmiertelnie poważny i to właśnie mną wstrząsnęło. Chyba nigdy naprawdę nie myślałem, że wielki i pełen wigoru naród może przetrwać czerpiąc siłę z tak uproszczonych artykułów wiary. Ale my, Europejczycy, mamy dłuższą i krwawszą historię, a jednak nawet w połowie nie jesteśmy tak sceptyczni, jak powinińśmy. Carl Malinowski wyciągnął do mnie rękę.

- Bez obrazy, co, Dante?
- Bez obrazy, Carl.
- I wcale nie powiedziałem, że jesteś czerwony. Wiesz o tym.
- Oczywiście.
- I nie osądzam również Lili-belle. Można by rzec, że po prostu odrzucam twoją propozycję.
- Rozumiem to.
- I nadal jestem z tobą, jeśli chodzi o nieproszonych gości.
- Dziękuję.
- A teraz wysłuchajmy wiadomości, okay?

Wiadomości odczytane w słodkim, euforycznym stylu właściwym dla RAI stanowiły zwykłą miksturę: walki plemienne w Afryce, strajki w Anglii, strajki we Włoszech, jeszcze jedna wypowiedź papieża na temat włoskiego prawa rozwodowego, jeszcze jedna awantura w parlamencie włoskim, tym razem dotycząca podziału prowincjonalnych subwencji, a wreszcie zwięzłe post scriptum: pewien arabski urzędnik Ambasady Libii w Rzymie został zastrzelony przed swoim domem na Wzgórzu Awentyńskim. Ofiara była przedstawicielem na Rzym palestyńskiej organizacji wyzwolenczej Al Fatah. Policja uznała morderstwo za przestępstwo polityczne, najprawdopodobniej zorganizowane przez agentów izraelskich.

Ta informacja sprawiła, że włosy stanęły mi na głowie dęba. W SID uważano mnie za eksperta od arabsko-izraelskich terrorystów. Zaprowadziłem kartotekę dotyczącą palestyńskich bojowników mieszkających albo prowadzących działalność na terytorium Republiki. Dysponowałem dobrymi informatorami wśród Jordańczyków i Egipcjan. Znałem dyrektora żydowskiej organizacji do zwalczania terrorystów, niejakiego Letta, mężczyznę o zimnym spojrzeniu, który moim zdaniem był jednym z najlepszych na świecie fachowców od wywiadu. Kiedyś podczas bardzo poufnego spotkania ekspertów wysłuchałem jego wykładu na temat prawdziwej natury terroryzmu jako broni politycznej i jako choroby społecznej.

„Jako broń jest praktycznie niezwycięzony. Sący strach i zwątpienie. Niszczy zaufanie do demokratycznej procedury. Paraliżuje agendy policyjne. Polaryzuje różne odłamy: młodych podburza przeciwko starym; biednych przeciwko bogatym; nieuków przeciwko wykształconym; idealistów przeciwko pragmatykom. Jako choroba społeczna jest groźniejszy niż dżuma: usprawiedliwia najnikczemniejsze sposoby działania, zawieszenie praw człowieka, aresztowania prewencyjne, okrutne i niezwykle wysokie kary, przekupstwo, tortury i morderstwa popełniane w majestacie prawa. Najbardziej moralni ludzie, najzdrowsze rządy nie są uodpornione na tę zarazę. Przemoc rodzi przemoc; szantażystom płaci się z państwowej kiesy; represje spadają tak samo na niewinnych, jak na winnych... Wy, Włosi, uczyniliście bohatera z człowieka, który porwał samolot. Kiedy dobieramy się do jakiegoś Araba,

który podłożył w Rzymie bombę, musimy pogodzić się z tym, że obudzimy drżemiący we Włoszech antysemityzm i podsunie my kozła ofiarnego nowym faszystom. Każdy komunista pobity na policji przysparza dwudziestu zwolenników rewolucji. Każda bomba rzucona na ulicy prowadzi do powstania nowej policyjnej jednostki do tłumienia rozruchów, wyposażonej w miotacze gazu i armatki wodne. Każde wielkie miasto ma własny uniwersytet terroru. A teksty wykładów krążą z Ulsteru do Udine, z Wietnamu do Wenezueli, z Rio do Aten i dalej do Rzymu..."

Jednak dla mnie morderstwo na Awentynie było czymś więcej niż złą wiadomością, było osobistą klęską. Uprawiam sobie turystykę między Neapolem a Ponzą, i to w bardzo mieszanym towarzystwie, a tymczasem dyrektor naciska na alarmowe guziki i przeczesuje cały kraj w poszukiwaniu naruszającego prawo eksperta od spraw semickich. Jeślibym dostarczył Liii Anders oraz dokumenty Pantaleonego, i tak o włos tylko unikałbym koła tortur i hiszpańskich butów. Jeśli wrócę z pustymi rękami, dyrektor poćwiartuje mnie i rzuci na pożarcie lwom w zoo.

Przez krótką chwilę, ogarnięty paniką, pomyślałem o tym, żeby zameldować się mu przez radio pokładowe. Potem zdałem sobie sprawę z tego, że doszłoby do skumulowania błędów popełnionych w ciągu dwóch ostatnich dni i moje sprawy rozniosłyby się po całym zachodnim basenie Morza Śródziemnego. Więc do diabła z tym. Dał mi wolną rękę. Przybiję raport do jego drzwi jak Luter swoje artykuły; jeśli nie spodoba mu się to, co przeczyta, może zjeść sobie raport na kolację. Miałem jednak nadzieję, że będzie to dla niego wstrząs.

Ujrzeliśmy Ponzę w szkwale i deszczu. Musieliśmy podejść do brzegu od zawietrznej strony wyspy, zanim jeszcze zdołaliśmy zidentyfikować położenie cypla, na którym znajdowała się willa. Zawiodła nas *nawet Locja*. Osłona, jaką dawała zatoczka, była co najmniej wątpliwa, a zakotwiczenie w najlepszym wypadku wątpliwe. Ale miało to także pewną dobrą stronę. Jeśli ktoś pilnował willi, miał widoczność nie lepszą niż my. Liii i ja wystroiliśmy się w ceratowe płaszczki i wgramoliliśmy się do rozchybotanej dinghy. Carl podał mi karabin i po normalnej walce z silnikiem pomknęliśmy w kierunku brzegu.

Był pusty. Na cyplu ani śladu żywej istoty. Ścieżka prowadząca do ruin stroma i śliska, tak że w niektórych miejscach musieliśmy gramolić się na czworakach, używając jako uchwytów kęp trawy i łodyg dzikiego rozmarnu. Kiedy osiągnęliśmy szczyt, byłem bez tchu i wściekły. Nie miałem wątpliwości, że albo Pantaleone był szalony, albo Liii wystrychnęła mnie na dudka. Choćbym myślał nad tym przez resztę życia, nie potrafiłbym zrozumieć, dlaczego mając do dyspozycji wielką fortecę willi, ktoś ukrywałby wartościowe dokumenty w rozsypujących się ruinach, na terenie nawet do niego nie należącym. Powiedziałem to wszystko — i to ze złością — Liii, która wybuchnęła śmiechem.

— Jak głupio wyglądasz! Jak błazen w cyrku! I ta pukawka. Na co będziesz polował? Na mewy?

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła pod osłonę sklepienia, które jakimś cudem przetrwało burzę dziejową. Ściany zewnętrzne wykonane były z granitowych ciosów, ale wewnętrzny mur wykonano z cegieł, które im wyżej, tym bardziej były wysunięte, tworząc nad nami kopułę. Posadzkę wybrukowano płytkami marmuru, popękаныmi, odbarwionymi i miejscami poprzekrzywianymi, ale w większości w dobrym jeszcze stanie. Pachniało tu nieświeżym łąjnem i wilgocią. Liii odrzuciła do tyłu kaptur i stała z rękami na biodrach, przyglądając się zacienionemu wnętrzu.

■— Myślisz, że Massimo był szalony? Ja też tak myślałam, kiedy mnie tu przyprowadził. Ale pomyśl przez chwilę. Willa jest przez zimę pusta. Służba grzebie we wszystkim, kiedy padrone jest nieobecny. Spójrz dokoła. No, przyjrzyj się! Co widzisz?

Ceglane ściany nie powiedziały mi nic. Przeszedłem po podłodze, próbując, czy nie ma gdzieś pustego miejsca pod płytkami. Znowu nic. Liii stała, uśmiechając się triumfalnie.

— Widzisz, Dante Alighieri, nie jesteś nawet w połowie tak sprytny, jak to sobie wyobrażasz. A Massimo nie zawsze był takim głupcem, na jakiego wyglądał. Patrz!

Podeszła do małego, zapadniętego skrawka posadzki, gdzie deszcze przeciekając przez sklepienie utworzyły kałużę, głęboką na cztery, może pięć centymetrów. Uklękła i gołymi rękami chwyciła mały, trójkątny kawałek marmuru. Podała mi go, żebym obejrzał. Był wielkości mojej dłoni, od spodu powleczone grubą warstwą cementu.

— Przypomina zatyczkę od wanny, co, Dante? Nie wszedłeś do kałuży, ale nawet gdybyś wszedł, nic nie zdradziłoby, że pod spodem jest puste miejsce.

Wsunęła palce w otwór i wyciągnęła długą aluminiową tubę, jakiej architekci używają do przechowywania projektów i dokumentacji. Tuba z obu stron zapieczętowana była czarną, gumowaną taśmą. Kiedy wyjęła tubę, woda z kałuży wypełniła natychmiast otwór. Liii włożyła z powrotem marmurową zatyczkę i podała mi tubę.

— Wszystko tak, jak zostawiliśmy. Zwinięte mapy znajdują się wewnątrz. Mikrofilmy w małych kapsułkach.

— Nie ma nic więcej?

— Nic.

— Chodźmy. Poniesiesz to.

— Nawet nie podziękujesz Liii, swojej marionetce?

— Dziękuję, Lili-marionetko. Teraz będziesz szła za mną; aż do ścieżki, prowadzącej na brzeg. Potem pójdziesz pierwsza.

Zwolniłem bezpiecznik karabinu i ruszyłem do wyjścia. W połowie drogi zatrzymałem się, żeby rzucić okiem na wąską perspektywę, obramowaną ostrołukiem. Wszystko, co mogłem dostrzec, to wzniesienie pokryte kępami traw, głazami i karłowatymi krzakami oraz dolną część muru, otaczającego

posiadłość Pantaleonego. Jak na razie, wszystko w porządku. Podeszedłem bliżej, tak że widok poszerzył się i zobaczyłem górną część muru, potem jego szczyt, z wetkniętymi w cement kawałkami tłuczonego szkła. W tym momencie usłyszałem krzyk, wzmocniony i zniekształcony przez megafon.

— Hej, tam! Wychodzić z rękami do góry. Tu karabinierzy. Powtarzam — jesteście karabinierami.

Odwróciłem się do Liii i wyrwałem jej tubę.

— Słuchaj uważnie! Stój tuż przy mnie. Nic nie rób, nic nie mów, chyba że ci powiem. Jasne?

— Jasne.

— Wychodzimy.

Odrzuciłem kaptur i trzymając nad głową strzelbę i tubę, przeszedłem pod ostrołukiem razem z Liii depczącą mi po piętach. Kilka metrów od wejścia, tuż poza granicą mojego poprzedniego pola widzenia, stało pięciu ludzi, dwóch z jednej strony, trzech z drugiej. Czterej umundurowani, uzbrojeni w automaty. Piąty był w ubraniu cywilnym i miał ze sobą megafon. Rozpoznałem go natychmiast: piegowaty, ryży adiutant generała Leporello. Rozpoznał mnie także i wyraz jego twarzy sprawił mi szczególną przyjemność.

Karabinierzy zaczęli zbliżać się z bronią gotową do strzału. Młody człowiek szedł za nimi krokiem trochę mniej pewnym. Pozwoliłem im podejść na pięć metrów, a następnie w najlepszym koszarowym stylu dałem rozkaz: „Stać!”. Stanęli, patrząc niepewnie to na mnie, to na rudego. Odezwałem się.

— Okażę moje dokumenty. Dowódca skontroluje je. Jestem Matucci, Dante Alighieri, pułkownik Służby Wywiadu Obronnego. Osoba towarzysząca mi to pani Anders Liii, która znajduje się pod moją opieką i asystuje podczas prowadzonego przeze mnie śledztwa. Teraz opuścimy ręce, a oficer dowodzący zechce podejść, dokonać kontroli dokumentów i wytłumaczyć mi tę sytuację.

Rudowłosy odzyskał nareszcie głos i odwagę. Podeszedł, zsalutował niepewnie i przedstawił się.

— Roditi Matteo, kapitan adiutant generała-majora Leporello. Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty, panie pułkowniku?

Wyłowilem je spod płaszcza i podałem. Odegrał scenę czytania i podał mi z powrotem.

— Dziękuję, panie pułkowniku. Sytuacja, panie pułkowniku, przedstawia się następująco. Wykonuję rozkaz generała Leporello nadzorowania Villa Pantaleone i jej okolic oraz uniemożliwienia wszelkich prób zabrania papierów, własności generała czy czegokolwiek innego z obrębu nieruchomości. Wykonując ten rozkaz zostałem upoważniony do wykorzystania lokalnych jednostek karabinierów. To wyjaśnia powód obecności tego pododdziału.

— Czy mógłbym, kapitanie, zobaczyć te rozkazy?

— Oczywiście, panie pułkowniku.

Podał mi, a ja studiowałem je nieco dłużej, niż było to niezbędne. Potem zakpiłem wystarczająco głośno, żeby chłopcy z lokalnej jednostki mogli to usłyszeć i przyjąć do wiadomości.

— Wygląda na to, kapitanie, że rozumiał pan rozkaz niewłaściwie.

— Jak to, panie pułkowniku?

— Rozkaz odnosi się szczególnie i wyłącznie do, cytuję: „willi i przyległej do niej posiadłości, która nazywa się Villa Pantaleone”. Tak czy nie?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Proszę zauważyć, że teren, na którym się znajdujemy, jak również ruiny za moimi plecami leżą poza obrębem Villa Pantaleone i są w rzeczywistości własnością publiczną, której granicę określone są przez kamienie graniczne na łądzie i najniższy poziom wód wzdłuż wybrzeża. Mam rację?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Jednakże pan wykroczył poza ten rozkaz. Przeszkodził pan wyższemu oficerowi Służby Wywiadu Obronnego w pełnieniu jego wysoce tajnych obowiązków. Naraził pan jego i osobę, która powierzona została jego opiece, na poważne niebezpieczeństwo. Jeden nieostrożny ruch któregoś z pańskich ludzi mógł spowodować fatalny w skutkach wypadek. Rozumie pan to?

— Pozwolę sobie zauważyć, panie pułkowniku, że niebezpieczeństwo było minimalne.

— Bez wątpienia pańska uwaga zostanie rozpatrzona we właściwym miejscu i o właściwym czasie. Coś jeszcze, kapitanie?

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów na osobności, panie pułkowniku.

— W tej chwili jest to niemożliwe, kapitanie. Proponuję panu powrócić do pańskich obowiązków i pozwolić mi zająć się moimi.

— Ten statek w zatoce, panie pułkowniku...

— Został mi udostępniony dzięki uprzejmości naszych przyjaciół i sojuszników z NATO. Jeszcze jakieś pytania?

— Nie, panie pułkowniku.

— Pozdrowienia dla generała Leporello. Po powrocie do Rzymu zadzwonię do niego. Może pan odejść. Idziemy, pani Anders. Proszę iść przodem.

Trudno jest odejść z godnością, mając za plecami karabiny gotowe do strzału. O wiele jednak trudniej jest dokonać tego, gdy schodzi się śliską kozią percią w ulewnym deszczu, niosąc karabin i tubę z niebezpiecznymi jak bomba dokumentami. Prawdę mówiąc, ostatnie dziesięć metrów zjechaliśmy na tyłkach i dobrnęliśmy do dinghy jak fokki, a kiedy znaleźliśmy się na baglietto, oboje byliśmy w stanie szoku. Ja pocilem się wszystkimi porami, a Liii wymiotowała przez burtę. Helga wciągnęła nas na pokład i szybko zrobiła to samo z dinghy. Carl podniósł kotwicę i ładował prosto przed siebie z szybkością dwudziestu pięciu węzłów, zanim jeszcze nalałem pierwszą szklaneczkę brandy. Liii, szara i drżąca, leżała na kozetce, a ja starałem się wlać płyn między jej szczękające zęby. Patrzyła na mnie, jakby mnie nie poznawała.

— Tam na górze... mieli zamiar nas zabić!
 — Nie zrobili tego, Liii. A teraz nie mogą nas tknąć.
 — Teraz nie. Ale jutro, pojutrze...
 — Wypij do końca. Zaniknij oczy. Spróbuj spać...
 — Kim jest ten człowiek, Roditi?
 — Słyszałaś.
 — Słyszałam. Nic nie rozumiałam.
 — Wytłumaczę ci później. Odpręż się... spokojnie...
 — Nie znam cię zupełnie, Dante Alighieri. Twoja twarz zmienia się co chwilę. Nie potrafię powiedzieć, która jest prawdziwa.
 — Jestem złym aktorem. To wszystko. Ufaj mi, bambina.
 — Muszę... nie mam nikogo innego.
 — Napijesz się jeszcze?
 — Nie mogę.
 — Zamknij oczy... Tak lepiej... Lascifandare, bambina... nie przejmuj się. Nie przejmuj się niczym.

Po chwili leżała spokojnie, a kołysanie morza uspiło ją. Nalałem sobie następną whisky, zerwałem pieczęcie z metalowej tuby i obejrzałem zawartość: zestaw map wykonanych na kalce technicznej, każda opatrzona nazwą miasta i współrzędnymi normalnej mapy sztabowej, oraz pół tuzina metalowych kapsulek, każda z nawiniętym na szpulkę filmem. Zinterpretowanie map nie nastroczało trudności. Wskazywały pozycje policji, instalacji wojskowych, ośrodków łączności, punktów kontroli ruchu, wojskowe i cywilne lotniska. Mikrofilmów nie można było odczytać bez aparatury projekcyjnej. Wziąłem jednak z mostka lupę do map i z jej pomocą mogłem stwierdzić, że zawierały one dokumenty, listy, rozdział stanowisk i spis osób. Nie miałem cienia wątpliwości, że stanowiły jak najlepszy motyw morderstwa przy Via Sicilia i były w rzeczywistości planami zamachu stanu. Trzeba będzie sztabu ekspertów, żeby zinterpretować je dokładnie, i bardzo mądrego męża stanu, który zdecyduje, jak je wykorzystać. Zapieczętowałem je z powrotem w pojemniku i wyszedłem na mostek, żeby porozmawiać z Carlem. Znalazłem go ślęczącego nad mapą, podczas gdy Helga pełniła obowiązki sternika. Zadałem mu pytanie:

— Ile masz paliwa, Carl?
 — Pod dostatkiem. Dlaczego?
 — Wystarczy, żeby dopłynąć do Ostii?
 — Do Ostii? Rany boskie, to nie było przecież przewidziane!
 — Wiem, Carl. Ale zdołasz nas tam dowieźć?
 — Mógłbym. Raczysz powiedzieć, dlaczego?
 — Ponieważ zidentyfikowałem mordercę i nam też groziła śmierć.
 — Czerwoni?
 — Nie, Carl. Ci drudzy.

— No, to płyniemy do Ostii. Zabierz łapę, przeszkadzasz mi wykreślać kurs.

— Możesz podać mi przypuszczalny termin dotarcia do Ostii?

— Podam ci dokładny, braciszku.

— Jak tylko będę wiedział, chciałbym skorzystać z radia.

— Możesz. Siedź spokojnie, dopóki męcę się z suwakiem logarytmicznym.

Carl liczył sobie, a ja w tym czasie nagryzmołem zakodowany meldunek, w którym przekazałem dyrektorowi moje natychmiastowe potrzeby: samochód i uzbrojona eskorta w Ostii, pilna konferencja z nim natychmiast po przybyciu do Rzymu, pewne mieszkanie i funkcjonariusz pilnujący bezpieczeństwa Liii Anders, zanim podjęte zostaną postanowienia co do jej przyszłych losów. Czterdzieści minut później miałem odpowiedź dyrektora.

— Medunek przyjęty. Zgoda na warunki.

W kodzie przewidziano słowa oznaczające podziękowanie i pochwały. Nie skorzystał z nich. W obecnych okolicznościach nie mogłem mieć o to żalu.

O dziwo, dyrektor przyjął mnie niezwykle uprzejmie. Z początku był lodowaty, ale stał jak kostka lodu w szklance whisky, kiedy podałem mu mapy i mikrofilmy oraz przedstawiłem pierwsze ustne sprawozdanie. Zaaprobował bez zastrzeżeń moje zainteresowanie osobą Liii Anders, na dowód czego odwołał poprzedni rozkaz i ulokował ją pod fałszywym nazwiskiem i z wielką paradą w Grand Hotelu. Zmienił nawet strażnika na typa nieco przystojniejszego, który lepiej będzie pasował do obecnego klimatu.

Zaprosił mnie na kolację do swojego mieszkania. Pochwalił za wyobraźnię, zręczność, odwagę zaryzykowania kariery, a może nawet życia, żeby doprowadzić do końca ważne śledztwo. Zdaje sobie sprawę z zasadności moich podejrzeń wobec Leporella, aczkolwiek jest jeszcze za wcześnie, żeby wydać ostateczny sąd. Usiadł razem ze mną przed ekranem i skwapliwie uwzględniał moją opinię o dokumentach i osobach w nich wymienionych. Przystudiował ze mną mapy i zgodził się w najważniejszych punktach z moją interpretacją. Na zakończenie posiedzenia, które przeciągnęło się dłużej niż do północy, kazał przynieść świeżo zaparzoną kawę, wyciągnął swoją najlepszą brandy i zaofiarował mi nagrodę za moją cnotę.

— Ta Liii Anders... Nic sprzeciwiam się pańskiemu zaangażowaniu. Oddała nam przysługę. Nie stanowi już niebezpieczeństwa, ale mogą być z nią kłopoty. Wyślijmy ją z kraju już jutro.

— Dziękuję, panie dyrektorze.

— Porozmawiajmy teraz o pańskiej przyszłości. Ile urlopu się panu nazbierało?

— Jakieś cztery miesiące.

— Chciałbym, żeby wziął je pan teraz. Po powrocie z urlopu proponuję wysłać pana za granicę dla dokonania rozległych studiów w zaprzyjaźnionych

organach. Otrzyma pan najlepsze możliwe rekomendacje, bardzo elastyczne zadanie, a pańska płaca uzupełniona zostanie hojną subwencją z funduszu naszej służby. Jak się to panu podoba?

— Jak zawiadomienie o zgonie.

Dyrektor uśmiechnął się i rozłożył swe eleganckie dłonie w pobłażliwym geście.

— Drogi Matucci! Obaj żyjemy w świecie, w którym jest się raz na górze, raz na dole. Zostanie pan obecnie pogrzebany, ale nie znaczy to, że będzie pan martwy, po prostu będzie się pan zabawiał czekając na dzień zmartwychwstania.

— Żadnej alternatywy?

— Alternatywa zawsze jest, mój przyjacielu, ale nie wydaje mi się ona szczególnie pociągająca dla inteligentnego człowieka. Mógłbym na przykład nie zabierać panu sprawy Leporella. Byłby pan wówczas narażony na stałe ryzyko — zapalny element, narzucający się cel dla morderców. Z drugiej strony mógłbym ulec naciskom, które będą bez wątpienia wywierane, i odkomenderować pana z powrotem do macierzystej jednostki karabinierów, gdzie znalazłby się pan pod bezpośrednim zwierzchnictwem generała-majora Leporello. Generał wie, że jest pan człowiekiem kłopotliwym. Może dojść do przekonania, że stanowi pan zagrożenie.

— Rozumiem, co ma pan na myśli.

— Rozumie pan wszystko poza istotą rzeczy.

— To znaczy?

— Za dużo pan wie. Brak panu poczucia autorytetu i — proszę mi wybaczyć — doświadczenia, żeby swoją wiedzę wykorzystać.

— Więc...?

— Więc mógłby pan być niezadowolony z roli biernego narzędzia skomplikowanej i niezwykle zmiennej polityki.

— Mógłbym także nie ulec naciskom wywieranym przez kogoś podejrzanego o morderstwo, nie biorąc pod uwagę, jak wysoko może być on postawiony.

— I mógłby pan sprzeciwiać się pertraktacjom z politycznymi spiskowcami, nie biorąc pod uwagę, jak wysoko mogą być oni postawieni.

— Tak jest.

— A zatem ponieważ szanuję pana i ponieważ chciałbym zachować swobodę wezwania pana z powrotem we właściwym momencie, muszę pana unieruchomić. Oddaję pana w błagalnej ofierze potężnym ludziom, których nazwiska obaj znamy. Kupuję sobie czas, który pozwoli pokonać ich przy użyciu klasycznej formuły: dziel i rządź. Powiedziałem panu kiedyś, że według mnie jest to jedyna droga dla Włoch w obecnym momencie historii. Pan mógłby spolaryzować odłamy, Matucci. Pan już to zrobił.

— To także jest klasyczna formuła.

— I jak każda formuła ma ograniczone zastosowanie. Niczego panu nie wyrzucam, Matucci. Przeciwnie, niezbyt często zdarza mi się wyjaśniać komuś moje postępowanie, więc zdaje pan sobie sprawę, że jest to komplement, jak sądzę, zasłużony...

— Chciałbym odwzajemnić się komplementem, panie dyrektorze. Uważam, że jest pan człowiekiem o ogromnej kulturze. Nie mogłem marzyć o bardziej stylowym pogrzebie.

— Doskonale! Jeszcze brandy?

— Nie, dziękuję.

— Teraz szczegóły. Od tego momentu jest pan oficjalnie na czteromiesięcznym urlopie i pozbawiony wszelkich obowiązków służbowych — poza jednym. Jutro rano będzie pan towarzyszył Liii Anders do Zurychu. Lot został zamówiony. Hotel zarezerwowany w Baur au Lac. Jeszcze dzisiaj dam panu bilety i niezbędne środki płatnicze. Pozostanie pan poza krajem co najmniej przez miesiąc. Resztę urlopu może pan ułożyć sobie, jak pan zechce. Jeśli postanowi pan zabawiać się z panią Anders — do której musi pan oczywiście czuć pewne przywiązanie — to pańska sprawa. My nie jesteśmy już zainteresowani jej osobą; zakładając oczywiście, że pani Anders nie zechce powrócić do Republiki. To nieco brutalne postawienie sprawy, ale jestem pewien, że sprawy finansowe zostały załatwione w sposób co najmniej hojny... Pytania?

— Nie. Mały kłopot. Nie chciałbym spędzić urlopu czekając cały czas na kulę w plecy. Wolałbym zostać tutaj na służbie, gdyż w ten sposób miałbym zapewnioną pewną ochronę.

— Myślałem, że już to omówiliśmy. Celem całej taktyki jest wykazać, że nie stanowi już pan zagrożenia dla Leporella ani dla nikogo innego i że działania skierowane przeciwko panu pogwałciłoby to, co można by nazwać pańską bardzo użyteczną neutralnością... Jednakże jest pewien niebezpieczny okres; od momentu opuszczenia tego domu do momentu odlotu w kierunku Zurychu.

— Także się nad tym zastanawiałem.

— Wyzaczyłem więc dwuosobowy zespół, którego zadaniem będzie zabezpieczyć wszystkie pańskie ruchy. Spakowali już pańskie ubranie i odesłali walizki do Grand Hotelu. Pański pokój łączy się z pokojem Liii Anders. Opuśćcie hotel razem o ósmej trzydzieści. Tak jest znacznie prościej z punktu widzenia bezpieczeństwa.

— Oczywiście.

— No więc... dwa bilety lotnicze, dziesięć tysięcy szwajcarskich franków w rozmaitych banknotach i przekaz na Bank Federalny w Zurychu na następne dwadzieścia tysięcy. To premia z moim osobistym podziękowaniem. Pensja będzie jak zwykle przekazywana na pańskie konto bankowe w Rzymie... Zdaje się, że to wszystko. Samochód czeka, żeby zawieźć pana do hotelu. Życzę przyjemnej podróży i dobrego odpoczynku. Sogni d'oro, Matucci — złotych snów.

Rozstaliśmy się z mocnym, braterskim uściskiem dłoni. Sycylijski goryl towarzyszył mi na parter i przekazał następnie pod opiekę dwóch młodszych moich kolegów, którzy odwieźli mnie do hotelu niby potentata wizytującego kraj.

Pierwsza trzydzieści rano. Hall był pusty. Poprowadzili mnie obok recepcji, wwieźli windą, a w końcu umieścili w sypialni. Jeden skontrolował kredens i łazienkę i zajrzał nawet pod łóżko, a drugi wykonał przyjemną robotę pakowania moich rzeczy. Ponieważ ubrania muszą być uprasowane, a także ponieważ życzyłem sobie rozmawiać z signoriną Anders, klucz włożony został po mojej stronie drzwi łączących nasze pokoje... Dyrektor podjął maksimum środków ostrożności, więc mogę spać jak suseł. Złożyli mi życzenia przyjemnych snów i usunęli się niby lokaje sprzed oczu księcia.

Może i mieli rację. Byłem przecież człowiekiem księcia, kupionym i obsypanym łaskami. Kieszeń miałem wypchaną jego pieniędzmi. Dar od niego śpi sobie w sąsiednim pokoju. Jego znak miałem wypalony na czole niby piętno niewolnika. A jednak, oddając diabłu, co mu się należy, trzeba przyznać, że stanowił bardzo rzadki okaz. Uznał moje zasługi. Rozkoszował się niegodziwością, ale nigdy nie praktykował jej, jeśli nie było to niezbędne. Był drobiazgowo uprzejmy. Wyłudził moją zgodę stosując najlepiej dobraną dawkę nacisku i przebiegłości. On był tu królem. Ja tylko pionkiem. Zmiotł mnie z szachownicy i kazał czekać na inną grę. Ani przez moment nie sugerował, że chodzi tu o handel niewolnikami. Oczywiście wiedział, jak sprawy stoją. Ja zresztą też. Właśnie dlatego nie byłem w stanie przekręcić klucza i wejść do Liii, chociaż bardzo jej pragnąłem; zamiast tego leżałem w ubraniu i nie zasnąłem do pierwszego brzasku, snując plany buntu niby Spartakus w Kapui.

O świcie porzuciłem to jałowe zajęcie i poszedłem do Liii Anders. Z całą swoją wyrafinowaną ironią dyrektor podtrzymywał jej nieświadomość co do zawartego ze mną układu, tak więc o szóstej rano, niewyspany i spragniony miłości, musiałem wyjaśnić jej krok po kroku cały skomplikowany scenariusz. Kiedy powiedziałem jej, że odzyska wolność w Szwajcarii, ogarnęła ją historyczna radość. Kiedy powiedziałem jej, że udaję się tam razem z nią, było to święto Bożego Narodzenia, i Trzech Króli, i wszystkie jej urodziny naraz. Po tym wszystkim nie miałem chęci ani serca, żeby wyjawić jej cenę. Od chwili, kiedy opuszczę Włochy, znajdę się w gruncie rzeczy na wygnaniu. Jak tylko stanę się banitą, przejdę kliniczne zmiany, które dyrektor z całą precyzją zaplanował. W uszach większości Europejczyków, dla Anglosasów i Amerykanów słowo „bancija” brzmi staromodnie. Bez względu na to, jakie zbrodnie człowiek popełni, nigdy nie jest pozbawiony obywatelstwa ani podstawowych więzi z ojczyzną. Może zostać uwięziony, poddany brutalnemu traktowaniu, ale nigdy nie będzie pozbawiony zasadniczego składnika swojej tożsamości: kontaktu z macierzystą ziemią.

Jednak dla nas, Włochów, których tożsamość wiąże się z małym skrawkiem ziemi, z grupą plemienną, z obszarem panowania danego dialektu, banicją z niezmienną i złowrogą rzeczywistością. Nadal można nas w zgodzie z prawem przesiedlać do odległej prowincji albo zakazać opuszczenia tej prowincji, wyspy, która utkwiała w marazmie, wspólnoty, której język, obyczaj i historia są nam całkowicie obce, gdzie będziemy obcymi aż do dnia śmierci. Nie możemy się stamtąd ruszyć bez policyjnego pozwolenia. Nie możemy tam rozkwitnąć, bo jesteśmy z nietutejszego ziarna. Istniejemy wyłącznie poprzez nasze cierpienie, istniejemy pod kontrolą.

Osobiste konsekwencje są równie głębokie i demoralizujące jak w przypadku, gdybyśmy zostali osiedleni na Syberii albo zesłani jako wyrzutki społeczeństwa na jakąś wysuszoną Tortugę.

Terror rozpoczyna się łagodnie od poczucia dezorientacji i nieciągłości. Może zakończyć się tym, że porazi człowieka poczucie bezsily i każdy czyn wyda się bezcelowy, każdy krok będzie prowadził do zaryglowanej bramy, każda nadzieja okaże się złudzeniem.

Dyrektor wiedział to, ponieważ wielokrotnie posługiwał się tym sposobem unieszkodliwiania ludzi, którzy przyjmowali wobec niego wrogą postawę. Ja też wiedziałem, ponieważ mój ojciec był na wygnaniu za faszystów i wrócił do domu jako człowiek złamany. Jak jednak miałbym to wytłumaczyć Liii, która przeżyła swoją banicję, a teraz wrywała się na wolność... Równie dobrze może się okazać, że miłość nie będzie nawet w połowie tak słodka, a wygnanie z Włoch nawet w połowie tak straszne.

O ósmej dwadzieścia pięć nasz bagaż został zabrany pod czujnym okiem jednego z funkcjonariuszy. O ósmej trzydzieści, nie płacąc żadnego rachunku, a ukłonów przyjmując jak za dwa, zostaliśmy poprowadzeni z hallu do reprezentacyjnej limuzyny. O dziewiętej piętnaście wprowadzono nas do poczekalni dla Ważnych Osobistości na lotnisku Fiumicino i otaczano komfortem oraz szacunkiem aż do chwili, kiedy do odlotu pozostało piętnaście minut. Później rozepchnięto tłuszcę zwykłych podróżnych i dostawiono nas z honorami do samolotu, gdzie usadowiono nas w dwóch fotelach pierwszej klasy. Nasz opiekun kręcił się przy nas aż do momentu zamknięcia drzwi. Wreszcie końcowy ukłon z ramienia wdzięcznej Republiki i zostaliśmy sami. Pięć minut później — o dziwo personel lotniska tego dnia nie strajkował — przekroczyliśmy powietrzną granicę. Trzymaliśmy się za ręce. Wymieniliśmy kilka zwarowanych żartów. Wzniesiliśmy szampanem toast za nasze zdrowie. Potem usnąłem i obudziłem się dopiero, kiedy podchodziliśmy do lądowania nad lotniskiem Kloten w Zurychu.

Po przybyciu do Baur au Lac stwierdziliśmy, że dyrektor przewidział wszystkie ewentualności. Zostaliśmy rozlokowani w oddzielnych pokojach, z których każdy miał połączenie z obszernym salonem, zaopatrzoną już w kwiaty, owoce, napoje i powitalną kartę od kierownictwa hotelu. Był już

także telegram od dyrektora: „Druga Samuel siedem jeden”. Zurych jest zdrowym kalwińskim miastem, więc odszyfrowałem żart z Biblii znajdującej się na moim nocnym stoliku: „Pan poskromił wokoło wszystkich jego wrogów”.

Trochę później w ciągu dnia nadszedł drugi telegram zawierający jedynie dwa słowa: „Tekel Stefanelli”. W tym wypadku Biblia nie była mi potrzebna. Pamiętałem zagadkę jeszcze z dni młodości. „Tekel — zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki.” Musiałem mu odpowiedzieć i uczyniłem to za pomocą Księgi Powtórzonego Prawa jeden szesnaście: „Rozstrzygajcie sprawiedliwie spór każdego ze swym bratem czy też obcym”. Dowcip był stary i gorzki. Musiałem z tym wszystkim skończyć. Powiedziałem prawdę Liii.

Chwila zwierzeń była dosyć szczególna. Siódma wieczorem. Postanowiliśmy zjeść wcześniej kolację w apartamencie, żeby odetchnąć po trwogach i podnieceniu ostatnich kilku dni. Liii, promieniejąca po wizycie u fryzjera, masażystki i manikiurzystki, ubrana była w szlafrok, który kupiła, żeby uczcić swoją świeżą jeszcze wolność. Dała mi w prezencie jedwabną koszulę i dosyć egzotyczny krawat. Ja mieszałem napoje niby barman-amator i czułem się bardzo domowo, bardzo komfortowo, chociaż nieco obco i obojętnie, jakbym powstał z łóżka po długiej chorobie. Opowieść pobiegła sama w ten sam obcy sposób, z dystansem, i słyszałem samego siebie, jakbym słuchał kogoś innego:

— ... Wszystko, co dyrektor mówił, jest prawdą, a jednak w sumie otrzymujemy kłamstwo, którego i tak nie jest człowiek w stanie potępić. Jest wielkim aktorem. Przenosi człowieka w zaczarowany nie istniejący świat i zmusza do wiary, że każdy liść na drzewie jest prawdziwy. Pokazuje człowiekowi jego drugie ja i każe wierzyć, że to jesteś ty... „Brak ci poczucia autorytetu, Matucci. Brak ci doświadczenia. Jesteś elementem zapalnym. Polaryzujesz odłamy.” Wszystko to prawda, ale prawda w dokładnie odwrotny sposób... „Nie jesteś martwy, po prostu na jakiś czas pogrzebany...” Ale wiem, że od momentu wstąpienia na pokład samolotu jestem martwy; ponieważ ma wszystkie moje kartoteki i notatki i może przerobić przebieg wypadków tak, jak wyda mu się dogodne. Powiada, że chce dzielić i rządzić. Ale przypuśćmy, że pragnie czegoś innego? Przypuśćmy, że chce jednoczyć i zdobywać, żeby grać rolę Fouchego przy Napoleonie-Leporellim? Dałem mu środki pozwalające to osiągnąć... I zapłacił za nie: zapłacił tobą, zapłacił długim urlopem, zapłacił synekurą, za którą połowa ludzi z SID oddałaby rękę. I będzie honorował swoje zobowiązania, możesz być pewna, tak długo, jak długo uczestniczę w jego grze zgodnie z podanymi przez niego regułami i czekam na słowo od pana mojego...

— Dlaczego zgodziłeś się na tę zapłatę, Dante Alighieri? — W tym pytaniu nie było także współczucia, Liii była spokojna i opanowana jak urzędnik badający jakąś sprawę. — Ponieważ ja stanowiłam jej część?

— Nie. Sądzę, że nawet gdybym podjął z nim walkę, pozwoliłby ci wyjechać, chociażby po to, żeby pokazać mi, jaki jestem uparty i nierozsądny. Mógłby nawet pracować nad skierowaniem ciebie przeciwko mnie... Rozpina sieci tak delikatnie, że nie widzisz nawet nici.

— Dlaczego więc zgodziłeś się? Dla mnie to wolność; dla ciebie wygnanie.

— Dziwne, ale w tej chwili cieszę się z tego.

— Gdybyś potrafił cieszyć się z tego także później, ze mną albo beze mnie, byłaby to całkiem inna historia. Uda ci się?

— Nie wiem... Tak, na Boga, wiem! Ubiegłego wieczora jadłem z nim kolację i było mi dobrze w jego towarzystwie. Po kolacji pracowaliśmy razem nad dokumentami i czułem dla niego szacunek, ponieważ on szanował mnie. Kiedy więc poprosił, żebym usunął się w cień, i podał przyczyny, to także musiałem uszanować. A kiedy już się zgodziłem, pokazał mi, jaki jest sprytny, jak doskonale z góry wiedział, że się zgodzę. Był tak pewny swego, że przygotował wszystko zawczasu, łącznie z napojami i różami w twojej sypialni. Nagle przestałem być mężczyzną. Stałem się...

— Kukielką, kochanie! Marionetką, naturalnej wielkości i bezradną, pozabawioną całkowicie męskości. To gorzkie doświadczenie, prawda?

— Myślę, że to zabawne, bardzo zabawne.

— Naprawdę?

— Dowcip stulecia! Dante Alighieri Matucci wykastrowany, falset w chórze kukiełek!

— Czemu więc się nie śmiesz?

— Jestem kukielką-błaznem, Liii. Wywołuję śmiech u innych. To ostateczny triumf, nie widzisz tego? Dyrektor rozpowszechnił wiadomości w całym SID. Skąd Steffi by o wszystkim wiedział? Po co wysyłałby mi telegram: „Zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki”. Matko Boska! Jakaż wspaiała komedia!

— Chciałabym zobaczyć jej koniec.

— Ależ to już koniec. Nie rozumiesz tego?

— To koniec napisany przez niego. Myślę, że istnieje lepszy.

— Chciałbym to zobaczyć!

— Kukielka staje się człowiekiem, zdiera z twarzy szminkę błazna i pędzi, by stawić czoło wrogom.

— To bajka, Liii.

— Nie! To prawda, moja prawda! A teraz, kiedy jesteśmy skwitowani, mogę ci powiedzieć. Znam cię jako mężczyznę: i to jakiego mężczyznę! I nie tylko w łóżku, Dante Alighieri!

— Dziękuję. To zawsze jakaś pociecha.

— Ale niewystarczająca. Gdzie masz portfel?

— W sypialni, dlaczego?

— Jest w nim pewna kartka, pamiętasz? Salamandra i napis: „Pewnego pięknego dnia, bracie!” Dobrze motto, nie uważasz? I świetnie pasujące godło: jaszczurka żyjąca w ogniu. Weź tę kartkę, kochanie. I znajdź numer telefonu cavaliere Bruno Manziniego. Myślę, że powinienesz zadzwonić do niego do Bolonii.

Pomysł był kuszący. Ale ja bałam się jeszcze niedawnego huku armat i z niechęcią myślałam o nowych powikłaniach. Bruno Manzini należał do innego świata, do świata rządzącego się innymi prawidłami, do świata condottieri — korsarzy, którzy zawładnęli ruinami imperium z kart i budują nowe imperium, tym razem ze stali, betonu i międzynarodowego złota. Rozporządzają ogromną potęgą; ale posługują się walutą, do której nie przywykłam. To prawda, Bruno Manzini dowiódł mi, że jest godny zaufania. Ale jeśli zdradzi, będę zgubiony bez możliwości ratunku; albowiem zakres władzy pieniądza jest nieograniczony, a jego faworycy pozbawieni litości.

Przedstawiłam to Liii, tej nowej Liii, która rozkwitła przez noc w inną zupełnie kobietę — pogodną, dojrzałą i ufającą samej sobie. Bez trudu obaliła moje wątpliwości.

— Co masz do stracenia? Nic. Co do zyskania? W najlepszym wypadku potężnego przyjaciela. W najgorszym — sojusz interesów, który będziesz mógł zerwać, kiedy tylko zechcesz. A najważniejsze, będziesz musiał stanąć do walki. Proszę cię, zadzwoń do niego natychmiast!

Zadzwonić jest łatwo. Rozmawiać z cavaliere niewiele łatwiej niż w niedzielę uciąć sobie pogawędkę z papieżem. Odsyłano mnie od telefonistki do sekretarki, od sekretarki do sekretarza, człowieka niezwykle rzeczowego, bardzo w stylu alt-Italia, który poinformował mnie, że cavaliere prowadzi właśnie bardzo ważną konferencję i pod żadnym pozorem nie można mu przeszkadzać. Zaryzykowałam i użyłam magicznej nazwy SID grożąc wszelkiego rodzaju nie określonymi bliżej następstwami, jeśli cavaliere nie podejdzie natychmiast do telefonu. Musiałem odczekać jeszcze następne trzy minuty. Wreszcie mogłam mu oznajmić:

— Cavaliere, wczoraj zabrałem z Ponzy pewne akta. Dostarczyłem je mojemu przełożonemu, naszemu wspólnemu przyjacielowi. Jestem teraz na czteromiesięcznym urlopie, a następnie zostanę przeniesiony służbowo do innego rodzaju zadań. Obowiązuje mnie rozkaz pozostania przez miesiąc poza Włochami. Mieszkam w Zurychu w Baur au Lac.

Przez moment panowała cisza, potem nastąpiła seria szorstkich pytań:

— Czy obejrzał pan akta?

— Tak.

— Ważne?

— Tak, jak sugerował pan w Rzymie.

— Czy wie pan, co się z nimi obecnie stało?

— Jedynie to, co mogło się stać. Istnieje szereg możliwości.

- Nad którymi nie ma pan już żadnej kontroli.
- No właśnie.
- Potrzebna panu jest pomoc finansowa czy innego rodzaju?
- Potrzebuję człowieka, którego poleciła mi Raquela Rabin, oczywiście jeśli nadal jest gotów działać.
- Jest gotów. Będzie u pana jutro wieczorem... A przy okazji, jak się miewa nasz wspólny znajomy?
- Bardzo jest z siebie zadowolony.
- Nie wątpię. A pan?
- Trochę lepiej. Ponieważ rozmawiałem z panem.
- A jak z pańskim zdrowiem?
- Nasz wspólny znajomy zapewnia, że nie ma żadnych obaw.
- Oczywiście wiedziałby.
- Tak. Ale on nigdy nie wyjawia wszystkiego, co wie.
- Pamiętaj o tym, przyjacielu. Chodź blisko ścian.
- Dziękuję, cavaliere... Dobranoc.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, drżałem i miałem wilgotne dłonie. Teraz naprawdę się bałem. Ostatnie słowa starego człowieka obaliły kruchą iluzję bezpieczeństwa i ujawniły całą przewrotną niegodziwość planu dyrektora. Byłem obcym w kraju nafaszerowanym pieniędzmi i aż brutalnie obojętnym. Należę do prawnego podziemia, do gorszego świata, do świata ludzi podejrzanych i nigdy nie kochanych. Mogę zostać zastrzelony na rogu ulicy, a Szwajcarycy zmyją moją krew i ruch uliczny zostanie przywrócony, zanim zdąży poskarżyć się Janowi Kalwinowi. Mówiłem już, że jestem Toskańczykiem. Poczulem dokładnie florenetyński smak zemsty dyrektora. Podeszła Liii, objęła mnie ramionami i przez chwilę staliśmy przytuleni, a ona szeptem powtarzała ciągle słowa, które brzmiały jak zaklęcie:

— „Pewnego pięknego dnia, bracie... pewnego pięknego dnia...”

Następny piękny dzień był darem od Boga: żadnego wiatru ani chmurki, jezioro oślepia w blasku wiosennego słońca, śnieg w górach, na niżej położonych łąkach brodzi się po kostki w wiosennej trawie, pasterze pędzą stada w górę zboczy przy wtórze muzyki dzwonek. Wynająłem auto i pojechaliśmy wzdłuż jeziora na wschód, w stronę Grisons, bez żadnego celu i szczęśliwi, jakbyśmy przeżywali miodowy miesiąc. Liii ogarnęło radosne upojenie. Śpiewała, błaznowała, oddała się igraszkom słownym i miłosnym, budowała domy ze snów, urządzała je, a po chwili burzyła, z nicości wydobywała dzieci i rzucała je w powietrze, by się unosiły niby puch.

A ja? Ja też byłem szczęśliwy. Zbyt długo już obcy był mi ten rodzaj prostoty. Moje stosunki z kobietami zbyt były naznaczone pośpiechem, zbyt kruche i gorączkowe, by mogły dać spokój. Ja polowałem, one rzucały wyzwanie, łączyliśmy się, potem rozstawaliśmy, a nazajutrz był inny dzień i inne polowanie, dotknięcie czubkiem palca ronda kapelusza i ciao, ciao, bambina,

na zakończenie. Nie miałem pojęcia, czym są powroty do domu, pocałunek na progu i codzienne miłosne zmyzywanie grzechów, jakie się popełnia w moim fachu. Byłem bufalo solitario, zawsze na obrzeżu stada, porywałem samice, które się od niego odłączały, a potem porzucałem je, by inni mężczyźni mieli uciechę. Chętnie się tym, ponieważ to nasz narodowy sposób spędzania czasu wskazujący, że mamy niewyczerpalną potencję. Ale dzisiaj, upokorzony, bo przestraszony, straciwszy szacunek dla samego siebie, byłem, może po raz pierwszy w życiu, naprawdę wdzięczny kobiecie.

Także po raz pierwszy — a może to brzmieć dziwacznie w ustach człowieka, który został wyszkolony do tego, by obserwować każdą ludzką istotę i dopasowywać ją do antropologicznych schematów — patrzyłem na nią tak, by utrwalić ją sobie w pamięci: miodowego koloru włosy wymykające się spod chustki, wystające, słowiańskie kości policzkowe zarumienione od wiatru i ekscytacji, maleńkie plamki złota w oczach, półuśmiech, który zawładnął kącikami ust, linia podbródka, ramion i piersi i sposób, w jaki gestykułowała rękami przy mówieniu, nawet pierwsze słabe muśnięcie czasu widoczne na fakturze skóry. Liii nie była bynajmniej dziewczyną. Za długo prowadziła zbyt dziwny tryb życia. Ale ja też nie byłem chłopaczkiem; męczył mnie dziecinny szczebiot i kłamstewka kochanków, i wszystkie grzeczne pogwarki.

Zatrzymaliśmy się na lunch w górskim zajeździe wznoszącym się wysoko nad doliną. Jedliśmy suflet z sera i wołowe fondue i piliśmy cienkie musujące wino, zupełnie inne niż to z obfitych winobrań na moich tokańskich wzgórzach. Usługująca nam dziewczyna była bladoróżową blondynką, ubraną niby lalka w dirndl i haftowaną bluzkę. Siedzieliśmy przed kominkiem, w którym płonęły wielkie bierwiona i piliśmy kawę i brandy z gruszek, i podobał się nam solidny, kołtuński, szwajcarski komfort tego wszystkiego. Rozmawialiśmy o przyszłości i Liii oceniała swoją bez żadnych resentymentów.

— ... Jestem teraz w kartotece. Każdy policjant znający moje dossier może zaczepiać mnie jak prostytutkę. Muszę więc zachowywać ostrożność. Jeśli będę żyła skromnie i umiarkowanie, Szwajcaria udzieli mi na jakiś czas prawa pobytu. Niechętnie je przedłużą; ale jeśli będę miała dobrego prawnika i zaszyję się gdzieś w małym kantonie, mogę dosyć długo żyć sobie w spokoju. Gdybym wyszła za męża, wszystko by się zmieniło. Miałabym nowy stan cywilny i nowe życie. Muszę więc to rozważyć... ale jeszcze nie teraz. Mam tu dość pieniędzy na lata prostego życia. Mam na Ponzy willę, którą mogę sprzedać, i uzyskam za nią przyzwoitą cenę. Massimo powiedział, że zabezpieczył mnie w swoim testamencie; ale ten testament został skradziony. Zresztą wiąże się to z rozprawą sądową, więc niczego na tym nie buduję... tym bardziej że nigdy już nie będę mogła wrócić do Włoch... A jednak jestem szczęśliwa. Szczęśliwa także dzięki tobie, kochanie... Nie myślałam, że tak ci na mnie zależy.

— Ba! Ja sam nigdy nie wierzyłem, że będę potrzebował kobiety w ten sposób. Żeby mieć spokój, żeby niczego nie dowodzić, po prostu być szczęśliwym, że przebywa się z nią w jednym pokoju. Co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci, byśmy spędzili ten miesiąc razem?

— Powiedziałabym: tak. Ale powiedziałabym również, proszę, odejdz, zanim się mną znudzisz. Proszę, niech między nami nie będzie kłótni, niech nie padną żadne złe słowa. Niech będzie tak jak teraz, prosto i łatwo, jedna godzina, jeden dzień na raz.

— Jeden dzień na raz. Dobrze...

— I kiedy odejdziesz, a wiem, że musisz, i poczujesz się potem samotnie, wróć. W rozmowie między nami niepotrzebne jest szczególnie wyraźne wypowiadanie słów. A nawet wcale nie musimy ich wypowiadać. Potrzebujesz teraz całkowitej swobody, swobody podejmowania ryzyka lub cieszenia się życiem, co sobie wybierzesz. Najwyższy czas, żebyś poznał człowieka, który mieszka w twojej skórze.

— Boję się go, Liili.

— A zatem musisz pewnego dnia stanąć naprzeciwko niego w lustrze. Potem, jeśli Bóg pozwoli, nauczysz się być szczęśliwym.

— Mam nadzieję. Ale jedno musimy sobie powiedzieć, Liili.

— Co takiego?

— Jeśli nadejdzie moment, kiedy będziesz musiała wybierać między mną a sobą, rozważ przede wszystkim, co jest dobre dla ciebie. Tego bym chciał.

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj, bambina! Nie dlatego zafundowano nam pobyt obok siebie w pięknym hotelu, że ktoś chce, byśmy byli szczęśliwi. Zostało to zaaranżowane przez dyrektora po to, byśmy się ze sobą związali jak najmocniej. Wtedy szantaż wobec jednego z nas byłby sposobem wywierania nacisku na drugie. Pomyślał o tym, żeby mnie kupić. Może jest przekonany, że mnie kupił. Ale na wszelki wypadek wykupił także polisę ubezpieczeniową, bo przecież mogę podjąć próbę wykpienia się z umowy. Widzisz, w czym rzecz?...

— Widzę. I chcę, żebyś go okpił. Czy możesz mi coś powiedzieć?

— Co?

— Nigdy nie słyszałam, żebyś wymienił nazwisko tego człowieka. Zawsze mówisz o nim po prostu jako o dyrektorz. Dlaczego?

— To reguła gry, która stała się moją drugą naturą. Ale skoro w tej chwili pytasz, istnieje też inny powód. To bardzo pociągający mężczyzna. Może oczarować cię tak samo, jak oczarował mnie wielokrotnie swoim uśmiechem, uściskiem dłoni, okazanym zaufaniem i nieskończone zdrowym rozsądkiem. To jego wrodzony talent. Pielęgnowano go przez dwadzieścia pokoleń. Zazdroszczę mu tego, o Boże, jak bardzo! Przeraza mnie. Mój strach przed nim jest coraz większy. Tak więc staram się myśleć o nim nie jako o człowieku, ale jak o funkcji, jak o papieżu albo prezydencie. Tylko w ten sposób potrafię się z nim

uporać. Mogę piętrzyć przeszkody, hamować go, zmieniać kierunek, jak często czyniłem w przeszłości. To dziwne! Nigdy dotąd i przed nikim do tego się nie przyznałem.

— Może nadejdzie dzień, kiedy będziesz mógł ich obu wymienić jednym tchem: człowieka, który mieszka w twojej skórze, i tamtego, który ciągle budzi twój strach.

— Czy jestem, Liii, takim strasznym tchórzem?

— Istnieje rodzaj strachu, który z każdego czyni tchórze!

— A czego ty się boisz?

— Małe pomieszczenie, światło prosto w oczy, twarze, których nie widzę, pytanie i uderzenia, które spią się gradem znikąd. Ocaliłeś mnie przed tym i gotowa jestem na wszystko, byleby ci za to zapłacić.

— Oboje dostaliśmy swoją zapłatę, cara... wystarczy jeden dobry dzień.

— A wieczorem zjawi się twój cavaliere Manzini... Czy powiesz mu o mnie?

— Nie da się tego uniknąć. Czy to cię martwi?

— Nie. Ale to dziwna sytuacja. Byłam kochanką jego brata. Teraz widzi mnie z tobą. Ciekawe, co sobie pomyśli albo powie.

— Czy to dla ciebie takie ważne?

— Tak. Chcę, żeby był ci przyjacielem.

— Sam siebie nazywa Salamandrą. Musiał zapłacić swoją cenę za to, że pozostał przy życiu. Zaczynamy z nadzieją, że on potrafi zrozumieć, że my także zapłaciliśmy swoją cenę. Potem... kto wie? Nie ma żadnych znaków na niebie, a ja nie potrafię wróżyć z kryształowej kuli... Musimy już wracać. Do Zurychu mamy półtorej godziny jazdy.

O ósmej trzydzieści wieczorem cava)iere Bruno Manzini przyjął mnie w swoim apartamencie w hotelu Dolder Grand. I znowu otoczony był przepychem: obszerny salon, widok na mroczny las, światło księżyca na jeziorze i światła przycupniętego miasta; i sam gospodarz pełen rezerwy, surowy, taki, jakiego poznaliście. Gdyby świat cały zawalił się, on stałby tu dalej, prosty jak kolumna, ze swoimi dumnymi oczyma, patrycjuszowskim nosem i włosami jak śnieg na szczytach gór. Powitał mnie serdecznie, z uśmiechem; ale od chwili, kiedy wszedłem, taksował moje ruchy, moją postawę i brzmienie głosu. Charakterystyczny był jego pierwszy komentarz:

— Zmienił się pan, pułkowniku.

— Jak to, cavaliere?

— Pod każdym względem. Nosi pan ubranie, jakby się pan z niego cieszył. Jest pan swobodniejszy i łatwiejszy w rozmowie. Zgaduję, że znalazł pan właściwą kobietę i zyskał trochę więcej odwagi, niż przejawiał pan wczoraj.

— Jedno i drugie jest prawdą.

— Napije się pan?

— Proszę whisky.

Obsłużył mnie osobiście. Zauważyłem, że sam pije bardzo mało. Podniósł szklankę i wygłosił toast:

— Zdrowia, pieniędzy i miłości...

— I czasu, żeby z tego korzystać, cavaliere.

— Tego przede wszystkim, pułkowniku... Polecilem, żeby za pół **godziny** podano nam kolację. Myślę, że zaufa mi pan, jeśli chodzi o menu?

— Oczywiście.

— Teraz proszę opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się od naszego spotkania w Rzymie.

Opowiedziałem. Wymieniłem wszystkie fakty bez interpretacji i komentarzy, aż do przybycia do Zurychu z Liii Anders i związku, który między nami zaczął się kształtować, włącznie. Podczas relacji Manzini nie powiedział słowa, ale nie spuszczał wzroku z mojej twarzy i wiedziałem, że waży każde zdanie, każdą modulację głosu. Kiedy skończyłem, przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, a potem zaczął stawiać pytania. Krótkie i badawcze, jakby prowadził śledztwo.

— Jest pan przekonany, że generał-major Leporello związał się z neofaszystami?

— Jestem przekonany, że był i jest kandydatem do takiego związku. Nie mogę dowieść, że sojusz został już zawarty.

— Wnioskuje pan jednak, że Leporello wydał rozkaz dokonania morderstwa przy Via Siciliana i kradzieży dokumentów Pantaleonego. A w każdym razie tolerował te zbrodnie.

— Stwierdzam, że należy to wziąć pod uwagę.

— Ma pan jakieś dowody na poparcie tej tezy?

— Leporello wiedział ode mnie, gdzie znajdują się papiery i jakie środki zostały przyjęte dla ich zabezpieczenia. Kiedy papiery znalazły się w jego rękach, musiał natychmiast zorientować się, że są niekompletne. Musiał — i w rzeczywistości tak postąpił — podjąć kroki zmierzające do odnalezienia pozostałych, do wytopienia filmów i map na wyspie Ponza. Był tam jego adiutant, uzbrojony w upoważnienie podpisane przez Leporella.

— A dlaczego miałby Leporello być na tyle głupi, żeby podpisać rozkaz, który mógłby skompromitować jego samego i adiutanta?

— Rozkaz nie musiał wcale go skompromitować. Mógł uzasadnić go po prostu jako czynność śledczą dokonaną w ramach jego własnego programu ochrony przed zamieszkami. Wie pan, jak zorganizowane są nasze służby i agendy. Czasem działają równolegle, czasem dublują się, a czasem ich działania są wzajemnie sprzeczne. Istnieje rywalizacja między nimi i między kontrolującymi je ministerstwami.

— Istnieją także konflikty wewnętrzne?

— Oczywiście.

— Konflikty polityczne?

- Zawsze.
- Co leży u podstaw pańskiego konfliktu z dyrektorem?
- Są liczne powody. Poprosiłem o śledztwo w sprawie Leporella. Odmówił. Przekroczyłem wyraźny zakaz i skontaktowałem się z generałem.
- W gruncie rzeczy jest pan odpowiedzialny za dwa morderstwa i kradzież dokumentów o żywotnym znaczeniu.
- Myślę, że jestem rzeczywiście za to odpowiedzialny.
- Więc dyrektor jest usprawiedliwiony, słusznie odebrał panu śledztwo w tej sprawie.
- Słusznie, gdyby dokonał tego na gruncie dyscyplinarnym.
- Sugeruje pan, że kierował się innymi motywami?
- Podał je wyraźnie: brak mi poczucia autorytetu i doświadczenia, które pozwoliłoby poradzić sobie ze złożoną sytuacją polityczną; mogę spolaryzować istniejące odłamy, które lepiej utrzymywać rozbite; jestem wygodną ofiarą, która pozwoli mi zyskać na czasie.
- Dobre powody, czyż nie?
- Doskonałe.
- I potraktował pana bardzo wspaniałomyślnie. '
- Bardzo.
- Na czym polega więc konflikt? Dlaczego nie podoba się panu **sposób** jego postępowania?
- Nie kłóć się z nim. Nie mam żadnych istotnych obiekcji. Ale...
- Ale co, pułkowniku?
- Powiedziałem mu to w oczy i gotów jestem powtórzyć. Nie ufam mu.
- Jego odpowiedź?
- Cytuję dosłownie: „Nie chcę dyktatury. Jestem pewien, że nasz rodzaj demokracji jest zbyt niestabilny. Ale niech dzieje się, co chce, będę zawsze próbował uczynić go znośnym”.
- Chyba godne pochwały zamierzenie?
- To zależy od interpretacji. On sam dodał komentarz: „Ja jestem na tej szachownicy królem, a ty pionkiem”.
- A pan nie lubi być pionkiem, pułkowniku?
- Nie, nie lubię.
- Bez wątpienia. Wolałby pan być królem?
- Cavaliere, mój ojciec był starej daty socjalistą, spędził za czasów faszystowskich pięć lat na wygnaniu na Lipari. Pozwolili mu wrócić do domu tuż przed śmiercią.
- Przepraszam, nie wiedziałem.
- Skąd miałby pan wiedzieć?
- No więc, kim chce pan być?
- Sługą otwartego społeczeństwa.

— Ale wstąpił pan do bardzo zamkniętej organizacji... **do organizacji** bardziej niż jakakolwiek inna podatnej na korupcję wynikającą z jej tajnego charakteru. Dlaczego?

— Polecono mnie, cavaliere. Skorzystałem z okazji.

— Dlaczego?

— Mam talent śledczy.

— I talent do intrygi?

— To także, jeśli tak pan sobie życzy.

— A również lubi pan mieć wpływy nie ponosząc **odpowiedzialności**.

— Nie. Lubię odpowiedzialność.

— I cierpi pan nie mogąc jej brać na siebie.

— Tak jest, cierpię.

— Az jakiego powodu cierpi pan najbardziej?

— Że jeden człowiek może, jeśli przyjdzie mu na to ochota, uczynić ze mnie zero. I że ten sam człowiek może, jeśli tak postanowi, grzebać, manipulować lub handlować informacjami, które mogą decydować o politycznej przyszłości tego kraju. Mojego kraju, cavaliere... pańskiego także.

— Co pan wie o tym naszym kraju, pułkowniku?

— Zbyt mało. I zbyt wiele od złej strony. Znam kryminalistów, agitatorów, propagandystów, policjantów, polityków. Ale lud... czasem czuję się jak mały zielony facecik z Marsa — sam mózg i czułki, ale całkowity brak serca.

— Czy można pana kupić, pułkowniku?

— Kupiono mnie czterdzieści osiem godzin temu.

— Czy można pana zastraszyć?

— Już jestem zastraszony. Zbyt wiele wiem. Jestem sam. Stanowię łatwy cel.

— A kto mógłby chcieć pana usunąć?

— Po pierwsze dyrektor. Leporello po drugie.

— Albo obaj współpracując ze sobą.

— To koszmar, który mnie prześladowa. I może stać się rzeczywistością. Proszę spojrzeć na wydarzenia w Grecji. I proszę spojrzeć, jak szybko pułkownicy stali się godni szacunku. Pantaleone, pański przyrodni brat, miał pierwsze plany wojskowego zamachu stanu, i plany te nadają się cudownie w dalszym ciągu. A jeśli Leporello i dyrektor zaczną zgodnie współpracować, plany staną się jeszcze bardziej cudowne, i to bardzo szybko.

— Dzwoniąc wczoraj, czego pan ode mnie oczekiwał?

— Oczekiwałem, że będzie pan mógł doradzić mi, jak pozostać przy życiu i jak wykorzystać moją wiedzę, żeby zapobiec zamachowi stanu.

— Co pan wie, Matucci?

— Znam każde nazwisko z mikrofilmu. Mogę odtworzyć każdy dokument. Każdą mapę. Mam fotograficzną pamięć, cavaliere. Zrobię to z dziewięćdziesięcioprocentową dokładnością.

- Czy dyrektor wie o tym?
- Tak.
- Więc powiedział prawdę. Jest pan naturalną ofiarą.
- A pan, cavaliere?
- Ja także powiedziałem prawdę. Jesteśmy naturalnymi sprzymierzeńcami. Ale musi pan zgodzić się na — jak to pan nazwał? — koślawe przymierze.
- Jak ono będzie wyważone?
- Ogromnie na moją korzyść. Wprowadzę pana w inny świat. Będzie pan musiał nauczyć się jego historii, jego języka i jego symboli. Mam wszystko, czego brakuje panu: wpływy, pieniądze, przyjaciół i służbę w każdym kraju świata. Jestem stary i uparty. Muszę więc mieć przywileje.
- Rozumiem i zgadzam się.
- Jest jeszcze jeden warunek.
- Słucham.
- Ta Liii Anders... Stanowi niebezpieczeństwo dla pana i kłopot dla mnie. Niech pan jej zapłaci i zapomni o niej.
- Nie mogę tego zrobić, cavaliere.
- Nalegam, skoro mamy pracować razem.
- Cavaliere, jestem przekonany, że trzydzieści lat temu miał pan wielu przyjaciół, którzy dawali panu taką samą radę, jeśli chodzi o Raquelę Rabin. Jako Żydówka, i to sławna, stanowiła zagrożenie dla pana i kłopot dla nich. Co pan zrobił?
- Postąpiłem zgodnie z ich radą.
- Raquela Rabin powiedziała mi coś innego.
- Wiem, ale to moja wersja jest zgodna z prawdą.
- A jednak żąda pan ode mnie, bym zrobił to samo innej kobiecie?
- Z innych powodów.
- Z tych samych powodów, cavaliere.
- To wielki błąd z pana strony.
- Prawdopodobnie. Ale to ten sam stary targ, który prowadziłem już z dyrektorem. Podporządkuj się i będziesz bezpieczny. Przykro mi. Koniec targowania się. Nie zgadzam się.
- Jeszcze whisky?
- Nie, dziękuję. I proszę mi wybaczyć, nie zostanę na kolacji.
- Zostanie pan, pułkowniku. Zostanie pan, żeby mnie udobruchać, chociażby dlatego, że jestem o trzydzieści lat od pana starszy i można mi wybaczyć moje złe maniery.
- Cavaliere, mnie też trzeba wybaczyć. Wkrótce mogę nie żyć. Chciałbym wykorzystać dobrze czas, który mi pozostał.
- Na Boga! Usiądź, człowieku! Koniec gry!
- Słucham?

— Przedstawiłem panu nikczemną propozycję, przyjacielu. Gdyby pan się zgodził, sam wydałbym pana w ręce morderców... Teraz proszę zadzwonić. Myślę, że nadeszła pora posiłku.

Człowiek, który tego wieczoru usiadł ze mną do kolacji w Dolder Grand, był zjawiskiem odmiennym zupełnie od wyobrażenia, jakie sobie o nim wytworzyłem. Miał siedemdziesiąt lat, był w wieku, w którym większość mężczyzn z zadowoleniem pogrąża się w komforcie i idiosynkrazji. Nie on. Burzył się jak szampan. Mówił o książkach, kobietach, obrazach, pieniądzach, nauce, filmach, modzie, religii, winie i uprawie róż. Był tak zmienny, że zdumiał mnie, i tak wszechstronny, że ze wstydem zacząłem myśleć o zmarnowanych najlepszych latach życia. Nie chodziło tu tylko o elokwencję i zakres zainteresowań — miał wiedzę, i to wiedzę głęboką. Radował się. Smakował. Nadał własny sens matematycznemu dziełu stworzenia. Nade wszystko żywił ciągle jeszcze szacunek dla tego, co tajemnicze, i chociaż sądy wypowiadał zdecydowane, zawsze tkwiła w nich jakaś maleńka rezerwa i cząstka współczucia. Między owocami a serami zaczął rozwijać nowy temat:

— Wszyscy tak samo coś dziedziczymy, Matucci, i tak samo nie możemy się wyzbyć swojej przeszłości, jak nie możemy zrzucić swojej skóry. Dana nam jest jedynie wolność uczynienia jak najlepszego użytku z tego, co mamy, czym w tej dokładnie chwili dysponujemy. Wysyłamy człowieka na Księżyc i wydaje się nam, że odkryliśmy przyszłość; ale przyszłość bez ustanku wyrasta z naszej przeszłości, a my odcyfrowujemy ją ze strzępów i fragmentów jak arytmetykę Inków. Na przykład pan i ja dzielił się chlebem, solą i winem. Zawiązuje się między nami przyjaźń. Ale nigdy mnie pan nie zrozumie, jeśli będzie pan zapominał, że urodziłem się na poddaszu nad burdelem w dniu Wniebowzięcia, kiedy przybyli do miasta akrobaci. Jest pan ciekawy?... Miło mi. Kiedy osiągnie pan moje lata, Matucci, stwierdzi pan, że niewiele pozostało takich, z którymi możemy dzielić przeszłość. Starzy odchodzą. Młodych to nie interesuje. Człowiek sterczy samotnie niby złamany kołek na polu pszenicy, triumfy, które święcił, dawno zostały zapomniane, ręce, które go podnosiły, rozsypały się w proch i wiatr je porwał. Proszę pozwolić, że opowiem o moich narodzinach. Większość z tego to szczerza prawda, niektóre rzeczy nie są pewne, a resztę być może sobie wyśniłem, ale i tak jest to przecież cząstką mnie. Proszę nalać sobie wina. Może dzięki niemu z większą cierpliwością wysłucha pan mojej bajki.

I dokładnie w ten właśnie sposób to opowiedział — jak bajkę, posługując się nieco anachronicznym językiem, z obszernymi gestami rąk i najwyraźniej z przyjemnością. Odgrywał gigione, aktora fuszera, i spod oka patrzył, jak przyjmują jego improwizację.

— ...Działo się to, drogi Matucci, w roku 1900. We Włoszech panował wówczas Wiktor Emmanuel III, a Leon XIII władał w chwale jako głowa Świętego Kościoła Rzymskiego. Rzecz dzieje się na Piazza delie Zoccollette, placu drewnianych sabotów, w Rzymie...

Nie widziałem tego, Matucci, ale mogę panu wszystko zrekonstruować, albowiem w dzieciństwie widywałem akrobatów wielokrotnie... Przybywają w pstrych strojach, kręcąc piruety, wykonując skoki i wywijając koziołki, a w tym czasie inni fiukają we flety, dobosze walą w bębny bum bum bum, rat rat rat, prestidigitatorzy podrzucają buławy ze wstążkami i zapowiadają wszystkim razem i każdemu z osobna cuda, jakich będą wkrótce dokonywać na Piazza delie Zoccolette... Ustawiają estradę dla aktorów i budkę, w której będą sprzedawać kokardy i zioła dobre na wszelkie choroby... Ustawiają także mały teatrzyk dla Pulcinelli. Osadzają mocno słupy i drabiny i napinają linę, żeby funambolo mógł wykonać swój śmiertelnie niebezpieczny spacer nad tłumem z jednego końca Piazza na drugi... Odgradzają sznurami kwadrat, żeby powstrzymać tłum i rozpostrzeć błyszczące maty dla akrobatów, i wytaczają wielką sztangę, którą tylko Carlo di Magnifico potrafi dźwignąć do góry... chociaż gotów był wypłacić złotą monetę każdemu, kto potrafi mu dorównać. I przez cały ten czas prestidigitatorzy krążą dokoła rozdając ulotki, zachwalając talenty swoich towarzyszy oraz zalety swoich driakwi i niezrównaną urodę kobiet-wężów...

W owych dawnych czasach, Matucci, na Piazza był burdel określany kurtuazyjnie jako dom schadzek i prowadzony przez stręczycielkę zwaną Zia Rosa. Nie było to najwytworniejsze miejsce w mieście, aczkolwiek nie było też najbardziej zaniedbane. Ja tego nie pomnę, ale moja stara niania Angela, która była siostrą Zia Rosy, opowiadała czasem to i owo wytrzeszczającym ze zdumienia oczy pokojówkom w domu mojej matki... Dla Zia Rosy dzień świąteczny i przybycie akrobatów oznaczały pełną kabzę. Dzień świąteczny to jedzenie i picie, i spacer nad rzeką; potem każdy młodzieniec, w którego żyłach płynęła krew, nie zaś woda, był chętny do zmagania w łóżku. Widowisko oznaczało tłum i ocieranie się o siebie ciała na Piazza, i widok akrobatek wykonujących skoki w swoich trykotach; wystarczy, żeby święty Antoni zaczął wołać o ukojenie tej chuci, która opanowuje człowieka w środku lata... Wiem, Matucci, ja też niejednej pożałowałem w moich zielonych latach...

Owego dnia, Matucci, moja matka rodziła na poddaszu domu Zia Rosy. Dosyć łatwo można domyślić się, jak tam trafiła: młoda dziewczyna, odepchnięta, prawie bez pieniędzy, wcześniej czy później musiała osiąść u Zia Rosy albo kogoś w tym rodzaju. Zia Rosa zapewniała podwójną obsługę. Jej siostra, Angela, i przyjmowała porody, i przerywała ciążę. A następnie werbowwała co bardziej obiecujące dziewczęta do pracy w domu.

Kiedyś podchwyciłem opowieść Angeli o tym, jaka była wtedy moja mama. Nazywała ją dziwaczką, furbacchiona, patrzącą spode łba. Miała bladą cerę, niebieskie oczy i włosy koloru miodu. Mówiła po polsku, angielsku i w dialekcie romanesco. Ubrana była porządnie, ale odrobinę za skromnie jak na kogoś, kto bez wątpienia umiał coś więcej, niż tylko klepać pacierze. Miała też parę groszy, w każdym razie dosyć, żeby Angela pomogła jej przy porodzie, albowiem Angela nie kiwnęłaby palcem, gdyby nie dostała do ręki gotówki...

...Nawet wtedy moja matka była arogancka i wymagająca, pomimo wielkiego brzucha i tak wyrażała potrzeby byle jakiego dachu nad głową. Żądała czystej bielizny, czystych ręczników, mydła i dwóch porządnym ciepłych posiłków dziennie, nie mówiąc o całej liście lekarstw z apteki. Stwierdziła kategorycznie, że pozostanie przez tydzień po przyjściu na świat dziecka i że opłaci dziewczynę, która będzie pielęgnowała ją w okresie rekonwalescencji. Była wytrzymała na ból. Ówczesna niewiasta krzyczałaby i miotała się, i domagała, by oszczędzono jej męki rodzenia. Nie ta — oznajmiła Angela. Każdy jęk trzeba jej było wydzierać, jakby była męczennicą na kole tortur. Po każdym skurczu zmuszała się do prowadzenia rozmowy tym trzeźwym tonem, który sprawia, że nawet język włoski brzmi nienaturalnie. To, co mówiła, nie miało wielkiego sensu, zwłaszcza że padało z ust niewiasty rodzącej w bólach na mansardzie nad burdelem. Ale w owych czasach większość kobiet dostawała w takiej chwili bzika, więc Angela okazywała jej pobłażliwość, aż bóle stały się ostrzejsze i częstsze i była zmuszona krzyczeć bez przerwy... Czy to nie wydaje się panu, Matucci, dziwne, że przeżywam raz jeszcze swoje przyjście na świat? Ma to swoje znaczenie, które ujawni się na samym końcu. W każdym razie ja uważam, że to znaczenie istnieje.

Na dole, na Piazza, i to wiem, Matucci, gdyż Angela się temu przyglądała, Luca Salamandra, linoskoczek, miał właśnie rozpocząć swą wędrówkę po niebie. Był ubrany całkowicie na czarno, włosy miał gładko zaczesane, a wąsy podkrecone. W połowie drabiny odwrócił się i pozdrowił wiwatujący tłum. Potem wspiął się na małą platformę na szczycie słupa i wszedł na linę. Tłum wydał westchnienie, kiedy zobaczył, że lina ugina się pod jego ciężarem, i patrzył, jak akrobatą z trudem odzyskuje równowagę. Potem wszyscy zamilkli...

...Szedł najpierw powoli, wypróbując siłę wiatru i napięcie sznura pod stopami. Nad samym środkiem placu zatrzymał się i zaczął balansować. Potem wykonał salto i wylądował prosto na rozkołysanej linie. Znajdował się może pięć metrów od końca liny, kiedy zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy Angeli. Zapamiętała, że uśmiechnął się do niej, kiedy ruszył w jej stronę... Dokładnie w tym momencie moja matka krzyknęła, ja wystawiłem niechętnie głowę na świat, a Luca Salamandra runął w otchłań wieczności.

Dziesięć dni później wcześniej rano pewna niewiasta w żałobie stawiała się wraz ze starszą od siebie towarzyszką w urzędzie stanu cywilnego, żeby przedstawić zestaw poświadczonych notarialnie dokumentów. Pierwszym było świadectwo ślubu między Annę Mary Mackenzie, panną pochodzącą z Wielkiej Brytanii, i Luką Salamandrą, kawalerem, akrobatą. Drugim był wydany przez lekarza akt zgonu Luki Salamandry. Trzecim świadectwo urodzenia Massima Luki Salamandry, dziecka płci męskiej, potomka Anny Marii Salamandry i Luki Salamandry.

Ten zadziwiający zestaw dokumentów powstał w wyniku długiej dyskusji między Anną Mary Mackenzie a Zia Rosą, a następnie trzygodzinnego ciężkiego targu między Angellą, akuszerką, Zia Rosą, prestidigitatorem i Aldem Kaligrafem, podstarzałym fałszerzem, który mieszkał w zaułku na tyłach Piazza i specjalizował się w podrabianiu historycznych rękopisów. Fakt, że urzędnik stanu cywilnego przyjął dokumenty nie zadając żadnych pytań stanowił hołd dla kaligraficznej biegłości Aida.

Rezultatem całej transakcji było to, że Annę Mary Mackenzie stała się szacowną rzymską wdową, a ja zyskałem na fałszerstwie to, że pochodziłem z prawego łóża i mogłem w przyszłości wejść w służbę Korony, a nawet przyjąć święte śluby w mało prawdopodobnym przypadku, gdybym zapragnął kiedyś zostać kapłanem...

Oczywiście nigdy nie pragnąłem zostać księdzem, pułkownikiem, ale czasem myślę sobie, że byłbym wspaniałym kardynałem, oczywiście za Borgiów, kiedy nie tak ściśle przestrzegano celibatu... Czy mam powiedzieć, o czym pan w tej chwili myśli? Zadaje pan sobie pytanie, czemu służy ta opowieść. Czy kpię sobie z pana, czy też wykorzystuję to, że mam przymusowego słuchacza. Otóż słuszne jest jedno i drugie. Ale usłyszał pan także pewną przypowieść. Spłodził mnie wielki pan. Ojcem był mi zmarły akrobata. Jestem i zawsze byłem pełen sprzeczności. Żeby współżyć ze mną, będzie pan potrzebował cierpliwości i wiary. Jest pan człowiekiem spacerującym po napiętej linie. Chce pan przysłużyć się samemu sobie i skłóconemu narodowi. Musi pan mieć nerwy ze stali, bo zobaczy pan narodziny potworów i każde poślizgnięcie oznaczać będzie śmierć... Mam nadzieję, że mnie pan rozumie?

— Rozumiem, ale od czego zaczniemy?

— Przez miesiąc obowiązuje pana zakaz powrotu do Włoch. Wykorzystamy ten miesiąc na przygotowanie zabezpieczenia. Jutro o dziewiątej rano razem z panią Anders opuści pan Baur au Lac. Będzie czekała limuzyna, która zawiezie was okrężną drogą do Lichtensteinu, gdzie ulokowani zostaniecie w domu należącym do jednej z moich spółek. Jest to przebudowany domek myśliwski, osobliwy, ale wygodny. Odtworzy pan tam wszystko, co wie o sprawie Pantaleonego, mikrofilmy, mapy... wszystko. Te materiały zostaną powielone, a kopie umieszczone w szeregu banków włoskich i zagranicznych. W ciągu tego samego miesiąca będzie pan otrzymywał również materiały ode mnie. Przestudiuj je pan uważnie, ponieważ będzie to przygotowanie do następnej fazy operacji: pańskiego powrotu do kraju. Oczywiście będziemy utrzymywać również kontakt osobisty. Dostanie pan dwóch moich ludzi jako ochronę i kurierów.

— A kiedy wrócę do Włoch?

— Będzie pan nadal na urlopie: źle opłacany oficer o specjalistycznych kwalifikacjach. Używając frazesu: wydźwignę pana zawodowo i społecznie. Ofiaruję solidne uposażenie jako konsultantowi w sprawach wywiadu gospo-

darczego. Zupełnie jawna transakcja, usankcjonowana przez pożałowania godny zwyczaj. Każdy państwowy funkcjonariusz stara się uzupełnić swoje dochody w prywatnych przedsiębiorstwach. Oczywiście pański dyrektor dowie się o tym. Zajmę się uzyskaniem jego zgody.

— Jest pan pewien, że się zgodzi?

— Czemu nie? Da mu to następne możliwości skompromitowania pana, kiedy tylko zapragnie. Będzie dowodem, że jest pan tym, za kogo chciałby pana brać: człowiekiem, którego łatwo można kupić i uciszyć. Pod przykrywką tej pracy będzie pan kontynuował śledztwo w sprawie ruchu neofaszystowskiego i powiązań z tym ruchem generała Leporello. Będzie pan składał mi systematycznie sprawozdania i będziemy uzgadniać plany działania. Wydaje się to panu sensowne?

— Z jednym zastrzeżeniem, cavaliere.

— Mianowicie?

— Dyrektor... Widziałem go już piszącego scenariusze podobnych komedii. Nie wierzę, żeby dał się nabrać na nasz.

— Ani ja. Ale będzie się starał nam wmówić, że dał się nabrać. Niczego więcej nie potrzebujemy. Prawdziwy problem polega na czymś innym: musimy utrzymać pana przy życiu.

Domek myśliwski położony był dziesięć kilometrów na południe od Trien, w miejscu, gdzie szczyty Ratikonu łączą się z Alpami Glarneńskimi, a świerkowe lasy pną się, wysokie i mroczne, ku granicy śniegów. Zbudowany został na progu wysoko położonej doliny, dostępnej jedynie ścieżką, pokrytą łupkiem bitumicznym, która kończyła się bramą z sosnowych bali, najeżoną u góry stalowymi szpicami i wspartą na słupach z ciosanych kamieni. Za bramą wybrukowana droga prowadziła wśród wysokich drzew do samego domku, podłużnej kamiennej budowli zwieńczonej kłocami, o dachu z blachy położonej na drewnie. Dom przycupnął, solidny, wśród strzelistych sosen i okrytych mgłą szczytów.

Z zewnątrz robił wrażenie zimnego i nieprzytulnego, zbudowanego tak, by przetrwał inwazję albo lawinę. Wewnątrz panowała prostota, ale było ciepło, światło bijące od kominka lśniło na pokrytych boazerią ścianach, wypolerowanych naczyniach z miedzi i wiejskich wyrobach garncarskich. Pieczę nad domem sprawował starszy już Tyrolczyk razem z żoną, a oprócz tego zatrudniono jeszcze dwie osoby: Heinza, wielkie milczące chłopisko z Grisons, i Domenica, smagłego młodzieńca z Varese, który okazał się gadułą po angielsku, francusku, włosku i w switzerdeutsch. Stanowili parę dziwną, ale budzącą respekt. Heinz był śmiertelnie niebezpiecznym strzelcem, a Domenico zapaśnikiem w cyrku, sprawnym także w karate i posługiwaniu się pistoletem. Jeden z nich pełnił przez cały czas służbę patrolową, dając bacze-

nie na szosę, śledząc górskie wędrowniki pasterzy i alpinistów. Heinz jechał co rano do Triesen na zakupy i po pocztę. Co wieczór o zachodzie słońca zamykano bramy, włączano szereg skomplikowanych urządzeń alarmowych i dwaj mężczyźni pełnili na zmianę wartę.

Był tu telefon, ale ostrzeżono nas, żeby go nie używać. Mogliśmy poruszać się swobodnie w granicach posiadłości, ale zawsze i wyłącznie w towarzystwie Heinza i Domenica. Poza tym mieliśmy maszynę do pisania, papier, kalki, powielacz, a jeśli potrzebne było coś jeszcze, wystarczyło poprosić i Heinz realizował zamówienie, nawet jeśli musiał w tym celu jechać do Zurichu.

Przez kilka pierwszych dni czułem się jak w klatce i byłem bezustannie spięty, ale Liii zachowywała się beztrosko jak ptak; karciała mnie i namawiała, żebym się zrelaksował i wrócił do normalnej, codziennej pracy. Wstawaliśmy wcześniej i po śniadaniu zabierałem się do rekonstruowania z pamięci materiałów zawartych w mikrofilmach. Było to nudne zajęcie, polegające na szeregu mnemotechnicznych sztuczek, z których każda wyzwalała ciąg wzrokowych skojarzeń. Gdybym miał wyszkolonych rozmówców i stenografa, który by natychmiast notował cały materiał, wykonałbym tę robotę w dwukrotnie krótszym czasie. Sytuacja jednak była taka, że nie mogłem uniknąć zapisywania każdej sekwencji na maszynie. Musiałem się przy tym liczyć z czynnikiem zmęczenia i przerywać natychmiast pracę, kiedy wciskał się do równań podsuwanych przez pamięć. W gruncie rzeczy nad samą rekonstrukcją pracowałem zaledwie cztery godziny dziennie. Resztę czasu spędzałem na sortowaniu i opatrywaniu notatkami przesyłek, które przychodziły codzienną pocztą od Bruna Manziniego.

Wszystkie materiały nadawano w Chiasso, granicznym mieście szwajcarskiego kantonu Ticino. Informacje były wspaniale zaszyfrowane i obejmowały zadziwiającą różnorodność tematów: organizacja i kontrola związków zawodowych, umiejscowienie komunistycznych komórek i schematy ich działań, wykresy pokazujące finansowe i zarządzające struktury wielkich kompanii wraz z dossier dotyczącymi najważniejszych dyrektorów, spisy sponsorów partii politycznych, matrymonialne alianse wśród wielkich rodów, inwestycyjne holdingi zagranicznych instytucji, sprawozdania kredytowe, notatki dotyczące polityki, prasy i wydawnictw, działalność zagranicznych ambasad, nazwiska i życiorysy wysokich urzędników oraz zestawienie ich wizyt w Grecji i Hiszpanii, szereg pouczających dokumentów dotyczących watykańskich finansów oraz politycznej działalności watykańskiego Sekretariatu Stanu.

Pracowałem bardzo długo w wywiadzie, ale wiele z tych materiałów stanowiło nawet dla mnie nowość i dowodziło, że istnieje cała ogromna i kosztowna organizacja, która poświęciła się nie tylko zwykłemu gromadzeniu informacji, ale także klasyfikowaniu ich i opracowywaniu na bieżący użytek. Im bardziej zagłębiałem się w lekturę, tym bardziej przerażał mnie stopień zagmatwania włoskiego życia i problem utrzymania choćby pozorów porządku w nowo-

czesnym przemysłowym państwie. Napięcia były **tak** wielkie, równowaga sił tak nietrwała, że największy nawet optymistą musiał uwzględnić w swych rachubach codzienną groźbę klęski.

Doskonale rozumiałem frustrację rewolucjonistów, którzy chcieli zmieść w niebyt cały ten bałagan i zacząć wszystko od nowa. Zrozumiałem rozpacz młodzieży, która pragnęła rzucić wszystko jak Biedaczyna z Asyżu i żyć w braterskiej prostocie, paląc marihuanę i jedząc czarny chleb. Zrozumiałem uwodzicielskie złudzenie zwolenników dyktatury, że jeden człowiek zbawca, wyposażony w pełnię władzy, może narzucić porządek i jedność skinieniem swojego berła. Dużo wolniej zacząłem dostrzegać, jakie znaczenie ma przekonanie Bruna Manziniego, że wszyscy jesteśmy więźniami naszych genów i naszej historii i że nasza przyszłość została zapisana przez skrybów, po których dawno już nie został żaden ślad.

Były takie dni — złe dni — kiedy pamięć stawała się gnuśna, a rozum narowisty i kiedy nękało mnie poczucie całkowitej daremności moich wysiłków. Byłem głupcem, który swoim krzykiem prowokuje zejście lawiny. Byłem nadętą małpą, która wrzeszczy, że jest królem rodzaju ludzkiego. Jakie mam prawo wytyczać, choćby na krótko albo pośrednio, tekst choćby jednej jedynej linijki historii? Stwierdziłem, że czuję przemożną tęsknotę za wiarą dzieciństwa, za osobowym Bogiem, dla którego ważne są nawet spadające ptaki, który w jednym dniu wielkiego i pełnego chwały sądu naprawi, ustali i odnowi wszystkie rzeczy. A potem przypominałem sobie, że sam przy pomocy rozumu usunąłem Go z mojego świata i że na zawsze znalazł się poza zasięgiem moich wezwań.

W tych jałowych dniach Liii była oazą ukojenia. Nie godziła się na to, by mój zgryźliwy nastrój ją odpychał. Nie szczędziła mi czułości. Przymilała się, aż wychodziłem z domu, i szła ze mną przez świerkowy las, pilnując, bym nie przeoczył żadnego cudu: konturu huby na pniu drzewa, muzyki górskiego potoku, faktury kamienia i kory, gry światła słonecznego na stromej ścianie skalnej. Wszystko, co zostało w moim zasuszonym jestestwie z marzyciela, ona budziła i podsycala z zadziwiającą cierpliwością. Strofowała mnie też i zawstydzala, by zmusić do powrotu do psychicznej równowagi.

— ... Wiem, co czujesz, kochanie. Wszystko mija. My też miniemy i tylko podłość świata pozostanie. Ale pomyśl, że póki jeszcze walczymy — powstrzymujemy ją, choćby tylko na chwilę. Jeśli wszyscy zrezygnują z walki, barbarzyńcy przejmą władzę na następnych tysiąc lat. Nawet jeśli jesteśmy wprowadzonymi w błąd ignorantami, nasza sprawa jest dobra. Musisz w to wierzyć, nie wolno ci nigdy o tym zapomnieć. Pomyśl... nawet ja jestem dla ciebie maleńkim triumfem. Nie, proszę, wysłuchaj. Nie potrafię sobie przypomnieć, jak dawno należałam sama do siebie. Dzisiaj tak. Kiedy powierzam się tobie, czynię to jako kobieta wolna. Gdyby ci ani trochę na mnie nie zależało, już bym nie żyła albo zostałabym zamknięta razem z prostytutkami w

więzieniu Maddalena. To jest dobre, prawda? Ten dzień, to miejsce. Nie moglibyśmy się tym cieszyć, gdybyś nie podjął walki, a nawet gdybyś nie popełnił błędów... A teraz może zabrałbyś mnie do domu, bo chcę, żebyśmy się kochali. Tutaj jest na to o wiele za mokro.

Miłość jest zawsze rzeczą dobrą; nękała nas jednak myśl, że zbyt szybko musi się skończyć. Bardzo mało rozmawialiśmy na ten temat. Nie miałem środków do życia i byłem zbyt stary, żeby podjąć nową pracę na wygnaniu. Ona zaś musiała narodzić się na nowo, wydostając się z mrocznego łona wywiadu do nowego życia. Ja byłem sznurem, który wiązał ją z przeszłością. Ten sznur trzeba zerwać, by mogła stać się całkowicie *wolna*. W przyszłości wyśnionej na jawie nie ma nadziei dla żadnego z nas; ale myśl o samotnym jutrze ciążyła nam obojgu i nasze noce z tego właśnie powodu były najbardziej rozpaczliwe i najcenniejsze.

Przebywaliśmy już w domku jakieś dwa tygodnie, kiedy zjawił się z wizytą Bruno Manzini. Była niedziela. Przyjechał tuż po obiedzie, zmęczony i szorstki. Wziął moje notatki, wycofał się do sypialni i zobaczyliśmy go znowu, dopiero kiedy wyszedł na drinka o siódmej trzydzieści wieczorem. Przeprosił za zły humor i robił, co mógł, żeby Liii poczuła się swobodnie.

— Jest pani dobra dla niego, Liii Anders. Jestem pewien, że była pani dobra dla Pantaleonego. Proszę czuć się przy mnie swobodnie. Życie jest za krótkie, żeby podejmować duchy przeszłości przy stole... a ja jestem wystarczająco stary, żeby docenić piękną kobietę. Przeczytałem notatki, Matucci. Doskonałe. Ale bardzo niebezpieczne. Uporządkował już pan jakoś materiały, które przysłałem?

— Niektóre tak. Chciałbym przedyskutować je z panem po kolacji.

— Po to tu przyjechałem. Opuścimy panią, ale proszę nam z góry wybaczyć. Im więcej pani wie, na tym większe ryzyko się wystawia, a naszemu pułkownikowi bardzo na pani zależy. Czy powiedział jej pan, Matucci?

— Czy co mi powiedział, cavaliere?

— Że poleciłem mu pozbyć się pani i zagroziłem, że nie udzielę pomocy, jeśli odmówi. Sprzeciwił się. Patrząc na panią, cieszę się z takiego obrotu sprawy.

— Dziękuję, cavaliere. Nic mi o tym nie mówił.

— Matucci, jest pan szaleńcem.

— Nic nowego. Może przestaniemy wałkować tę sprawę?

Zaśmiał się, otoczył Liii ramieniem i ze staroświecką galanterią wznosił toast na jej cześć, a następnie zajmował nas pogawędką, która wypełniła cały czas między zupą a kawą. Kiedy znaleźliśmy się sam na sam i grzaliśmy w dłoniach brandy, Manzini powiedział:

— ...Sprawy stoją źle, Matucci, bardzo źle. Po pierwsze, mamy sprawę Bessarionego. Policja twierdzi, że wyleciał w powietrze podczas próby wysadzenia słupa wysokiego napięcia. Ci z lewa twierdzą, że dopadła go i zamordo-

wała prawica. Znałem go: ekscentryk, bogaty romantyk i jednocześnie bardzo dobry wydawca. Jak było naprawdę? Któż to może wiedzieć? Ale sprawa powinna być przedstawiona opinii publicznej. A tymczasem, co się dzieje? Seria aresztowań wśród dziennikarzy i studentów. Oskarżenie: rozpowszechnianie wiadomości obliczonych na zakłócenie spokoju publicznego. Na Boga! To stara faszystowska śpiewka. Pamiętam dzień, kiedy to obwieszczono. Wynik? Jeszcze większe podziały. Więcej niepokoju. Jutro dojdzie do kolejnego strajku u Fiata. Jeśli w Rzymie zastrajkują śmicciarze, miasto w ciągu trzech dni zmieni się w kupę gnoju. Kiedy przyjdzie Wielkanoc i zacznie się sezon turystyczny, zastrajkują pracownicy hoteli. Między jednym strajkiem a drugim ktoś rzuci jedną, drugą bombę i być może kula policyjna trafi jakieś dziecko. Widzi pan, jak wspaniale wszystko się układa. Faszyci zrzucają winę na komunistów, komuniści na faszystów. Każdy prowokuje drugą stronę. Każdy obarcza tego drugiego winą za konsekwencje przemocy. Pośrodku są ludzie: uczniowie, którzy nie mogą zdobyć wykształcenia, bo budujemy za mało szkół, gospodynie domowe, które nie mogą wrócić do domu, bo nie jeżdżą autobusy, chorzy, dla których brak miejsca w naszych oddziałach szpitalnych. Proszę pozwolić, Matucci, że coś panu powiem. Zapowiedziano mi, że mam przygotować dostawę wszelkiego sprzętu do tłumienia zamieszek ulicznych, jaki mogę wyprodukować. To, czego nie mogę zrobić, muszę kupić, pożyczyć albo ukraść i nie ma żadnych limitów, także jeśli chodzi o waluty obce. Również rynek zaczyna ogarniać panika. Gdybym powiedział, ile dewiz wypłynęło z kraju w zeszłym tygodniu, rozplakałby się pan. Jakie z tego wszystkiego wnioski? Komuniści mogą rozwalić kraj i być może to zrobią, ale nie są przygotowani do rządzenia. Nie jestem pewny, czy chcą nim rządzić, w każdym razie ze wzgórza Kwirynału. Ich siła jest na szczyblu lokalnym, w miastach, gminach i na prowincji. Mogą uprawiać terror i zastraszanie, używając do tego celu grup partyzantów miejskich; ale nie są w stanie zmontować wojskowego zamachu stanu. Natomiast prawica, jak sam pan wie, może to doskonale zrobić, byleby miała wystarczające wsparcie centrum albo konfesjonatu. Jeśli chodzi o zachętę z zewnątrz, będą ją mieli z Ameryki, która ma w tym kraju ogromne inwestycje i Szóstą Flotę, zamkniętą na Morzu Śródziemnym i zabawiającą się w Indian i kowbojów z Rosjanami; a także od Hiszpanii, Grecji i prawdopodobnie od Francji. A zresztą, kogo to obchodzi?... Pańskie notatki potwierdzają moje spostrzeżenia. Ale mówią o czymś więcej: mój przyrodni brat nie był takim głupcem, za jakiego go brałem. Planował lepiej, niż mogłem przypuścić. Z pewnymi modyfikacjami jego strategia nadaje się na dziś i na jutro... Najgorszą wiadomość zachowałem na koniec. Leporello dobił targu. Zajął miejsce opróżnione przez Pantaleonego.

— A dyrektor...?

— Przyłączył się... W ubiegłym tygodniu spotkali się na przyjęciu w Villa Baldassare.

— Skąd pan to wie?
— Ja też tam byłem. Chcieli, żebym wstąpił do ich klubu.
— No i...?
— Oczywiście zgodziłem się. Naturalne przymierze, jeśli zastanowić się przez chwilę. Ciężki przemysł, tekstylia, gazety, banki i stabilny rząd gwarantujący przestrzeganie prawa i porządku.
— Dlaczego nie proponowali panu dawniej?
— Bo Pantaleone nie chciałby o tym słyszeć. A wtedy był im bardziej potrzebny niż ja.
— Dlaczego teraz?
— Ponieważ dzięki pańskiemu śledztwu oraz informacjom zawartym w papierach Pantaleonego dyrektor i generał Leporello wiedzą wszystko o mojej roli w sprawie Pantaleonego. Tak więc sytuacja dojrzała do zawarcia kulturalnego porozumienia. Nie uważa pan?
— Uważam, cavaliere, że zaraz zwariuję.
— Jeszcze nie, Matucci, proszę. Potrzebny jest mi pan przy zdrowych zmysłach. Przyłączyłem się, żeby być w spisku od wewnątrz. Chcę, żeby ta „szlachetna junta” została złamana i powalona. Między nami mówiąc, myślę, że leży to w naszych możliwościach.
— Na Boga, jak?
— Udowodnić Leporellowi morderstwo, a dyrektorowi spisek z mordercą. Czy może pan to zrobić?
— Zrobię, co będę mógł.
— Niebezpieczeństwo wzrosło w dwójnasób.
— Wiem.
— Wahania?
— Trochę. Myślę, że potrzebny jest nam nowy scenariusz.
— Przedyskutujmy to pokrótce. Ma pan jakieś warunki?
— Tak. Poprowadzę sprawę, na swój sposób i nikt nie będzie się wtrącał.
— Zgoda.
— Będę odwoływał się do pana, kiedy potrzebne mi będą informacje, pieniądze i inne rzeczy, bez których od czasu do czasu nie mogę się obejść.
— Zgoda. A warunki finansowe?
— Dziękuję, to zbędne. Nie jestem najemnikiem i nie wiem nawet, czy mogę prosić pana o zapłacenie ubezpieczenia na życie. Mam tylko jedną prośbę.
— Słucham.
— Chcę, żeby po opuszczeniu tego miejsca Liii Anders była bezpieczna. Jeśli powiedzie mi się, chcę dla niej amnestii od prezydenta, chcę, żeby mogła przyjechać do Włoch, kiedy tylko zechce. Czy może pan to zagwarantować?
— Pierwszy warunek, tak. Drugiego, nie. Ale stanę na głowie, żeby to załatwić.

— W takim razie to wszystko. Teraz pomówmy o scenariuszu.

Przez chwilę sączył powoli brandy, potem odstawił kieliszek, ułożył palce tak, że tworzyły małe sklepienie, i uśmiechnął się do mnie ponad nimi. Powiedział spokojnie:

— Mój drogi, sprzedałem już scenariusz dyrektorowi.

Nagle i bez uzasadnienia ogarnęła mnie wściekłość. Poczułem cierpki smak żółci w przełyku, a w głowie zaczęły mi bzyczeć roje os. Zerwałem się z krzesła i stanąłem nad nim miotając gwałtowne obelgi.

— Jest pan zarozumiałym starcem. Zarozumiałym i niebezpiecznym. To moje, moje życie!... Nie może pan grać o nie w kości! Może pan robić, co się panu żywnie podoba. Jest pan bogaty, nic panu nie grozi. Może pan kupić adwokatów, goryli, dyplomatyczne przywileje, nietykalność, zabezpieczenie przed wszystkim poza atakiem serca. Ja nie! Ja noszę moje bezpieczeństwo ze sobą — a wszystko jest tu ryzykiem. Niech pan nic nie załatwia bez mojej zgody. Niech pan nie dobija targów, których ja nie zaaprobuję. Nie jestem pana własnością, cavaliere. Niech pan to raczy zrozumieć. Nie jestem pana własnością. Wiem, że jest pan Salamandrą i przeżył pan dłużej, niż ja mam szansę przeżyć. Ale sam pan pisał sobie własną historię. Ja muszę napisać moją, nawet jeśli składać się będzie z dwóch tylko słów: Hic jacet!

Nic myśląc, co robię, chlusnąłem brandy w ogień; wybuchnęła gwałtownym płomieniem. Po chwili płomień zgasł, a ja odwróciłem się do Manziniego, który ciągle uśmiechał się do mnie znad czubków palców. Potem stanął przede mną na odległość dywanika leżącego przed kominkiem, ciągle uprzejmy i dobrotliwy.

— Drogi pułkowniku, pan naprawdę mnie nie docenia. Albo może późnym wieczorem mówię niezbyt jasno. Czyż dwa tygodnie temu, w Zurychu, nie ustaliliśmy strategii?

— Ustaliliśmy. Ale okoliczności zmieniły się. Należy pan teraz do klubu. To zabarwia wszelkie moje związki z panem.

— Pozwolę sobie przypuścić, że kamuflaż jest teraz lepszy, niż był poprzednio.

— Może pan przypuszczać sobie, co się panu żywnie podoba. Ja muszę mieć dowody.

— Niech więc pan pozwoli mi je przedstawić. Kiedy rozmawiałem z dyrektorem i Leporellem w Villa Baldassar, wielokrotnie wymienione zostało pańskie nazwisko.

— Kto je wymieniał?

— Najpierw dyrektor. Potem Leporello. Naturalnie ja też wygłosiłem swój komentarz.

— Co mówiono?

— Dyrektor ze swoją zwykłą delikatnością powiedział, że jest pan szkodliwy. Leporello użył sformułowania: „Wielkie ryzyko!”. Dyrektor powiedział,

że został pan unieruchojniony. Leporelio odrzekł, że chce wyeliminować ryzyko raz na zawsze.

— A pan, cavaliere?

— Podkreśliłem, że jest pan starym, doświadczonym oficerem i że gdybym był na pańskim miejscu, podjąłbym pewne środki ostrożności, na przykład umieszczając dokumenty w banku, w celu opublikowania w razie śmierci. Przedstawiłem pogląd, że niewczesny wypadek mógłby zdemoralizować pańskich kolegów i przyjaciół z SID. Zaryzykowałem także niewinną bajkę: po przybyciu do Szwajcarii zatelefonował pan do mnie i zapytał, czy znajdę dla pana miejsce w mojej spółce. Powiedział pan, że źle pana potraktowano i że myśli pan na serio o tym, żeby porzucić służbę i rozejrzeć się za cywilną pracą. Oznajmiłem dyrektorowi, że zaprosiłem pana w tym tygodniu tutaj, żeby sprawę przedyskutować. Pomyślałem, że to byłaby niezła myśl ofiarować panu pracę, a on i tak miałby pana do dyspozycji. W sumie udało mi się przekonać dyrektora, że jest pan bezpieczniejszy żywy niż martwy, w każdym razie w obecnej sytuacji.

— A Leporelio?

— Nie zgodził się z tym. Dyrektor jednak przeważył.

— Ciekaw jestem, na jak długo?

— Słuszne pytanie. Nie znam na nie odpowiedzi. Jednakże, jak sam pan widzi, umowa nie została jeszcze zawarta, ponieważ niezbędna jest pańska zgoda. Może pan zmienić zdanie. Zachowa pan możliwość poprowadzenia całej operacji w ukryciu, bez żadnego jawnego związku ze mną. Zgodzę się także na takie rozwiązanie, jeśli będzie pan dzięki temu swobodniejszy i bardziej skuteczny. Jeśli chodzi o resztę, jestem często arogancki, chociaż nie chcę bynajmniej być taki dla pana. Jestem również stary i mogę być niebezpieczny; ale nigdy dla przyjaciół, Matucci. Proszę mi wierzyć.

— Wierzę, cavaliere. Zachowałem się niegrzecznie. Ale już mnie zmęczyli ludzie grający moim życiem.

— Często pan tak wybucha?

— Nie, nieczęsto.

— Cieszę się, że to słyszę. To droga brandy. Niech pan sobie naleje.

— Skończmy najpierw rozmowę. Jeśli będę pracował w podziemiu, stale będę musiał kryć się. Fałszywe papiery, dwa lub trzy nazwiska, niewygodne adresy. Już miałem z tym do czynienia. Mogę robić to znowu, ale będę w gorszej sytuacji. Wolałbym pracować otwarcie jako pański pracownik, ale mogę skompromitować pańską pozycję i wystawić pana na osobiste niebezpieczeństwo. Tak więc decyzja należy do pana.

— Już ją podjąłem. Przyjmuję pana.

— Kiedy?

— Dzwonię jutro do dyrektora, mówię, że chcę zatrudnić pana na próbę, i proszę o pozwolenie przywiezienia pana do kraju.

— Już teraz?

— Odpowiedź znajdzie pan w swoich własnych notatkach. Mamy bardzo mało czasu.

— Nie skończyłem jeszcze ich opracowywać.

— Skończy je pan w moim domu. Zamieszka pan u mnie do czasu znalezienia sobie mieszkania.

— Co powiem Liiii?

— To, co potrzebne jest jej do szczęścia. Zanim wyjedziemy, dowie się, co zrobiłem dla zapewnienia jej bezpieczeństwa. Pan skoncentruje się na fragmentach dotyczących miłości.

— Skoro mówimy o fragmentach dotyczących miłości, cavaliere...

— Słucham.

— Jakie związki łączą pana z księżną Faubiani?

Teraz z kolei jego ogarnęła wściekłość. Poczzerwieniał jak koguci grzebień. Podrzucił głowę i rozdał nozdrza swojego patrycjuszowskiego nosa. Warknął:

— A co, do diabła, to pana obchodzi?

— Muszę o to zapytać, cavaliere. Znałem wielu porządnym facetów, którzy w łóżku zagadali się na śmierć.

Przyglądał mi się przez długą wypełnioną nienawiścią chwilę. Przelknął w końcu swoją brandy i cisnął kieliszek w ogień, tak jak przed chwilą ja. Potem odprężył się i uśmiechnął, a uśmiech sprawił, że wyglądał o dwadzieścia lat młodziej.

— Powiedzmy, że jestem bogatym protektorem, który ilekroć zjawi się w Rzymie, cieszy się przywilejami gościa. Ale przyjmuję pański punkt widzenia, Matucci. Damy lubią plotki. Może powinienem przedstawić jej pana, żeby mógł pan sam osądzić. Kto wie? Może nawet stwierdzi pan, że jest użyteczna. Utrzymuję jeszcze inne związki, Matucci. Ma pan zamiar zająć się wszystkimi?

— Jeśli chodzić będzie o moje życie, tak, cavaliere.

— Dio! Obaj na siebie warczeliśmy, prawda? To bez znaczenia. Muszę czasem się pokłócić, żeby czuć się uczciwym człowiekiem. Ale nie róbmy tego zbyt często. Poddam panu pewną sprawę do przemyślenia przed zaśnięciem. Przychodzi taki moment, że wszystko, co człowiekowi pozostało, to siła do uprawiania miłości i odwaga do podjęcia walki. Nie trwoimy miłości śpiąc z dziwkami, nie psujemy smaku walki bijąc się z papierowymi smokami. Dobranoc, przyjacielu.

Było to zejście ze sceny godne dobrego aktora i z irytacją zastanawiałem się, po co zadał sobie trud, żeby stało się to oczywiste. Niczego nie musiał dowodzić. Miał do dyspozycji tak wielką potęgę, przeżył już tyle burz, że przekomarzenie się i mistyfikacja jedynie go pomniejszały. Potem zacząłem rozmyślać, czy czasem nie próbuje pomniejszyć mnie, żeby mieć bardziej elastyczne narzędzie. Podzieliłem się tą myślą z Liiii, kiedy leżeliśmy obok siebie w ciemności, licząc godziny naszej ostatniej nocy. Liiii zaprzeczyła gwałtownie.

— Musisz mu ufać, kochanie. Myślę, że to cudowny starzec, pełen wigoru; ale odczuwa jednak mijanie czasu. Powiedział ci, że jest samotny. Więc kokietuje, żeby wzbudzić twoje zainteresowanie i szacunek. Potrafisz być brutalny, Dante Alighieri. Masz za sobą życie pełne przygód, awanturnicze. Manzini też był awanturnikiem. Patrzy na ciebie jak na przyjaciela, ale także jak na rywala. Bądź odrobinę pobłażliwy. Zapewniam cię, nic na tym nie stracisz.

Powiedziałem wtedy o obietnicy zapewnienia jej bezpieczeństwa i o przyszłych staraniach o amnestię. Ku memu zdumieniu odrzuciła tę myśl bez wahania.

— Nie. Chcesz być dla mnie miły. Ale w niewłaściwy sposób. Nie widzisz tego. Wiążesz mnie z przeszłością. Wiążesz mnie ze sobą w sposób, który mi nie odpowiada. Kiedy przyjdiesz do mnie znowu — jeśli przyjdiesz — odwiedź mnie w moim domu, będziesz pił moje wino i jadł przy moim stole. Potrzebuję tego, kochanie. Nie będę miała pustych, jak teraz, rąk. Jeśli chodzi o ryzyko, nie dbam o nie. Wymienimy adresy, kiedy będziemy już mogli do siebie pisać. Jest jeszcze inny powód. Przystępujesz do niebezpiecznej roboty. Nie możesz wykonywać jej mając rozproszoną uwagę. Potrzebne ci będą inne kobiety. Musisz być wolny, żeby móc wybrać między nimi a mną. Ja też muszę być wolna... Proszę, nie bądź spięty i zrozpaczony. Kochaj mnie dziś łagodnie, łagodnie i powoli. Tak bardzo cię lubię...

W pewnym momencie, w ciągu jednej z ciemnych godzin, podczas których spaliśmy objęci ramionami, rozległy się dzwonki alarmowe; szarpący nerwy dźwięk dzwonek i syren. Wskoczyłem z łóżka i pobiegłem do okna. Posiadłość oświetlona była jaskrawymi reflektorami. Zobaczyłem Heinza i Domenica pędzących otwartą przestrzeń w kierunku sosnowego lasu. Narzuciliśmy na siebie szlafroki i zbiegliśmy do świetlicy, gdzie ujrzeliśmy Manzinię stojącego przy oknie, wyprostowanego i spokojnego. Nie można było nic powiedzieć. Hałas trwał, szturmował nieubłaganie nasze uszy i dopiero dwadzieścia minut później Domenico przybiegł, wyłączył system alarmowy i ustawił go na nowo. Chwilę później składał sprawozdanie Manziniemu.

— Dostaliśmy go, cavaliere. Przy północnej granicy.

— Żywy czy martwy?

— Martwy. Heinz trafił go pierwszym strzałem.

— Kto to był?

— Myślę, że Włoch. Nie znany nam. Żadnych papierów, żadnych znaków pozwalających go zidentyfikować. Brak nazw firmowych przy ubraniu.

— Uzbrojony?

— Granaty, plastik, zapalniki i pistolet Walthera.

— Jak się tu dostał?

— Musiał przyjść pieszo przez góry. Możemy odnaleźć jego szlak po wschodzie słońca.

— Nie warto.
— Czy zawiadomić policję?
— W Lichtensteinie? Nie! Zakopcie go.
— Pozwolę sobie zauważyć, cavaliere, że dzwonki alarmowe słychać w promieniu wielu mil.
— Wiemy tylko, że jakiś jeleni zaplątać się musiał w druty urządzenia alarmowego.
— Jak pan każe, cavaliere.
— Zakopcie go głęboko, Domenico.
— Niech pan będzie spokojny, cavaliere... Dobranoc.
Kiedy wyszedł, Manzini napelnił trzy kieliszki brandy i podał nam. Jego dłoń nie drżała. Uniósł swój kieliszek w posepnym toaście.
— Jak w starych czasach, w partyzantce, Matucci. Jak w czasach, których pan nie może pamiętać.
Miał to być rodzaj wojennego okrzyku. Dla mnie zabrzmiał jak epitafium.

Księga druga

Praktykę polityczną na Wschodzie
można określić jednym słowem: zatajanie.

Benjamin Disraeli *Contarini Fleming*

Zamiast prosto do Włoch, pojechaliśmy najpierw do Salzburga, gdzie Manzini chciał przedyskutować sprawę kontraktu budowlanego z firmą australijską, a następnie przez Brenner udaliśmy się do Mestre, gdzie jedno z jego przedsiębiorstw wykonywało suchy dok przeznaczony do budowy małych tankowców. Podróż była nudna, ponieważ pogoda popsua się. Po obu stronach Alp spadło dużo śniegu i szosy pokryte były mieszaną miedzionego wiatrem śniegu i niebezpiecznego lodu.

Mimo to Manzini był w doskonałym nastroju i nie rezygnował z myśli, że powinniśmy się zabawić, jak to ujął, zanim wejdziemy do klatki lwa. Miał upodobanie do legend i lokalnej historii, rozumiał ciągłość tego wszystkiego i w jaki sposób stare feudalne rodziny są nadal wmieszane w omlot nowoczesnej Europy. Nie przeskakiwał z tematu na temat jak niektórzy starsi ludzie, lecz omawiał każdy temat, aż go całkowicie wyczerpał. Miał wycucie dramatu i nawet kiedy zmyślał dialogi i sytuacje, człowiek odnosił wrażenie, że wszystko do siebie pasuje i jest zupełnie prawdopodobne.

Co jakiś czas nawiązywał do swojego dzieciństwa, jakby jego najgłębszą potrzebą było oczyścić się ze starych urazów i przypomnieć sobie zapomniane zabawki.

— Wzrastałem, Matucci, w czasach, kiedy człowiek oddychał całą piersią w tolerancyjnym i cynicznym mieście. Mieszkałem w pałacu na tyłach Condotti; dom był pełen zaślepionych kobiet, przed którymi nie było ucieczki. Miałem wszystkie złudzenia, jakich potrzebowałem, i żadnych grzeszków na sumieniu. Myślę, że pod tym względem wygrałem los na loterii. Chociaż może to wydać się dziwne, największym uśmiechem losu była moja matka. Widzi pan, przybierała mnóstwo postaci, na każdy dzień inną.

Pamiętam ją nagą w kąpielni, gładką i apetyczną jak obrana ze skórki brzoskwinia, pogwizdującą, podśpiewującą i sączącą szampana z kieliszka, który postawiła na stolku obok wanny. Pamiętam ją w gorsecie i staniku, otoczona chmurą wstążek i sznurówek, kiedy robiła piruety przed lustrem i gawędziła o moich wujkach... Żaden chłopiec na świecie nie miał tylu wujków, ilu ja.

Był pułkownik Melchior z drewnianą protezą okrytą czarną skórzaną rękawiczką, bo stracił rękę w Abisynii podczas rzezi pod Aduą. Był wujaszek Burckhardt, który nosił na brzuchu złoty łańcuch i dyszał, kiedy się kłaniał, a sapał, kiedy mówił, i który zanudzał moją matkę tak, że przestawała go słuchać. Był wujek Freddie, który kupił mi pierwszą nakręcaną kolejkę i nauczył mnie grać w szachy. Był Anglikiem i zwał się ffolliot-Phillimore, a służba nazywała go „papieskim aniołkiem”, bo miał wysoki, piskliwy głos niby wytrzebiony tenor z papieskiego chóru. Wiele osób odnosiło się do niego niechętnie. Nawet mama czasem go nie cierpiała, bo potrafił być bardzo złośliwy. Ale ja go lubiłem...

Otworzył przede mną całkiem nowy świat. Zabierał mnie na wycieczki łodzią w dół Tybru. Czytał ze mną pierwsze teksty łaciriskie i greckie. Pokazał mi, jak wykopywać skorupy i pieczęcie na Testaccio. Zasiadał ze mną na zwalonej kolumnie na Forum, kazał zamknąć oczy i widzieć westalki w girlandach kwiatów i augurów przepowiadających przyszłość na podstawie lotu ptaków, i Petroniusza, dumnego i eleganckiego, jak kroczy między mówcami... Pewnego dnia powiedział mi: „Kiedy dorośniesz, kolego, musisz stać się człowiekiem eleganckim, gdyż w przeciwnym razie zawiódłbym się na tobie. Spójrz tam. To twoje miasto. Musisz narzucić się mu, jak uczynił to Petroniusz, przy pomocy rozumu, dobrego smaku i umiejętności szydzenia. Tego też musisz się nauczyć. Ucz się sztuki przeżycia i codziennego rodzenia się na nowo. Kiedy będziesz miał pierwszą kobietę, niech to będzie rzy mianka, bo to ogień i furia, łzy i czułość. To miasto drani. Naucz się być też draniem, jeśli zajdzie potrzeba, lecz na Boga, bądź draniem mającym własny styl”.

To dziwne, ale pamiętam te słowa, jakby to było wczoraj. Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia o stylu. Zapytałem go więc, co to takiego. Wskazał na niebo i oznajmił: „Spójrz do góry. Widzisz jerzyki szybujące na wietrze, jakby całe niebo należało do nich. Teraz spójrz tam. Widzisz tego głupiego osła, który ciągnie wózek z ładunkiem wina. Jest istotą pożyteczną. Nie mogliśmy bez niego żyć. Kim jednak wolałbyś być, jerzykiem czy osłem?... Oczywiście jerzykiem! To jest właśnie styl, kolego. To jest styl...”

Ojciec? No tak, Matucci, to dla mnie trudne. Widzi pan, bardzo długo byłem przekonany, że mój ojciec nie żyje. Przyjmowałem to tak, jak przyjmują takie sprawy dzieci, nie zadając pytań i naprawdę nie odczuwając wielkiego żalu. Nawet kiedy zobaczyłem go na własne oczy, przez wiele lat pozwalało mi wierzyć, że to jeszcze jeden z moich wujków. To jedna z tych spraw, które najtrudniej przychodzi mi wybaczyć. Powiedział mi pan, że mam za dużo wrogów. Czasami zastanawiam się, czy wszyscy moi wrogowie nie są jednym i tym samym człowiekiem: Massimem conte Pantaleone. Zastanawiam się, czy nie dlatego właśnie nienawidziłem swojego brata, że nosił nazwisko, które powinno być moim. A przecież jeśli uwzględni się ówczesną obyczajowość,

kwestię pochodzenia z prawego łoża i dziedziczenia, nie powinienem mieć do niego zbyt wiele pretensji.

Pierwszy raz zobaczyłem go podczas konnej przejażdżki z mamą po Pincio. Wujek Melchior kupił mi kucyka, mama sprawiła mi żakiet i bryczesy w angielskim stylu i wyruszyliśmy we dwoje na pierwszy spacer. Gdyby pan znał Pincio w tamtych czasach, Matucci! Było to miejsce, gdzie można było zobaczyć kilka najbardziej stylowych land i kilka najlepszych w Rzymie koni. Kardynałowie podjeżdżali powozami i przechadzali się z namaszczeniem pod sosnami, a w tym czasie ich ubrana w liberię służba oddawała się pogawędkom. Arystokraci rzymscy zjawiali się konno, kłaniali jedni drugim i flirtowali dam zgodnie z ówczesną modą. Nie wszyscy kłaniali się mojej mamie. Większość dam zadzierała wysoko głowy i patrzyła poprzez nią, jakby była ze szkła. Pamiętam, że podrywała głowę i kłęła je w dialekcie romanaccio: „Stare wywłoki! Jedyną rzeczą, jaką potraficie wziąć między nogi, jest koń”.

Otóż tego ranka jakiś dżentelmen ściągnął cugle i zaczął pogawędkę z mamą. Był wysoki, otyły, miał wielki orli nos, zapewne taki sam jak ja, i grzywę siwych włosów. Dosiadał czarnego ogiera z rozdętymi nozdrzami i wyglądał jak wielki pomnik, w który ktoś tchnął życie. Mama była przy nim jak lalka, ale trzymała się prosto, uśmiechała się i podała mu dłoń, jakby to był najskromniejszy z ludzi. Rozmawiali długo. Potem nagle porwał mnie z kucyka, posadził przed sobą w siodle i pogalopował przez lasek. Doprowadził do tego, że ogier spienił się i wtedy jeździec zsiadł w małym zagajniku, po którym dawno już nie ma śladu, gdzie stał posąg Pana i płynął przezroczysty strumyk. Położył obie dłonie na moich ramionach i przyglądał mi się w milczeniu, marszcząc brwi. Potem uśmiechnął się i oznajmił: „W porządku! Masz dobre maniery i odwagę w sercu, to trofeum dla każdego mężczyzny, kiedy nadciąga jesień życia. Chciałbym mieć dosyć odwagi, żeby wziąć cię do siebie"... Nie rozumiałem, co miał na myśli, poza tym, że był ze mnie zadowolony. Potem zawiózł mnie z powrotem do mamy...

Cóż, Matucci! Jeśli pana znudziłem, sam do siebie może mieć pan pretensję. Chciał mnie pan poznać. Oto więc ja! A teraz porozmawiajmy trochę o naszych sprawach. Na kilka dni zamieszka pan w mojej posiadłości wiejskiej pod Bolonią. Potem przeprowadzi się pan do Mediolanu. Mamumeblowany apartament, który mogę oddać do pańskiej dyspozycji, łącznie z godną zaufania służbą. Będzie panu potrzebne konto bankowe, otwarty kredyt i jakaś przykrywka dla działalności w podległych mi przedsiębiorstwach. Potem pozostanie mi życzyć panu wszystkiego najlepszego i sprawnego anioła stróża.

— Będą mi potrzebne jeszcze inne rzeczy, cavaliere: kilka bezpiecznych adresów i dwa lub trzy zestawy dokumentów. Od najlepszego fałszerza.

— Na pewno wie pan, jak to zdobyć.

— Wiem, jak, gdzie i za ile, ale nie mogę się ujawnić przy dokonywaniu transakcji.

- Znam najlepszego zawodowca wśród fałszerzy.
- Znam go też... Carlo Metaponte, wychowanek Aida Kaligrafa. Wygra-
werował panu kartkę z salamandrą. Jest w naszej kartotece.
- Można go jeszcze wykorzystać?
- Jeśli będzie pan mógł go mieć na oku, tak.
- Mogę go mieć na oku... Matucci, posłucha pan mojej rady?
- Słucham.
- Proszę, niech pan stara się być dla mnie wyrozumiały. Jestem na tyle
stary, że mógłbym być pańskim ojcem. Może to wydać się dziwne, ale zacho-
wałem sumienie; staram się żyć zgodnie z logiką, a sumienie jest końcowym
członem sylogizmu. Roztrząsałem w moim sumieniu stosunki między nami
dwoma. Wynioskowałem, słusznie lub nie, że tym, co nas dzieli, nie są
zasady, ale historia... walka klasowa, wizerunek klasy. Pański ojciec był starej
daty socjalistą wygnanym na Lipari. Mój był starej daty arystokratą, który
eksploatował biednych i który skrzył kark latając za spółniczkami po Pincio.
Ale kiedy pan, Matucci, miał trzynaście lat, ja fabrykowałem z nafty zapalające
bomby w stodole niedaleko Pedognany. Kiedy pan miał lat czternaście, mnie
powieszono za kciuki w mediolańskim gestapo. Pan pragnie utrzymać to, o co
ja walczyłem wtedy, wolność, chociażby ułomną i nietrwałą. Nie mogę ryzy-
kować tego, co pan ryzykuje, ponieważ został mi tylko maleńki skrawek życia.
Ale ten skrawek jest ciągle jeszcze smakowity, więc smakuję każdą jego
sekundę. To nie jest zarzut, niech mi pan wierzy. To, jak by powiedzieć,
uzasadnienie twierdzenia, że powinniśmy radować się tą walką. Przegrać, jeśli
musimy, przetrwać, jeśli możemy, śpiewając i krzycząc. Czy potrafi pan to
zrozumieć?
- Potrafię. Rozumiem. Jestem wdzięczny, cavaliere.
- Proszę, niech pan zostawi to „cavaliere”. Jestem Bruno. Ty jesteś Dante
Alighieri... Bene?
- Bene, grazie!
- I chcę, Dante, żebyś nauczył się pewnego stylu. Nowy uniform na
specjalne okazje. Pułkownik powinien wyglądać jak pułkownik, a nie jak
kapral-rekrut. Nowe ubrania, najlepszy gatunek, modny krój. I nie przejmuj
się pieniędzmi, używaj ich obficie jak sosu, którym polewasz spaghetti...
Dobrze! Po raz pierwszy słyszałem cię śmiejącego się jak człowiek szczęśliwy.
- Potem, ponieważ zawsze musi odgrywać swoją rolę prestidigitatora, zasko-
czył mnie nową niespodzianką. Zatrzymamy się nie w Mestre, które jest
miastem barbarzyńskim, ale w Wenecji, w pałacu Grittich — kolację zjemy
razem z dyrektorem. Czar, jaki specjalnie dla mnie roztoczył podczas całej
podróży, zmusił mnie do przyjęcia tej wiadomości z dobrą miną. Sprawilo mu
to tyle samo prawie przyjemności, co przekonanie o własnym sprycie; wyjaśnił
długo i szczegółowo powody zaproszenia dyrektora.
- ... Wcześniej czy później będziesz musiał się na niego natknąć. Lepiej w
moim towarzystwie niż samotnie. Lepiej w jego rodzinnym mieście, gdzie

czuje się jak książę. Po drugiej stronie zatoki będzie widział niektóre z zakładów, które uczyniły mnie tym, kim jestem. Poza tym inaczej będzie patrzył na ciebie: przekupiony człowiek, korzystający z owoców rozsądnego kompromisu. Jesteśmy znowu we Włoszech, tutaj te subtelności mają swoją wagę. Nie chodzi o to, żebyś miał zaprzecić się samego siebie. To nigdy! Będziesz uprzejmy, odrobinę z dystansem, ale nie pozostaniesz nieczuły na jego wspaniałość. Będzie cię oczywiście prowokował, a ty opanujesz się, chociaż nie w tym stopniu co poprzednio, ponieważ masz teraz mniej do stracenia. Zapyta o Lii Anders. Wzruszysz ramionami, ot, owoc skosztowany i odrzucony. Kiedy wyda ci się, że masz już dość, wyjdiesz. Masz spotkanie z kobietą w barze u Harry'ego. Zresztą rzeczywiście będzie tam czekała na ciebie kobieta. Jej nazwisko: Gisela Pestalozzi. Będzie na twojej liście bezpiecznych adresów... Zna ją barman. Powiesz, że przysłała cię Salamandra... Jasne?

— Jasne. Niejasne jest tylko, jak to zorganizowałeś?

— To tylko gra, mój Dante. Jedna z niewielu, w które mogę jeszcze grać.

Do Wenecji przybyliśmy o zmroku. Nad kanałami snuła się mgła — gęsta zapowietrzona mgła, ciężka od zapachu siarki i wyciewów z kanałów. Domenico zaparkował samochód i popłynęliśmy do hotelu gondolą, ponieważ, jak powiedział Manzini, gondolierzy to sępy, ale sępy też muszą żyć. W Palazzo Gritti powitani zostaliśmy jak średniowieczni kardynałowie i dano nam sąsiadujące ze sobą apartamenty, których okna wychodziły na Canale Grandę. Nie oznacza to, że było wiele do zobaczenia, gdyż mgła osiadła nisko na wodzie i tylko światła niezbyt intensywnego ruchu na kanale rzucały w mrok matowe, żółte plamy. Bez pośpiechu ogoliłem się i wymoczyłem do woli w wannie, a w tym czasie moje ubranie zostało wyprasowane. Ubrałem się staranniejsz niż zazwyczaj i wkroczyłem w momencie, kiedy Manzini i dyrektor usadowili się już za stołem. Dyrektor powitał mnie jak syna marnotrawnego.

— Drogi Matucci! Co za radość spotkać pana znowu. Paskudna pogoda, prawda?

Przytaknąłem; ale Wenecja pozostaje mimo wszystko Wenecją.

— Wygląda pan doskonale i robi wrażenie wypoczętego. To dobrze. Czy podróż była przyjemna?

— Fatalna — powiedział Manzini z rozdrażnieniem. — Przez cały czas łańcuchy na kołach! Pogoda dla narciarzy! Czy zrealizowałeś te projekty, do których namawiałem cię w Bolzano?

— Niestety nie. Kupiłem natomiast Picassa.

— Śmiecie! Jest tego zbyt wiele, a będzie jeszcze więcej, kiedy Picasso umrze. Powinieneś poczekać, aż pojawi się na rynku kolekcja Pantaleonego. Musi się pojawić wcześniej czy później, gwarantuję.

— Drogi Bruno. Cóż z tego, kiedy nie możesz wysłać za granicę obrazów, które cię już nudzą. A pan, Matucci, interesuje się malarstwem?

— Tak, panie dyrektorze; ale nie mogę sobie pozwolić na kolekcjonowanie. W każdym razie, jeszcze nie mogę.

— Niech pan posłucha mojej rady. Zacząć trzeba od młodych malarzy. Jeśli ma pan dobre oko, musi pan trafić przynajmniej jednego na dziesięciu. W ten sposób zysk będzie zawsze zapewniony. Czy nie mam racji, Bruno?

— Chciałbym, żeby zainteresował się przede wszystkim moimi zyskami. To najpewniejsza droga do osiągnięcia zysków dla siebie. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile miliardów lirów tracimy rocznie przez drobne kradzieże, włamania, sabotaż przemysłowy i niestaranne prowadzenie ksiąg? Matucci wysunął kilka rozsądnych sugestii. Jeśli wprowadzi je w życie, jestem gotów zaofiarować mu bardzo wysokie wynagrodzenie.

— Zakładając, drogi Bruno, że SID zechce zrzec się praw do jego talentu... Jednakże, muszę powiedzieć, cieszy mnie, że Matucci ma taką okazję. Zasługuje na to. Winien jestem panu podziękowanie, Matucci. Zachował się pan bardzo dobrze w trudnej dyplomatycznej sytuacji. Nie mam panu za złe, że był pan wściekły. Cieszę się, że jest pan człowiekiem przedsiębiorczym, że nawiązał pan kontakt z Brunem. Ten układ powinien przynieść korzyść nam wszystkim, nawet służbie; ponieważ, jak sam pan często mówił, w sektorze wielkiego przemysłu jesteśmy słabi. Jednakże, to dalsza sprawa... Od czasu pańskiego wyjazdu dokonaliśmy w Komendzie kilku zmian.

— Tak?

— Gonzaga przeniesiony został do wydziału Środkowego Wschodu, a Rampola objął dział bałkański. Reszta to zmiany mniej ważne, poza tym, że zwolniliśmy Stefanellego z kryminalistyki. Zestarzał się i zdziwaczał... O, menu! Co polecasz, Bruno?

— Mój drogi, powinieneś wiedzieć, że nigdy nie polecam jedzenia, koni ani kobiet. Jest to bowiem najpewniejsza droga prowadząca do utraty przyjaciół. Wino to już inna sprawa. Zdaje się, że miałeś w tym roku bardzo dobry zbiór.

— Najlepszy w tej dekadzie. Jeszcze za wcześnie, ale kiedy będzie gotowe, zarezerwuję dla ciebie kilka skrzynek.

— Dziękuję. Docenię to. A propos, czy odnalazłeś już testament Pantaleonego?

— Jeszcze nie. Matucci, to mi o czymś przypomina. Mieliśmy szczęście z Bandinellim. Okazało się, że jego żona związała się z młodym śpiewakiem w Monte Carlo. Z ulgą zgodziła się na cichy pogrzeb, nie zadając kłopotliwych pytań.

— Bardzo się cieszę, panie dyrektorze. Przykro mi, że nie okazałem się wtedy zbyt zręczny.

— Wszyscy popełniamy błędy. Była to dla pana chwila wielkiego napięcia nerwowego. Może coś zamówimy? Nie lubię czuć oddechu kelnerów na karku.

Cieszyłem się z chwili wytchnienia i z pogawędki, która potem nastąpiła; była to rozmowa wysoko postawionych osób, które rzucały na stół swoją potęgę i swoich ludzi, jakby to były kolorowe liczmany na stoliku karcianym. Pasowali do siebie doskonale: dyrektor tak mocno osadzony w historii, że

wystarczyłaby zmiana stroju, żeby można było posadzić go w Radzie Dziesięciu; stary technokrata, Manzini, siedzący okrakiem na przeszłości, teraźniejszości i przyszłości niby kolos w postaci biznesmena. Ale słowa były te same i ta sama potęga, co w dniach, kiedy jedna galera dziennie spychana była z pochylni, a połowa skarbów Bizancjum znalazła się w Wenecji dożów. Przez moment zapomnieli o mnie, a ja z zadowoleniem słuchałem i zaczynałem się uczyć języka tego nowego dla mnie świata.

Po chwili rozmowa zesłała na tematy plotkarskie i skandaliczne: kto skorzystał na nowym prawie rozwodowym, a kto nie i dlaczego? Potem dyrektor bez ostrzeżenia rzucił w moją stronę pytanie:

— Aha, Matucci, co stało się z tą kobietą, z tą Anders?

— Postąpiłem zgodnie z pańską radą, panie dyrektorze.

— Och, wybacz, Bruno, zapomniałem, że poruszyliśmy tu sprawy rodzinne.

— Proszę cię! Nic mnie to nie obchodzi. Mam tylko nadzieję, że Matucci bawił się dobrze.

— Czy rzeczywiście, Matucci?

— Krótko, panie dyrektorze.

— Gdzie ona jest teraz?

— Mówiła, że wybiera się na jakiś czas do Klosters. Nie wypytywałem zbyt dokładnie. Wie pan, jak to jest.

— Myśli pan, że powróci do swojego zawodu?

— Nie, panie dyrektorze. Myślę, że chce wyjść za mąż.

— Ma jakieś widoki?

— Nie ze mną, mogę pana zapewnić. To mi o czymś przypomina — jeśli panowie wybaczą, wyjdę przed kawą. Mam spotkanie z pewną damą...

— Ależ prosimy, chyba że Bruno...

— Nie, nie! Niech pan idzie. Niech pan korzysta, dopóki pan może. Później będzie pan miał niewiele czasu.

— Aha, zanim pan wyjdzie, Matucci...

— Panie dyrektorze?

— Ta pańska podwójna praca. Oczywiście bardzo się z tego cieszę. Miło mi, że mogę oddać przysługę przyjacielowi. Ale proszę zachować dyskrecję. Jest to na pół legalne i nie chciałbym wzbudzać niezadowolenia wśród pańskich kolegów z SID. Rozumie mnie pan?

— Rozumiem doskonale, panie dyrektorze. Jestem bardzo wdzięczny. Do widzenia panom.

— Przyjemnego wieczoru.

— Jest strasznie ciemno — powiedział Manzini z uśmiechem. — Nie wypadnij do kanału.

Było to słuszne ostrzeżenie i potraktowałem je serio. Poszedłem do mojego pokoju, założyłem płaszcz i wsunąłem do kieszeni pistolet. Przez chwilę stałem w hallu kupując u portierki znaczki, a następnie poszedłem ulicą między Palazzo Pisani i Palazzo Gritti. Znacze to miejsce? Ulica wychodzi na piazza naprzeciwko Zobenigo. Skręca się w prawo, przechodzi po małym mostku i wchodzi na Largo Ventidue Marzo, którą dochodzi się prosto pod fasadę Basilica San Moise. Nawet w dzień jest tu pusto. Kilka sklepików i poza Bazyliką nic do oglądania; w cuchnącej wodzie pod mostem stłoczone są gondole i barki. Ale nocą, wśród dławiącej mgły i przy pozamykanych oknach, było to zupełnie miasto zmarłych.

Przystanąłem na chwilę pod latarnią i usłyszałem z lewej strony jakieś szepty; prawdopodobnie gondolierzy, którzy czekają na klientów wracających do domu po kolacji. Nie widziałem ich, ale słyszałem, jak łodzie stukają o pale. Zacząłem iść, szybkim, równym krokiem, trzymając się ścian, żeby nie zgubić kierunku, i nasłuchując, czy ktoś za mną idzie. Nic poza szmerem kanału, odległą muzyką i jękiem rogów mgielnych z basenu portowego w Mestre. Kiedy skręciłem z Piazza Zobenigo, przystanąłem i znowu zacząłem nasłuchiwać. Tym razem słyszałem, lub wydawało mi się, że słyszałem, słabe klap-klap kauczukowych podeszew po bruku; ale dźwięk był tak niewyraźny, tak stłumiony przez mgłę, że mogło to być złudzenie. Zacząłem znowu iść, tym razem szybciej, w kierunku żółtego światła, które wskazywało szczyt mostu. Wtedy, skądś z tyłu, usłyszałem długi, przenikliwy świst. Zatrzymałem się, przyłgnąłem do ściany, wyjąłem z kieszeni pistolet i odwiodłem bezpiecznik. Sytuacja była teraz jasna. Za mną znajdował się jeden człowiek. Z przodu, gdzie kanał przecina aleję, mogło być ich dwóch, po jednym na każdym rogu traghetto. Zanim dotrę do mostu, zamkną pułapkę i zabiją mnie.

Opierając się o ścianę, zacząłem powoli przesuwać się wzdłuż niej, starając się wymacać zagłębienie drzwi albo jakiś występ muru, który dałby mi jakąkolwiek osłonę. Usłyszałem, że kauczukowe podeszwy przebiegły kilka szybkich kroków. Zobaczyłem słaby ruch w okolicy mostu. Mógł to być człowiek, a równie dobrze kłab mgły. W tym momencie moje palce ześlizgnęły się z szorstkiej powierzchni muru i natrafiły na pustkę. Nie były to drzwi. Otwarty łuk, niski, wąski, prowadzący na dziedziniec pałacu albo domu mieszkalnego. Dzięki niech będą Bogu! Ukląknę i wyjrzałem ostrożnie. Minęło może dziesięć sekund, zanim zaczęli się znowu poruszać; dwaj sunąc wzdłuż ściany po tej samej stronie ulicy, trzeci po przeciwnej. Muszę zająć się najpierw tym z naprzeciwka, jeśli tylko zobaczę go wystarczająco wyraźnie, żeby nie chybić.

Poruszali się nieregularnie, przebiegając krótkie odcinki najpierw jeden, później pozostali, za każdym razem w innej kolejności. Muszą podejść jeszcze bliżej. Bałem się jednak dopuścić ich zbyt blisko, bo mogli być uzbrojeni w granaty. Na szczęście mężczyzna po przeciwnej stronie podbiegł na tyle, że miałem go w zasięgu pistoletu. Widziałem go niewyraźnie. Odgadywałem, że

jest tam gdzieś między zaryglowanym oknem a głębszym cieniem bramy. Wycelowałem starannie i strzeliłem. W wąskiej przestrzeni wybuch zabrzmiał ogłuszająco. Tamten nie użył broni. Odwrócił się i zaczął biec. Pozostali też zaczęli biec. Strzeliłem jeszcze dwa razy, na oślep w mgłę. Potem, ponieważ zaczęto podnosić żaluzje i w oświetlonych oknach ukazały się głowy, ja też czmychnąłem wzdłuż alei i po moście. Nie zwolniłem, dopóki nie poczułem się bezpieczny w barze Harry'ego.

Na szczęście bar był zatłoczony, więc fakt, że jestem zadyszany, nie zwrócił niczyjej uwagi. Zamówiłem duży kieliszek alkoholu, zabrałem go ze sobą do budki telefonicznej, skąd zadzwoniłem do Manziniego. Kiedy przywołano go, powiedziałem:

— Dziękuję za ostrzeżenie. Rzeczywiście omal nie wpadłem do kanału.

— Co się stało?

— Dobrze zastawiona pułapka. Trzech ludzi. Strzelałem. Uciekli.

— Gdzie jesteś teraz?

— Tam, dokąd mnie wysłałeś. Jeszcze nie spotkałem się z tą panią.

— Po powrocie wstąp do mojego pokoju.

— Jak tam nasz wspólny znajomy?

— Przymilny jak kocur. Myślę, że wytrącę go z błęgiego nastroju. Do zobaczenia.

Wróciłem do baru, oparłem się łokciami o ladę i czekałem, żeby pogawędzić swobodnie z barmanem, kiedy trochę się rozluźni. Uśmiechnął się, kiedy zagadnąłem o Giselę Pestalozzi.

— Chce się pan trochę zabawić, co? Trzeba powiedzieć, że nie jest tania, ale ma najlepsze dziewczynki w całym mieście.

— Bardzo droga?

— W sezonie sześćdziesiąt do stu tysięcy za noc. Teraz może mniej, ale będzie się pan musiał potargować. Za to każda ma swój własny apartament, a w tej pogodzie jest coś takiego... Gdzie pan mieszka?

— Znajomi rodziny. Ależ nudni ludzie!

— No to Gisela będzie dla pana najlepsza.

— Jak ją poznam?

— Siada tam, w kącie. Wielka, ruda, między czterdziestką a pięćdziesiątką. Obwiesza się całą masą rupieci: bransoletki, łańcuchy na szyję, wielkie kolczyki itede. Nie sposób jej nie poznać. Stare babsko, ale zawsze można się z nią pośmiać. Coś jednak panu powiem. Niech pan nie robi jej żadnych kawałów. Ma kupę przyjaciół.

— Policja?

— To także. Więcej z innej branży.

— Dzięki. Tu ma pan za obsługę.

— Dziękuję panu. Na długo w Wenecji?

— Nie przypuszczam. Dlaczego?

— No, jak powiedziałem, nie chciałbym robić kawałów Giseli, ale jeśli jest pan zainteresowany, mam kilka własnych numerów...

— Dzięki. Będę pamiętał. Niech pan należy mi jeszcze raz to samo i przyśle tam do kąta.

Rozsiadłem się na ławeczce. Kelner przyniósł alkohol. Sącyłem go powoli, rozmyślając o cavaliere Bruno Manzinim, zwanym Salamandrą. Wszystko, co powiedział, brzmiało magicznie, ale ile w tym było prawdy, a ile bajki, nie mogłem się połapać. Bruno Manzini, bohater partyzantki, sprzymierzył się z faszystami, a potem wezwał mnie, pułkownika — drobną plotkę — żebym ich zniszczył. Czulem się jak kręcący się w kółko derwisz, który tańczy, aż osiągnie stan odrętwienia, by w ten sposób dowieść, że Bóg jest Bogiem, a wszystkie Jego dzieła są doskonałe w swym braku konsekwencji.

Rzucając dokoła słowa powitania i rozsiewając zapach perfum, zjawiała się Gisela Pestalozzi. Usiadła obok mnie. Pierścienie na palcach, rozkołysane dzwony w uszach i łańcuchów tyle, że wystarczyłoby do zacumowania Galileusza. Ramiona jak zapaśnik, a łono wystarczająco obfite, żeby wyżywić cały kontynent. Włosy tyrcjanowska czerwień, wargi geranium, a głos jak huk kamieni w młynie żwirowym. Pociła się obficie i używała obrusa jako wachlarza. Przez całe pół minuty nie zwracała na mnie uwagi, potem oznajmiła:

— To moje miejsce, młodzieńcze. Jest pan tu chyba pierwszy raz.

— A pani nazywa się chyba Gisela?

— Słusznie. Skąd pan wie?

— Powiedział mi przyjaciel.

— Co za przyjaciel?

— Czy mogłaby pani mówić odrobinę ciszej?

— Dlaczego niby? Mój głos. Moje miejsce. Chyba że chce pan mówić o interesach.

— Chcę mówić o interesach.

— Sześćdziesiąt tysięcy za noc, plus kolacja i napoje. Tak czy nie?

— Nie. Przysyła mnie Salamandra.

— Ach! — Oklapła jak ogromny balon i jej głos zniżył się o dziesięć decybeli. — Dlaczego nie mówi pan od razu? Czego pan potrzebuje?

— Bezpiecznej mety.

— Na jak długo?

— Jeszcze nie wiem. Kilka tygodni, może miesięcy.

— Z... czy — bez?

— Z czym, czy bez czego?

— Kobiety chyba, nie? Czegóżby innego? No więc?

— Bez.

— Dwa pokoje, kuchnia i łazienka. Meble, światło, ogrzewanie, telefon. Dwieście tysięcy za miesiąc. Odpowiada?

— Zabójcza cena!

— To bezpieczna meta. Osobne wejście. Nie ma portiera₃ dwa inne wyjścia.

— Gdzie?

— Sto metrów od San Marco.

— Komfort?

— No, nie jest to Ca' d'Oro. Ale wygodne.

— Do kogo zgłosić się po klucz?

— Do mnie. Miesiąc z góry i kaucja w wysokości miesięcznego czynszu.

— Pomyślę. Gdzie znajdę panią, jeśli nie będzie pani tutaj?

— Salamandra ma mój numer telefonu.

— W porządku. Napije się pani?

— Jak się pan nazywa?

— Zmieniam codziennie nazwisko. Niech pani nazywa mnie amantem.

— Chcesz dziewczynę?

— Nie dzisiaj.

— Więc spływaj, amancie! To godziny urzędowania.

— Ciao, Gisela! Zobaczymy się jeszcze.

I tak to było, bezcelowe i bezsensowne jak wszystko, co mi się zdarzyło. Nie wypilem do końca, zapłaciłem sennemu przewoźnikowi tysiąc lirów za odwiezienie mnie dwieście metrów kanałem do frontowego wejścia Palazzo Gritti, tam zaś, ponieważ był to kulturalny hotel, czekała mnie niezawodna obsługa telefoniczna i kabiny, dzięki którym nie musi człowiek omawiać swoich spraw z całym światem i jego przyjaciółką. Zamówiłem rozmowę z Rzymem, ze Stefanellim, i dwie minuty później miałem go na linii. Po dziesięciu sekundach wiedziałem już, że nie jestem najbardziej wyteścnionym rozmówcą.

— Steffi, tu Matucci.

— Przypominam sobie to nazwisko. Czego chcesz?

— Steffi, jestem w Wenecji.

— Szczęśliwy Matucci. Szczęśliwa Wenecja.

— Steffi, przestań, na Boga, błaznować! Chodzi o poważną sprawę!

— Wiem. Znalazłem się na bruku. Wszyscy faszyci w SID poszli w górę o dwa stopnie, a ty zajadasz homara w Wenecji. Czyż może być coś poważniejszego?

— Chcę się z tobą zobaczyć.

— Jestem w domu przez okrągłą dobę.

— Proszę cię, posłuchaj!

— Nie! To ty posłuchaj. Sprzedałeś się, braciszku! Wziąłeś sobie długi urlop i tłustą synekurę i znalazłeś się na liście płac prywatnego przemysłu. Jesteś stronzo, Matucci. Najgorszy, jakiego zdarzyło mi się widzieć!

— Kto ci tego wszystkiego naopowiadał?

— Jakie to ma znaczenie?

— Owszem, ma znaczenie. A jeśli odłożysz, Steffi, słuchawkę, nafajdam na twój grób. Teraz mów.

— Usłyszałem o tym od samego wielkiego konia, który mówi, czyli dyrektora, w dniu, kiedy mnie zwalniał. Cytuję: „Jest pan nadal w dobrej formie, Stefanelli. Dlaczego nie pójdzie pan w ślady swojego kolegi, Matucciego, i nie wykorzysta swoich zdolności, bardzo znacznych zdolności, w jakiejś pracy cywilnej?” Cytuję dalej: „Czeka pana hojna rekompensata, sam Matucci to panu powie. Są między nami tarcia, ale moglibyśmy je załagodzić, a zaryzykuję twierdzenie, że Matucci skończy jako bardzo bogaty człowiek”. Koniec cytatu. Czy chcesz posłuchać jeszcze?

— Nie, dziękuję. Czy dostałeś moją depeszę?

— Dostałem.

— Ale nie uwierzyłeś?

— Nie.

— Czy wyrządzisz mi pewną przysługę?

— Może przyniosę kwiaty na twój pogrzeb.

— Szkoda pieniędzy. Pewnie dojdzie do tego wcześniej, niż sobie wyobrazasz. Zamiast tego porozmawiaj z Raquelą Rabin. Zapytaj, o czym rozmawialiśmy, kiedy ją odwiedziłem.

— A potem?

— Zadzwoń znowu. A następnie możesz nazywać mnie, jak ci się żywnie podoba. Dobranoc, Steffi.

Poszedłem na górę, żeby porozmawiać z Manzinim. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłem, że dyrektor jeszcze nie wyszedł, ale atmosfera uległa zmianie. Byli oschli w stosunku do mnie i napięci, gdy zwracali się do siebie. Manzini od razu zaczął mnie wypytywać:

— Opowiedz, co się stało, Matucci.

Opowiedziałem. Na hotelowym papierze naszkicowałem plan, żeby wszystko było jasne. Jasno też wytłumaczyłem, że ktoś robi tu ze mnie wariata i bynajmniej nie jestem z tego zadowolony. Manzini przerwał mi w połowie tematu i powiedział bezbarwnym głosem:

— Opowiedziałem już dyrektorowi, co zdarzyło się w domku myśliwskim.

— Aha.

— I przekazałem mu pańskie podejrzenie, że oba te zamachy były przez jakieś osoby urzędowe inspirowane.

— Ta sugestia jest dla mnie prawdziwym wstrząsem, Matucci. — Wyglądał rzeczywiście na wstrząśniętego. Po raz pierwszy dostrzegłem pod jego sardoniczną maską cień niepewności. — Naprawdę wierzył pan, że po zawarciu naszej przyjacielskiej umowy, po wyrażeniu zgody na pański powrót do kraju i na podjęcie pracy u mojego starego przyjaciela mógłbym zapłacić komuś za zabicie pana?

— Musiał to być pan albo Leporello. Cavaliere dostarczał panu systematycznie informacji. Wiedział pan, że mam przyjechać do domku myśliwskiego.

Wiedział pan, że przyjadę tu na kolację. Znając się na sprawach zawodowych tak, jak znamy się my obaj, musi pan przyznać, że to dosyć logiczne, co?

— Z mojego punktu widzenia, Matucci, to czysty obłąd. Usunąłbym pana bez najmniejszych skrupułów, gdyby było to potrzebne, ale w obecnej sytuacji w moim interesie leży utrzymanie pana przy życiu.

— Nie będę współpracował z głupcami — powiedział bezbarwnym głosem Bruno Manzini. — Nie będę tolerował gróźb skierowanych przeciwko moim ludziom. Przemów do rozsądku temu parweniuszowi Leporello.

— Proszę cię! — powiedział dyrektor miękko. — Proszę cię, Bruno. Obaj jesteśmy za starzy na kłótnie. Załatwię to... Niech pan śpi spokojnie, Matucci.

Kiedy wyszedł, Bruno Manzini odchylił się na swoim krześle do tyłu i przyglądał mi się z ironicznym rozbawieniem.

— No, Dante, co o tym wszystkim myślisz?

— Myślę, że powiedział prawdę.

— Ja wiem, że powiedział prawdę. I wiem, że jest zły. Jeśli nie może kontrolować Leporella teraz, nie będzie w stanie kontrolować go w przyszłości... Same korzyści, Dante! Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Zaśmiałem się. Co innego mogłem zrobić? Śmiałem się, aż łzy zaczęły mi spływać po policzkach; a stary człowiek chichotał w swoim krześle niby pająk, który pożarł przed chwilą ogromną muchę.

Przy bramie były lwy, dwie bliźniacze bestie z kamienia pokrytego porostami, podtrzymujące w łapach nieczytelną tarczę herbową. Brama była z żelaznych prętów, pozwijanych w woluty i spirale. Dozorca karzeł podbiegł do drzwiczek samochodu, żeby powitać swojego pana w jakimś małym dialekcie. Za bramą żwirowana droga ciągnęła się wśród cyprysów i wychodziła na geometryczną fantazję kwietników i miniaturowych żywopłotów, za którymi marmurowe schody prowadziły do willi, małego klejnotu projektu Palladia, pięknego i lekkiego nawet pod szarym niebem i w bezustannym deszczu.

Taka była Pedognana, wiejska rezydencja cavaliere Bruna Manzini, który pokazywał mi ją z całkiem dziecinną dumą.

— Oto mój dom, drogi Dante! Jedyne miejsce na ziemi, gdzie jestem naprawdę sobą. Moja matka kupiła go w dobrych latach, a sprzedała w złych. Kiedy zarobiłem swoje pierwsze prawdziwe pieniądze, odkupiłem go znowu i już się z nim nie rozstawałem. Herb nad bramą został wymyślony przez moją matkę. Jeśli dobrze się mu przyjrzyysz, zobaczysz salamandrę. Zatarłem ją w czasach partyzanckich, bo była to moja kwatera główna, dopóki Niemcy nie wsadzili mnie do więzienia. Jest tu wszystko: sady, pola uprawne, morwy dla jedwabników, ryż na nizinie nad rzeką, winnice i oliwki u stóp wzgórz. Zostało też coś z dawnego życia, jak sam się przekonasz. Wejdzmy...

W podpartym kolumnami hallu, pod kopułą, która olśniewała fantazjami Tiepola, zgromadzili się wszyscy domownicy: Gaultiero, mierzący sześć stóp i mocny jak dąb zarządca; Lanfranco, majordomus; don Egidio, kapelan posiadłości; donna Edda, gospodyni, gruba, rumiana jak jabłko niewiasta, zabiegana i ciągle tracąca głowę; a wraz z nimi mały orszak pokojówek, ogrodników i stajennych. Manzini przywitał się z każdym, wymieniając jego nazwisko, ja zaś siłą rzeczy musiałem powtarzać za nim powitanie, tak więc zanim ceremonia dobiegła końca, doszedłem do przekonania, że przeniesiono mnie w sam środek dziewiętnastego wieku.

Po tej uroczystości powierzono mnie pieczy donny Eddy, która wpełnęła mnie na górę z tak gorliwą życzliwością, że przyprawiła mnie o zawrót głowy. Wspaniałość pokoju była przytłaczająca — łóżko z baldachimem, wielkie, inkrustowane biurko, ogień płonący za mosiężną kratą, sięgające sufitu półki pełne oprawnych w skórę woluminów. Nagle poczułem, że za dużo tego dobrego, i zacząłem zastanawiać się irracjonalnie, czy nie chodzi w tym wszystkim o taktykę: oszołomić mnie majestatem i zniewolić, niby jeszcze jednego swojego sługę. Jednak zadał sobie trud wytłumaczenia siebie i celu, jakiemu służył jego zamiśl.

— ... Spróbuj to zrozumieć, Dante Alighieri. Jestem wolnym człowiekiem. Wolność pojmuję na sposób anglosaski, ponieważ moja matka była Szkotką i wolną kobietą żyjącą według swoich własnych praw. Walczyła z Pantaleonem, żeby uzyskać dla mnie posiadłość, i dopięła swego. Zagrała na nosie całemu wyższemu towarzystwu; ale też nigdy nie skarżyła się, kiedy owo towarzystwo kręciło na nią nosem. Jednak tego rodzaju wolność jest rzadko spotykanym stanem umysłu. Ludzie muszą do tego dorosnąć, trzeba ich do tego przyuczyć. Cały ten kraj jest tylko na pół wykształcony, a w części całkowicie pozbawiony wykształcenia. Wielu przekłada tyranie nad wolność, ponieważ tyran może być skorumpowany, podczas gdy wolność wymaga radykalnej niewinności, codziennej bitwy podobnej do tej, jaką święty Antoni toczył z demonami... Ja nie jestem niewinny, ty też nie, ale nie chcemy być przez całe życie dziwkami. Pamiętasz Raquelę Rabin?... Otóż w tej historii jest wszystko. Jak wiesz, byliśmy kochankami. Rozstaliśmy się... oboje z tych samych powodów. Ja uległem naciskowi społecznemu. Ona znalazła sobie potężniejszego protektora, wiceprezydenta Rady Żydowskiej, człowieka mającego wpływy wśród faszystów. Jesteś zbyt młody, żeby to pamiętać, Dante Alighieri, ale nawet Żydzi wierzyli w Duce i do ostatniej chwili nie wyrzekali się przekonania, że właśnie on uratuje ich przed niemieckim holokaustem... Na koniec oboje zrozumieliśmy, że zdradziliśmy siebie. Raquela pojechała do Oświęcimia jako dobrowolna ofiara. Ja podjąłem podziemną walkę... Pamiętasz ten ustęp w Biblii? „Nieprzyjaciółmi człowieka domownicy jego.” I nadal tak jest. Muszę więc poddać cię próbie. Przez cały czas będę poddawał cię próbie, bo nie wieszano cię jeszcze za kciuki i nie przystawiano ci elektrod do jąder... Wybacz. Stałem się zbyt pory wczny. Ciągle nie jestem taki mądry, jak chciałbym...

Jeszcze tego samego wieczoru, rozpostarłszy mapy i dokumenty na całym ole, naszkicowaliśmy pierwszy plan kampanii. Raz jeszcze czułem podziw, : człowiek w tym wieku może być taki precyzyjny i bezwzględny w swoich łanach.

— Proszę ustalić zadanie bojowe, pułkownik.

— Udowodnić generałowi-majorowi Leporello spisek mający na celu zamordowanie adwokata Bandinellogo i karabiniera Calviego. Zdyskredytować dyrektora ujawniając jego powiązania ze spiskiem.

— Od czego zaczniesz?

— Od trzech faktów: Leporello znał miejsce przechowywania papierów³ antaleonego i znał środki zabezpieczenia, jakie podjąłem: kapitan Roditi, jego adiutant, zjawił się na Ponzy z rozkazem przechwycenia pozostałych dokumentów; w kolejnym etapie dyrektor sprzymierzył się z Leporellem w celu ustanowienia rządów wojskowych.

— Wychodząc od tych faktów, gdzie najpierw zapanujesz sondę?

— W najsłabszym punkcie. Kapitan Roditi.

— Następnie?

— Leporello.

— Czemu nie dyrektor? Znasz go lepiej.

— Na swoim stanowisku jest w tej chwili praktycznie poza moim zasięgiem. Każde działanie może uzasadnić tajnymi zadaniami SID.

— Powróćmy więc do Leporella.

— Nigdy nie widziałem jego dossier. Stosunkowo łatwo moglibyśmy zebrać informacje, ale to wymaga czasu. Oprócz tego mamy dwie wersje postaci generała: jego własną i wersję dyrektora.

— Cytaty?

— Dyrektor: „Patriota, praktykujący katolik, chrześcijański demokrat, finansowo niezależny. Wątpię, żeby można go było kupić lub zastraszyć”.

— Jego własna wersja?

— *„Byłem lojalny względem Korony. Nigdy nie zmieniłem się — nawet kiedy mogłoby to być wygodne. Nie lubiłem faszystów. Nienawidziłem Niemców; ale nawet to nie wystarczyło, żebym stał się renegatem. Dzisiaj mogę być uczciwy i dumny.”* Koniec cytatu.

— Dio mio! Istna dziewica! Nie wierzę ani jednemu słowu.

— Ani ja. Jakie na panu wywarł wrażenie?

— Zimny, ambitny, typ paranoiczny. Ale postaw go na balkonie przy Piazza Venezia, a znajdzie się wielu, którzy skoczą za nim w ogień. Chciałbym poznać go na gruncie towarzyskim. Zaproszę go na przyjęcie w Mediolanie. Tam ma bazę, więc łatwo będzie to zorganizować. Przyprowdzi adiutanta, co da ci także jakiś punkt wyjścia. Dobrze byłoby, żebyś zainstalował się tam możliwie jak najszybciej. W związku z tym powstaje problem, Dante mio... Kobiety!

- f
- Co?
 - Jakie masz zamiary, jeśli chodzi o biznes i przyjemności?
 - Oba te problemy mam już za sobą.
 - Wierzę. Sądzę jednak, że powinieneś zainteresować się rynkiem małżeńskim.
 - Chyba żartujesz?
 - Przeciwnie. Jesteś kawalerem, masz stopień pułkownika i interesujące perspektywy dalszej kariery. Jesteś więc świetnym kandydatem na listę gości. Wykorzystaj to, przyjacielu, szczególnie tutaj, na Północy, gdzie pieniądze mają mowę, a ci, co mają pieniądze, plotkują jak kucharki. Otóż plotki mają swoją wagę, więc omówmy bajeczkę o twojej pracy u mnie. Jesteś zatrudniony jako mój osobisty doradca do spraw zabezpieczenia przemysłowego. Wchodzisz w ten sposób na szczebel menadżerski. Będziesz miał dostęp do wszystkich fabryk i urzędów. Otrzymasz naszą kartę kredytową i samochód do osobistego użytku. Zawrzesz, ile tylko będziesz mógł, przyjaźni i będziesz się starał tłumić zazdrość, którą może wzbudzić twoja uprzywilejowana pozycja. Jeśli wyjadę za granicę, a zdarza się to często, będziesz pracował zgodnie z własnym rozeznaniem i składał mi zakodowane meldunki. Mój sekretarz otrzyma polecenie informowania cię o moich podróżach. Co jeszcze mamy na liście?
 - Personel.
 - Możesz swobodnie korzystać z jego usług. Ale porozum się ze mną, zanim wciągniesz do roboty kogoś z moich ludzi. Co dalej?
 - Masz tu zapisane: „Kościół”.
 - Rzeczywiście. Kościół tkwi po uszy we włoskiej polityce. Wiemy o tym. Jest bardzo stary i przewidujący, ma więc przyjaciół na lewicy i prawicy, a również w centrum. Czasem trudno ich odróżnić, jako że sutanna sprawia, iż wszyscy księża wyglądają podobnie i wszyscy w Watykanie przemawiają tym samym językiem, aczkolwiek wprowadzając delikatne alikwoty, które mogą całkowicie odmieniać znaczenia. Kiedy spostrzeżesz, że masz do czynienia z duchownym, zachowaj ostrożność, dopóki nie zorientujesz się, co to za jeden... A propos, czy jesteś człowiekiem religijnym?
 - Ochrzczono mnie, przystąpiłem do pierwszej Komunii i bierzmowania, ale poczciwi braciszekowie sprawiali mi ciężki i w ten sposób wybili wiarę z głowy. Skąd to pytanie?
 - Pozwala dowiedzieć się, co jakiś człowiek myśli o śmierci, swojej własnej i innych ludzi.
 - Myślę o niej możliwie jak najmniej. Uważam, że tak jest lepiej. A co ty sądzisz?
 - Jestem stary. W tym cała różnica.
 - Chyba tak.

— Przeżywałem bunt, ale myślę, że słyszę teraz harmonię. Najpełniej słyszę ją w starych słowach i starych znakach łaski. Może to złudzenie, ale wolę umrzeć z Nim niż bez Niego... Ale ani myślę się wtrącać. O Boże! Naprawdę muszę zaprowadzić cię do dobrego krawca. Ten garnitur musiał kroić rzeźnik!

Rano przyszedł bankier, po południu krawiec, który wziął miarę na więcej ubrań, niż mój ojciec zdołał zedrzeć przez całe życie. Między jednym a drugim prowadziłem aż do zmroku moją pamięciową grę z mikrofilmami i pocilem się nad stosem materiałów dostarczonych przez bank danych. Wieczorem z dziwnym uczuciem drżenia zadzwoniłem do Stefanellgo. Tym razem był jak zwykle zadzierzysty.

— No więc, Matucci, przepraszam. Co dalej?

— Dalej powiem: nie przejmuj się.

— A dalej?

— Dalej zapytam, czy nie chciałbyś ze mną popracować? Dobra pensja, pokrycie wydatków, trochę podróży.

— Jakiego rodzaju robota?

— Słuchaj, Steffi, jeśli bym był na tyle głupi, żeby powiedzieć ci to przez telefon, to byłbyś głupi zgadzając się ze mną pracować.

— Aha, o to chodzi?

— Tak, Steffi. Co mówisz?

— Muszę zapytać żony.

— Jesteś kamieniem u jej szyi i dobrze o tym wiesz. Nie może się doczekać, kiedy zdecydujesz się wynieść z domu.

— To szczerą prawdą, braciszku. Kiedy?

— Za tydzień. Najwyżej za dziesięć dni.

— Na jak długo?

— Nie mam pojęcia.

— Ile?

— Tyle samo co w SID.

— Kupiłeś mnie.

— Dobra. Wkrótce się zgłoszę. I Steffi, proszę cię...

— Wiem. Nie musisz mówić. Były raz trzy mądre małpki...

— Steffi, jesteś skarbem.

— Jestem też kompletnie zidiociałym głupcem. Ale zgłupieję jeszcze bardziej, jeśli dłużej pozostanę w tym domu.

— Jeszcze jedno. Zostali mi jacyś przyjaciele?

— Kilku... Potrzebujesz czegoś?

— Tak. Roditi Matteo, kapitan karabinierów, adiutant generała-majora Leporello. Wszystko, co zdołasz zebrać.

— Nie powinno być z tym trudności.

— Dzięki, Steffi. Do szybkiego.

— Szalom...

Po tej rozmowie poczułem się pewniej. Usiadłem i wystukałem na maszynie krótki list do Liii, która mieszka w małym hotelu w berneńskim Oberlandzie. List zostanie przewieziony za granicę przez kuriera i wrzucony do skrzynki na terenie Szwajcarii. Oficjalnie we Włoszech nie ma cenzury korespondencji, ale listy są otwierane i mnóstwo informacji prywatnych dostaje się do akt. Nie mogłem napisać zbyt wiele, ponieważ Liii mogła być nadal pod nadzorem i niewykлучzone, że ktoś przetrząśnie jej rzeczy. A trudno przelać na papier porywy namiętności, kiedy człowiek podpisuje się jako stryjasek Paweł. Dowie się jednak, że u mnie wszystko w porządku, i będzie mogła odpisać na grzecznościowy adres w Chiasso dostarczony przez Manziniego.

Przez następny tydzień tyrałem jak galernik nad notatkami i wyciskałem, jak mogłem, swoją pamięć, a ponadto odbywałem codzienne konferencje z Manzinim przerywane jedynie posiedzeniami z krawcem, który co drugi dzień przynosił naręczą ubrań do miary i który dzięki jakiemuś cudowi włoskiej przemyślności miał przygotować wszystko na dzień, kiedy obejmę mój apartament. Miałem skłonność do lekceważenia sprawy krawca, ale Manzini zirytował się i wygłosił mi nawet pięciominutowy wykład na ten temat.

— To nie są żarty, Matucci. I nie pozwól, żeby ten twój toskański snobizm zamącił ci sąd. Mówimy o ludziach, którzy w dzisiejszych czasach należą do najpotężniejszych, o image-makers, sprzedawcach marzeń, iluzjonistach. Ubierz osiemset milionów ludzi w czarne, zapięte pod szyję bluzy, a co otrzymasz? Maoistowskie Chiny, a cały świat wybałuszy oczy ze zdumienia. Produkują tekstylia, Matucci, i wiem doskonale, jakim biznesem jest moda... Turystyka to drugi nasz bardzo ważny przemysł i jeśli usuniesz bikini z reklam przy szosach, twoje zyski w ciągu jednej doby spadną o połowę. Czy przeczytałeś ten plik wycinków, które położyłem ci dzisiaj rano na biurku?

— Jeszcze nie. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ dokładnie w tym momencie image-makers zajmują się Leporellem. Są tam dwie historyjki obrazkowe, cztery wyciągi z ostatnio wygłoszonych przemówień poświęconych prawu i porządkowi oraz dwadzieścia trzy inne wzmianki na rozmaite tematy. To początek kampanii, Matucci. Macają rynek, zanim uderzą. Za tym wszystkim tkwi wielka agencja, Publitalia, i jeśli przejrzysz swoje notatki, znajdziesz nazwisko człowieka, który jest jej właścicielem... a teraz, na Boga, porzuć swoją bojaźliwość i zajmijmy się biznesem!

Był starym, nieokrzesanym piratem, ale zacząłem go lubić. Miał tyle talentów, tyle werwy i przedsiębiorczości, że czasami czułem się przy nim jak wiejski prostak. Żaden szczegół nie był dla niego zbyt mały, żeby się nim zajmować; nazwiska, jakimi będę się posługiwał w moich fałszywych dokumentach, urządzenie apartamentu w Mediolanie, kluby, do których mnie wprowadzi, to, czy mam grać w tenisa, czy też wziąć kilka lekcji golfa, a nawet marka samochodu, którym będę jeździł. Uczył mnie, jak funkcjonuje giełda, tak że ze zrozumieniem mogłem rozmawiać o papierach wartościowych i

obligacjach. Naszkicował mi dzieje wielkich rodów: Torlonia, Pallavicini, Doria, Orsini. Opowiadał o karierze wielkich kupców awanturników i szaleństwach ich żon i dzieci. Pokazał mi, gdzie są amerykańskie, a także niemieckie i szwajcarskie pieniądze, jak prowadzona jest wojna naftowa i w jaki sposób macki mafii sięgają nawet na Północ. Raz po raz powtarzał mi tę samą lekcję:

— ...Myśl zawsze w ramach historycznych, Dante. Potrzeba ponad stu pięćdziesięciu lat, żeby zbudować świadomość narodową. Kiedy tylko Mussolini runął, wróciły czasy wojujących ze sobą księstw. Nawet marksizm jest podzielony. Rozglądamy się teraz za jakimś nowym punktem ogniskującym i na tym polega siła atrakcyjna nowego faszystwu. Ludzie nie dostrzegają, że musimy wyrosnąć z podziałów, a nie dać się zapędzić do jedności przez jakieś nowe czarne koszule. Jeśli spróbują... Boże! Z przerażeniem myślę o konsekwencjach!...

Potem, jak zwykle nagle, porzucił ten temat i zabrał mnie na obchód posiadłości, sięgając co chwila do wspomnień młodości i swoich przeżyć z ojcem.

— ...Był doskonałym zwierciadłem swoich czasów, Dante: cynicznym pragmatykiem, przekonanym, że pieniądze i tytuł dają wszystko, nawet nieśmiertelność. Wierzył w Boga, ale stwierdzał z przyjemnością, że nie wtrąca się On do większości zwykłych ludzkich poczynań. Wierzył w Kościół jako jedną z najstabilniejszych i najpożyteczniejszych instytucji, jakie człowiek wynalazł. Wierzył w małżeństwo jako umowę społeczną, ale nie jako spełnienie normalnych ludzkich pragnień. Dyplomacja to sztuka dla dżentelmenów, ale polityka to zajęcie dla arywistów i łajdaków. Chętnie się nią posługiwał, ale odmawiał wszelkiego zaangażowania i zadowalał się publiczną deklaracją wierności wobec Korony i prywatnym manipulowaniem skłóconymi partiami, kierując się przy tym wyłącznie osobistym interesem Pantaleonego...

Widzę, że uśmiechasz się, przyjacielu. Słusznie. Jestem do niego bardzo podobny. On też był dobrym biznesmenem. Inwestował w stal, elektryczność, stocznie, ubezpieczenia i banki i nie kupił ani jednej akcji awanturniczych przedsięwzięć kolonialnych. Jak już ci powiedziałem, matka postarała się wymóc na nim, żeby dokonał zapisu na moją korzyść, i był to fundament tego, co mam teraz. Po naszym pierwszym spotkaniu w Pincio zaczął się mną interesować, a ja zaakceptowałem go jako najlepszego i najbardziej ekscytującego z moich wujków...

Patrząc teraz wstecz, jasno widzę, jakie były jego intencje. Chciał wydostać mnie z atmosfery haremu panującej w domu mojej matki i rzucić w świat mężczyzn. O, Matucci, jaki świat był wtedy cudowny, zwłaszcza jeśli nie widziałeś jego podszewki, a mnie oszczędzano tego przez wiele lat. Raz na tydzień udawałem się do *salle d'armes*, gdzie Pantaleone ćwiczył szablę i szpadę z mistrzem Carduccim. Czasem o pierwszym brzasku jechaliśmy *Appia Antica* do *Tor Carbone*, gdzie hodował konie rasowe pochodzące z

brytyjskich i irlandzkich stadnin. Przyglądał się porannym galopom, dokonywał obchodu stajni, a potem zasiadał do śniadania w kuchni starej farmy razem z zarządcą stadniny i trenerem...

Kiedy indziej zabierał mnie w odwiedziny do rzemieślników, którzy prosperowali dzięki niemu i jego bogatym przyjaciółom. Byli to cudowni ludzie, Dante, ale nie pozostał już po nich żaden ślad. Był antykwariusz Ascoli, zasuszony stary gnom, który potrafił wziąć garść skorup i złożyć z nich na nowo etruską wazę, a potem zrobić człowiekowi cały wykład na jej temat. Był Hiszpan Haro, rusznikarz, który mieszkał na Prati i którego Brytyjczycy stawiali na równi ze swoimi mistrzami. Miał u siebie w piwnicy strzelnicę, maszynę do rzutków i nasypy na polach, gdzie dżentelmeni, jego klienci, mogli wypróbować swoją biegłość strzelecką. Tam właśnie nauczyłem się obchodzenia ze strzelbą, a także czyszczenia jej... Ech, pamięć to zdradziecki dar!

— Masz dosyć niepewną minę. Coś cię trapi?

— Po prostu przypominałem sobie o pewnej sprawie. O nauczce, jakiej udzielił mi Pantaleone. Nienawidziłem go za to. Teraz, Bóg wie dlaczego, to wspomnienie doprowadza mnie do łez...

— Opowiesz mi, o co chodzi?

— Czemu nie? To bardzo krótkie. Pewnego dnia spadłem z konia w błoto. Stajenny roześmiał się, a ja rzuciłem się na niego z pazurami i pięściami, wykrzykując obelgi w dialekcie romanaccio. Pantaleone odciągnął mnie i stłukł, aż dzwoniło mi w uszach i zacząłem szlochać z bólu. Zrobił to na zimno, brutalnie i z rozmysłem. Potem oznajmił: „Nie zrobisz tego już nigdy. Ten chłopiec nie wyrządził ci żadnej krzywdy. Wyglądałeś głupio, więc się roześmiał. Nie mógł oddać ci ciosów, ponieważ jest biednym wieśniakiem i mógłby stracić u mnie pracę. Ty masz być dżentelmenem. Poczynaleś sobie jak zwierzę, które straciło wszelką kontrolę nad sobą. Pójdiesz teraz i przeprosisz go”. Odmówiłem. Obdarzył mnie spojrzeniem tak pełnym pogardy, że poczułem się zmiażdżony. Następnie odszedł pozostawiając mnie samego. Później przeprosiłem tamtego chłopca, ale jego już nie było i ludzie z farmy musieli odwieźć mnie do Rzymu wozem na wino. Nie widziałem go potem przez wiele miesięcy. Myślałem, że odepchnął mnie z powodu mojego nieposłuszeństwa. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że żona dała mu prawowitego syna, więc ja zostałem zepchnięty w cień... To wszystko.

— Myślę, że nie całkiem.

— Co masz na myśli?

— Nauka nie poszła w las. Rozmawiałem z Gaultierem, twoim zarządcą. Powiedział mi, że założyłeś tutaj spółdzielnię, tak że po twojej śmierci ci ludzie uzyskają tytuły własności.

— Och, to! No cóż, to chyba lepsze niż nic. Ulegam społecznemu przymusowi. Co tam! Zmieńmy temat. Spójrz na te kwiaty, Dante. Całe zbocze zakwitło. Już wkrótce stąd wyjedziesz. Ale chcę, byś wiedział, że zawsze

będziesz tu mile widziany, kiedy tylko zechcesz się zjawić. Jesteś dla mnie dobry.

— A ty dla mnie, Bruno. Niechętnie stąd wyjadę.

— Czy nie masz swojej ziemi?

— Nie.

— Więc kup sobie działkę, choćby najmniejszą. Uprawiaj ją i odrobinę kochaj. Każdy człowiek potrzebuje ziemi, którą mógłby nazwać swoją.

— Być może, kiedy to wszystko się skończy...

Cała reszta myśli pozostała nie wypowiedziana, ale obaj doskonale rozumieliśmy ogrom tego „być może”. Jeśli wszystko ułoży się źle, dostanę tyle ziemi, ile będzie mi potrzeba: dwa metry długości i półtora w głąb. Grób na Campo Santo.

Mediolańskie mieszkanie to nadbudówka na nowym bloku, wybudowanym przez Manziniego niedaleko centrum miasta. Miałem do dyspozycji dwie sypialnie, dwie łazienki, kuchnię w stylu amerykańskim, obszerny salon, dining-room i gabinet, jak również oddzielne pokoje dla dwóch służących. Do mieszkania należał otwarty na trzy strony taras obsadzony krzewami i wiosennymi kwiatami w skrzynkach. Jedyne miejsce stanowiła osobna winda, a wejście do niej, jak również jej wnętrze, mogło być kontrolowane za pośrednictwem monitora telewizyjnego. Jeden klucz do windy miała służba. Ja drugi. Drzwi do mieszkania zaopatrzone były w podwójny zamek i łańcuch, a na okna można było opuścić stalowe żaluzje. Dwa niezależne systemy alarmowe, oba połączone bezpośrednią linią telefoniczną z pogotowiem policyjnym.

Wszystko tu było nowe i wszystko przygotowane z myślą o bogatym, obracającym się w dobrym towarzystwie kawalerze: wygodne, pokryte skórą meble, dobrze zaopatrzone barek, adaptory do możliwie najbardziej wiernego odtwarzania muzyki, stojaki pełne nagrań, telewizor, jasne, modne zasłony, książki na samotne wieczory. Maszyna do pisania, kserograf, magnetofon, papier opatrzone moim nazwiskiem, dwa komplety wizytówek — jeden dla cywili, drugi na okazje wojskowe. Za półkami na książki znajdował się zamaskowany w boazerii nowoczesny sejf wyposażony w elektroniczny zamek i alarm podłączony do systemu centralnego. Nawet wykaz telefonów na biurku był prowadzony na bieżąco i zawierał wszystkie numery, jakich mogłem potrzebować w obrębie organizacji Manziniego, a nawet adresy dostawców, lekarza i dentysty. Manzini przekazał mi to wszystko z uśmiechem wyrażającym usatysfakcjonowanie.

— Tak miało być, drogi Dante. Wszystko do twojej dyspozycji. Jedyne, co masz teraz do roboty, to pracować i zabawiać się z korzyścią dla siebie. Pozwól, że przedstawię ci służących.

Było to dwóch bliźniaków z Sardynii, niskich, smagłych mężczyzn, milczących i pełnych godności jak hiszpańscy grandowie. Nazywali się Pietro i Paolo, tak więc obchodzili imieniny tego samego dnia. Pietro był kucharzem i szefem, a Paolo pokojowcem i lokajem. Dniem i nocą któryś z nich zawsze pełnił służbę. Służyli u Manziniego dziesięć lat i, jeśli można choć trochę polegać na pierwszym wrażeniu, będą się o mnie troszczyli niby o gwiazdę filmową. W dziesięć minut po moim przybyciu ubrania miałem rozwieszony w ubieralni, przybory toaletowe rozłożone, zabrudzony garnitur usunięty sprzed oczu. Pochodzą z Nuoro — wyjaśnił Manzini — i odsiedzieli wyrok za bandytyzm. Wynajął ich na sezon na jacht, a potem zaproponował stałe zajęcie. Z dumą dochowywali mu wierności i byli tak dyskretni, że komuś obcemu nie powiedzieliby nawet, która godzina.

Wznieśliśmy toast za powodzenie naszego przedsięwzięcia i uczciliśmy mieszkanie szklaneczką szampana, a potem Manzini zrobił przed wyjściem coś wzruszającego. Położył mi dłonie na ramionach i uściśnął mnie, jakbyśmy byli braćmi. Potem rozluźnił krawat i zdjął z szyi cienki złoty łańcuszek z medalikiem. Nałożył mi go przez głowę i oznajmił spokojnie:

— To święty Krzysztof. Nosilem go przez całą wojnę. Nie musisz wierzyć. Po prostu noś go, zrób to dla mnie.

W chwilę później wrócił do swojej zwykłej ironicznej postawy; pomachał mi ręką i zadrwił wychodząc:

— Zadbajmy teraz o styl, Dante Alighieri. Fregiamo i noneredenti! Bezbożnicy mogą nas pocałować w dupę. Powodzenia.

Były to pierwsze ordynarne słowa, jakie padły przy mnie z jego ust, ale w jakiś dziwny sposób dodały mi odwagi i woli, żeby się nie dać i robić swoje. Zadzwońiłem do Steffiiego i powiedziałem, żeby zwłókł tylek z krzesła i przyjeżdżał jak najszybciej do Mediolanu. Oznajmił, że wydobyl z kartoteki teczkę kapitana Matteo Reditiego, ale nie znalazł w niej nic godnego uwagi. Allora! Będę musiał sam się tym zająć.

W Mediolanie jest jeden taki klub o nazwie Duca di Gallodoro. Klub założył Anglik, który ulegając naciskom sprzedał go jakimś mediolańskim bandziorem, a sam, jak mi powiedziano, ożenił się z amerykańską wdową i wyjechał do Bostonu. Nigdy tej historii nie sprawdzałem, ale będąc w Mediolanie przychodziłem tu często, ponieważ jest to jedno z ostatnich miejsc, gdzie można jako tako zjeść, swobodnie potańczyć i nie zostać na śmierć zagłuszonym przez wrzeszczących szczeniaków używających milionwatowych wzmacniaczy. Napitki są w porządku, dziewczyny powyżej przeciętnej, a ceny wystarczająco wysokie, żeby zniechęcić tych, którzy żyją z pracy własnych rąk. Poza tym lokal znajdował się na tyle blisko komendy, że oficerowie karabinierów wpadali tu na drinka i żeby przyjrzeć się współobywatelom, za których ochronę im się płaci. Postanowiłem pójść tam wyjątkowo bez damskiego towarzystwa, chciałem bez przeszkód pogadać i zwinąć żagle, zanim się znudzę i zanim dziewczęta staną się zbyt nachalne.

Przyszedłem mniej więcej o dziesiątej trzydzięci. Restauracja wypełniona była po brzegi, ale w barze było trochę luźniej, więc usadowiłem się w moim ulubionym kącie i pogawędziłem przez chwilę z barmanem Giannim, który znał wszystkich i opowiadał o wszystkim swoim chropowatym genueńskim akcentem. Był na tyle uprzejmy, że zauważył mój nowy garnitur i obdarzył mnie czymś, co w jego mniemaniu było komplementem:

— Ach, jaki piękny! Czysta angielska wełna. I krój bez zarzutu. Co się stało, pułkowniku, spadek czy ciepła wdówka?

— Oszczędności całego życia, Gianni. Jestem na urlopie. Pomyślałem, że muszę sprawić sobie jakiś prezent. Co słychać w mieście?

— Ciągłe to samo, tyle że jeszcze bardziej. Co trzeci dzień strajk. Manifestacje studenckie. Policja na każdym rogu. Wpływy marne. W zeszłym tygodniu spadły o dwadzieścia procent. Ludzie boją się. Trzymają się mocno za kieszenie i siedzą w domu oglądając telewizję. Cała ta przemoc! Dziś po południu kolejny napad i grabież. Tym razem jubiler Fabbri. Umknęli w pełnym blasku dnia... Może przydałby się nowy Duce, żeby zaprowadzić porządek.

— Może.

— Ale ten nowy facet wziął wszystko mocno w garść. Jak się nazywa? Lepo coś tam. Mam: Leporello. Słyszałem, jak pańscy chłopcy rozmawiali o nim. Mówią, że wszystko mu jedno, ile głów rozwali, byle w mieście był spokój. I ma rację! Nie usiedzi na tyłku. Co noc krąży z patrolami. Mówią, że ćwiczy nowe oddziały do tłumienia zamieszek, takie same jak we Francji. Wie pan, trzask-prask, oczyścić mi ulicę i żadnych pytań. Musi pan go znać. Kawał chłopca. Wygląda jak Niemiec. Chłopcy nazywają go Żelazna Szczęka.

— Dobrze przezwisko. Znasz kogoś z jego ludzi?

— Pewnie. Niektórzy przychodzą tutaj. Ale nigdy służbowo. Skończył z tym. Jedno naruszenie przepisów i won. Powiedzieli, że taka jest teraz reguła. Chce nawet wiedzieć, z jakimi dziewczynami się zadają. Proszę zapytać którąś z nich. Wszystko panu powie... Hej, czy to nie pański przyjaciel?

Oparty o bar siedział bokiem Giorgione, Wielki George — dwa metry bieżące cielska i sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi, zgodnie z oficjalną listą płac SID major Marinello. Ze swoimi smutnymi oczami i wałkami tłuszczu pod brodą wyglądał jak wielki spaniel, ale kiedy mnie zobaczył, twarz mu się rozjaśniła i podniósł w pozdrowieniu wielką pięść.

— Czołem, Matucci. Cieszę się, że cię widzę.

— Ja też się cieszę, Giorgione.

— Co robisz w tym mieście?

— Urlop.

—

— Latasz za spódniczkami. Idę o zakład.

— Rozglądam się. Postawię ci drinka.

— Dzięki, jest mi bardzo potrzebny. Żelazna Szczęka przez cały dzień nie dał mi chwili spokoju.

— Dużo zmian, co?

— Zmian? O Boże! Włacza nam do głowy całe Narody Zjednoczone. Jak to robią Grecy i Francuzi, i Brazylijczycy, i Brytyjczycy, i Japończycy... Salute!

— Sto lat!

— Mówię ci, Matucci, powinieneś być szczęśliwy, że zostałeś przeniesiony. Ten Leporello to opancerzony na wszystkie strony sukinsyn. I chciałbym, żebyś zobaczył tych typków, którymi się otacza. Mamma mia! Mówi, że ściąga wysoko wykwalifikowane siły — facetów od komputerów, statystyków i nawet, Boże, zlituj się nad nami, psychiatrów! Ale to nie wszystko. Organizuje małą prywatną grupę muskułowców, do zadań specjalnych! Szykuje się coś dziwnego. Chciałbym wiedzieć, co... Ma tego kolesia, Roditego, który snuje się dokoła jak smród po gaciach. Znasz go?

— Poznałem. Ale właściwie go nie znam.

— Nie ma czego żałować. To niesamowity typek... Boże, jaki jestem zmęczony!

— Jeszcze kieliszek?

— Dzięki.

— Co przez to rozumiesz — niesamowity?

— No wiesz: zadzieranie nosa, wielkie tajemnice, generał gratuluje, panie majorze... tego rodzaju facet. Żadnych przyjaciół, jeśli nie liczyć paczki młodych. Zbyt bitym mu nie ufał.

— Przychodzi tu czasem?

— Nie, nie! To teren dziewczyn, Matucci. Wiesz sam. Wydaje mi się, że nasz przyjaciel Roditi musi przykucnąć, żeby zrobić psipsi.

— Masz dowody?

— Dowody? Nie, do diabła! Taki jestem teraz zaganiany, że sam nie wiem, czy jestem jeszcze żonaty, czy już wolny.

— Leporello też jest taki?

— Nie powiedziałbym. Żona, dwoje dzieci. Obiadki z prałatami. Wszystko jak należy.

— Skąd więc Roditi i cała ta zboczona paczka?

— Nie wiem. Myślę, że po prostu spodobał mu się pomysł elitarnej grupy i wszystkie te historie... Powiedz, dlaczego się tym interesujesz? W SID podłapałeś całkiem przyjemną robotę; co obchodzimy cię my, stara wiara? Hej, zaczekaj no... — Postawił szklanke i obrócił się na stolku w moją stronę. — Chodź tu, Matucci, wypijemy, no nie?

— Nie chciałbyś się kawałek przejść, Giorgione?

— Dokąd?

— Do mnie. Spokój i alkohol bez narzutu. Chodź, to pięć domów dalej; będziesz mógł założyć nogi na sufit, jeśli ci się spodoba.

— Dobra, w porządku. Ale nie myśl, Matucci, że cię tak puszcze. Muszę wiedzieć...

— Zamknij się, bo każę ci zapłacić za to, co wypiliśmy.

Po drodze miałem czas zastanowić się. Mimo swojego olbrzymiego cielska i manier rzeźnika Giorgione był czujny jak borsuk. Nigdy nie awansuje, ale jest podporą działu zajmującego się oszustwami i przekupstwem. Jeśli chcę, żeby mi pomógł, muszę powiedzieć mu tyle akurat prawdy, żeby poczuł się szczęśliwy i zobowiązany do dyskrecji. To dziwne, ale pomogło bardzo mieszkaniu. Śmierdziało forszą i siłą, a Giorgione żywił zdrowy szacunek dla jednego i drugiego. Piętro miał też w tym swój udział. Obsługiwał nas z twarzą tak chłodną i niewzruszoną, że zrobiłoby to wrażenie nawet na kardynale. Kiedy więc oceniłem, że jest już przygotowany i odprężony, sprzedałem mu moją historyjkę.

— Fakty oficjalne, Giorgione. Możesz opowiedzieć to wszystko zamiataczom ulicy, jeśli sobie życzysz. Jestem na urlopie. Czteromiesięcznym. Pracuję, poza SID, dla wielkiej spółki jako doradca w sprawach bezpieczeństwa. Apartament dostałem razem z robotą. Wszystko, co powiem dalej, jest tylko do twojej wiadomości, więc gęba na kłódkę.

— Posłuchaj, Matucci, nie miałem zamiaru...

— Wiem o tym, Giorgione; ale możesz mi nawet pomóc. Po pierwsze, ciągle jeszcze jestem w SID, pracuję tam, rozumiesz. Wszystko to dla zamaskowania; i nie chcę, żeby chłopcy przyłazili na drinka albo w celu zwiedzenia mieszkania.

— Zrozumiałe.

— Po drugie. Siedzę w pewnej sprawie, ale nie mogę nic o tym powiedzieć. Tajna i niebezpieczna. Nawet nie zgadłbyś, o co chodzi. W porządku?

— W porządku.

— Po trzecie. Interesujemy się także Roditim. Poproszono mnie, żebym go skontrolował, skoro już tu jestem, i żebym zrobił to nie zwracając głowy generałowi Leporello. Jeśli naprawdę jest finocchio, nie chcemy mieć go na żadnym delikatnym stanowisku. Jeśli ma destrukcyjny wpływ, jeszcze jeden powód, żeby się go pozbyć. Muszę więc działać ostrożnie; ale z powodu mojej drugiej roboty nie mogę tracić czasu. Jeśli możesz mi pomóc, świetnie. Jeśli nie, nic nie szkodzi, bylebyś siedział cicho, co chyba potrafisz. To wszystko, Giorgione...

— Dobra. Dziękuję, żeś mi wszystko powiedział. Doceniam to. Co chcesz wiedzieć o tym facecie?

— Kompletną teczkę personalną, Giorgione. Albo tyle, ile możesz zdobyć.

— Wiesz, nie mogę dostarczyć ci żadnych materiałów. Jestem zbyt duży i zbyt rzucam się w oczy.

— Powiedz, kiedy i gdzie. Ja zorganizuję resztę. Dwa najważniejsze punkty: jakiego rodzaju są jego związki z Leporellem i co Roditi ma, jeśli ma, wspólnego z muskułowcami? Nic nie przychodzi ci w tej chwili do głowy?

— Co nieco. Sam Roditi jest trochę muskułowcem. Radosny przywódca wydziału zdrowia i kultury fizycznej. Pracuje nad tym codziennie w sali gimnastycznej — podnoszenie ciężarów, dżudo, karate. We wszystkim bierze udział. Strzelanie z pistoletu, ćwiczenia z bronią automatyczną... Nie wiem, skąd ma na to wszystko czas. Poza tym zajmuje się werbowaniem kandydatów z całego kraju, w ramach korpusu. Z tego, co słyszałem, zakładają coś w rodzaju oddziału komandosów. To mi przypomina te francuskie oddziały — jak oni się nazywają?

— Barbouzes.

— Właśnie. Z tego, co słyszałem, prawdziwe zbiry.

— Gdzie ćwiczą?

— Och, to wielka tajemnica. Nikt chyba tego nie wie, a sami chłopcy nic nie mówią. Powieszę i dam ci znać.

— Gdzie Roditi mieszka?

— Też nie wiem, ale musi to być w papierach. Poproszę Ritę, żeby pogrzebała. Pamiętasz Ritę? Ciemna, typ cygański. Kiedy ostatnio tu byłeś, ty i ona...

— Zostaw to, Giorgione. I, na Boga, nie mów jej, że jestem w mieście... No więc przypuszczasz, że Roditi jest finocchio. Żadnych dowodów?

— Nie. Ale nie ma dziewczyny i te historie kulturystyczne. Na to by wyglądało, no nie?

— Być może. Nie ma przyjaciela w komendzie?

— Nie. Kobiety patrzą na niego jak samice podczas rui. Jest z pół tuzina dziewczyn, które chętnie upadłyby dla niego, ale nie osiągnęły sukcesu.

— Jak traktuje go Leporello?

— O, bardzo służbowo — jak by to powiedzieć? — jak kogoś zaufanego. Wiesz, jak to wygląda... „Jeśli potrzebne będą dalsze instrukcje, proszę zwrócić się do kapitana Roditiego... Kapitan Roditi zadzwoni do pana, żeby umówić spotkanie...”. Wiem, że bywa u Leporella w domu.

— Gdzie to jest?

— Przy szosie na lotnisko Linate. Wielka willa z wysokim kamiennym murem.

— Czy u Leporella w biurze pracują jakieś kobiety?

— Trzy. Starsza sekretarka i dwie maszynistki. Nie znajdziesz tam nic dla siebie, Matucci. Sekretarka to dragon, a dwie młodsze prosto z klasztoru.

— A jaka jest żona Leporella?

— Nigdy jej nie widziałem. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek była w komendzie. Jestem pewien, że słyszelibyśmy o tym wydarzeniu.

— Czy Leporello, wyjeżdżając w swoje służbowe podróże, bierze ze sobą żonę?

— Nie... Ale Roditiego tak. Na Boga! Roditiego bierze.

— To niczego nie dowodzi, Giorgione.

— Masz rację. To niczego nie dowodzi.

— Jaki jest w korpusie stosunek do Leporella?

— No... Pamiętam, że coś już na ten temat mówiłem w barze. To sukinsyn. Obchodzi się z nami jak właściciel niewolników. I łatwiej jest wydoić kanarka niż usłyszeć od niego słowo pochwały... Ale jest w porządku. Pod wieloma względami. I wiele z tego, co zrobił, to rzeczywiście ulepszenia. Jaki mamy do niego stosunek? Znasz te sprawy, Matucci. Możesz rozwarstwić cały SID jak talię kart. Jest wielka grupa średnia tych, którzy odwalają swoją robotę, nie zadają pytań i chwytają mocno, co się da, żeby potwierdzić swoje prawa. Jest grupa dolna — ci, których nazywam szarymi braciszkami. Służą, i to służą z zapalem, w posterunkach wiejskich, w małych gminach, na dalekiej prowincji. Są rzeczywiście strażnikami pokoju. Są blisko ludu i sympatyzują z nim. Następnie jest warstwa górna, faceci zadzierający nosa; wszystkie rozumy zjedli z książek; służymy państwu i trzy lata ciężkich robót, jeśli dasz nam po pijanemu prztyczka w nos. Ci lubią Leporella. Warstwa średnia czuje się z nim nieswojo, nienawidzą go. Nie zawsze z właściwych powodów, zauważ, ponieważ niektórzy są dosyć niezaradni w robocie, sam wiesz. Ale instynktownie — dobrze to powiedziałem? Płacze mi się trochę język — instynktownie nie ufają mu.

— A ty, Giorgione?

— Ja? Ja po prostu nienawidzę jego mordy. Ale to naturalne. Jestem dosyć dobry w mojej robocie; ale spójrz na mnie! Nie jestem ozdobą korpusu. I Leporello daje mi to ciągle odczuć. Boże, jak późno! Zona zabije mnie! Na kiedy chcesz tę teczkę?

— Na jutro, jeśli to możliwe.

— Jak ci ją dostarczę?

— Zadzwoń. Jeśli mnie nie będzie, zostaw wiadomość służącemu. Podaj miejsce i godzinę. Przyjdę albo zadzwonię, że nie mogę. Dziękuję, Giorgione.

— Daj spokój. Dobrze, że znów cię zobaczyłem. Aha, Matucci, jeśli zmienisz zdanie w sprawie Rity...

— Myślisz, że Rita pasuje do tego mieszkania, Giorgione?

— Prawdę mówiąc, niezupełnie... Ale to świetna dziewczyna. Uważaj. Niewiele takich zostało.

Powlókl się, wielkie, sympatyczne dziwadło, które zaczęło zdawać sobie sprawę z tego, że jego świat Guliwera jest zbyt skomplikowany, żeby w nim żyć... Zostawił mnie zadowolonego i jednocześnie zmartwionego. Roditi, mój pierwszy łup, jest typem niepopularnym, ma złą opinię. Leporello zadziera nosa i jego ludzie są niezadowoleni. W ten sposób wstępny etap śledztwa może potoczyć się sprawnie, bo łatwo znajdę pełnych entuzjazmu pomocników do grzebania się w brudach. Z drugiej jednak strony, wiadomości o tworzeniu nowej jednostki do walk ulicznych są bardzo niepokojące. To krok do tyłu, kolejne zagrożenie praw osobistych obywateli: polityka onieśmiania i brutalność policji zostały oficjalnie usankcjonowane.

Prawo włoskie w każdej sytuacji było zdecydowanie po stronie państwa, a przeciwko jednostce. Wiele faszystowskich rozporządzeń obowiązywało nadal i można się było do woli na nie powoływać. Nigdy, Bóg jeden wie dlaczego, nie przyjęliśmy brytyjskiego systemu habeas corpus. Można przetrzymywać człowieka prawie w nieskończoność na podstawie wyssanego z palca oskarżenia, a usłudni sędziowie będą przewlekać śledztwo i manewrować dokumentami do dnia Sądu Ostatecznego. Nasz wymiar sprawiedliwości jest przeciążony, nasz system dokumentacji beznadziejnie zacofany. Nasz sposób prowadzenia przesłuchań — w najlepszym razie brutalny, a więziennictwo — publiczną hańbą. Jeśliby to sprzęgnąć z jawną albo milczącą zgodą na terror i z rozmysłem wykorzystać śródziemnomorską przywarę okrucieństwa, wrócilibyśmy do mroków średniowiecza. Rozumiałem niepokój Manziniego i jego przekonanie, że minęła już dwudziesta trzecia i wskazówka minutowa zaraz wskaże północ.

Niecierpliwiłem się teraz, ciągnęło mnie do ludzi i do działania, więc przekartkowałem notes w poszukiwaniu możliwości kontaktu z innymi nocnymi markami. Natknąłem się na Patrycję Pompa, lesbijkę o szczególnej dosyć urodzie i metalicznym uroku, która żyła sobie wygodnie, zajmując się dekorowaniem mieszkań bogatych obywaterek Mediolanu. Według moich wiadomości Patrycja nie chodzi spać przed trzecią. W szczenięcych latach próbowałem się do niej; dobrać i sparzyłem się na długo. Ale w końcu doszliśmy do porozumienia i przez następne lata staraliśmy się podtrzymać coś w rodzaju trudnej przyjaźni. Zadzwoiłem. Odpowiedziała tym głębokim, urywanym głosem, który stanowił obietnicę wszelkiego rodzaju niezwykłych uciech. Odezwała się dosyć niechętnie:

- Kto tam, do diabła?
- Dante Alighieri Matucci, skarbie. Czy przeszkodziłem?
- Nic ważnego. Czego chcesz o tej porze?
- Informacji... i odrobiny towarzystwa.
- Możesz mieć moje towarzystwo, jeśli przyniesiesz butelkę whisky... O jakie informacje ci chodzi?
- Kluby dla wesołych chłopczyków. Znasz jakieś?
- Parę. Dlaczego?
- Szukam faceta.
- Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że mógłbyś szukać dziewczyny, kochanie. Co to niby za odpowiedź?
- To wstrętny typ. Przypuszczam, że zabił mojego przyjaciela.
- Ach tak? Spróbuj w „Pavone” i w „Alcybiadesie”. Oba otwarte są do czwartej.
- Wpuszczają dziewczyny?
- Jedynie miłe dziewczyny, kochanie, takie jak ja.
- Przyjdiesz potrzymać mnie za rękę?

— Czemu nie? Już znudziło mnie oglądanie Matucciego w otoczeniu płci nadobnej.

— Masz brudne myśli, skarbie.

— Nie mów nie, dopóki tego nie skosztujesz, kochaneczku. Będę gotowa za dwadzieścia minut. Postaraj się o środek transportu, dobrze? A przy okazji, gdzie właściwie mieszkasz?

— W klasztorze. Gdzieżby indziej? Do zobaczenia!

Zabrałem ją po drodze do mojego czerwonego mercedesa, model sportowy. Wystroiła się na tę okazję w kostium o męskim kroju, białą koszulę i zwiewny czarny fular. Kiedy ujrzała moje nowe szaty, zaczęła chichotać.

— O Boże. Matucci, chyba przeszedłeś do obozu przeciwników. Nie kupiłeś tego wszystkiego za pensję pułkownika. Kto cię utrzymuje?

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie, złotko.

— Będziesz jeszcze bardziej zakłopotany tam, dokąd idziemy. Czy serio mówileś, że?...

— Pewnie. Słuchaj więc, skarbie, i przyjmij to, co ci powiem, do wiadomości. Jestem starym znajomym, a ty pokazujesz mi miasto.

— A jeśli spotkamy kogoś, kogo znasz?

— To samo. I jeśli ktoś zadzwoni do ciebie potem, też będziesz się tego trzymać. Nie próbuj żadnych sztuczek. Mogłoby to okazać się niebezpieczne.

— Przy takim przyjacielu jak ty, Matucci, potrzebne mi dodatkowe ubezpieczenie na życie.

— Jestem najlepszym ubezpieczeniem, jakie możesz mieć, skarbie. Kto się próbuje do ciebie dobierać, kiedy masz przy sobie takiego dorodnego młodzieńca?

Był to marny żart i okazał się jeszcze gorszy, kiedy weszliśmy do „Pavone”, zadymionego baru w podziemiach nie opodal katedry. Nastrój tego miejsca określali już bramkarze: dwóch napakowanych muskularni adonisów z miejscowego klubu kulturystycznego, odzianych w obcisłe dżinsy, nabite ćwiekami pasy i swetry golfy. Rzucili kilka rezolutnych uwag, pobrali cztery tysiące lirów jako wynagrodzenie za czekające nas rozrywki i z ukłonem wpuścili do środka. W środku było mniej więcej tak samo, wielcy chłopcy, mali chłopcy, wszyscy w dżinsach i długich swetrach, i żadnej kobiety w zasięgu wzroku. Zaduch panował taki, że powietrze można by kroić nożem, a w celu podgrzania atmosfery wypchany, liniejący paw wdzięczył się na podeście na samym środku sali. Był tam też pianista i dziobaty młodzian z gitarą elektryczną, z której dobywał się monotony rockowy łomot; głosy tworzyły cichy, tajemniczy szczebiot, który zamarł natychmiast, kiedy wkroczyliśmy i poczęliśmy przepychać się w stronę baru. Potem wybuchł jazgot gwizdów i miauczeń i Patrycja szepnęła mi do ucha:

— Coś mi się wydaje, kochanie, że trafiliśmy w niewłaściwe miejsce.

Tak czy owak zapłaciliśmy już za dwa drinki, więc zamówiliśmy je i sączyliśmy powoli, aż chłopcy znudzili się zabawą i zasiedli z powrotem do swoich szeptów. Obróciliśmy się wtedy do sali i poprzez mrok zacząłem wypatrywać znajomej twarzy. Barman stuknął mnie w ramię miękkim, tłustym paluchem.

— Szukasz kogoś, kochany?

— Tak, przyjaciela.

— Jak wygląda?

— Wielka ruda głowa i piegi. Wygląda na Niemca, ale pochodzi z Trydentu. Miły chłopak. Szkoda, nie widzę go tutaj.

— Czy jakoś się nazywa?

— Powiedział mi, że Matteo.

— I nic dalej?

— Nie.

— Musisz za nim tęsknić, kochany?

»

— Tęsknię.

— Jak bardzo?

Pchnąłem przez kontuar dziesięciotysięczny banknot, ale trzymałem na nim dłoń.

— Tak... na początek.

— W takim razie wydaje mi się, że widziałem go tu parę razy. Nie jestem pewny. Jest paczka takich, co wpadają tu co parę tygodni, trzech, może czterech. Nigdy nie mam z nimi zbyt wiele do czynienia, bo są za spokojni... i interesują się bardzo niewybredną klientelą. Co mam zrobić, jeśli go zobaczę?

— Zadzwoń pod ten numer. — Zapisałem numer na tekturowej podkładce pod spodem i podałem mu. — Dziesięć dalszych, jeśli uda mi się z nim skontaktować.

— A kogo mam prosić, kiedy zadzwonię?

— Po prostu Dantego. Wiesz, jak ten poeta. Ten mój przyjaciel też jest poetą. A ty nie, skarbie?

— Czuję się jak koński zadek — oznajmiła niezadowolonym głosem Patrycja.

— I tak właśnie wyglądasz, kochana — powiedział słodko barman. — Może byś poszła tam, gdzie twoje miejsce, a nas, dziewczęta, zostawiła przy naszych robótkach na drutach.

Natomiast „Alyciades” proponował coś innego: wyłącznie plusz, wyłącznie klientela zmotoryzowana — i mnóstwo towaru obojga płci. Sala miała kształt kolisty jak Panteon. Po jednej stronie bar, po przeciwnej zakrzywiona estrada, a stoliki ustawione wokół małego parkietu tanecznego. Klimatyzacja. Chwała Bogu, bo snuła się tu ogromna ilość dymu, a nie był to wyłącznie dym tytoniowy. Dekoracje bardzo pomysłowe i wściekle drogie. Ściany pokryte czarnym aksamitem, w regularnych odstępach oświetlone nisze, z których

każda kryła podświetlony biały gipsowy posąg, na pół naturalistyczny i w pełni ukazujący płęć, a przedstawiający klasycznego starożytnego herosa. Kobiety zostały uhonorowane jedynie na czarnej kopule, gdzie na śnieżnobiałą Ledę gramolił się rozfalowany łabędź.

Klienci stanowili najwytworniejszą paczkę, jaką zdarzyło mi się od dawna widzieć; w większości młodzi, ale z dodatkiem szczypty siwowłosych starszych panów i szacownych wdów w męskim typie, krótko ostrzyżonych i wyposażonych w długie cygarniczki. Tym razem nasze wkroczenie nie zwróciło niczyjej uwagi. Scenę zajmowali trzej młodzieńcy w luźnych złotych spodniach i wywiniętych ciżmach. Jeden z nich grał na gitarze, drugi dmuchał z uczuciem w piszczałkę, a trzeci wykonywał rodzaj powolnego tańca, który pozostawiał mnie zimnym jak Narcyz nad stawem zarośniętym liliami.

Barmanem był wspaniały chłopiec, ślicznie ostrzyżony i niewypowiedzianie uprzejmy. Napoje kosztowały bajońskie sumy, ale podawano je w kryształowych kielichach, z dodatkiem świeżutkich kanapek, żeby ułatwić trawienie. Patrycja z satysfakcją napelniła swój kielich.

— Kochanie, jestem zachwycona, żeś mnie tu przyprowadził. Myślę, że zbyt dawno już wyszłam z obiegu. Jeśli pójdzie mi dobrze, zapłać tylko rachunek i jesteś wolny.

— Jak sobie życzysz, skarbie.

— Widzisz twojego faceta?

— Jeszcze nie. Poczekaj, niech skończy się występ i zapalą światła.

Czekaliśmy całą wieczność, zanim umilkły ostatnie nuty i tancerz opadł na parkiet jak zwiędnięty pęk, przy dosyć umiarkowanych oklaskach. Światła i tak były marne, ale wystarczyły, abym dojrzał kapitana Matteo Roditego w pasującej do pory dnia niebieskiej marynarce. Siedział z dwoma młodymi mężczyznami przy stoliku znajdującym się tuż przy parkiecie.

Odwróciłem się znowu do baru, w stronę Patrycji i szepnąłem:

— Zobaczyłem go.

— Co chcesz zrobić?

— Porozmawiać z nim sam na sam.

— Zaczekam na ciebie.

— Lepiej, żeby nie widział nas razem.

— To podniecające.

— Nie wygląda może na to, ale sprawa jest niebezpieczna. Zamów następny kieliszek i radź sobie, jak umiesz.

Weisnąłem jej w dłoń kilka banknotów i powędrowałem między stolikami, zupełnie jak inni klienci, którzy rozglądali się za lokalnymi talentami. Roditi i jego przyjaciele byli bardzo sobą zajęci, więc zauważyli mnie dopiero, kiedy stałem nad stolikiem i pozdrawiałem ich uprzejmie.

— Kapitan Roditi, prawda?

Przez moment nie poznał mnie, potem zerwał się na równe nogi i wyjąkał:
— Pułkownik Matucci! Proszę wybaczyć, nie poznałem pana.
— Niech pan da spokój, kapitanie, nie jesteśmy na defiladzie.
— Co pan robi w Mediolanie, panie pułkowniku?
— Wykorzystuję urlop.
— Proszę mi wybaczyć, ale słyszałem, że został pan zwolniony ze służby.
— To sprawa dyskusyjna. Nic ostatecznego. Ciągle jeszcze jestem w służ-
bie czynnej. Nie przedstawi mnie pan swoim przyjaciółom?
— Och, przepraszam, panie pułkowniku. Franco Gozzoli, Giuseppe
Balbo, pułkownik Matucci.
— Czy panowie także służą w Korpusie?
Był szybki, ale nie dość szybki, żeby uprzedzić błyskawiczną wymianę
spojrzeń z tamtymi dwoma.
— Nie, panie pułkowniku. Obaj zajmują się biznesem.
— Jakiego rodzaju biznesem?
— No... tego...są kreślarzami.
— To musi być interesujące. Proszę, siadajcie, panowie. Często pan tu
przychodzi, kapitanie?
— Od czasu do czasu. To zawsze jakaś odmiana. A pan, panie pułkowniku?
— Wpadłem, żeby się czegoś napić. Jeśli można tak powiedzieć, próbuję się
załapać.
— Doprawdy...? — zareagował natychmiast na znane sobie dobrze słowo i
nieśmiały cień konspiracji przemknął w jego uśmiechu. — Czy długo zostanie
pan w Mediolanie?
— Być może kilka tygodni. Może by pan wpadł któregoś wieczoru na
drinka, kapitanie?
— Z przyjemnością, panie pułkowniku.
— Dobrze. Zadzwońię do pana do komendy. Proszę przekazać pozdrowie-
nia generałowi Leporello. Niech mu pan powie, że mam nadzieję wkrótce się z
nim spotkać.
— Powtórzę z przyjemnością, panie pułkowniku.
— Dobranoc, Roditi. Niech pan się dobrze bawi.
Gdy przechodziłem obok baru, zobaczyłem Patrycję Pompa pograżoną
głęboko w rozmowie z małą lalkowatą blondynką w zielonych szortach. Puściła
do mnie oko i pomachała palcami na pożegnanie. Nie byłem już jej potrzebny,
znowu trafiła do obiegu.
Była trzecia nad ranem, kiedy wróciłem do domu. Byłem straszliwie zmę-
czony, ale nie było mowy o zaśnięciu, bo należało przygotować sprawozdanie z
wieczornych spotkań. Mogliśmy zapisać na nasze konto kilka punktów. W
Giorgionem zyskałem przyjaciela i źródło informacji. Roditi ma słaby punkt;
są nim jego skłonności seksualne. Leporello jest niepopularny wśród swoich
ludzi i niektórych z nich można namówić, żeby dostarczali informacji mogą-

cych mu zaszkodzić. Niepokój budziły jednak pozycje po stronie strat. Leporello szkoli aparat terroru, który może działać zgodnie z jego wolą, w ramach prawa albo poza prawem. Tego rodzaju zespół jest magnesem przyciągającym społecznych wyrzutków i oddaje ogromną siłę w ręce politycznego manipulatora. Jeśli ten manipulator osiągnie polityczny sukces, aparat stanie się ramieniem rządu, samoutrwalającym się i samouzasadniającym swoje istnienie. Do straty doszło także na moim osobistym koncie. Jeśli morderstwa przy Via Sicilia były dziełem aparatu, rzeczą trudną, a może nawet niemożliwą staje się wykazanie słuszności oskarżeń pod adresem Reditiego i Leporella. Jeśli Leporello zechce się mnie pozbyć, ma do dyspozycji bandę wyszkolonych zbirów, którzy zastawią na mnie pułapkę.

Ta myśl przejęła mnie chłodem. Nękała mnie przez cały czas, kiedy byłem pogrążony we śnie, który nie dawał odpoczynku, i nie opuściła, kiedy obudziłem się, zaspany i zirytowany, o dziesiątej rano.

W południe zjawił się żwawy jak skowronek Steffi. Przywoził błogosławieństwo od żony, która — jak twierdził — jest zadowolona, że się go pozbyła. Wyrecytował pozdrowienie od kilku naszych rzymskich przyjaciół i litanie przekleństw pod adresem oportunistów. Obejrzał każdy centymetr kwadratowy apartamentu i stwierdził ponuro, że jedynie ostatnia dziwka może ze spokojnym sumieniem korzystać z takiego luksusu. Wyrzuciwszy w końcu z siebie wszystkie sentencje i całą żołąć, słuchał przez chwilę mojej opowieści o tym, co mi się przytrafiło od czasu naszego ostatniego spotkania. A potem, trzeźwy i opanowany, podał mi własną wersję wydarzeń w Rzymie:

— ...My, liberałowie, wyszliśmy, braciszku, z mody. Płyniemy pod wszystkie prądy, wszystkie wiatry wieją nam prosto w twarz. Kiedy wydaje się nam, że mamy chwilę spokoju i możemy podlać kwiatki, Arabowie porywają kolejny samolot albo syjoniści załatwiają kolejnego agenta, albo jacyś dwudziestoletni idioci napadają na bank, albo policja strzela do demonstrantów w jakiejś zapadłej prowincji. Jeśli nawet nie w kraju, to w najbliższym sąsiedztwie. Pomyśl, taka prosta rzecz! Kiedy dzisiaj rano dotarłem na dworzec lotniczy, nawalił system komputerowy. Drobną mechaniczną usterką i nagle zrobił się chaos. Urzędnicy zajmujący się rezerwacją nie nadawali z informowaniem podróżnych. Przedstawiciele linii lotniczej zapadli się pod ziemię. I pięć tysięcy pasażerów linii krajowych i międzynarodowych miało się bez sensu po dworcu. Jesteśmy zupełnie inni niż Anglicy. Nie ustawiamy się w kolejce i nie czytamy „The Times”. Wrzeszczymy i przekrzykujemy się po prostu dla draki. Ale wystarczyłoby tego ranka, by ktoś głośno krzyknął albo zbyt gwałtownie zaczął się rozpychać, i bunt gotowy... O co? O to, że spalił się wart może sto lirów bezpiecznik... To właśnie jest przerażające, Matucci. Nikt nie ma pretensji do bezpiecznika. Każdy chce kozła ofiarnego, którego można skopać na krwawe błoto tylko dlatego, że spóźnił się samolot. Na rzymskich mostach wypisują teraz hasła: „Śmierć faszystom”, „Precz z komunistami”. A

tam, gdzie mieszkam, można przeczytać „Syjonistyczna świnia!”... Zastanawiam się, przyjacielu, czy wiesz, z czym naprawdę walczysz?

— A ty?

— Czasem wolałbym nie wiedzieć. Simia quam similis...

— Nie znam tego, Steffi.

— Małpa, najnikczemniejsza z bestii, jakże jest podobna do nas! Niewiele się zmieniliśmy od jej czasów, prawda?

— Niewiele, poza tym, że mamy komputery, które pozwalają mnożyć nikczemności. Steffi, musisz coś zrozumieć. Chodzi o bardzo niebezpieczne plany. Nie chcę, żebyś był zbyt blisko mnie. Będziesz działał z hotelu Europa. Będziemy się spotykać w najrozmaitszych miejscach.

— Co mam robić?

— Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Chodzi więc o staromodną robotę detektywistyczną, Steffi. Najpierw Leporello i Roditi. Chcę wiedzieć, co jedzą na śniadanie i jakiej marki pasty do zębów używają. Jeśli masz zaprzyjaźnionych kumpli w komendzie, wykorzystaj ich; ale, na Boga, bądź ostrożny.

— Powinienem dać ci tę samą radę, braciszku. Dyrektor nie lubi cię już ani trochę.

— Ale w jego żywotnym interesie leży utrzymać mnie przy życiu. To jego własne słowa, Steffi.

— Nie mówił ci, na czym polega ten jego interes, co?

— Nie.

— Pozwól więc, że przedstawię ci nieco gorsze wiadomości. Ma kogoś, kto pracuje wyłącznie nad twoimi aktami.

— Kto ci to powiedział?

— Rampolla. Mówił o tym jak o doskonałym dowcipie. Świetny dowcip! Swego czasu żeglowałeś, Matucci, zbyt blisko wiatru. Potrzebujesz bardzo życzliwego biografy, żeby przedstawił cię jako osobę godną chociażby odrobiny szacunku. Obecnie przygotowują czarną księgę poświęconą w całości twojej osobie.

— Ja także piszę czarną księgę, Steffi.

— Pytanie za duże pieniądze: kto pierwszy wydrukuje? Jeszcze jedna nowina... Od twojego wyjazdu z Rzymu Dzieciół składał codziennie zeznania. Wydał całą siatkę i twoją dziewczyna, Liii Anders, figuruje w tych zeznaniach na poczesnym miejscu.

— Na razie nie mogą jej nawet tknąć. Szwajcaria nie uznaje ekstradycji za przestępstwa polityczne.

— Ale uznaje za kryminalne.

— Och, daj spokój, Steffi. Znam jej dossier. Nie ma w nim nic tego rodzaju.

— Nie było, kiedyś je czytał. Teraz może być. Jeśli zależy ci na tej kobiecie, jest to sprawa do przemyślenia...

- Steffi, sprawiasz, że czuję się jak Hiob na kupie gnoju.
- Więc dziękuj Bogu za plagi, braciszku, i módl się głośno i mocno o Jego miłosierdzie. Poza tym nie lekceważ dyrektora. Chce wprawdzie, żebyś żył, ale zagrzebany po szyję w gnoju... Czy w tym domu rozpusty masz coś do picia?
- Za takie wiadomości powinienem poczęstować cię cjankiem.
- Zastąp go szkocką whisky, a podziękuję ci dobrą nowiną.
- Najpierw nowina, stary sępie.
- Pamiętasz list-bombę podrzucony w mieszkaniu Liii Anders?
- Tak.
- Policja przysłała nam raport laboratorium kryminalistyki. Raport przeszedł przez moje biurko razem z milutkim zestawem odcisków palców, które pasowały do ich kartotek. Na wszelki wypadek przywiozłem ze sobą kopię.
- No i?
- Odciski należą do niejakiego Marca Vitucciego, dwadzieścia osiem lat, niegdyś steward we Flotta Bernardo, poszukiwany w Rzymie i Neapolu za liczne kradzieże i rozboje.
- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Ani ja. Ale to może być początek, pierwsze ogniwo łańcucha. Policja prowadzi aktywne poszukiwania. Ten Vitucci używa także dwóch innych nazwisk, na które ma także dokumenty. Te nazwiska to Turi Goldoni i Giuseppe Balbo...
- Powtórz to ostatnie.
- Giuseppe Balbo.
- Steffi, jesteś geniuszem! Jesteś niebotycznie transcendentnym magikiem!
- Wiem, ale kiedy to odkryłeś?
- Teraz... w tej minucie! Mówiłem ci, że ubiegłej nocy spotkałem Roditego w klubie „Alcybiades”. Jeden z chłopców, z którymi był Roditi, nazywał się Giuseppe Balbo.
- Jeśli to ten sam, mamy prawie wszystko, co trzeba, żeby przyszpilić Roditego.
- Prawie, ale nie całkiem. Ma zbyt mocne plecy. Ale to piękny początek i ponieważ chodzi o raport policyjny, SID nie może tego ukryć. Steffi, sprawa ruszyła z miejsca!...
- No więc dostanę tej whisky?
- Podczas lunchu i przez popołudnie omówiliśmy wszystko z góry na dół i na okrągło. Umówiliśmy szyfry, miejsca spotkań, tabelę kontaktów telefonicznych; potem Steffi poszedł do hotelu, by dać odpoczynek swoim starym gnomom i zaplanować własną kampanię śledczą. Właśnie skończyłem przepisywać nowe informacje na maszynie, kiedy zadzwonił telefon i odezwał się generał-major Leporello. Był zwięzły, ale zdumiewająco serdeczny:
- Witam pana w Mediolanie, pułkowniku.

- Dziękuję, panie generale. †^L
- Kapitan Roditi przekazał pańskie pozdrowienia. Byłbym zachwycony, gdybyśmy mogli się spotkać.
- Chciałem po prostu złożyć wyrazy szacunku, panie generale. Wiem, jak bardzo jest pan zajęty.
- Kolacja we czwartek. Czy odpowiada to panu?
- Tak jest, panie generale. Czwartkowy wieczór mam wolny.
- Dobrze. U mnie między ósmą trzydzieści a dziewiątą. Wyślę potwierdzenie ze wskazówkami, jak do mnie trafić. Informacja: będzie to spotkanie ściśle rodzinne. Hmm... Czy zależy panu, żeby kogoś przyprowadzić?
- Nie, panie generale.
- Proszę więc zostawić to mojej żonie, już ona o wszystkim pomyśli. Pan i ja będziemy mogli spokojnie porozmawiać przy kawie. A propos, czy zastanawiał się pan nad moją ofertą?
- Tak jest, panie pułkowniku.
- Jeszcze o tym porozmawiamy. Zatem do czwartku.
- Będę czekał na ten dzień z niecierpliwością, panie generale.

Spodziewałem się jakichś kroków wstępnych — może jakiegoś drinka w messie, jakiejś kawy w klubie — ale to zaproszenie było bez żadnego składu i ładu. Dwa tygodnie temu pragnął mojej śmierci; teraz chce jeść ze mną kolację. Te dwa pragnienia niekoniecznie musiały być sprzeczne — we Włoszech mieliśmy już wiele przypadków zdrad dokonanych przy biesiadnym stole — lecz z pewnością stanowiły anomalie. Trudno mi będzie zabrać ze sobą białą broń na rodzinne spotkanie, a pozostało mi tylko czterdzieści osiem godzin, żeby się odpowiednio przygotować.

Nowiny, które przyniósł Steffi, głęboko mnie zaniepokoiły; nie dlatego że się ich nie spodziewałem, lecz dlatego, że raz jeszcze pozwoliłem sobie na niebezpieczne zaniedbanie, wybierając tylko jedną interpretację i nie uwzględniając całego kryjącego się za nim kompleksu zagrożeń i problemów. Czarna księga to pomysłowy sposób kłamania, z początku mający w zamierzeniu dyrektora być ćwiczeniem szkoleniowym, a następnie tak udoskonalony, by dawał do ręki narzędzie szantażu. Sztuczka polegała na tym, że brało się czyjeś akta i przez odpowiednie preparowanie, przesuwanie akcentów i interpretację wypaczało je, uzyskując zbrodniczą karykaturę. Wystarczy odczytać „kawaler” jako „nie interesuje się kobietami”, „lubi grać w karty” jako „znany hazardzista”, żeby mieć całą technikę podaną w pigułce. To plugawa gra, ale skuteczna, bo każdy ma na sumieniu jakieś grzeszki i zwykłe przedstawienie akt upatrzonej ofierze stanowi cyniczną demonstrację siły.

Znałem tę grę, bo sam nieraz ją prowadziłem. Wiedziałem też, że jako tajny agent, który przecież zawsze przekracza granicę prawa, a czasem bardzo się od tej granicy oddala, łatwo mogę stać się ofiarą. Liii Anders była w podobnej sytuacji jako znany powszechnie wywrotowiec, gość w neutralnym kraju.

Wystarczy telefon dyrektora do jego odpowiednika w Szwajcarii, a ona także stanie się bezradna jak liść podczas zimowego sztormu. Nadal przeżuwałem jeszcze tę ponurą myśl, kiedy przybył kurier z dwiema kopertami od Manziniego.

Pierwsza zawierała list, w którym usprawiedliwiając się, że tak późno z tym występuje, zapraszał mnie tego wieczoru na kolację w Klubie Bankierskim, bym, jak to ujął, „spotkał pieniądze i zorientował się, czy bardzo śmierdzi”. zaproponował, żebyśmy pół godziny przed kolacją odbyli prywatne spotkanie w pokoju karcianym. Drugim dokumentem był list od Liili.

Kochanie,

Tak długo nie pisałam do mężczyzny, że chyba już nie wiem, jak zacząć. Przypuszczam, mój ostrożny kochanku, że Ty nigdy nie pisałeś listu do kobiety. Stryjaszek Paweł nie liczy się, bo go nie ma, ale mimo to cieszę się, żeś napisał o sobie.

Siedzę na tarasie, skąpana w słońcu, i przed moimi oczyma roztacza się cudowny widok na zieloną dolinę, pokryte śniegiem szczyty gór i farmy, które wyglądają jak domki dla lalek, a wszystko to istnieje po to, bym mogła się tym cieszyć. I cieszę się, kochanie, tak jak nigdy nie mogłam się spodziewać. Prawie nic nie robię. Spaceruję. Czytam. Wciągnęłam się trochę w tutejsze życie. Odbywam pogawędki z innymi gośćmi. Wieczorami gram w bridża. O dziesiątej jestem już w łóżku i śpię, dopóki pokojówka nie przyniesie mi śniadania. To wszystko jest takie łatwe; aż dziwię się, że tak długo mi się wymykało i sama do tego dopuszczałam.

Od czasu do czasu robi mi się smutno, bo ciągle siedzę na bagażach i ciągle nie wiem, co będzie dalej, ale mój prawnik, Herr Neumann, uspokaja mnie. To drobny staruszek o białych włosach, noszący złote pince-nez. Nazywa mnie „młodą niewiastą” i sprawia mi to przyjemność. Wie teraz o mnie wszystko — poza niektórymi bardzo intymnymi sprawami — i mówi, że być może będę mogła wystąpić o azyl polityczny. Zgromadził mnóstwo świadectw i zasięga rady swoich kolegów z Zurychu. Pomysł azylu dosyć mi się podoba. To brzmi prawie jak schronienie się w kościele, gdzie z wszystkiego można się wypowiadać, wszystko zostaje wybaczone i człowiek bez lęku może zacząć życie od nowa.

Tutejsi ludzie są pełni prostoty, powściągliwi i sympatyczni. Także goście robią miłe wrażenie. Są tu dwie starsze damy, z których jedna jest moją bridżową partnerką. Jakieś młode małżeństwo przyjechało na miodowy miesiąc, co budzi od czasu do czasu moją zazdrość, amerykański profesor, już niemłody, pisze książkę o migracjach Niemców, a ognisty facet z Lugano rozmawia ze mną po włosku, stawia mi koktajle przed kolacją i proponuje szaleńcze przejażdżki swoim maserati. Jak dotychczas nie zgodziłam się, ale wkrótce może do tego dojść. Jest bardzo troskliwy.

Prezentuje się całkiem niezłe i nie brak mu inteligencji — inżynier czy coś w tym rodzaju, zajmujący się projektami budowlanymi dziesięć mil stąd.

A jak Ty się miewasz, Dante Alighieri? Nie pytam, co robisz, bo i tak wiem za dużo i w niczym nie mogę Ci pomóc. Kocham Cię i tęsknię, ale nie śmiem zawierzyć siebie miłości i muszę przywyknąć do tęsknoty. Powiem tylko, że często śnię o Tobie i kiedy się budzę, patrzę, czy nie ma Cię obok mnie. Kiedy piszę, ogarnia mnie zazdrość o wszystkie kobiety, jakie spotykasz lub spotkasz w przyszłości. Zastanawiam się, czy jesteś zazdrosny o mojego inżyniera. Chciałabym, żeby tak było.

Bądź, kochanie, ostrożny. Myśl czule o mnie, tak jak ja myślę o Tobie.
Być może pewnego pięknego dnia będę

Twoją Liii.

Przeczytałem list trzy razy, potem podarłem i spaliłem na popielnicze. Czuję zazdrość, chociaż nie miałem do tego żadnego prawa. Jeśli nawet nie byłem zakochany, to byłem bliżej tego stanu niż kiedykolwiek w życiu. Ale musiałem skupić się na tym, co miałem do zrobienia. Nie mogłem pozwolić sobie na żaden luksus. Trzeba więc o tym zapomnieć! Trzeba jeszcze przeżyć zbyt wiele niebezpiecznych dni i być może jasny i słoneczny dzień, który Liii wymarzyła, nie nastąpi nigdy.

Klub Bankierski w Mediolanie jest tylko krzywą mniej czcigodny niż Klub Szachowy w Rzymie. Wywiera jednak bardziej imponujące wrażenie, ponieważ jego moc jest lepiej zogniskowana, a wszyscy członkowie są nader wymowni w jedynym międzynarodowym języku, w języku pieniądza. To religijny język zastrzeżony dla kapłanów i akolitów, podobnie jak kościelna łacina albo symbole czasu u Inków. Jest precyzyjny, giętki, subtelny i całkowicie niezrozumiały dla profanów z pospólstwa. Stanowi dowód cyklicznego charakteru historii, ponieważ pierwszymi bankami na świecie były świątynie Babilonu, Grecji i Rzymu, gdzie można było wziąć pożyczkę, złożyć depozyt, uzyskać kredyt i oznaczyć próbę monet pod czujnym okiem miejscowego bóstwa.

Jeśliby ktoś zapytał, dlaczego taki facet jak ja miałby coś wiedzieć o tego rodzaju sprawach albo dlaczego miałyby go obchodzić, musiałbym raz jeszcze przypomnieć, że jestem Toskańczykiem i zostałem wychowany na dziejach Bardich, Frescobaldich i Petruzzich, którzy byli bankierami Brytyjskiej Korony w czternastym wieku, i że mój ojciec był starej daty socjalistą, który suszył mi głowę wykładami o potrzebie nacjonalizacji banków i uwolnienia biznesu od spekulantów. Lubię pieniądza. Kto go nie lubi? Fascynuje mnie także jego historia, formy, potęga i pytanie, dlaczego niektórzy ludzie robią go, a większość traci, choć przecież nawet przewoźnik Charon żąda obola za przewiezienie człowieka przez Styks na stronę wieczności.

Tak więc uznałem za rzecz do pewnego stopnia właściwą to, że moje pierwsze wejście w świat Bruna Manziniego odbędzie się przez portal Klubu Bankierskiego. Byłem też ciekawy, dlaczego wybrał takie węzłowe i czcigodne miejsce, żeby mnie zaprezentować. Zadałem mu dokładnie takie właśnie pytanie, kiedy zasiedliśmy nad koktajlami w pokoju karcianym, co było przywilejem zarezerwowanym dla najbardziej szacownych spośród kapłanów. Odpowiedział z uśmiechem:

— Drogi Dante, chodzi o ćwiczenie w logice. Tutaj wszyscy mają pieniądze. Pieniądze. Pieniądz narzuca dyskrecję. Dyskrecja pozwala na swobodę wypowiedzi. Tak więc mamy tu swobodę wypowiedzi, w istocie mamy jej nawet za dużo. Sześciu z nas spotyka się co miesiąc na kolacji. Mówimy o wszystkim, co nam ślina na język przyniesie. Każdy z członków ma prawo przyprowadzić gościa, musi jednak zagwarantować, że jest to człowiek, który dochowa tajemnicy.

— Dziękuję za komplement.

— Mogę obsypywać cię komplementami na zawołanie, drogi Dante. Chciałbym, żebyś poznał dwóch ludzi. Jeden to Ludovisi z Banco Centrale, drugi to Frantisek z watykańskiego Opera Pontificia. Należy do najbieglejszych bankierów. Fakt, że to Amerykanin i arcybiskup, jest incydentalny. Obaj mogą być ci bardzo użyteczni.

— W jaki sposób?

— Szybciej niż ktokolwiek potrafią powiedzieć, dokąd i dlaczego przepływa wielka gotówka. Jest jeszcze jeden powód. Ludovisi to szwagier twojego dyrektora. — Zachichotał i uniósł rękę. — Nie, bądź spokojny. Kochają się jak pies z kotem. Ludovisi wniósł sprawę rozwodową. Oskarża rodzinę żony o doprowadzenie do rozkładu małżeństwa. Jest bardzo wymowny i zgromadził bardzo wyczerpującą dokumentację. Natomiast Frantisek to człowiek bardzo skomplikowany. Wygląda, jakby grał w amerykański futbol, mówi po włosku z brooklińskim akcentem, gra w golfa i cieszy się wielkimi względami papieża. Brał udział w reorganizacji watykańskiego systemu finansowego i negocjowaniu z rządem włoskim umowy podatkowej. Nie jest zbyt biegły w teologii. Jego filozofia to czysty pragmatyzm. Najszlachetniejszym rysem jego charakteru jest fanatyczna lojalność wobec Stolicy Apostolskiej. Mimo to wyczuwa, skąd wieje wiatr, i jeśli mu się spodoba, może być potężnym sprzymierzeńcem. Reszta? No cóż, są sympatyczni i dobrze poinformowani. Jeden to liberał, inni to chrześcijańscy demokraci najrozmaitszych odcieni. Paolini trzyma się na uboczu, na uboczu faszystowskim, ale pod względem towarzyskim jest tak sympatyczny, że można mu to prawie wybaczyć.

— A czego oczekujesz ode mnie?

— Rób, co ci się podoba. Rozmawiaj, słuchaj, spieraj się. Jeśli popełnisz gafę, nie przejmuj się, tutaj to uchodzi. Powiedz mi teraz, czego dokonałeś?

Wysłuchał mnie w milczeniu, a potem gwizdnął przeciągle i z ukontentowaniem.

— Świetnie! Świetnie! Jak sam powiedziałeś, zupa zaczyna się gotować. Co proponujesz teraz?

— Czekać, aż zdobędę więcej dowodów, znacznie więcej. I w tym tkwi ryzyko. Musisz to zrozumieć. Mogę wypuścić z rąk Giuseppe Balba, który stanowi jedyne ogniwo łączące nas z tym, co wydarzyło się w Rzymie. Ale jeśli zdejmę go teraz i oddam w ręce policji, mogą mi się wyslizgnąć grube ryby, Roditi i Leporello. Sam wiesz, jak to jest. Musimy mieć niepodważalne dowody, zanim przystąpimy do rozprawy, i zarejestrowaną u notariusza kopię każdego dokumentu, który trafi do naszych rąk.

Zmarszczył brwi i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, a wreszcie skinał potakująco głową.

— Mój sprzeciw budzi myśl o wypuszczeniu z rąk kluczowego świadka, ale myśl o przedwczesnym podjęciu działań jeszcze mniej przypada mi do smaku. Moją troskę budzą te nowe jednostki do tłumienia zamieszek. Tylko jeden krok dzieli je od brazylijskich Esquadras de la Muerte... policyjnych morderców. Wypuścimy dziś przy stole parę balonów próbnych, żeby zorientować się, czy pojawiły się w obiegu jakieś nowe informacje. Wiem, że w tej chwili Leporello cieszy się wielką przychylnością ludzi biznesu. Wygłosił tutaj w zeszłym tygodniu przemówienie na temat porządku i postępu. Mówiono, że bardzo obiecujące. Doskonale przyjęte. Zastanawiam się, dlaczego zaprosił cię na kolację i kto będzie czwartym gościem. Jakaś kobieta na przynętę?

— Być może. Chociaż to niezbyt pasuje do jego stylu.

— Skoro werbuje gimnastyków, homoseksualistów i kryminalistów, nie sądzę, by cofnął się przed zwykłym uwiedzeniem. Chodźmy. Tamci już pewnie są.

Było nas ośmiu i zasiedliśmy przy okrągłym stole, tak więc nie wyłoniła się kwestia pierwszeństwa. Protokół został zachowany dzięki wstępnemu błogosławieństwu udzielonemu przez biskupa Frantiska, który rzeczywiście wyglądał jak gracz futbolowy. Mówił z okropnym akcentem, ale pod względem gramatycznym bez zarzutu, płynnie i był uprzejmy w obejściu. Duszą tego towarzystwa był Ludovisi, szczupły, siwowłosy dandys z uśmiechem przywodzącym na myśl fauna i bogatym zasobem skandalizujących opowieści. Pozostali, wyjąwszy Paoliniego, byli typowi dla swojego gatunku, starannie ostrzyżeni, dobrze odżywieni, wymowni na każdy temat związany z pieniądzem, ujmująco cyniczni, jeśli chodzi o inne ludzkie sprawy. Paolini stanowił dla mnie zagadkę. Miał nienaganne maniery i promieniował wdziękiem, ale umysł miał zamknięty na wszelką logikę poza swoją własną, trudną — muszę to przyznać — do odparcia. Jego konikiem były ponadnarodowe spółki, wielkie koncerny, które przekraczały wszystkie granice i działały w obrębie każdej jurysdykcji, z żadną się jednak nie wiążąc.

— ...Cztery tysiące spółek dających piętnaście procent światowego produktu brutto — oto, o czym tu mówimy. Kontrolują więcej aktywów niż wiele spośród krajów, w których działają. Weźmy choćby General Motors! Dwadzieścia osiem miliardów dolarów rocznych wpływów. Royal Dutch Shell — dwanaście i pół miliarda... jaki pojedynczy rząd może zarządzać takim przedsiębiorstwem? Z pewnością nie demokratyczny. Lobby jest zbyt potężne, poziom zatrudnienia i kapitał zbyt wysoki, nie mówiąc już o zewnętrznych naciskach wywieranych poprzez kształtowanie wymiany handlowej i dyplomację... I bezustannie obrastają sadłem, jak grubas, który nie może powstrzymać się od jedzenia. Śmiejecie się ze mnie i opatrujecie etykietką faszysty, ale pokażcie mi autorytet równie silny i przebojowy jak zarząd gigantycznej spółki. De Gaulle to dostrzegł. Dostrzegają to labourzystowskie związki zawodowe i jest to argument najdobitniej przemawiający za marksizmem... Nawet Amerykanie to dostrzegli, teraz kiedy Japończycy wprowadzają w życie ich nauki, i sami budują ponadnarodowe spółki...

— Czegóż więc pan chce? — przerwał mu Ludovisi ze śmiechem. — Junty, którą można kupić łatwiej niż parlament, gdyż nie pozostałby nikt, kto zadawałby pytania? Niechże pan da pokój! Trzeba stać mocno obiema nogami na ziemi.

— Wcale nie brak mi poczucia realizmu, drogi kolego. Proszę zobaczyć, co stało się w Grecji. Jeszcze kilka lat temu trudno było wydusić skądś dolara na inwestycje. Teraz jest odrobina prawa i porządku i pieniądze napływają szerokim strumieniem. Wraca nawet kapitał wypędzony. A rząd kontroluje warunki. Jest to sytuacja o wiele lepsza niż ta, z którą my mamy do czynienia w tej chwili.

— Jedna poprawka, stary przyjacielu — wtrącił cierpko monsignore. — Pułkownicy zawiesili prawa i narzucili porządek.

— To istotne rozróżnienie — oznajmił łagodnie Bruno Manzini — ale zastanawiam się, czy w istocie jest tu jakaś różnica dla człowieka z ulicy. Mamy tyle praw, że nie jesteśmy w stanie ich egzekwować i kończy się to rządami kompromisu. Mamy tyle partii, że naród nie jest w najmniejszym stopniu reprezentowany, lecz tylko interesy frakcyjne.

Ludovisi obrzucił go szybkim, pytającym spojrzeniem. Paolini poparł go z zapalem.

— Brawo! Skoro Bruno doznał wreszcie olśnienia, być może i wy wreszcie to zrozumiecie.

— Nie jest to olśnienie — rzekł Manzini z szelmowskim uśmiechem. — Myślę, że może tu chodzić o kłęb mgły, w której kryje się dobrze wszystkim znany diabeł. Czy któryś z was wysłuchał mowy, którą wygłosił tutaj w zeszłym tygodniu generał Leporello?

— Ja — odparł Paolini. — Uznałem ją za bardzo sensowną.

¶

Miałem wrażenie, że wszyscy się z nim zgadzali, choć bez zbytniego entuzjazmu — poza Ludovisim, który wyrzucił ręce do góry i jęknął głośno:

— O Boże! Ten facet wykorzystał wszystkie slogany, jakie można znaleźć w podręczniku... „wolność to nie samowola; pragnienie ludzi, żeby stworzyć pokojowe społeczeństwo; elementy prowokatorskie; zdecydowane środki bezpieczeństwa"... O, moi kochani! Przemawiał zupełnie jak mój szwagier, który co innego mówi, a co innego myśli. Paolini, czy poznał pan osobiście tego człowieka?

— Tak. Myślę, że właśnie ktoś taki jest nam potrzebny, zdecydowany, mający dobrze poukładane w głowie, absolutnie niepr/ekupny.

— Jeszcze nie widziałem człowieka nieprzekupnego. Czy ktoś poza tym zetknął się z tym brylantem bez skazy?

Zobaczyłem, albo wydawało się, że zobaczyłem, jak Manzini daje mi znak, więc włączyłem się do rozmowy.

— Ja go znam.

Monsignorc uniósł brwi i pochylił przez stół swoje otyle ciało, żeby zadać mi pytanie.

— I jaką wyrobił pan sobie o nim opinię, panie Matucci?

— Wolałbym nie wypowiadać się o nim jako o człowieku. Powiedziałbym natomiast, że przystąpił do realizowania bardzo niebezpiecznej polityki.

— O jaką politykę chodzi?

— Panowie z pewnością sami najlepiej wiecie. Mówi się o tym w całym mieście. Jestem tutaj nowy, ale te informacje krążą po wszystkich barach. Werbuje specjalne oddziały do tłumienia zamieszek, w rodzaju francuskich barbouzes. Troskę budzi to, że chodzi o tajną operację. Wiem, skąd biorą się niektórzy spośród zwerbowanych, i to budzi jeszcze większą troskę.

— A skąd się biorą, panie Matucci?

— Siega się po znanych kryminalistów i męty społeczne.

— To bardzo poważne oskarżenie — Paolini był najwyraźniej zaszokowany-

— Wiem. Wysuwam je tutaj, na gruncie prywatnym. W najbliższy czwartek przedstawię pewną ilość stosownych dowodów samemu generałowi Leporello.

— Być może już je zna — powiedział ponurym głosem Ludovisi. — Czy pomyślał pan o tym? Wspomniał pan o barbouzes. Wspomniał pan również o brazylijskich Esquadras de la Muerte. To dobrze znany wzorzec: bierze się łobuzów prosto z ulicy i każe się im rozbijać głowy w całym majestacie prawa. Jeśli pańska informacja jest ścisła, Matucci, powiedziałbym, że czeka nas krwawy zamęt.

— Zgadzam się z panem.

— Myślę, że to oceny niezdrowe i przedwczesne. — Paolini był zbyt słodki i uprzejmy, żeby mógł mówić prawdę. — Może byśmy zmienili temat. Proszę

się nie obrażać, panie Matucci, ale nie zna pan moich kolegów tak dobrze jak ja. Jeśli będzie pan rozsiewał tego rodzaju alarmistyczne wieści, na miesiąc naruszy pan równowagę na rynku. Czy nie tak, Bruno?

— Mam nadzieję, że nie. — Manzini zachichotał niby zadowolone z siebie dziecko. — Ja sam wkraczam jutro na rynek. Anglicy wystąpili właśnie z elektroniczną spawarką, która pozwala złączyć dwie dwudziestocentymetrowe płyty ze stali jednym spawalniczym ścięciem. Zamierzam kupić licencję i sfinansować miejscową wytwórnię. Czy któryś z panów jest tym zainteresowany, czy też mam zwrócić się do Watykanu? Czy ksiądz w to wejdzie, monsignore? Jego Świątobliwość właśnie tego potrzebuje, żeby naprawić szczeliny w gmachu Kościoła.

Wszyscy roześmiali się i napięcie opadło. Kiedy przeszliśmy z dining-roomu do salonu na kawę, Ludovisi położył mi dłoń na ramieniu i pchnął mnie lekko w stronę saloniku. Był posępny i zatroskany.

— To złe wiadomości, panie Matucci. Do jakiego stopnia jest pan ich pewien?

— Całkowicie.

— Wie pan, na co to wszystko wskazuje?

— Tak.

— Skąd ma pan te informacje?

— Pracuję nie tylko dla Manziniego, ale również dla SID.

— Więc zna pan mojego szwagra?

— Tak.

— Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim? Zanim pan odpowie, muszę wyjaśnić, że nie żywię dla niego sympatii. Myślę, że jest równie przebiegły, jak niebezpieczny.

— Jako oficer w służbie czynnej nie mogę nic powiedzieć. Jako gość w pańskim klubie powiedziałbym, że zgadzam się z panem bez reszty. Jeśli chodzi o opinię publiczną, zaprzeczyłbym, że kiedykolwiek złożyłem tego rodzaju oświadczenie.

— Dziękuję. Oto moja wizytówka. Proszę zadzwonić, kiedy tylko przyda się panu moja pomoc.

— Dziękuję, ale wątpię, czy zdoła mnie pan wesprzeć w całym tym bigosie.

— Pan będzie miał otwartą głowę. Ja będę miał otwarte dla pana drzwi. D'accordo?

O jedenastej trzydzieści goście rozeszli się, ale Manzini zatrzymał mnie w pokoju karcianym na jeszcze jedną kawę. Był wyraźnie zmęczony. Miał ciemne obwódki wokół oczu, a jego cera nabrała szczególnego żółtego odcienia. Zawiódł go nawet jadowny dowcip. Kiedy zapytałem, czy poczuł się źle, wzruszył ze znużeniem ramionami.

— Ta dzisiejsza kolacja... Chciałem już wyjść i poderżnąć sobie w wannie żyły! Podsunąłeś im pod nos odbezpieczony granat i tylko dwóch miało dosyć

węchu, żeby zdać sobie z tego sprawę... Inni woleli niczego nie widzieć... Czy pomyślałeś kiedyś, przyjacielu, że jeśli kóregoś dnia zginiesz w ciemnej ulicy, będziesz umierał właśnie za takich ludzi?

— Ty też musiałeś się nad tym zastanawiać.

— O tak, wielokrotnie. Czy pamiętasz, jak mówiłem ci o wujku Freddiem? Pomyślałem o nim dzisiejszego wieczoru, kiedy wspomniałeś o tych typach, których werbuje Roditi. Także Freddie potrafił być zdeprawowany: zwykle, kiedy nie miał pieniędzy albo coś mu się nie powiodło, a to zdarzało się coraz częściej, w miarę jak się starzał. Zwykł wyłudzać pieniądze od mojej matki, a kiedy łyzy nie otwierały jej sakiewki, próbował drobnego szantażu... Właśnie dzięki temu dowiedziałem się, że wujek Pantaleone jest moim ojcem. Musiałem wtedy mieć... pomyślmy... chyba jakieś dziesięć lat. Dostałem nową zabawkę, pudełko z diabełkiem na sprężynie. Chciałem przestraszyć mamę. Wśliznąłem się do salonu, gdzie rozmawiała z wujem Freddiem, i ukryłem się za sofą. Trafiłem w sam środek gwałtownej kłótni. Freddie żądał pieniędzy. Mama stanowczo mu odmawiała. Wtedy Freddie zagroził, że roztrąbi po całym mieście o moich powiązaniach rodzinnych. Musiał być doprowadzony do rozpacz, bo przedtem zawsze okazywał mi tylko czułość. W końcu nie byłem w stanie dłużej tego wytrzymać. Wypadłem z mojej kryjówki i zacząłem ich błagać, żeby przestali się kłócić. Nie pamiętam już, co mówiłem, ale zapadło przedłużające się, dziwne milczenie, i zapamiętałem też to, jaką niepewną minę miał Freddie i że nigdy przedtem nie widziałem mamy tak rozjątrzonej i zagniewanej... Nigdy potem nie zobaczyłem Freddiego... Wiem, co się z nim stało. Umiałem już czytać. Zobaczyłem to w gazecie. Pewnej nocy wkrótce po tym wydarzeniu szedł nad rzeką, przelewając pijackie łyzy. Zaczepił go jakiś młody marynarz i zaprosił na barkę rzeczną. Związali go, zakneblowali i zbili na śmierć. Dziesięć dni później jakiś myśliwy znalazł jego ciało w sitowiu w połowie drogi do Ostii... Nie cieszył się zbyt wielkim wzięciem. Prawdę mówiąc, w ostatnich latach życia otaczała go bardzo zła reputacja. Ale miał swoje koneksje w Anglii, tak więc policja przyłożyła się do śledztwa i przedstawiła obszerny raport konsulowi brytyjskiemu. Zdaje się, że ludziom, którzy go zabili, zapłacono za tę robotę...

— Ale kto?

— Bardzo długo tego nie wiedziałem. W każdym razie nie wiedziałem, dopóki żyła moja matka, bo dopiero potem przejrzałem jej papiery i chudobę. Znalazłem sygnet Freddiego z maleńkim napisem: „In memoriam... Pantaleone”. Widzisz, mój ojciec był człowiekiem nader sumiennym i podobnie jak ja żywił upodobanie do ironii... Ma to swoje konsekwencje, Dante. Być może daje odpowiedź na pytanie, kórego mi przez grzeczność nie zadałeś. Kiedy znalazłem się na gestapo i po tygodniu przesłuchań byłem po prostu wykończony, odwiedził mnie mój brat przyrodni. Był wtedy kapitanem: bardzo szykowny, bardzo w stylu sztabu generalnego. Zaproponował dobiecie targu.

W zamian za siatkę Salamandry gestapo zwolni mnie i będę sobie żył do końca wojny w komfortowym ustroniu, a mianowicie w willi Pantaleonego we Frascati... Nie splunąłem mu w oczy, jak przystało na bohatera. Byłem na to zbyt wykończony i zmęczony. Opowiedziałem mu historię, którą przed chwilą opowiedziałem tobie. Myślałem, że podpisuję na siebie wyrok śmierci, co wtedy bardzo by mi odpowiadało... Ale mój brat był tylko w połowie tym mężczyzną, co nasz ojciec. Przekazano mnie z powrotem urzędnikom śledczym. Pracowali nade mną przez następny miesiąc. Potem pewnego dnia, bez żadnego ostrzeżenia, przeniesiono mnie do aresztu domowego. Wpakowano do zamkniętego samochodu i przewieziono do Frascati. Pielęgnowała mnie służba z willi. Mojego brata nie było, zaprzętały go jakieś sprawy służbowe. Nie mogłem opuścić domu. Zresztą byłem w okropnym stanie, nie miałem dokąd się udać i żadnych papierów. Pewnego dnia brat mnie odwiedził. Oznajmił, że postarał się o moje zwolnienie. Powiedział, dlaczego chciał spłacić dług, jaki miał wobec mnie jego ojciec! Przykro mi, ale wtedy splunąłem mu w oczy, chociaż, kiedy patrzę wstecz, myślę, że przynajmniej w połowie traktował swoje słowa poważnie. Ta właśnie połowa sprawiła, że przyszedłem na jego pogrzeb. Ta druga... No cóż, pojmujesz, co mam na myśli, kiedy mówię o motywach męczeństwa, prawda? Czasem są bardzo proste; a czasem bardzo niewyraźne...

Rankiem następnego dnia, kiedy przecierałem zaspane oczy, zadzwonił do mnie od siebie z domu Giorgione. Ze słów zasłyszanych w kantynie i z ostrożnego zasięgania informacji u Rity w dziale kartotek odkrył usytuowanie nowego obozu. Przypuszcza, że jest to jeden z obozów ćwiczebnych oddziałów przeznaczonych do walk ulicznych. Podał nazwę i współrzędne na mapie: Camerata, małe lombardzkie miasteczko w górach na północ od Bergamo, jakąś godzinę jazdy od Mediolanu. Powiedział, że znajdę to miejsce z łatwością, ale mogę mieć problemy, jeśli spróbuję dostać się do środka. Miejsce obozu jest zaklasyfikowane jako obszar szczególnego zabezpieczenia. Ma także inne informacje. Kapitan Roditi mieszka, i to dosyć wytwornie, w nowym bloku niedaleko hotelu „Europa”. Komorne jest tam wyższe, niż mógłby sobie pozwolić za kapitańską pensję. Albo więc ma prywatne dochody, albo ktoś daje mu pieniądze.

Obsypałem rozczochraną głowę Giorgione błogosławieństwami i zasiadłem zamyślony do śniadania. Po śniadaniu zadzwoniłem do biura Roditiego, żeby umówić się z nim na drinka. Jego sierżant oznajmił, że Roditi wyjechał do Turynu z generałem Leporello i wróci dopiero w czwartek po południu. O dziewiątej zadzwonił Stefanelli. Powiedziałem, że wybierzemy się na małą przejażdżkę po kraju. Przyjadę po niego pod hotel za trzydzieści minut. O dziesiątej znajdowaliśmy się już na autostradzie, pędząc na zachód w kierunku Bergamo.

Mój plan był prosty, ale ryzykowny. Jako pozostający w służbie oficer SID byłem ciągle jeszcze w posiadaniu oficjalnych dokumentów, które upoważniały mnie do wstępu na teren wszystkich wojskowych i cywilnych obiektów oraz dawały dostęp do wszystkich danych, bez względu na stopień utajnienia. Ryzyko polegało na tym, że dowodzący oficer mógł skorzystać z przysługującego mu prawa porównania moich papierów z oryginałami przed wpuszczeniem mnie na teren. Postanowiłem jednakże zostawić Steffię w Bergamo z instrukcją, żeby zatelefonował do Manziniego, jeśli zostałbym zatrzymany ponad rozsądny okres czasu. Steffi nie przejawiał specjalnego entuzjazmu.

— Myślę, Matucci, że ty po prostu oszalałeś. Jeśli zechcą skontrolować twoje dokumenty, znajdziesz się w kłopotach po same uszy.

— Wiem, Steffi, ale wróżby na dzisiaj są pomyślne. Leporcello i Roditi przebywają poza miastem. Myślę, że mogę blefować na całego.

— Jakie masz powody tej wizyty, oficjalne powody?

— Jak najlepsze. Szukam człowieka o nazwisku Marco Vitucci, podejrzanego o akcję wywrotową i morderstwo. Przeczuję, że mógł przeniknąć do organizacji, która ma bardzo delikatne zadania. Oczywiście nie znajdę Vituciego. Ale jeśli znajdę Giuseppe Balba, będzie to dla nas ogromny zysk.

— Wystarczający, żeby wystawić ci piękny nagrobek, braciszku.

— Spokojnie, Steffi. Dzień jest piękny. Za parę godzin będę z powrotem i postawię ci świetny obiad w Bergamo.

— A co niby ja mam robić przez ten czas w Bergamo?

— Możesz... możesz poczytać Tassa, możesz posłuchać Donizettiego lub nawet odtańczyć bergamasca, jeśli tylko znajdziesz dziewczynę dostatecznie starą, żeby ten taniec pamiętała.

— Matucci, jesteś istnym przewodnikiem turystycznym!

— Nie uwierzysz, Steffi, ale właśnie byłem przewodnikiem w czasach studenckich, dopóki nie uczyniłem nieprzystojnej propozycji jednej z turystek. Nawet dosyć miała ochotę skorzystać, ale mąż przyłapał nas na tym, że w Cappella Colleoni trzymaliśmy się za ręce, i w ten sposób straciłem pracę. Możesz tam się udać, chociażby ze względu na mnie.

— Mam znacznie lepszy pomysł, braciszku. Jedź prosto, aż dojedziemy do Szwajcarii. Możesz tam osiąść ze swoją dziewczyną, a ja będę sprzedawał turystom zegary z kukułką. W ten sposób obaj pożyjemy trochę dłużej.

Od Bergamo droga prowadzi pod górę przez dolinę Brembo, okrążając zbocza wzgórz lombardzkich. Prowadziłem ostrożnie, przygotowując się do kluczowego momentu wejścia na teren obozu. W Camerata przystanąłem, żeby zapytać o kierunek, i natknąłem się na pierwszą strefę zabezpieczeń. Trzy osoby, które pytałem, wiedziały, że obóz tu gdzieś jest, ale nie miały pojęcia, gdzie. W końcu musiałem skorzystać z pomocy lokalnej policji i przedstawić moje dokumenty brygadierowi, który naszkicował mi mapę na skrawku żółtego papieru. Nawet wtedy o mały włos byłbym przeoczył skręt z głównej

drogi — wąski połałdowany wawóz zamknięty na końcu palisadą, nad którą wznośiła się wieża strażnicza z reflektorem i karabinem maszynowym.

Oczywiście przy bramie byli wartownicy, dwóch krzepkich facetów, którzy zatrzymali mnie dziesięć metrów przed wjazdem i zapytali, co mnie tu sprowadza. Pokazałem legitymację i zażądałem widzenia z komendantem. Jeden z nich wziął legitymację i poszedł do telefonu. Czekałem pięć minut, po czym pokazali ręką, że mogę wjechać, i brama zamknęła się za mną.

Wewnątrz było ponuro i niegościnnie: dwa bliźniacze rzędy baraków z belek, z placem alarmowym między nimi, a obszernym terenem na tyłach, w połowie odkrytym — naturalnie tereny ćwiczebne. Zaparkowałem samochód przed biurem komendanta i wszedłem do środka. Pełniący służbę sierżant wziął moją legitymację i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Musiałem czekać następne pięć minut, zanim pojawił się w towarzystwie smukłego, okrągłogłowego majora, który wyglądał, jakby mógł z łatwością prostować podkowy i gołymi rękami przedzierać książki telefoniczne. Jego biurko to był po prostu śmietnik i on sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Pogrzebał w paru teczkach, jakby ciągle nie był pewien, co w nich jest napisane. Powitanie było pełne szacunku i skrępowania.

— Major Zenobio na pańskie rozkazy, panie pułkowniku. Przykro mi, ale nie mam zawiadomienia o pańskiej wizycie.

— I jest powód tego braku zawiadomienia.

— Ach tak?

— Generał Leporello wyjechał wcześniej rano do Turynu. Ja czekałem ciągle na informacje z Rzymu, które przysły dopiero przed dziesiątą. Natychmiast ruszyłem w drogę. Mam złożyć generałowi raport zaraz po jego powrocie. Będę u niego na kolacji jutro wieczorem. I jeśli pragnie pan to skontrolować, proszę zadzwonić natychmiast do sekretarza generała. Chciałbym jak najszybciej przejść do mojej sprawy.

Przez moment zawahał się, zerknął jeszcze raz na moją legitymację, potem oddał. Ton jego głosu był o jeden stopień mniej lodowaty.

— Nie, nie wydaje mi się to konieczne, panie pułkowniku. Pańska sprawa?...

— Na tym etapie jedynie do pańskiej i mojej wiadomości, majorze. Muszę to od razu podkreślić.

— Rozumiem.

Znowu pogrzebał w papierach, rozrzucając je jak konfetti. Dla mnie, człowieka, którego życie zależało od papierów, było to świętokradztwo.

— Szukam, majorze, pewnego człowieka. Policja szuka go też w związku z próbą zabójstwa. Chcemy go mieć, ponieważ to znany wywrotowiec, i jako pierwsi musimy z nim porozmawiać.

— I ma pan nadzieję znaleźć go tutaj, panie pułkowniku?

— Jest w tym pewna logika, która przemawia do moich ludzi. Pańska nowa zupełnie jednostka to projekt bardzo delikatny, w najwyższym stopniu zwią-

zany z polityką. Wasze metody rekrutacji są, powiedzmy to sobie, nieortodoksyjne. Mówiąc bez ogródek, zdecydowano, z wyższych względów politycznych, że będzie się przyjmować nawet przestępców, jeśli tylko można ich wyćwiczyć do pewnych szczególnych zadań. Czy nie tak?

— Tak jest.

— Następnie. Projekt jest tajny, wymagania specjalne. Ktoś pragnący zniknąć mógł zgłosić się do waszych oddziałów. Jeśli jego dossier nie robi zupełnie rozpaczliwego wrażenia, zostanie przyjęty.

— Pytanie, panie pułkowniku. Projekt jest tajny. Skąd pańscy ludzie o nim wiedzą?

— To jedna ze spraw, które mam przedyskutować z generałem jutrzejszego wieczoru. Nie dotyczy to pana, majorze, ale dotyczy innych oficerów, którzy okazali się ludźmi nie bardzo dyskretnymi... Jednakże to sprawa tajna, dopóki generał nie wyda odpowiedniego rozkazu. Muszę w każdym razie powiedzieć panu, że ten człowiek mógł dowiedzieć się o wszystkim... No więc, nie interesuje nas policyjna strona sprawy. Ale znany wyrotowiec wewnątrz tego rodzaju grupy — tylko tego brakowało! Pojmuje pan, o co mi chodzi?

— Aż nazbyt jasno, pułkowniku. Jakie jest jego nazwisko?

— Marco Vitucci.

— Rzućmy okiem na wykaz imienny.

— Dojdziemy do tego za moment. Jakie inne akta waszych ludzi przechowujecie?

— Każdy ma swoją kartę, na którą naniesione są dane personalne i opinie zespołu ćwiczącego.

— Fotografie?

— Każda karta opatrzona jest fotografią, odciskiem kciuka i spisem znaków szczególnych. Są tam także dane o dokumentach przedstawionych przez kandydata. Te same dane naniesione zostały również na dokumenty, które nosi on przy sobie obok papierów cywilnych.

— Dobrze. Spójrzmy teraz na wykaz imienny.

Trzy minuty czasu zabrało mu odnalezienie wykazu w stosie papierów poniewierających się na biurku i w szufladach. Wystarczyła minuta, żeby stwierdzić, że na liście czterystu ludzi podzielonych na dwie grupy ćwiczebne nie ma nazwiska Marco Vitucciego.

— Mamy jeszcze inny pseudonim tego człowieka. — Ostentacyjnie wodziłem kciukiem po notesie. — O, jest — Barone Tuvi. — To pozwoliło mi wylądować przy literze B. Barone nie było także; ale wpadło mi w oko nazwisko Balbo Giuseppe, i wskazałem je majorowi.

— No, no, Balbo! Oczywiście to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Ciekaw po prostu jestem, czy to jakiś krewny generała Balbo, który brał udział w marszu Duce na Rzym?

Po raz pierwszy major uśmiechnął się.

— Nie przypuszczam. Ale sprawdźmy, po prostu z ciekawości. Zabawne, gdyby to o niego chodziło, Balbo należał do pierwszego faszystowskiego kwadrumwiratu. My być może wkraczamy od nowa na te drogi... O tu.

Otworzył szufladę, wyjął kartę i podał mi. Przyjrzałem się jej bacznie. Identyczność była oczywista. To ten sam, którego spotkałem razem z Reditim w klubie „Alcybiades”. Jeśli odciski palców zgadzają się z tymi, które przechowywano w kartotece policji, będę miał wszystko, czego mi potrzeba. Podałem kartę majorowi, który rzucił ją na zaśmiecony stół, a następnie na pół zagrzebał pod wykazami imiennymi.

— Żadnego związku, przykro mi. Stary generał był z Ferrary, ten z Gaety. No, była to przyjemna fantazja. Myślę, że to wszystko, majorze. Strata czasu dla pana, rozczarowanie dla mnie. Będziemy szukać dalej. Czy mógłbym pana o coś poprosić?

— O wszystko, co pan tylko zechce, pułkowniku.

— Chciałbym napić się kawy.

— Naturalnie.

Wrzasnął na sierżanta, a kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wybiegł i słyszałem, jak krzyczy przez plac alarmowy. Wsunąłem kartę Balba do kieszeni i wyszedłem za nim.

— Proszę pana, majorze, niech pan nie zavraca sobie głowy. Pojadę już. Jeszcze raz przypominam. Ta wizyta jest ściśle tajna.

— Oczywiście, pułkowniku. Dobrej drogi.

Był zadowolony, że odjeżdżam, ale nawet nie w połowie tak zadowolony jak ja, kiedy usłyszałem, jak zatraskuje się za mną brama palisady. Znalazłszy się poza zasięgiem widoczności z wieży strażniczej, nacisnąłem gaz do końca i popędziłem z niebezpieczną szybkością do Bergamo. Zabrałem żalostnego Steffi'ego z placu w Citta Alta i pojechałem prosto w kierunku Mediolanu. Odciski palców zgadzały się z odciskami, które Steffi przywiózł z Rzymu. Wykonaliśmy cztery kopie na kserografie, a oryginał zamknęliśmy w sejfie. Następnie zadzwoniliśmy po Pietra i zamówiliśmy szampana i wykwinny posiłek, żeby uczcić pierwszy prawdziwy triumf.

Była to jedna z tych radosnych godzin, które tylko zawodowiec może rozumieć i dzielić. To jak wygrana głównego losu na loterii albo jakby najpiękniejsza dziewczyna z całej sali padła ci nagle zemdlona w ramiona. Byłem najsprytniejszym facetem na świecie, tak błyskotliwym hazardzistą jak ci, którzy stawiają cnotę swojej żony na wartość zakrytej karty. Ale — post coitum triste, post vinum capitis dolor! — o czwartej po południu, zachowując trzeźwy umysł, ale i senni, nadal nie wiedzieliśmy, co począć z dokumentem Balba. Steffi, któremu przepadła sjesta, podsumował z rozdrażnieniem sytuację:

— Ebbene! Mamy teraz dowód, który pozwoliłby wpakować Giuseppe Balba do więzienia do końca jego dni. Nie chcesz tego. Chcesz, żeby zjawił się

tutaj, w tym pokoju i śpiewał jak papużka, wyjawiając wszystko, co wie o Roditim, liście-bombie i morderstwie przy Via Sicilia. Potem chcesz, żeby zjawił się z kolei Roditi i zaśpiewał następną pieśń, tym razem o generale Leporello. A wówczas, kiedy przepiszesz już całą melodię tych piosenek, co z nimi zrobisz? Nie masz komu o tym powiedzieć, zupełnie jak rabin, który grał w golfa w szabas i udało mu się trafić piłeczką od pierwszego uderzenia. A jeśli nawet wyjawisz to, to kto ci uwierzy? A co więcej, kto w związku z tym kiwnie chociażby palcem? Matucci, braciszku, wielka drewniana głowo, musisz znaleźć odpowiedź na wszystkie te pytania!

— Na Boga, Steffi, daj mi trochę czasu!

— Nie masz czasu, braciszku. Przypuśćmy, że twój major Zenobio zauważył zniknięcie karty?

— Mam nadzieję, że nie. Ma straszny bałagan w papierach.

— Przypuśćmy, że zadzwoni do Leporella, żeby cię skontrolować?

— Stawiam na to, że nie zadzwoni.

— Stawiasz na coś, masz nadzieję! Jeśli będziesz budował na takich podstawach, szybko wszystko się zawali. I to prosto na twoją głowę.

— Wiem, wiem! Ale musimy iść krok za krokiem. Chcę wywołać zwątpienie, zamieszanie i panikę... Która godzina?

— Trzecia trzydzieści. Dlaczego pytasz?

— Jak daleko jest do Chiasso?

— Mniej niż pięćdziesiąt kilometrów. Powtarzam pytanie, dlaczego?

Złapałem słuchawkę i wykręciłem prywatny numer Bruna Manziniego.

Kiedy zgłosił się, powiedziałem, o co mi chodzi.

— ...Kurier, Bruno. Potrzebny mi jest zaraz. Musi pojechać do Chiasso i nadać parę listów. Chcę, żeby dotarły do Mediolanu w jutrzejszej poczcie. I chciałbym zobaczyć się z tobą jak najprędzej, tu, w mieszkaniu. Przykro mi, że zwracam ci głowę, ale to pilna sprawa.

Manzini mógł być sobie kapryśny, ale zawsze mogłem na nim polegać. Kurier zjawi się za piętnaście minut. On sam przyjdzie o szóstej. Steffi patrzył na mnie, jakbym był nieszkodliwym wariatem. Otworzyłem sejf, wyjąłem dokument Balba, wytarłem go starannie czystą chusteczką i położyłem na stole. Następnie zadzwoniłem po Paola i poprosiłem o przyniesienie pary czystych białych rękawiczek. W końcu Steffi nie mógł już tego znieść.

— Powiedz wreszcie, Matucci! Mam tu stać i przyglądać się, jak pracujesz niby inspektor Maigret?

— Krok pierwszy. Wykonujemy dwie nowe kopie dokumentu Balba. Tym razem bez naszych odcisków palców porozsiewanych po całej kopii. Krok drugi. Wycinamy odciski palców Balba z każdej kopii. Krok trzeci. Sporządzam dwie jednobrzmiące notatki, które dołączam do odcisków. Krok czwarty. Powyższe noty oraz odciski palców zostają nadane tak, żeby złapały wieczorną pocztę z południowej Szwajcarii.

- A co będzie w tych notach?
- Dwa nazwiska: Bandinelli, Calvi. Adres: Via Sicilia, Rzym. Oraz data ich śmierci.
- A komu zostanie to wysłane?
- Generałowi-majorowi Leporello i kapitanowi Roditiemu. Na ich prywatne adresy.
- I ile czasu zabierze im porównanie tych odcisków z kartoteką?
- Przynajmniej czterdzieści osiem godzin.
- A ile czasu, żeby skojarzyć wszystko z tobą poprzez skradzioną kartę?
- Następne dwadzieścia cztery godziny. To mieści się w granicach. My możemy być szybsi.
- I co z tego, braciszku?
- Następuje, Steffi, wspaniała scena. Myślę, że zaangażujemy Felliniego, żeby to sfilmował. Ja, Dante Alighieri Matucci, stoję samotny i dumny pośrodku Stadionu Olimpijskiego. Wszystkie miejsca zajęte. Wszyscy widzowie wyglądają zupełnie jak dyrektor. Wszyscy mają karabiny i wszyscy celują we mnie... Co ma nastąpić dalej, nie wiem już tak dokładnie.
- Ja natomiast wiem, Matucci. Wracam do domu, do mamusi.
- Och nie, Steffi. W każdym razie nie dzisiaj. O dziesiątej złożymy prywatną wizytę w apartamencie kapitana Matteo Roditego. Jak ci się to podoba?
- Jak czyn szaleńca, braciszku. Jak staromodne roztańczone szaleństwo!

Bruno Manzini przybył punktualnie o szóstej. Kiedy usłyszał o moich dzisiejszych wyczynach, nie był zachwycony. Nie wygłosił również elegii na moją cześć. Był zimny, wściekły i wymowny.

— ...Matucci, to dla mnie wstrząs! Nie brak ci talentu. Masz duże doświadczenie. Masz przynajmniej elementarne wycucie sytuacji politycznej. Ta dziecinna gra, którą prowadziłeś dzisiaj, jest szaleństwem, nieprawdopodobnym i niewybaczalnym.

— Proszę posłuchać, cavaliere!...

— Nie! Najpierw ty mnie wysłuchaj! Skompromitowałeś siebie. Skompromitowałeś mnie. Uruchomiłeś całą lawinę wydarzeń, do których nie jesteśmy dostatecznie przygotowani i do których nie zdążymy już się przygotować! Na Boga, człowieku! Czy niczego się nie nauczyłeś? To polityka! Chodzi tu, Matucci, o rewolucję, o barykady na ulicach, o strzelaninę i bomby! A ty zachowujesz się jak tępy policjant z komiksów! Zupełna rozpacz!

— Myślę, że rozpacza pan zbyt pochopnie, cavaliere.

— Tak myślisz. Pokaż mi więc pół szczypty sensu w tej całej bzdurnej eskapadzie, a umrę szczęśliwy.

— Jest tutaj. W sejfie znajduje się dokument, być może jedyny istniejący dokument, który wiąże Roditego i Leporella ze spiskiem mającym na celu

morderstwo. Zdobyłem go podejmując działanie ryzykowne i o kłopotliwych konsekwencjach, ale...

— Kłopotliwe konsekwencje! Matko Boska! Tak to nazywasz?

— ...ale, cavaliere, jeśli w moim zawodzie nie podejmuje się ryzyka, człowiek spostrzega nagle, że stoi jak błazen, a ludzie wylewają mu na głowę kubły wody. Następnie: uzgodniliśmy, że będziemy prowadzić politykę siania zwątpienia i zamieszania. Zacząłem to robić...

— Przedwcześnie. Nie nastawiliśmy jeszcze celownika!

— Ale widzimy już cel! Mamy do czynienia z czarownikami, cavaliere, z ludźmi, którzy umieją zaczarowywać dokumenty, podporządkowywać sobie świadków, uciszać polityków i kupować krzywoprzysięzców, jeśli tylko pozostawi się im dosyć czasu. Staram się, dobrze lub źle, pozbawić ich tego czasu. Jestem policjantem o ptasim mózdzku, ponieważ nie mogę pozwolić sobie na luksus bycia Lorenzem di Medici osiagającym upadek wrogów powoli, z księżęcym majestatem. Jestem oportunistą, bo muszę nim być. Pan może zasiąść sobie w Klubie Bankierskim i planować spokojnie kampanię. Ja muszę walczyć ze strzelcami wyborowymi, stawać do ulicznych bójek i jeśli je przegram, pańskie plany pozostaną świstkiem papieru!... Czyste szaleństwo! Zostawmy już to!

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie z pociemniałą twarzą, nienawistny; potem skinął powoli, jakby przytakując jakiejś swojej własnej propozycji. Następnie ją wyłożył.

— Ebbene! Ty masz rację i ja mam rację, i obaj jesteśmy tak samo w błędzie. Zacznijmy od punktu, w którym się znaleźliśmy, i zobaczmy, co można jeszcze uratować.

— Nie, cavaliere. Zobaczmy, co można zbudować.

Niechętny uśmiech wykrzywił kąciki jego ust.

— Ty naprawdę masz głowę z drewna, Matucci. Co ja mam z tobą robić?

— Przyjąć mnie takim, jakim jestem, cavaliere. Przyjąć mnie jak dopust Boży. I udzielić mi rad. Planujemy biorąc za punkt wyjścia dowody, które mamy w garści. Prowadzimy sprawę, w którą zamieszani są Balbo jako morderca, a Roditi i Leporello jako spiskowcy. Gdzie i jak wniesiemy naszą sprawę? I jak włączymy do niej dyrektora? Mówisz, że nie jesteśmy przygotowani. Wiem o tym. Potrzebuję więc pomocy przeciwko wysoko postawionemu człowiekowi, zanim tamci zdążą zewrzeć szeregi. Czy możesz mi to dać, Bruno?

— Niepokoi cię dyrektor?

— Tak. Ma doskonałą pozycję. Może wszystko, co zrobił, usprawiedliwić na gruncie stwierdzenia, że infiltrował spisek, który zagrażał bezpieczeństwu państwa. Zna tyle sekretów, że boi się go każdy, nawet własny jego minister.

— Ja się go nie boję, Dante.

— To trochę za mało. Musimy mieć dźwignię, która pozwoli podważyć jego pozycję.

— Mamy taką dźwignię, Dante. Mamy potrzebny punkt oparcia, i to punkt, którego dostarczyłeś ty sam, nic o tym nie wiedząc.

— Nie rozumiem.

— Wiem, że nie rozumiesz. I to właśnie sprawia, że jestem na ciebie zły. W ferworze swojej krucjaty, w gorączce zmieniającej się sytuacji, gubisz cały rozped. Z logika stajesz się oportunistą. Polujesz na świetliki, a zapominasz o ogniskach płonących na wzgórzach za twoimi plecami. Pamiętasz, co zdarzyło się w domku myśliwskim? Potem w Wenecji? To samo zdarzyło się teraz. Oto dlaczego jesteś taki bezbronny wobec człowieka pokroju dyrektora. Masz wszystkie talenty, które ma on, masz pewne talenty, których jemu brak, ale nie możesz, albo nie chcesz, ich zogniskować. Więc aż do chwili obecnej jesteś narzędziem w rękach innych... Przykro mi, jeśli cię uraziłem; ale mam dla ciebie tyle względów, że nie mogę znieść tego, co robisz ze sobą... Pozwól, że wyjaśnię, co mam na myśli. Kiedy po śmierci mojego brata wyszedłeś stamtąd, zostawiłeś starego służącego łkającego w kieliszek. Polecieś mu zapisywać wszystkie telefony. Robił to. Ale nie poszedłeś tam, żeby zebrać informacje. Poszedłem natomiast ja. Poszedłem, żeby zobaczyć, czego trzeba człowiekowi, który znał mojego ojca. Był przestraszony i wyjawiał, że cię okłamał. Nie widział mojego brata wracającego z Klubu Szachowego. Był pijany i spał. Skłamał, bo myślał, że będzie mu wzięte za złe, że nie zaczął alarmować. Urządzenie alarmowe było wyłączone, kiedy obudził się rano. Nie, proszę cię, nie przerywaj. Pozwól, że jeszcze przez chwilę będę wprawiał cię w zakłopotanie. W nocy po pogrzebie brata kazałem dokonać ekshumacji. Autopsja przeprowadzona została w kostnicy prywatnej kliniki. Brat wziął środki nasenne. Prawdopodobnie wziął ich sporą dawkę, ale niewystarczającą, żeby spowodować śmierć. Zabity został przez wstrzyknięcie powietrza do arterii udowej. Ślad igły był dobrze widoczny pod włosami łonowymi. Widzisz, co się stało, Dante? Współdziałałeś z dyrektorem w ukrywaniu zabójstwa. Stałeś się współwinnym morderstwa.

— Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

Przez całą minutę nie odzywał się. Miał zamglone oczy jak u ptaka, zdawało się, że nie patrzy na mnie, ale gdzieś dalej w jakieś niezmierzone dale. Siedział sztywno, ze splecionymi palcami, którymi przesuwiał po zaciśniętych wargach. Kiedy przemówił, jego głos był lodowaty, odległy, jak pierwszy chłodny powiew jesieni.

— Żeby dać ci nauczkę, Matucci. Nie ufaj nikomu. Nawet mnie. Nie wierz, że praojciec Adam nie żyje, dopóki nie zobaczysz, jak zamykają wieko trumny, i dopóki nie zobaczysz grabarzy przykrywających go ostatnią kępką darniny.

Oczywiście miał rację. Stary sukinsyn miał zawsze rację. Narody romańskie to najbardziej logiczni ludzie na świecie. Nie ufamy własnej matce, kiedy podaje nam pierś do ssania. Jedyne, w co chętnie wierzymy, to nie podlegające dowodzeniu twierdzenia o płaczących figurach Matki Boskiej, latających domach i nieomylnych papieżach.

Wizyta w mieszkaniu Roditiego zaczęła się pod dobrą wróżbą. Na szóstym piętrze odbywało się przyjęcie: hall pełen był gości w strojach wieczorowych i portier stracił już rachubę, ile osób przyszło. Wmieszani w tłum gości wjechałiśmy ze Steffim na piąte piętro i wyszliśmy na pustą klatkę schodową. Zadzwoniliśmy do mieszkania Roditiego. Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, użyłem wytrycha i otworzyłem drzwi w ciągu trzydziestu sekund. Było to proste jak łuskanie grochu.

Wnętrze mieszkania zaskoczyło nas. Spodziewałem się jakiejś dwuznacznej elegancji lub może kobiecego nieładu. Ujrzałem natomiast mieszkanie równie aseptyczne i bezosobowe jak pokój hotelowy. Modne, nowoczesne duńskie meble. Obrazy rozmieszczone z surową symetrią, wszystkie przedstawiały żołnierzy w historycznych uniformach. Był tu pokój z barem i stereofoniczny adapter z kolekcją pieśni ludowych, filmowych przebojów i amerykańskich musicali. Biurko zupełnie puste poza bibularzem z wytłaczanej skóry i również skórzanym kubkiem z długopisami i świeżo zaostrzonymi ołówkami. Nigdzie najmniejszej plamki, a tekowe meble błyszcząły woskiem i świeżą politurą.

Poszukiwania zaczęliśmy od kuchni. Znaleźliśmy chleb, masło, ser i karton mleka. W jadalni len, sztuce i zastawa dla sześciu osób. Wszystko dobrej jakości. Ale nic naprawdę wykwintnego. W barze po jednej butelce każdego rodzaju alkoholu i może z tuzin dobranych odpowiednio wód mineralnych. Książki w salonie zupełnie niewinne: powieści o tanich wydawnictw, kilka biografii. Żadnej pornografii, ani śladu pornograficznych wydawnictw lub fotografii. Szuflady biurka nie zamknięte na klucz. Zawierały papier maszynowy i kilka bloków papieru rysunkowego. Łazienka nie powiedziała nam nic szczególnego poza tym, że przybory toaletowe, jakich używał kapitan, były drogie, chociaż nie egzotyczne.

Trochę więcej znaleźliśmy w sypialni. Roditi miał dziesięć garniturów i cztery mundury, wszystkie od drogiego krawca. Szyta na miarę i opatrzone monogramem koszule. Był obficie zaopatrzony w buty, krawaty, fulary i kosztowne dodatki do ubrań. Jest człowiekiem bardzo schludnym albo ma służącą istny skarb, ponieważ jego szuflady były uporządkowane z matematyczną precyzją, a toaletka utrzymana jak wystawa sklepowa.

W prawej szufladzie toalety znajdowała się fotografia w srebrnej ramce. Był to wykonany przez zawodowego fotografa portret kobiety po trzydziestce, uderzająco podobnej do *Niewiasty w woalce* Rafaela, która znajduje się w galerii Pittich we Florencji. Te same ciemne oczy, duże i lśniące, ten sam trochę za szeroki nos jak na idealną piękność, te same usta znieruchomiałe w miękkim, zagadkowym grymasie. Nawet uczesanie było podobne: ciemne, proste sploty zaczesane nad uszami i upięte z tyłu głowy. Na fotografii znajdowała się dedykacja napisana śmiałym, krągłym charakterem pisma: „Najdroższemu Matteo, jako pamiątkę i obietnicę — Helena”.

Obok fotografii znalazłem pakiet listów, ponad trzydzieści, ściśniętych gumką. Pisane były tą samą ręką i podpisane tym samym imieniem. Czytałem je kolejno i podawałem Steffiemu. Były to listy miłosne, liryczne, czułe, ale powściągliwe w opisie nocnych i dziennych tajemnic namiętności. Przeczytałem w moim życiu sporo listów, ale te wzruszyły mnie głęboko i nagle poczułem wstyd, że naruszyłem intymne sprawy nie znanej mi kobiety. Listy nie były datowane. Nie było też na nich adresu. Z tekstów i aluzji wynikało jasno, że były pisane w okresie wielu lat, a ostatni nie dalej jak tydzień temu. Helena była mężatką, ale wyszła za mąż nieszczęśliwie za człowieka starszego od siebie. Roditi, bez względu na swoje wady lub cnoty, był widocznie namiętnym i czułym kochankiem. W listach nie było żadnych wyrzutów, jedynie tęsknota, wdzięczność i żywa, zmysłowa poezja. Nawet stary Steffi był poruszony. Oddał mi ostatni list i powiedział ponuro:

- Ech, Matucci! Gdyby któryś z nas potrafił tak rozbudzić jakąś kobietę...
- To wszystko jest bez sensu, Steffi. Facet tego rodzaju co Roditi...
- Ma jednak sens dla niej, braciszku, najpiękniejszy sens na całym świecie.

— Taki finocchio! Nigdy!

— Posłuchaj, Matucci. Może mylisz się od samego początku. Widziałeś go w „Alcybiadesie”. Słyszałeś — zwróć uwagę, tylko słyszałeś — że ktoś podobny do niego kręci się w „Pavone”. Giorgione powiedział, że facet interesuje się kulturą fizyczną. To wszystko. Reszta to wyobrażenia i wnioski. Czy to mieszkanie pachnie pederastą? Według mnie, nie. Czy to, co pisze ta kobieta, wygląda fałszywie? Dla mnie nie. Być może powinieneś przemyśleć od nowa tego faceta... Podaj na chwilę fotografię.

Otworzył klamerkę po odwrotnej stronie ramki i wysunął fotografię. Z tyłu znajdował się adres fotografa oraz numer kliszy: A. Donati, Bolonia, 673 125. Steffi zanotował te dane i włożył z powrotem fotografię do ramki.

— Jutro, Matucci, przejadę się do Bolonii i odnajdę ten adres, dobrze?

— Dobrze, Steffi... Ale poczekaj chwilę. Jest w tym wszystkim coś dziwnego.

— Co?

— Obejrzelśmy połowę domu, połowę człowieka. To wszystko jest niekompletne, jakby nie zdarzyło się tu jeszcze nic poważnego. To miejsce jest neutralne jak sala teatralna.

— Ale jakkolwiek by na to patrzeć, Roditi nie jest człowiekiem neutralnym.

— No właśnie.

— No to weź jeden list ze środka pakietu i bierzmy nogi za pas. Czuję się jak zbrodniarz.

— I zupełnie słusznie, mój Steffi. Ale jutro podasz mi nazwisko tej pani, a ja przypnę ci na piersi medal.

Zostawiliśmy mieszkanie dokładnie w takim stanie, w jakim je zastaliśmy, i zjechaliśmy na dół, do hallu, niewinni jak dzieci. Portier zamknął się w swojej klatce i patrzył na telewizję. Moglibyśmy przeciągać skrzwawione zwłoki po kararyjskich marmurach, a on nawet by nie mrugnął.

Ciągle było zaledwie kilka minut po jedenastej. W powietrzu unosiły się balsamiczne zapachy, a na ulicach panowało ożywienie: tłumy przechodniów i duży ruch samochodowy. Steffi czuł się zmęczony, więc odwiozłem go do hotelu. Ja sam byłem zbyt wytrącony z równowagi, żeby zasnąć. Bruno Manzini dał mi srogą nauczkę. W głowie miałem zamęt. Zbyt pośpiesznie wydawałem sądy. Moje działania były pochopne i niebezpieczne. Dyrektor ocenił mnie już dawno temu i bez trudu uczynił ze mnie aktora swoich sardonicznych dramatów. Nawet Liii zdaje sobie sprawę z mojej słabości i nie ma zamiaru wiązać się ze mną, dopóki nie przewycięzę tej słabości — jeśli w ogóle kiedyś mi się uda to osiągnąć.

Perspektywa samotnego wieczoru wydawała mi się niezbyt zachęcająca, więc pojechałem do Duca di Gallodoro, gdzie przynajmniej będę mógł podzielić się z kimś moją samotnością i mieć pod nią podkład muzyczny.

Dali mi stolik w mrocznym kącie. Zamówiłem drinka i siedziałem patrząc, jak tancerze szurają nogami, a pijący wstawiają się przy barze. Przeszły jakieś dziewczyny kierując w moją stronę pełne nadziei uśmiechy, ale skinąłem, żeby dały sobie spokój. Byłem zbyt markotny, żeby znieść ich nieuniknioną paplaninę i stałe pragnienie marnego szampana. Byłem tam już ze dwadzieścia minut, kiedy weszło dwóch mężczyzn i usiadło o trzy stoliki dalej po mojej prawej stronie. Jednym był wielki, mocny facet o pokrytej gruzłami, obitej twarzy boksera, drugim niski szatyn, elegancki, o szpicłowskich oczach i szerokim, jaśniejącym uśmiechu.

Tego małego znałem. Zнали go w korpusie wszyscy, przynajmniej z nazwiska i reputacji. Nazywali go Chirurgiem, gdyż, jak twierdzili, gotów był wydobyć mózg z żywego człowieka i przeprowadzić sekcję, byleby zdobyć ostatnią okruszynę informacji. Mieli nawet o nim przysłowie: lepiej znaleźć się w rękę Boga niż w szponach Chirurga! Ten podejrzany, który wyskoczył albo został wypchnięty przez okno, powierzony został właśnie jego pilnej pieczy. Olbrzym był najwyraźniej gorylem — i zapewne asystentem przy rzeźnickiej robocie. Cofnąłem się jeszcze głębiej w cień, ale i tak dostrzegł mnie, uklonił się i musiałem przyjąć do wiadomości jego obecność.

Chwilę później orkiestra umilkła i tańczący wrócili do swoich stolików. Na środku parkietu ustawiono mikrofon i mistrz ceremonii zawiadomił o przybyciu wybitnej i przez wszystkich kochanej Patti Pavese, która zaraz nam coś zaśpiewa. Następnie wszystkie światła zgasły i na pięć sekund zapanowały ciemności, a potem plama światła zabłysła na samym środku parkietu, ukazując piosenkarkę w całym splendorze siatek i cekinów. Lepiej się prezentowała, niż śpiewała, ale spodobała się słuchaczom i dostała całkiem przyzwoite brawa.

Kiedy zaś wystąpiła ze swoim popisowym numerem, *U na Manata d'Amore*, obecni wpadli w entuzjazm i musiała dwukrotnie bisować, przy czym za ostatnim razem sala podjęła chórem melodię.

Kiedy światło znowu się zapaliło, spojrzałem w kierunku Chirurga. Leżał bezwładnie na stoliku w kałuży rozlanego napoju. Jego goryl leżał bokiem na kanapce. Obaj zostali zabici strzałem w głowę z małokalibrowego pistoletu. Rzuciłem na stolik kilka banknotów i ruszyłem w stronę wyjścia. Byłem w połowie drogi, kiedy usłyszałem krzyk jakiejś kobiety i całą wrzawę, jaka zaraz nastąpiła.

Zabójstwo Chirurga znalazło się na pierwszych stronach porannych gazet, a również zagraniczne agencje przyrządziły z tego danie główne. Policja ogłosiła pościg za mordercą po całym kraju i zaapelowała do społeczeństwa o informacje, a zwłaszcza zwróciła się do wszystkich, którzy opuścili Duca di Gallodoro przed przybyciem policji.

Manzini, który złapał mnie telefonicznie przy śniadaniu i zaprosił na objazd swoich mediolańskich fabryk, był ponury i bez werwy.

— ...Bez wątplenia tego rodzaju facet lepszy jest martwy niż żywy, ale znajdzie się pięćdziesięciu takich, co chętnie zajmą jego miejsce. Tak więc niczego w ten sposób nie załatwiono. Poszczególne odłamy coraz bardziej się polaryzują. Tyrani wydają się coraz bardziej pociągający przestraszonym i przygnębnym ludziom. Tylko spójrz, Dante. Spójrz i posłuchaj! Zauważ, jakie panuje napięcie, jaki podskórny niepokój, jaka podejrzliwość. Zobaczysz, jak tworzą się ugrupowania robotników, ostrożnie nastawione do siebie nawzajem, każde pilnujące czujnie, by nie przeniknął do niego jakiś szpicel albo prowokator. To dobrzy ludzie, Dante. Mam mniej kłopotów z robotnikami niż inni, bo podpisujemy z nimi rozsądne umowy, których dotrzymujemy. Nie otacza mnie nienawiść jako Androne, myślę nawet, że cieszę się szacunkiem. Ale jako człowiek jestem równie odległy jak Księżyc. Stanowię wcielenie władzy. Utożsamiają mnie ze wszystkimi nadużyciami władzy w całym kraju. Miałem rano rozmowę telefoniczną z Rzymem. Rząd rozważa nowe zarządzenia, które dadzą policji jeszcze większe uprawnienia w zakresie ścigania i zatrzymywania. Mówi się o dziewięćdziesięciodwugodzinnym zatrzymaniu w areszcie w przypadku byle podejrzenia... Areszt prewencyjny! To czyste szaleństwo! To cofa nas o czterdzieści lat. Twój Chirurg to symbol terroru, jaki staje się konieczny dla kontrolowania wzburzonych mas. W dawnych czasach chodziłby w masce i nosił katowski topór. Ja też nie jestem tu bez winy. Mam strażników przy bramach i wprowadzam detektywów, żeby powstrzymać drobne kradzieże. Wybacz, ale jestem dzisiaj w fatalnym nastroju. Zjemy lunch z menadżerami, a potem pokażę ci coś odrobinę radośniejszego.

Wyjechaliśmy dziesięć mil za miasto, w stronę Como, i skręciliśmy z głównej szosy na teren prywatnego parku, gdzie dwadzieścia nowych pawilonów skupiło się wokół centralnego budynku, który wyglądał jak siedziba klubu w otoczeniu trawników i kwietników. Manzini wytłumaczył mi to z ironią, jakby się od wszystkiego odżegnywał:

— ...Ustępstwo wobec mojego pirackiego sumienia, Dante. Jedną z tych rzeczy, które zapewnią mi, taką przynajmniej mam nadzieję, zawieszenie potępienia. To dom dla dzieci mongoloidalnych, którym rodzice nie są w stanie zapewnić należytej opieki. Jak wiesz, nie żyją długo. Jeśli na przykład zostaną poddane za dużemu stresowi w staromodnej instytucji, niektóre mogą stać się agresywne i antyspołeczne. Tak więc staraliśmy się stworzyć w tym miejscu atmosferę rodzinną. W każdym takim domu jest sześcioro do dziesięciorga dzieci pod opieką jednego małżeństwa. W budynku centralnym znajdują się sale szkolne, klinika, sala rekreacyjna i mieszkania pracowników. Przez cały czas eksperymentujemy i to miejsce stało się wzorem dla podobnych instytucji porzucanych po całych Włoszech. W tym kraju zawsze Kościół był źródłem miłosierdzia, ale zbyt wiele spośród dawnych zakonów męskich i żeńskich popadło w sklerozę i nie nadało za duchem czasów. Jeśli chodzi o instytucje państwowe, szkoda słów. Widziałem, przyjacielu, sierocińce, gdzie dzieci nie umieją mówić przed siódmym albo ósmym rokiem życia, gdyż nikt nigdy z nimi nie rozmawia... Tutaj uczymy i sami zdobywamy wiedzę, i co tydzień odkrywamy jakąś małą rewelację, która daje nam świadomość, że nasze wysiłki nie idą na marne.

Dla mnie największą rewelacją był sam ten starzec. Pracownicy uwielbiali go, zarówno mężczyźni, jak kobiety. Każdy miał mu coś szczególnego do zademonstrowania: pomysł terapii, jakiś nowy element wyposażenia, kartę posiłków, zabawę, która szczególnie wciąga ich podopiecznych. Wśród dzieci był jak szczęśliwy dziadek. Głaskał je, całował, siadał na podłodze i bawił się ich klockami i modelami. Rysował zabawne rysunki na tablicy i nawet wystukał na pianinie jakąś melodię. Posadził sobie na ramionach szkraba i obnosił go dokoła, podczas gdy pół tuzina innych czepiało się poły jego płaszcza, żeby zwrócić na siebie uwagę. W chórze powitań i pożegnań nie było nic z góry przygotowanego. Chodził to tu, to tam niby patriarcha kruchej rodziny, która bez niego pozostałaby rozproszona i zapomniana. Najdziwniejsze było to, że czuł potrzebę usprawiedliwienia się, i to akurat przede mną!

— ...W Rzymie, Dante, jest człowiek, ksiądz, który zajmuje się wyłącznie potworkami. Dosłownie. Mężczyźni ciągle płodzą, a kobiety wydają na świat potworki o jednym oku, trzech rękach, połowie mózgu i z dwoma sercami. Niektóre z tych istot nie umierają. Bóg jeden wie, dlaczego to się zdarza, ale On nigdy tego nie wyjaśnia, chociaż ja uważam, że powinien, jeśli chce, byśmy wierzyli w miłosierdzie i miłość, i całą resztę! Otóż ten ksiądz powiedział mi kiedyś, że może jest jedynym człowiekiem na świecie mogącym wiarygodnie

potwierdzić cuda. Musisz wiedzieć, Dante, że istoty, o których mówię, to naprawdę podludzie, że znajdują się poza rozumem, poza wyobraźnią, nawet poza współczuciem. Ale ksiądz powiedział mi, że czasem, w najdziwniejszych momentach potrafi wyczuć, zobaczyć, usłyszeć odpowiedź, która wstrząsa fundamentami jego rozumu. Te rośliny, te potworne nicości wiedzą! Wiedzą...! Na jak długo i jak wiele? No cóż, nie da się tego powiedzieć, ale na błysk chwili następuje jakieś objawienie na górze Tabor. Moja praca jest znacznie łatwiejsza niż jego. Kosztuje mnie tylko pieniądze. Reszta to czysta radość. Wracam do mrowiska odmieniony, choćby tylko trochę. Wiem, że życie to nie tylko krwawa wendeta i biada pokonanemu. Tajemnica tkwi w tym, że ciągle musimy walczyć, by utrzymać choćby odrobinę miejsca na miłość. Gdybyśmy zrezygnowali z walki, oni spaliliby potworki, wysterylizowali te moje dzieci i oddali bestiom tego świata z przeznaczeniem na eksperymenty anatomiczne... Dzisiaj spotykasz się z Leporellem?

— Tak.

— Boisz się?

— Trochę. Jeśli uchyli drzwi, będę musiał przez nie przejść, mimo że nie wiem, co znajduje się po drugiej stronie. Możesz nie aprobować tego, co robie.

— Czy zależy ci na tym, żebym aprobował?

— Tak, zależy.

— Ostrzeżenie, Dante Alighieri. Zapomnij o tym, coś widział dzisiaj. Zapomnij do spokojniejszych czasów. Wracamy do dżungli. Nie możesz pozwolić sobie na złudzenia.

— Na jakie złudzenia, Bruno?

— Że Salamandra wszystko przeżyje. To mit, piękna legenda, jak święty Graal i złote jabłko Hesperyd. Ostrzeżono mnie, Dante. Mam dwudzielne zwięzienie i choroba zabije mnie, raczej wcześniej niż później. Jeśli umrę, zanim się to wszystko skończy, zostaniesz sam. I co wtedy?

— Czy to kolejny test, Bruno?

— Nie, to tylko zwykłe pytanie.

— Odpowiedź pierwsza: po urlopie wracam do SID jako posuszny sługa. Odpowiedź druga: przyjmuję robotę, którą Leporello zaproponuje mi podczas dzisiejszej kolacji.

— Odpowiedź trzecia?

— Emigruję i żyję długo i szczęśliwie wydobywając w Australii boksyty.

— Czy to wszystko?

— Nie. Jest jeszcze jedna możliwość. Uwzględnij mnie w swoim testamencie. Zostaw mi plakietkę, z której odbijasz swoje karty. Zajmę się biznesem jako Salamandra. Kto wie? Może napiszę nową legendę, zanim dźwignę się z popiołów?

Był to zły żart, ale roześmiał się. Ja też się roześmiałem, bo stanął mi przed oczyma zdumiewający obraz Dantego Alighieriego Matucci usadowionego na

kupie gnoju, trzepoczącego skrzydłami i piejącego uragliwie pod adresem książąt, tronów, zwierzchników i wszystkich mrocznych sił świetlistego świata łacińskiego.

Wiele wysiłku umysłowego włożyłem, żeby znaleźć najwłaściwszy strój na kolację u Leporella. Garnitur powinien być stonowany, ale nie zanadto, żebym nie wyglądał jak urzędnik z nieczystym sumieniem, który przyszedł na kolację do dyrektora banku. Modny? Tak. Panie lubią mężczyzn, którzy nie są bezbarwni, a generał nie zechce też kolejnej szarej myszki wśród swoich ludzi. Biała batystowa koszula, złote spinki stanowiące aluzję do zasobności portfela. Generał powinien wiedzieć, od jakiego punktu ma zacząć licytację. To wszystko składa się na to, co we Włoszech określa się słowem „figura”. Duchowość to coś innego. Kobieta dzieli ją ze swoim spowiednikiem. My, mężczyźni, odślaniamy ją przed naszymi przyjaciółmi albo — jeśli tylko udzielono nam w naszym posuniętym wieku łaski i dość czasu — Bogu, który do tej chwili może stracić zainteresowanie dla takich błahostek.

Samochód był wypucowany; zadbał o to Piętro. Żadnej mgiełki na niklu, ani pyłku w środku. Zobaczyłem kosz kwiatów dla gospodyni i butelkę brandy dla gospodarza, aby w ten sposób uhonorować moje pierwsze wkroczenie do ich domu. Jeśli mój współbiednik okaże się chętny, w lodówce mrozi się już szampan, kawa stoi na kuchni, a pełna słodczy muzyka wypełni mieszkanie za dotknięciem guzika. W gruncie rzeczy — poza spustoszeniami dokonanymi przez czas i wiek średni — „figura” nie była najgorsza. Piętro zdmuchnął mi ostatni pyłek z kłapy i wypuścił mnie w ciemności wieczorne.

Prowadziłem samochód ostrożnie, bo na każdym skrzyżowaniu była policja, a w strategicznych punktach stały samochody pełne karabinierów. Zamordowanie Chirurga to bynajmniej nie drobnostka w tym mieście zamieszkałym przez półtora miliona ludzi szamoczących się pod podwójną groźbą przemocy i represji. Zatrzymano mnie dwukrotnie, a po raz trzeci przed bramą willi Leporella, gdzie dwaj karabinierzy sprawdzili moje papiery, dali znak, żebym przejechał, i zamknęli za mną bramę. Leporello najwyraźniej bardzo poważnie traktował siebie i swoją pracę. Przed domem było jeszcze dwóch cywili. Jeden otworzył przede mną drzwiczki samochodu i bez szwanku doprowadził do frontowych drzwi, gdzie przejęła mnie pokojówka i zaprowadziła do salonu.

Leporello był sam. Nawet w ubraniu cywilnym robił wrażenie: wysoki i ceremonialny aż do sztywności. Jednak powitanie było ciepłe, uścisk dłoni mocny i życzliwy. Przeprosił za damy, które plotkują sobie na górze. Wkrótce do nas zejdą. Lokaj zaproponował whisky i szampana. Wznieśliśmy toasty. Leporello wspominał żartem o strażnikach i ochronie. Oznajmiłem mu, że uważam to za rozsądną i konieczną ostrożność. Zapytałem go o śledztwo w sprawie zamordowania Chirurga. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

— Sam pan wie, pułkowniku, jak to jest. Morderstwa dokonano w zatłoczonym nocnym lokalu, kiedy uwaga gości skupiła się na popularnej wykonawczyni. Prawie cała sala pogrążona była w mroku. Mordercy użyli pistoletów z tłumikiem, mały kaliber, niewielka prędkość wylotowa. Od czego tu zacząć?

Nie szczędziłem współczucia z powodu jego kłopotów. Gorąco pragnąłem podsunąć jakieś konstruktywne propozycje. Okazałem zadowolenie, że jestem na urlopie, a więc nie ciąży na mnie żadna odpowiedzialność. Uśmiechnął się słabo i oświadczył, że musimy to przedyskutować nad brandy. Potem zeszły damy — i poczułem, jakby dach walił mi się na głowę. Kobieta z fotografii u Roditego była żona generała Leporello.

Wyjąkałem coś na powitanie i pochyliłem się nad jej dłonią, ogarnięty paniką i zakłopotaniem. Patrzeć na upadek kobiety, kiedy nie ma się żadnych wątpliwości co do tego, że sama czyni z tego widowisko przeznaczone właśnie dla ciebie — to jedno. Ale patrzeć jej w oczy, kiedy z paczki listów miłosnych poznałeś wszystkie jej sekrety — to drugie. Czujesz podły, wstydlivy triumf podglądacza i zastanawiasz się, czy ona nie wyczytała go z twojej twarzy. Masz poczucie winy, które każe ci jej unikać ze strachu, że jakieś niebaczne słowo mogłoby objawić twoją sekretną wiedzę.

Na szczęście moja sąsiadka przy stole stanowiła właściwe w tym momencie odwrócenie uwagi. Laura Balestra była przyjemną blondynką z dużymi oczami, które świetnie pasowały do sypialni, uśmiechem małej dziewczynki i talentem do mówienia o wszystkim i niczym. Podobają jej się dobrze ubrani mężczyźni. Nienawidzi sztywnych żołnierzy. Ma wujka w Boliwii, który wydobywa szmaragdy i obdarza nimi kochanki w sześciu rozmaitych krajach. Ona sama wróciła właśnie z Austrii, gdzie prawie, ale nie całkowicie, zakochała się w instruktorskim narciarskim. Czy podoba mi się suknia Heleny i czyż willa generała nie jest przepiękna? I nie może sobie wyobrazić, że ktoś mógłby chcieć mieszkać w Mediolanie. Ona znacznie bardziej lubi Florencję, ale mama choruje, ona więc musi pełnić rolę damy do towarzystwa przy ojcu, który korzysta z drugiej młodości w dosyć kłopotliwy sposób... I kochanie, och, kochanie, przecież ona flirtowała, prawda?

Flirtowała, ale byłem tak przepełniony wdzięcznością, że zapragnąłem ją pocałować i miałem zresztą zamiar dokonać tego trochę później. Potem jednak odwróciła się w stronę Leporella i pozostawiła mnie na wyboistej drodze rozmowy z panią od miłosnych listów.

Muszę to powiedzieć od razu, żeby już do tej sprawy nie wracać: to piękna kobieta. W tej samej chwili, kiedy na nią spojrzałem, obudził się we mnie Adam. Fotograf trochę jej pochlebił, bo uchwycił w momencie odprężenia i zadowolenia. Zastanawiałem się, jak ten stary ramol Leporello wykombinował na żonę taką kobietę. Ona z kolei zastanawiała się nad moją osobą. Jej pierwsze pytanie było prowokacją.

— Jest pan starszy, niż sobie wyobrażałam, pułkowniku.

- Staram się, jak mogę, żeby to ukryć, signora.
- Nie to miałam na myśli. Mąż lubi otaczać się bardzo młodymi oficerami.
- Ach tak? Znam tylko jednego z podwładnych generała, kapitana Roditi.
- Zna go pan dobrze?
- Właściwie nie mogę powiedzieć, że znam. Spotkaliśmy się trzy razy i mieliśmy sobie bardzo mało do powiedzenia.
- To dosyć wyjątkowy człowiek. Pracuje z moim mężem od siedmiu lat.
- Czy jest pan żonaty, pułkowniku?
- Nie.
- Nie zainteresowany małżeństwem?
- Powątpiewam. To znaczy, powątpiewam w sens małżeństwa.
- Mąż mówił, że zaproponował panu pracę w swoim sztabie.
- Tak.
- Nie podoba się panu ten pomysł?
- Mam pewne zastrzeżenia. Omówię je z generałem.
- Jest pan bardzo taktowny.
- A pani jest bardzo piękna, signora. Czy zna pani *Niewiastę w woalce*?
- Przykro mi, ale nie. Czy powinnam znać?
- Namalował ją Rafael. Znajduje się u Pittich. Jest pani jej żywym odbiciem. Nawet jeśli chodzi o uczesanie.
- Dziękuję za komplement.
- Jestem przekonany, że zbiera ich pani wiele od tych wszystkich dziarskich młodych oficerów.
- Bardzo niewiele, pułkowniku. Jestem szacowną mężatką z dwojgiem dzieci.
- Chłopcy czy dziewczynki?
- Dziewczynki bliźniaczki. Będą miały w sierpniu pięć lat.
- Dzieci lata. To miłe.
- Lata czy zimy, jaka to różnica?
- Jest przecież przysłowie mówiące: wiosenna miłość najgorętsza, ale letnia najśłodsza.
- Nie słyszałam nigdy tego przysłowia. Czy zgadza się ono z pańskimi doświadczeniami?
- Tak. Przypuszczam, że tak.
- Musi mi pan kiedyś o tym opowiedzieć.
- Będę zachwycony; ale nigdy nie wymieniam nazwisk i nie piszę listów.
- Jest pan bardzo szarmancki i bardzo dyskretny.
- W mojej pracy trzeba być dyskretnym.
- Ach tak, pan ma coś wspólnego z wywiadem, prawda?
- Tak jest.
- Lubi pan swoją pracę?
- Nie zawsze. Zbyt szybko pozbawia człowieka złudzeń.

- Czy jeszcze jakieś złudzenia panu zostały, pułkowniku?
- Jeszcze trochę... a pani?
- Proszę zapytać o to kiedy indziej.
- Zapytam, obiecuję.

W tym momencie zapowiedziano kolację, tak więc nie było nadziei na rozwinięcie tego gambitu. Ale jeśli odczytałem prawidłowo myśli tej pani, gra ona w starą grę „dokucz mężowi”, i to gra brawurowo. Z drugiej strony Leporello jest nienagannie uprzejmy, chociaż niezbyt rozmowny i niezbyt serdeczny. Jak na człowieka, który zwykle jest szorstki i przyzwyczajony do rozkazywania, w stosunku do żony przejawia nieoczekiwane dużo względów. Miało się wrażenie, że przyzwyczał się unikać sprzeczek i najdrobniejszych nieporozumień. Jakby się jej bał, a ona, wiedząc o tym, gotowa była doprowadzić go do granic wytrzymałości. Przy stole rozmowa z początku skupiła się na mojej osobie; Leporello przekonywał i obsypywał komplementami. Gwałtownie pragnie mieć mnie w swoim sztabie. Człowiek z moim wykształceniem i moim doświadczeniem jest bardzo cenny. Ma nadzieję, że jeśli jego argumenty nie będą dosyć przekonujące, być może przekonają mnie kobiety. Laura Bales-tra brała stronę generała, była kapryśna i niekonsekwentna, Helena Leporello grała własną grę, pochlebiając mi i oczerniając męża na dziesięć subtelnych sposobów. Skończyliśmy w ten sposób pastę i byłem już zmęczony komedią, jaką odgrywali. Zacząłem działać na własny rachunek.

— A propos, wie pan, panie generale, że ktoś próbował mnie zabić w Wenecji?

Był bardzo dobrym aktorem. Zakrzusił się winem, a kiedy odstawiał kieliszek, rozlał resztę na obrus. Kobiety były wstrząśnięte i podniecone. Leporello uciszył je jednym gestem i poprosił mnie o podanie dokładnego przebiegu wypadków. Zbyłem go.

— Byłem właśnie na kolacji z dyrektorem i z cavaliere Manzinim. Zdarzyło się to po drodze do baru Harry'ego, gdzie miałem spotkać się z dziewczyną. Czyhało na mnie trzech mężczyzn, którzy starali się mnie otoczyć. Strzeliłem kilka razy. Uciekli.

- Oczywiście opowiedział pan wszystko dyrektorowi?
- Tak... Powiedział, że każe to zbadać i da mi znać.
- Ale jeszcze nic panu nie przekazał?
- Jeszcze nie.

— To mnie martwi, pułkowniku. Zdaje się, że tego rodzaju napady stają się epidemią. Czy słyszał pan, co się stało zeszłego wieczoru w Mediolanie?

— Byłem tam, panie generale.

Przestał się zgrywać. Przyglądał mi się swoimi rybimi oczami. Wyjaśniłem wszystko z wyszukaną dyskrecją.

— Nie znajdzie pan mojego nazwiska w swoich raportach, gdyż wyślizgnąłem się, zanim wybuchła panika. Wolałem unikać kłopotliwych pytań. Siedziałem trzy stoliki od tego miejsca.

— I niczego pan nie widział?

— Tylko ciała, kiedy zapaliło się światło. Była to najwyraźniej robota zawodowców. Doszedłem do wniosku, że zwykle przesłuchania nie zaprowadziłyby mnie daleko. Ja sam niezbyt bym się kwapił do zbytowego naciskania w tej sprawie.

— To osobliwe stwierdzenie, pułkowniku.

— Och nie, panie generale. Kiedy przyjrzymy się uważniej, zobaczymy, że skorzystały na tym obie strony. Lewica ma swoją ofiarę. Pan pozbył się kompromitującego człowieka.

Helena Leporello szybko dostrzegła, w czym rzecz, i postanowiła wykorzystać to przeciwko nam obu.

— To brzmi jak dwuznaczna propozycja, pułkowniku.

— Wcale nie. To tylko stwierdzenie faktu, chyba że chce pani powiedzieć, że pani mąż pochwalał sadyzm podczas przesłuchań policyjnych. Przyznaję jednak, że jest to jedna z tych rzeczy, których nie należy rozgłaszać po ulicach.

Przy tych słowach Leporello rozjaśnił twarz i energicznie potwierdził.

— Bardzo słusznie, Matucci... Bardzo słusznie. W tych czasach nasz wizerunek w oczach opinii publicznej ma ogromne znaczenie.

— A co pan sądzi o wizerunku, pułkowniku? — Helena Leporello była bardzo wytrwałym przeciwnikiem. — Ja mam wrażenie, że ostatnio nieco zmatowiał.

— Pod pewnymi względami, owszem. Z drugiej strony pani mąż cieszy się coraz większym szacunkiem.

— A to z jakiego powodu, pułkowniku?

— Stanowcza polityka, zdecydowane działanie... Byłem przedwczoraj w Klubie Bankierskim. Pańskie przemówienie o porządku i postępie wywołało wielkie wrażenie, panie generale. Słyszałem również inne pogłoski. Program, który pan przedstawił, spotkał się z wielkim poparciem wśród społeczeństwa. Te oddziały do walk ulicznych.

— Gdzie pan o nich słyszał, pułkowniku?

— Mówi się o tym w każdym barze i klubie w całym mieście, panie generale.

— Miał to być tajny program.

— Zapewniam pana, że już nim nie jest.

— Czy może pan wymienić miejsca, gdzie pan słyszał te pogłoski?

— Naturalnie. Duca di Gallodoro, Hilton Bar, klub „Alcybiades”...

Wspomnienie o „Alcybiadesie” wywołało rozmaite reakcje. Helena zachowała obojętny wyraz twarzy. Generał zainteresował się nagle babeczką z truskawkami. Laura Balestra zapytała bezczelnie:

— Klub „Alcybiades”? A co pan tam robił, pułkowniku?

— Po prostu rozglądałem się.

— Czy znalazł pan to, czego pan tam szukał?

— Tak, rzeczywiście. Znalazłem pewnego mężczyznę, na którego polowałem od tygodni.

— Nie sądzę, żeby znalazł pan mężczyznę w promieniu kilometra od tego miejsca.

— A jakże! Przecież byłem tam ja. Był też kapitan Roditi...

— Matteo?

To pytanie zadała Helena, a zwróciła się nie do mnie, lecz do Leporella, który uśmiechnął się do niej, jakby po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru odniósł rzeczywiste zwycięstwo.

— Nie pytaj mnie, kochanie. Mnie tam nie było... Teraz, jeśli panie nie mają nic przeciwko temu, kawę wypiję z pułkownikiem w bibliotece. Wrócimy, jak tylko omówimy nasze sprawy.

Kiedy usiedliśmy i znaleźliśmy się w cztery oczy, jego zachowanie zmieniło się w sposób dramatyczny. Znowu był w każdym calu żołnierzem: zwięzłym, stanowczym, dogmatycznym, jakby przemawiał podczas spotkania ze swoimi podwładnymi.

— Matucci, nadeszła dla nas obu pora szczerości.

— Witam ją z radością, panie generale.

— Pański dyrektor uważa, że jest pan intrygantem. Ja myślę, że my obaj możemy dojść do porozumienia. Dlaczego waha się pan przyłączyć do mnie?

— Na początek dwa powody: chcę wykorzystać urlop, chcę spróbować sił w pracy cywilnej.

— U Bruna Manziniego?

— Tak.

— To stary łajdak — i to niebezpieczny.

— Niebezpieczny?

— Jest groźnym przeciwnikiem. Wiele osób doprowadził szantażem do samobójstwa. Zanim pan wyjdzie, dam panu kopie dwóch teczek. Chciałbym, żeby przestudiował je pan uważnie i zwrócił mi. Nic więcej nie powiem. Sam pan wyciągnie wnioski.

— Jest pan, jak się zdaje, pewny, że będą pokrywać się z pańskimi.

— Zobaczymy... jeśli zdecyduje się pan pracować u mnie, będzie pan mógł wykorzystać do końca swój urlop.

— To bardzo uczciwe postawienie sprawy.

— Teraz jeśli chodzi o samą pracę. Nie ma jeszcze personelu, nie ma prawnego tytułu, nie ma schematu organizacyjnego. Będzie pan musiał zorganizować całkowicie nowy wydział, podlegający jedynie mnie i moim osobistym dyrektywom. Modelem będzie SID, ze zmianami podyktowanymi pańskim doświadczeniem i uzgodnionymi ze mną. Jest pan zainteresowany?

— Jak dotąd, bardzo. Jakie będzie zadanie tego wydziału?

— Wywiad polityczny w najszerszym sensie. Jeśli zajdą pewne wydarzenia, jeśli dojrzeją pewne projekty, zakres pracy będzie ogromnie powiększony, a pańska pozycja da panu znaczną władzę.

— Czy może pan określić dokładniej te wydarzenia i projekty, panie generale?

— Mogę, ale jeszcze nie teraz.

— Czy mógłbym zapytać, dlaczego?

— Ponieważ muszę najpierw upewnić się, pułkowniku, względem kogo poczuwa się pan do lojalności.

— Myślałem, że to oczywiste, panie generale.

— Naprawdę?

— Tak jest. Obaj pełnimy służbę w tym samym korpusie. Tę samą przysięgę składaliśmy. Wydaje mi się, że to wyjaśnia sprawę dokładnie?

— Niestety, nie. Nie wyjaśnia na przykład pańskich zapatrywań politycznych.

— Czy muszę mieć jakieś zapatrywania?

— Na tym stanowisku, tak.

— Więc powinien je pan zdefiniować, panie generale.

— Potrzebuję człowieka bardzo konserwatywnego.

— Jest tu sprzeczność w samej terminologii. Wywiad zajmuje się jednocześnie tym, co rzeczywiste, i tym, co możliwe. Mógłbym zacytować długą wypowiedź mojego dyrektora na ten temat.

— Czy zmieniłby pan stanowisko, gdybym powiedział, że pański dyrektor stał się człowiekiem bardzo konserwatywnym?

— Wiem o tym, panie generale.

— O czym pan wie?

— Spotkanie odbyło się w Villa Baldassare, prawda?

— Skąd do diabła...?

— Jadłem w Wenecji kolację z dyrektorem i z Bruno Manzinim.

— Co panu wyjawili?

— Nie twierdzę, że wyjawili mi wszystko. Powiedzmy, że zorientowałem się w pewnych układach i pewnych umowach. Na przykład doszło do dyskusji, czy powinno się mnie usunąć. Dwa głosy były przeciw, jeden za zabójstwem — pański głos, panie generale. Tak więc rozumie pan, że mogłem być zaskoczony pańską ofertą?

Myślałem, że to nim wstrząśnie. Rozczarowałem się. Jakakolwiek by była jego rola w stadle małżeńskim, jako żołnierz i strateg był nieugięty. Zganił mnie spokojnie.

— Dlaczego? Zna pan nasz zawód. Wszyscy narażeni jesteśmy na ryzyko. Głosowałem: tak. Potem zmieniłem zdanie.

— Dlaczego?

— Nigdy nie ufałem pańskiemu dyrektorowi. Patrzyłem na niego zawsze jak na użytecznego, ale niestałego sprzymierzeńca. Tak więc po wyjściu ze spotkania w Villa Baldassare przemyślałem wszystko dokładnie. Doszedłem do wniosku, że potrzebny mi będzie rywal i w ostateczności następca dyrektora... Pan, pułkowniku. Proste, prawda?

— Zbyt proste.
— Niby dlaczego?
— Każdy poza mną ma życie zabezpieczone. Manzini ma majątek i wpływy. Dyrektor prezydencką pensję. Pan stopień generała w karabinierach. Ja? Ja siedzę na cienkiej gałęzi.
— Niech pan się przyłączy do mnie, a będzie pan pod moją osobistą ochroną. Niech pan tego nie lekceważy, pułkowniku.
— Nie lekceważę. Ale myślałem o Chirurgu.
— O co chodzi?
— Nie żyje.
— Nie sprawowałem nad nim opieki.
— Ach, rozumiem.
— Sam pan powiedział, że ten człowiek mógł mnie skompromitować... Jeszcze brandy?
— Tak, dziękuję... Czy mogę zadać panu parę pytań?
— Proszę.
— Ten pański adiutant, kapitan Roditi... Proszę coś mi o nim opowiedzieć. Trafiłem w czułe miejsce. Poderwał głowę. Stał się nagle napięty i gotów do grózb.
— Myślę, pułkowniku, że winien jest mi pan wyjaśnienie.
— Ebbene! Chce pan, żebym się do pana przyłączył. Jestem tym zainteresowany; ale nie mam zamiaru pakować się na osłep w nową zupełnie sytuację. Studiowałem pana, panie generale, tak jak pan studiował mnie. Słyszałem, że ten Roditi jest pańskim faworytem. Jest nielubiany. Z jego powodu także do pana ludzie żywią urazę. Chciałbym wiedzieć, dlaczego?
Rozważał to pytanie przez dłuższą chwilę. Obracał je na wszystkie strony, jakby to był kawałek kitu, z którego można ulepić zadowalającą mnie odpowiedź. W końcu powiedział:
— Roditi nie jest niezastąpiony. Pan przyjdzie, on odejdzie, jeśli o to panu chodzi.
— Co robił w klubie „Alcybiades”?
— Werbował ludzi.
— A w „Pavone”? Tak samo?
— Tak.
— Ciekaw jestem, dlaczego używa pan tych typów?
— Potrzebni nam są ludzie swobodni, nie mający żadnych ambicji poza żądzą pieniędzy i towarzystwem podobnych sobie. Oni także staną się w swoim czasie zbędni, jak najemnicy w Kongo.
— Panie generale, gdyby pan siedział tu, na moim miejscu, czy zadowoliliby się pan tą odpowiedzią?
— Gdybym siedział na pańskim miejscu, Matucci, nie spodziewałbym się nawet, że udzielone mi zostaną wyjaśnienia tak szczegółowe.

— Słuszna uwaga, panie generale... Przyjmuję ją. Jednakże musi pan okazać mi trochę cierpliwości. Oferuje mi pan opiekę, bezpieczeństwo. Chcę wiedzieć, gdzie jest pańska siła i gdzie słabość.

— Słucham pana.

— Pańskie małżeństwo oczywiście nie jest szczęśliwe?

— To takie oczywiste?

— Dla mnie tak. Człowiek taki jak pan, z pańskimi ambicjami, nie może pozwolić sobie na wroga we własnym domu. Musi pan być bardzo samotny, panie generale.

— Jestem. Wyznam panu, że przeżywam czasem ciężkie dni, Matucci. Ale gotów jestem znieść je jeszcze długo.

— Tak więc znajduje pan oparcie w Roditim?

— Może bardziej, niż powinienem. Stał się dla mnie prawie synem. Ale potrzebny jest mi ktoś silniejszy, bardziej dojrzały. Pan, przyjacielu.

— Ale ciągle nie zamierza mi pan ufać... Proszę, panie generale, porzućmy tę grę. SID ma pana dossier. Dyrektor wie, co w nim jest. Ja nie, ponieważ zarezerwował tę teczkę tylko dla siebie. Dlatego nie mógł pan nic zrobić, dopóki dyrektor nie został pana sojusznikiem. Pan nie ufa mu w dalszym ciągu i pragnie pan, żebym stał się przeciwnikiem dyrektora. Nic mogę nic zrobić, dopóki nie wiem tyle samo co on. Nie mogę bronić pana, jeśli nie wiem, jakiej broni może przeciwko panu użyć... Dlaczego nie pomyśli pan o tym? Jeśli będzie pan w dalszym ciągu chciał mnie mieć, możemy się spotkać i przedyskutować raz jeszcze ostateczne warunki. Następnie podpiszemy papiery dotyczące mojego przeniesienia.

— Może się pan przecież zdecydować już teraz.

— A pan może zdecydować się przestać mnie chronić. Gdyby coś mi się stało...

— Tak, pułkowniku?

— W Szwajcarii jest bank, który natychmiast puści w obieg masę informacji do prasy i innych zainteresowanych stron.

— Szantaż, pułkowniku?

— Nie, panie generale. Szantaż zaczyna się, kiedy usiłuję wydobyć od pana pieniądze lub awans. Ja tego nie żądam. Po prostu zabezpieczyłem się. Ale, skoro jesteśmy przy szantażu, czy jest pan pewien, że pan sam nie pada jego ofiarą?

— Powiedziałem już panu raz, pułkowniku, i powtarzam. Moje życie jest otwartą książką.

— O tym wszyscy wiedzą, panie generale. Nie wiadomo natomiast, z której strony uderzą w tym dniu, kiedy ogłoszony pan zostanie zbawcą ojczyzny... Proszę zauważyć, nie prosiłem o pracę. Pan mi ją oferuje. Jeśli nie odpowiadają panu moje warunki, zapomnijmy o tym.

— Proszę sformułować je wyraźniej.

— Pełna szczerłość z obu stron.
— Bardzo dobrze. Skontaktuję się znowu z panem w najbliższych dniach. Tymczasem proszę przestudiować te teczki... Jeszcze brandy?
— Nie, dziękuję. Powinienem już iść. To był dla mnie długi dzień.
— Ale nie stracony, mam nadzieję?
— Wprost przeciwnie, panie generale. Myślę, że przebyliśmy kawał drogi w kierunku porozumienia.
— Dobrze... Aha, czy mógłby pan podrzucić Laurę do miasta, bo musiałbym dzwonić po służbowy wóz. Nie lubię wzywać tu do domu taksówek.
— Nie ma problemu. Będę zachwycony.
— Lubię ją. Jest pełna radości. Może trochę głupia, ale bogata i wolna. Mądryemu wystarczy słowo, co?
Pełna radości, owszem, była i poza tym bardziej niż trochę pijana — tokowała jak turkawka. Ale głupia nie była. Po drodze do miasta wyłuszczyła mi swoją błazeńską, ale trafną ocenę przyjęcia.
— Ple-ple-ple. Mowa-trawa. Był pan dzisiaj wstrętny, Dante. Wie pan o tym doskonale. Jest pan jedynym człowiekiem, który umiał poradzić sobie z Heleną w takim nastroju. Dzisiaj naprawdę pokazała pazury biednemu Marcantoniemu. Prawdę mówiąc, nie mam jej tego za złe. O ile się orientuję, nie ma z niego żadnego pożytku w łóżku, a poza łóżkiem też nie jest zabawny... Między nami, nie ma pan zamiaru dla niego pracować, prawda? Nie wyobrażam sobie pana wśród tej bandy finocchi, którą się otacza. Ale w końcu za mało pana znam... I nie powiedział pan, co pan robił w „Alcybiadesie”. Ani co robił tam Roditi. Nie widział pan twarzy Heleny, kiedy strzelił pan tym „Alcybiadesem”. Myślałam, że wybuchnie i ten jej wielki biust wpadnie do sosu. Wie pan oczywiście, że są kochankami? Drogi Matucci, wszyscy o tym wiedzą, nawet generał. Jeśli dobrze liczę, Roditi musi być ojcem bliźniaczek... Dlaczego? Panie Matucci! Jak pan myśli, dlaczego ten oldboy używa Mattea do wszystkich brudnych robót... Ja? Ja przyjaźnię się ze wszystkimi. Ale przede wszystkim jestem przyjaciółką Heleny. I mogę się z panem założyć. Jeśli Helena nie zadzwoni do pana w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, osobiście zapewnię panu noc w łóżku...
— Nie zgadzam się na zakład. Już jest pani zaproszona.
— Nie lubię, kiedy się mnie popycha.
— Nie ma żadnego popychania. Będzie szampan, kawior, muzyka i...
— I Helena znienawidzi mnie na zawsze.
— A kto jej powie, bambina?
— To prawda, kto jej powie? Ale zadzwoni do pana. Oszalała na pana punkcie, już ja ją znam.
— Powiedziała pani, że Helena szaleje za Roditim.
— Och, to bardzo szczególna sprawa. Inni — a było ich wielu — stanowią jej zemstę na mężu. Jeśli przyłączy się pan do niego, poruszy niebo i ziemię, żeby mieć pana w łóżku.

— Robi wrażenie kandydatki do manicomio!
— Czy pan nie dostałby bzika, gdyby wyszedł pan za finocchio w średnim wieku, z kompleksem wielkości?
— Chron mnie od tego, Boże!
— Amen! Teraz, pułkowniku, proszę opowiedzieć o pańskim życiu miłym. Chciałabym wiedzieć, w co się pakuję, zanim wypiję zbyt dużo szampana.

Tak się złożyło, że wystarczyły trzy kieliszki szampana. Zasnęła przy muzyce Enrico Manciniego. Rozebrałem ją, wpakowałem do obszernego podwójnego łóżka, powiesiłem jej ubranie, przyklepiłem kartkę z pozdrowieniami na lustrze w łazience i zamknąłem ją w mieszkaniu.

Była pierwsza po północy w Mediolanie, w mieście, w którym — jeśli wierzyć jego mieszkańcom — za pieniądze można kupić wszystko o każdej porze dnia i nocy. Moje potrzeby były w zasadzie skromne: rozpylacz do wody kolońskiej i jednooki notariusz, głuchy i niemy, kładący się późno spać i lecący na forszę. Jako szczegół interesujący dla przyszłych pokoleń podaję fakt, że nawet przy moich kontaktach straciłem godzinę, zanim takiego faceta znalazłem, dwadzieścia minut, zanim dobiliśmy targu, a ponadto wydałem sto tysięcy lirów w gotówce, żeby wywabić go z domu.

Teraz mogę sobie żartować; ale wówczas byłem zupełnie zdesperowany. Wyjaśniam: chciałem uzyskać prawne zeznanie od pewnego świadka. Przygotowany byłem do stosowania przymusu, gróźb, zastraszenia oraz — jeśli okaże się niezbędne — fizycznej przemocy. Potrzebowałem więc notariusza wraz z ryzą ostemplowanego papieru, pieczętką i elastycznym sumieniem.

O trzeciej piętnaście, uzbrojony i w towarzystwie wspomnianego notariusza, stawiłem się w mieszkaniu kapitana Matteo Roditi. Kapitan był nieobecny, podróżował w interesach swojego pana — a być może w interesach swojej pani. Wszedłem do środka, zamknąłem notariusza w sypialni, żeby się chwilę zdrzemnął, zaparzyłem sobie w kuchni filiżankę kawy i usiadłem. O trzeciej czterdzieści pięć wrócił do domu kapitan Roditi z czerwonymi oczami, ale prawie trzeźwy. Pchnąłem go pod ścianę i obmacałem, czy nie ma przy sobie broni. Następnie usadowiłem go w duńskim fotelu, a sam usiadłem na biurku, kładąc obok siebie rozpylacz oraz pistolet. Teraz mogłem pogawędzić z nim jak dobry wujaszek z prowincji.

— Kapitanie, nie zna mnie pan jeszcze zbyt dobrze. Mógłby więc pan przypuszczać, że zgrywam się. Otóż nie. Jeśli nie udzieli mi pan odpowiedzi zgodnych z prawdą, zabiję pana. Prysnę panu w twarz cjanowodorem i po upływie czterech sekund zakończy pan życie. Jeśli będzie pan grzeczny, mogę pokazać panu drogę wyjścia z bagna, w którym się pan znalazł. Jasne?

— Tak.

- W pańskiej sypialni znajduje się podpisana fotografia i paczka listów od kobiety o imieniu Helena. Kim jest Helena?
- Żoną generała Leporello.
- Jak długo byliście kochankami?
- Około sześciu lat.
- Jest pan ojcem jej dzieci?
- Tak sądzę.
- Czy generał wie o waszym związku?
- Tak.
- I przymyka oczy?
- Tak.
- Proszę powiedzieć, dlaczego?
- W ten sposób trzyma nas w ręku.
- Proszę to wyjaśnić.
- Z punktu widzenia prawa jest ojcem tych dzieci. Jego nazwisko znajduje się na świadectwie urodzenia. Może odebrać dzieci Helenie.
- A w jaki sposób trzyma pana w garści?
- Oddałem mu przysługi, które stawiają mnie w trudnej sytuacji prawnej.
- Jakie przysługi?
- Sprowadzałem mu facetów.
- Z korpusu czy z zewnątrz?
- I tak, i tak. Mam drugie mieszkanie w pobliżu Duomo. Wynajęte zostało na moje nazwisko. Leporello używa tego mieszkania jako miejsca schadzek. Ja płacę ludziom i upewniam się, że nie będzie żadnych kłopotów.
- Jak pan to przeprowadza?
- Przeważnie groźby. W razie potrzeby przechodzę do czynów.
- Bicie, tego rodzaju metody?
- Tak.
- Potrzebne mi będą daty i nazwiska, ale przejdziemy do tego **później**.
- Czy zna pan majora Zenobio, komendanta Camcraty?
- Tak.
- Czy były dzisiaj jakieś wiadomości od niego?
- Była prośba, żeby zadzwonić. Jeszcze tego nic zrobiłem.
- Czy otrzymał pan list z Chiasso?
- Tak.
- A generał?
- Tak.
- Co w związku z tym zostało przedsięwzięte?
- Przekazałem oba listy do zakładu kryminalistyki, żeby skontrolowali odciski palców i czcionkę maszyny.
- Czy była odpowiedź?
- Nie.

- A kiedy się pan spodziewa?
- Jutro lub pojutrze.
- Czy wie pan, czyje to są odciski?
- Mogę tylko przypuszczać. Nie jestem pewien.
- Czyje?
- Być może należą do Balba.
- To on zabił Bandinello i Calviego?
- Tak.
- Czy on podrzucił list-bombę w mieszkaniu Liii Anders?
- Tak.
- Kto wydał rozkaz?
- **Ja.**
- Kto dał rozkaz panu?
- Generał.
- Gdzie znajdują się papiery Pantaleonego?
- Dałem generałowi Leporello.
- Gdzie znajdują się obecnie?
- Nie wiem. Możliwe, że u niego w domu.
- Gdzie jest Giuseppe Balbo?
- Przypuszczam, że nie żyje.
- Przypuszcza pan...!
- Powiedziano mi, żebym przyprowadził go dziś wieczorem do klubu „Alcybiades” i upewnił się, że wyjdzie o drugiej czterdzieści pięć.
- Kto wydał polecenie?
- Generał.
- Z powodu listu z Chiasso?
- Tak.
- Kto miał wykonać tę robotę?
- Nie wiem. Nie powiedziano mi.
- I nie domyśla się pan?
- Leporello mówił o tym, żeby jednym strzałem trafić dwa ptaszki, Chirurga i Balba.
- Czy nigdy nie pomyślał pan, że generał może zechcieć pewnego dnia pozbyć się także pana?
- Tak.
- Nie przedsięwziął pan żadnych środków bezpieczeństwa?
- Przedsięwziąłem. Mam drugie, nie znane nikomu mieszkanie. Poza tym są taśmy i fotografie.
- Gdzie?
- Jeden zestaw ma Helena. Ja drugi, zdeponowany w sejfie Banco Centrale.
- Potrzebny mi będzie klucz i upoważnienie.

— Dobrze.

— Jakie są obecnie pańskie uczucia w stosunku do Heleny?

— Na Boga, Kocham ją! Jak pan myśli, po co siedziałbym jeszcze w tym śmierdzącym interesie?

— Ponieważ nie chciał pan z niego się wycofać... Jeśli Leporello dokona swojego zamachu, stanie się pan kimś.

— Co chce pan teraz zrobić?

— Ja nic, Roditi, to pan ma coś do roboty! Napisze pan zeznanie. W sypialni jest czelczyzna, który poświadczy dokument. Potem porozmawiamy o dalszym ciągu... Oto papier, oto pióro. Będę dyktował; proszę pisać.

Pół godziny trwało spisanie dokumentu, pół minuty ostemplowanie i poświadczenie. Wysłałem notariusza do ciepłego łóżka we własnym domu, kazałem Roditiemu napisać list do banku, wepchnąłem oba dokumenty do wewnętrznej kieszeni marynarki i usiadłem, żeby pogawędzić już w swobodniejszej atmosferze. Roditi był niezwykle przybity, miał ziemistą cerę i dygotał, pozwoliłem więc mu napić się whisky, żeby doszedł do siebie, a sam wyłożyłem mu propozycję układu:

— ...To zeznanie, Roditi, ma cenę pańskiego życia. Jeden telefon do Leporella i jest pan martwy, zanim zaświta dzień. No więc, wyjedź pan sobie bez urlopu. Spakuje się pan. Zawiozę pana na wieś, w bezpieczne miejsce, i zostanie pan tam, dopóki nie zdobędę ostatniej cegiełki potrzebnej; do zbudowania sprawy przeciwko Leporellowi. Będzie pan poddany badaniom. Złoży pan więcej zeznań, niż się panu śniło, ale lepsze to niż czekanie w pace, aż jakiś koleś z celi wbije panu w plecy szpikulec. Następnie, zanim sprawa wybuchnie, będzie pan miał dwadzieścia cztery godziny czasu, żeby wyjechać z Włoch razem z Heleną i dziećmi... To wszystko, co mogę dla pana zrobić. Może się pan zgodzić lub nie.

— To bezcelowe. To się nie uda.

— Niby dlaczego?

— Po prostu nie uda się i już.

— Ma pan jakiś lepszy pomysł?

— Tak. Niech pan zostawi mi swobodę, dopóki nie skończy pan swojej sprawy. Mogę blefować. To jedyna rzecz, do jakiej się nadaję. Mogę dostarczać panu informacji lepszych, niż mógłby pan uzyskać inną drogą. Wszystko już się zaczęło i ruszy teraz szybko...

— Co wszystko?

— Jeszcze nie mogę panu powiedzieć. Ale powiem, jak tylko będę wiedział.

— Przykro mi. Wcale mi się to nie podoba. Proszę się pakować.

— Nigdzie nie pójde.

— To niech pan powie, dlaczego.

— Dobra. Przez cały wieczór był pan śledzony. Kiedy był pan u generała, założyli w samochodzie nadajnik.

— To znaczy, wiedzą, gdzie w tej chwili jestem?

— Tak. Tak.

— I czekają na mnie na dole?

— Tego nie wiem.

— Przejdźmy się więc i zobaczymy. Jeśli ich nie ma — przejedziemy się. Najpierw do mieszkania Balba, potem z powrotem do domu generała... Jeśli mamy z tym raz na zawsze skończyć, kończmy. Proszę wstawać.

— Nie pójdę. Może pan mnie tu zabić, ale nie pójdę.

— No więc dlatego wszystko poszło tak gładko, co? Załatwił mnie, jak tylko wyjdę za bramę! Albo nafaszerowali samochód plastikiem i kiedy włączę starter, wylecę prosto do nieba. No więc, mój mały, która z tych ewentualności?

— Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

— Więc zobaczymy.

Wyjąłem z kieszeni notes i znalazłem numer mediolańskiej filii SID. Wykręciłem go i podawszy mój numer służbowy powiedziałem oficerowi służbowemu:

— ...Przesłuchuję w tej chwili podejrzanego. Mój samochód zaparkowany jest przed budynkiem. Czerwony mercedes z mediolańską rejestracją. Wiem, że byłem śledzony. Być może umieszczono w nim mechanizm wybuchowy. Możliwe również, że zostanę napadnięty przy wychodzeniu z budynku. Podejrzany jest oficer karabinierów, wolałbym więc, żeby ich w to nie mieszano. Czy możecie załatwić to sami? Nie wywołując rozgłosu? Nie zależy mi na samochodzie, możecie mi go oddać, kiedy go sprawdzicie. Ale potrzebny mi będzie inny samochód. Kiedy będziecie gotowi, przyslijcie tu na górę człowieka, żeby mnie zawiadomił. Hasło „Smok”. Tak jest — „Smok”. Niech nie zapomni. Mógłbym strzelić... Dzięki. Pospieszcie się. Aha, i dla pewności, niech pan oddzwoni, jak tylko odłożę słuchawkę.

Oddzwonił i oznajmił, że chłopcy zjawią się za trzydzieści minut. To kawał czasu i wiele może się zdarzyć. Zgasilem światła, podszedłem do okna i rozsunałem zasłony. To coś już się zdarzyło. Trzy samochody policyjne były zaparkowane przed domem, czwarty skręcał właśnie w ulicę. Wysypali się już z nich ludzie i skupili wokół dowodzącego oficera. Plan akcji stał się dla mnie zupełnie jasny. Aresztowanie i badanie w ciągu dziewięćdziesięciu dwóch godzin pod dowolnie wybranym zarzutem. Zanim się stamtąd wydostanę, jeśli wydostanę się kiedykolwiek, zeznania rozplyną się w powietrzu. Zwlokłem Roditiego z krzesła, wpakowałem mu chusteczkę w usta, a pistolet w krzyże i wypchnąłem z mieszkania.

Na dół wiodą tylko dwie drogi: winda lub betonowe schody. Każda z tych dróg prowadziła prosto w ramiona karabinierów. Poszliśmy do góry. Wspięliśmy się cztery piętra, zanim stanęliśmy przed drzwiami na dach i do zbiorników na wodę, które się na nim znajdują. Drzwi były zamknięte.

Potrzebowałem minuty czasu, żeby wyważyć zamek. Wypchnąłem Roditiego na dach i zamknąłem drzwi od zewnątrz. Następnie przygiąłem go twarzą do drzwi i trzepnąłem w tył głowy. Osunął się jak worek. Zaciągnąłem go za osłonę zbiorników i wyjąłem knebel. Nie zależało mi na razie na tym, żeby się udusił. Ma jeszcze sporo do powiedzenia, jeśli zdołam się wydobyć z tej elegancko zastawionej pułapki.

Dokonałem ostrożnego obchodu dachu i stwierdziłem, że dwa sąsiednie budynki mają podobną wysokość i konstrukcję. Nietrudno będzie przejść gzymsami i uciec przez trzeci budynek. Byłoby to jednak zupełnie niemożliwe, gdybym miał ze sobą Roditiego. Zostawiłem go i kilka minut później znalazłem się w budynku mieszczącym jakieś biura. Zmarznięty i niepocieszony siedziałem w ubikacji zastanawiając się, co stało się z Roditim i dlaczego nikomu nie chciało się skontrolować dachu. Kiedy rano zaczęli przychodzić pracownicy, wyszedłem na skąpaną słońcem ulicę i pojechałem taksówką do hotelu Steffiiego.

Mimo swoich grymasów i sztuczek Steffi był w sytuacjach kryzysowych nieocenionym skarbem. Podczas kiedy kąpałem się i goliłem, skoczył zrobić kopię zeznań Roditiego w automatycznej kopiarce. Następnie poszedł do mediolańskiej filii swojego banku, podjął pieniądze i zdeponował oryginały dokumentów, z zastrzeżeniem, że wydać je można jedynie za moim albo jego podpisem. Następnie, rzeński jak skowronek, stawiał się w biurze Manziniego i zażądał widzenia z cavaliere. Przekazał pozdrowienia ode mnie, kopię zeznań, oraz opowieść z drugiej ręki o nocnych wydarzeniach. Obaj pojawili się w hotelu na śniadaniu, gwarząc ze sobą, jakby znali się od urodzenia.

Śniadanie przebiegło jednakże w posępnym nastroju. Manzini zadzwonił do wydawcy swoich gazet i wrócił do nas z trzema historyjkami, które stanowić będą przebój wydań popołudniowych. Głównym przebojem była historia strzelaniny, podczas której policja zabiła niejakiego Giuseppe Balba, bo stawił opór przy aresztowaniu. Także na pierwszej stronie znajdziesz sprawozdanie z dziwnego wydarzenia, które miało miejsce w nowoczesnym bloku mieszkalnym. Wezwana telefonicznie policja — szczegóły tego wezwania nie mogą być jeszcze podane do publicznej wiadomości — udała się do mieszkania na piątym piętrze zajmowanego przez kapitana Matteo Roditiego, osobistego adiutanta generała-majora Leporello. Mieszkanie było puste i panował w nim bałagan. Ani śladu kapitana Roditiego, którego zresztą nie odnaleziono do momentu oddania gazety do drukarni. Policja zatrzymała już człowieka, o którym wiadomo, że był w mieszkaniu Roditiego we wczesnych godzinach porannych. Policja poszukuje także, w celu uzyskania zeznań, niejakiego Dante Alighieri Matucciego, funkcjonariusza państwowego, którego samochód był zaparkowany przed budynkiem i którego odciski palców znalezione

zostały w mieszkaniu zaginione. Będzie tam również pełny opis mojej osoby oraz fotografia, dostarczona oczywiście drogą kablową z kartotek SID.

— ...I to, panowie, zamyka naszą sprawę — powiedział Manzini bezbarwnym głosem. — Balbo nie żyje. Roditi nie żyje lub jest pod silną ochroną; pański notariusz został aresztowany i do tej chwili na pewno już z nim skończyli — podpisze, co zechcą. Zeznanie Roditiego jest bezwartościowe, ponieważ będą mieli zeznanie notariusza stwierdzającego stosowanie przez ciebie wymuszenia. Ty, Dante, musisz się kryć. Jeśli cię dostaną... Buona notte! Mamy nową sprawę Matteottiego.

— Zapominasz o czymś, Bruno. Mam klucz i upoważnienie, które pozwoli otworzyć sejf w Banco Centrale. Jeśli Roditi powiedział prawdę, jest tam dosyć materiału, żeby zniszczyć Leporella jednym uderzeniem.

— W tym zdaniu są trzy „jeżeli”, Dante. Jeżeli Roditi mówił prawdę... Jeżeli Leporello nie uzyskał już nakazu sądowego pozwalającego na otworenie sejfu... Jeżeli ty będziesz mógł go otworzyć... Nie zapominaj, że w tym celu trzeba okazać dokumenty. Za godzinę twój rysopis znajdzie się wszędzie, na wszystkich ulicach Mediolanu. Oznacza to również, że musimy usunąć cię stąd jak najszybciej.

— Pozwól mi coś powiedzieć. Myślę, że Roditi mówił prawdę. Nie wierzę, żeby oddał Leporellowi swoje ostatnie zabezpieczenie.

— Nawet jeśli grożono mu śmiercią? Bez trudu złamałeś jego opór.

— Bo myślał, że jest zabezpieczony. Wiedział, że oddając dokumenty Leporella, pozostawia Helenę i dzieci bez żadnego zabezpieczenia. Myślę, że uczepił się ostatniej nadziei: że ja albo ktoś inny doprowadzi do upadku Leporella.

— Zgadza się — powiedział Steffi gwałtownie. — Okruszyna nadziei pozwala człowiekowi działać bardzo długo.

— A zatem chodzi o dostęp do sejfu — powiedział posepnie Manzini. — Jak sobie z tym poradzisz?

— Co bankier musi mieć w swoich aktach? Nie w samym momencie otwierania, ale później, kiedy klient już pójdzie?

— Podpis oraz numer dowodu osobistego.

— Oto mój dowód. Masz doskonałego kaligrafa — Carla Metapontego, tego, który zrobił ci kartkę z Salamandrą. I masz swojego przyjaciela, Ludovisiego w Banco Centrale, który obiecał pomoc w razie potrzeby. No więc, Bruno...?

— Wszystko zależy od Ludovisiego, prawda?

— Tak jest.

— Spróbuję. Daj dokumenty i klucz... A teraz co zrobisz ze sobą, Matucci?

— Muszę zejść w podziemia. Będą mi więc potrzebne fałszywe papiery, które znajdują się w mieszkaniu, w sejfie.

— Pojadę po nie. A gdzie umieścimy cię tymczasem?

— Gdzie stoi twój samochód?
— Przed hotelem. Zapłaciłem portierowi za pilnowanie.
— Mógłbyś zawieźć mnie do Pedognany i przechować tam przez kilka dni?
— Nie w samym domu. Myślę, że mogą zjawić się karabinierzy. W posiadłości, tak. Jeśli nie zraża cię życie wiejskie. A co ze Stefanellim?
— Zostanę w mieście, cavaliere. Ten niedorajda potrzebuje mnie bardziej, niż się do tego przyznaje.
— Nie podoba mi się to, Steffi. Gra stanie się teraz ostra.
— No to potrzebny ci chyba ktoś, kto zna się na tej robocie? A poza tym komu zależy na starym dziadzie spędzającym smętny urlop w Mediolanie?
— Dzięki, Steffi.
Manzini ciągle roztrząsał jakieś własne problemy. Zapytał gwałtownie:
— A jeśli Ludovisi na to nie pójdzie? Co wtedy?
— Pozostanie ostatnia nadzieja... Żona Leporella.
— Kiedy przeczyta gazety, pomyśli, że zabiłeś albo porwałeś Roditiego.
— Powie jej o tym wszystkim Leporello. Sądzę, że ona nie wierzy mu nawet, kiedy podaje jej dzień tygodnia.
— To straszne ryzyko.
— Znam gorsze — powiedział ponuro Steffi — Leporello jako duce, zbiry zaprowadzają porządek za pomocą pałek i rycyny.

Spędziłem w Pedognanie cztery dni, z czego trzy na strychu domu zarządcy. Pewnego dnia zjawili się karabinierzy i przez całe popołudnie szperali po majątku. Cały ten czas przesiedziałem na poddaszu stodoły i wyszedłem stamtąd ze wspianym katarem siennym. Czwartego dnia przybył Manzini z moimi dokumentami i seryjnymi ubraniami pasującymi do mojej nowej tożsamości Aida Carnery. Cavaliere, dokładny jak zawsze, przygotował mi antydatowane świadectwo pracy agenta handlowego jednego z odgałęzień jego spółki. Nie będę tych papierów nigdy nikomu pokazywał, ale jeśli ktoś zechciałby sprawdzić, moje fałszywe nazwisko i wszystkie szczegóły są w kartotece.

Przyniósł także niezbyt pocieszające nowiny, Ludovisi jest na konferencji w Nowym Jorku. Stamtąd ma udać się do Mexico City, a następnie do Buenos Aires. Nie można spodziewać się go przed upływem dziesięciu dni. Manzini był strapiiony. Z powrotem znalazłem się w podziemiu. Wszystkie jego starannie opracowane plany, żeby wprowadzić mnie do towarzystwa, wynieść do statusu agenta dyplomatycznego, wzięły w łeb. Zrozumiałe, że jestem podejrzany, a z mojego powodu także Manzini został zdyskredytowany w Ruchu. Wykluczono go z Rady. Dyrektor wysłał mu zjadliwy list, w którym sugerował, że do czasu odzyskania zaufania powinien ograniczyć swoją działalność do wpłacania pieniędzy, których brak tak silnie Ruch odczuwa.

Tego wieczoru zjedliśmy razem kolację i przez cały czas próbowałem wprowadzić go z powrotem w nastrój do snucia opowieści, ale uległ dopiero, kiedy wspomniałem o dwóch dossiers, które wręczył mi Leporello, a których nie miałem dotychczas sposobności przeczytać. Pamiętałem tylko nazwiska: Hans Helmut Ziegler i Emmanuele Salatri. Popadł na chwilę w zadumę, a potem podniósł ręce i odrzucił zły humor niby maskę.

— Co tam! Właściwie dlaczego nie? Czemu służy przeszłość, jeśli nie temu, żeby odnowić nasze nadzieje na przyszłość! Hans Helmut Ziegler... To nazwisko cofa nas daleko wstecz. Wszystko zaczęło się, pomyślmy chwilę... w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym. Byłem wtedy w Sao Paulo i wydawałem swoje pierwsze duże pieniądze inwestując w Nowym Świecie. W owych czasach, Dante, w Sao Paulo było więcej Włochów niż Brazylijczyków. Większość z nich to byli imigranci, ale niektórzy, jak choćby ja, przyjechali, żeby inwestować w uprawę cukru i kawy, w tekstylia i produkty farmaceutyczne; chodziło najpierw o małe, ale przynoszące ogromny zysk spółki. Były to szalone dni. Zarabiałem forszę, wydawałem ją i zarabiałem jeszcze więcej... A kobiety! Dio! Wpadały ci w ręce jak dojrzałe owoce papai.

Pewnego wieczoru stałem w kasynie obok młodego faceta mniej więcej w moim wieku. Był Brazylijczykiem i grał na ruletce ostrzej niż ja. Dopisywało mi szczęście. On przegrywał i starał się dogonić przegrane. Wreszcie koło północy był już całkowicie splukany. Miał minę tak przygnębioną, tak niezwykłe zrozpaczoną, że nie byłem w stanie tego znieść. Położyłem mu dłoń na rękawie i poprosiłem, żeby został, to podzielię się z nim stawką, przecież to tylko sprawa szczęścia, mojego szczęścia, jeśli jego zawodzi. Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Potem roześmiał się i powiedział: „Czemu nie? To pieniądze wygrane!” Krótko mówiąc, postawiłem wielki zielony żeton na trzydzieści pięć. Wygrałem. Podzieliliśmy się pieniędzmi i odeszliśmy od stołu ramię w ramię jako przyjaciele do końca życia. Nazywa się Paolo Pereira Pinto i jest teraz jednym z najlepszych bankierów w Brazylii. Kiedy po raz pierwszy został dyrektorem, przysłał mi pięciokaratowy szmaragd na pamiątkę tamtego wieczoru. Kazałem opracować kamień w broszkę, którą dałem Raqueli Rabin.

...To pierwsza część opowieści. Druga rozpoczyna się później. Hans Helmut Ziegler to gestapowiec, który pracował nade mną w więzieniu. Lubił swoją robotę i był w niej ekspertem. Rozmowa z nim w pokoju przesłuchań była jak zetknięcie się oko w oko z biesem. Jeszcze teraz, chociaż już jestem stary, wspominam go z przerażeniem i odrazą. Po wojnie zniknął, wchłonięty przez powszechny chaos. W 1965 roku córka mojego starego przyjaciela Pinto została wdową z dwójką małych dzieci. Rok później wyszła powtórnie za mąż i Pinto przysłał mi fotografię ślubną. Człowiekiem, za którego wyszła, okazał się Hans Helmut Ziegler... Trzeba było dwóch lat i dwudziestu tysięcy dolarów, żeby zgromadzić jego dossier. Posłałem mu je z kartą Salamandry. Nie potrafił nawet umrzeć jak należy. Z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na

godzinę wjechał na krawędź nadmorskiego urwiska. Stary Pinto przeczytał dossier i pomyślał, że to Izraelczycy zabili Zieglera. Był zadowolony, że się go pozbył. Nie chciał mieć syjonistów na swoim terenie. Wezwał policję, a ta przekazała dossier Interpolowi. W końcu dzięki pomocy władz włoskich natrafili na trop prowadzący do mnie i sądzę, że właśnie tą drogą dossier trafiło do rąk Leporella. Może nie uwierzysz, ale Pinto i ja pozostaliśmy przyjaciółmi...

...Na tym opowieść powinna się zakończyć, drogi Dante, ale tak nie jest. W dniach przed Czarną Sobotą Żydom z Rzymu wydawało się, że dobili z Niemcami targu i wykupili się. Ustanowiono fundusz, do którego każdy przyczynił się oddając złoto i biżuterię. Kobiety pooddawały obrączki. Wszystko daremnie. Niemcy wzięli złoto, ale wzięli też ludzi... Otóż jednym ze zbierających kosztowności był Emmanuele Salatri. Właśnie jemu oddała Raquela Rabin broszkę ze szmaragdem. Salatri nie oddał tego, co przyjął. Po prostu zniknął. W 1969 roku miała miejsce w Zurychu wielka aukcja biżuterii. Wśród przedmiotów wyliczonych w katalogu była broszka. Miałem więc możliwość przesledzenia, skąd się wzięła. Poprzez dwóch innych posiadaczy doszedłem do Emmanuele Salatriego, który był wówczas dobrze prosperującym jubilerem w londyńskim Hatton Garden. Posłałem mu dossier oraz kartę. Strzelił sobie w łeb. I znowu natrafiono na trop wiodący do mnie. I raz jeszcze nic nie można było mi zrobić, ponieważ nie popełniłem żadnego przestępstwa. Oddałem broszkę Raqueli. Nie chciała przyjąć. Jest na niej krew, powiedziała, i nie przyniesie nikomu radości. Sprzedałem Bulgariemu, który dał szmaragdowi nową oprawę.

...To stara historia! Czy niepotrzebnie ją rozgrzebuję? Wielokrotnie tak właśnie myślałem, ale zawsze wracało to samo pytanie: czemu mają nikczemnicy rozkwitać, kiedy ich ofiary nadal cierpią z powodu nikczemnych czynów? Na tym polega teraz twój problem, Matucci. Ironia historii polega na tym, że Leporello przeżył cały ocean zbrodni i nadal okazuje się potężnym, a co więcej, dobrym władcą. Ale nawet gdyby był takim, czy musimy go znosić? Nawet gdyby przyszedł teraz w worku pokutnym i ze sznurem na szyi, czy powinniśmy jednym tchem wybaczyć mu i namaścić na władcę? Niby dlaczego? Dlaczego?...

Jest jeszcze jedna historia, Dante, a potem musimy już iść spać. Podejźmy do okna. Czy widzisz te odległe wzgórza i obłok światła na szczycie?... To Vincolata. Nic takiego, miasteczko na wzgórzu liczące może pięciuset mieszkańców w obrębie starych murów. W czasach partyzanckich wykorzystywałem je jako punkt obserwacyjny i od czasu do czasu spędzałem tam noc u pewnej wdowy nazwiskiem Bassi.

Pewnego razu w odległości kilometra od miasteczka przygotowaliśmy zasadzkę na mały niemiecki oddział i zabilimy im dwóch ludzi. Natychmiast przystąpili do represji. Aresztowali jako zakładników dwudziestu starych i młodych mężczyzn i kazali ich rozstrzelać na placu w Vincolata. Oficerem

dowodzącym plutonem egzekucyjnym był młody Austriak, oberleutnant Loeffler.

...Możesz wyobrazić sobie, jakie to było przerażające dla takiego małego miasteczka jak Vincolata. Dwudziestu mężczyzn... To strata i wstrząs, o którym nie da się zapomnieć. Byli moimi ludźmi. Cierpieli z powodu rozkazów, które ja wydałem. Obiecałem więc, że pewnego dnia sprawiedliwości stanie się zadość.

...Loeffler przeżył wojnę, wrócił do Austrii i został księdzem. Jak widzisz, zśliśmy innymi ścieżkami. Moja ścieżka wiodła do tego, że stałem się narzędziem zemsty, jego do kapłaństwa. Straciłem już wtedy Loefflera z oczu i im więcej razy tu wracałem i widziałem pokój, jaki zapanował w miasteczku, tym mniej pragnąłem go zakłócać.

...W późnych latach sześćdziesiątych znalazłem się w Austrii, gdzie prowadziłem negocjacje handlowe w sprawie rudy żelaza. Z miejscowej prasy dowiedziałem się, że wielbny Franziskus Loeffler, proboszcz w Oberlap, został powołany na biskupstwo i będzie konsekrowany w Rzymie przez Ojca Świętego. Nie byłem pewny, czy chodzi o tego samego człowieka, chciałem więc go zobaczyć. Był to ten sam Franziskus Loeffler i wcale mi się nie spodobał. Uznałem, że jest płytki, uparty i próżny, że należy do tych duchownych, do których nigdy nie żywiłem sympatii: postać pół tyrańska, pół ojcowska. Powiedziałem mu, dlaczego się zjawiam. Zapytałem, czy nie uważa swojego wyniesienia do biskupstwa za afront uczyniony jego współwyznawcom z Vincolaty.

Nie potrafiłem przełamać lodów. Czuł się tak bezpiecznie w swoim nawróceniu, jakby uzyskał osobiste brewe od Wszechmocnego. Wyszedłem wściekły i rozgoryczony. Napisałem do Watykanu. Wszcząłem kampanię prasową przeciwko tej nominacji i sugerowałem, że Loeffler może i powinien być wydany Włochom i stanąć przed sądem jako zbrodniarz wojenny. Loeffler odrzucił nominację, zrezygnował z prowadzenia parafii i zaszył się gdzieś w mroku.

Sprawa ma jednak swój epilog. Jakieś półtora roku temu odwiedził mnie proboszcz z Vincolaty i poprosił, żebym zrobił mu tę uprzejmość i wziął udział w niedzielnej mszy. Był tam Loeffler. Ubrany był w szary garnitur, miał biały kołnierzyk i czarny krawat i klęczał w pierwszej ławce. Po odmówieniu Confiteor wstał, obrócił się do zgromadzonych i powiedział po prostu: „Jestem Franziskus Loeffler. Przeprowadziłem egzekucję waszych krewnych i przyjaciół podczas wojny. Dałem rozkaz ognia. Jestem tu, żeby błagać was o wybaczenie, jeśli czujecie, że możecie mi go udzielić. Jeśli nie, gotów jestem ponieść każdą karę, jaką postanowicie. Nie mogę wskrzesić zmarłych. Chciałbym mieć taką władzę. Błagam, wybaczenie mi”. Znowu ukląkł i msza trwała dalej. Czekałem, co uczyni potem lud Vincolaty... Nie uczynił nic, Dante! Absolutnie nic! Zignorowali go. Odeszli, porzucając go na pastwę tego, co musiało być najgorszą samotnością w jego życiu.

...Cóż mogłem zrobić? Zaprosiłem go do siebie na lunch. Nadal mi się nie podobał, ale był większym człowiekiem niż ja, dla którego zwykle słowa przeprosin są gorsze niż wyrwanie zęba. Pomyślałem potem, że prawdopodobnie byłby bardzo dobrym biskupem... Szkoda, że nie możesz go poznać. Chciałbym usłyszeć twoje zdanie... Zobaczymy się rano, Dante. Spij dobrze.

Nie spałem wcale. Późno w nocy usiadłem i, rozpaczliwie samotny, napisałem list do Liii, ale tym razem nie od stryj aszka Pawła, ale od Dante Alighieri Matucciego, uciekiniera, który musi jutro wrócić do świata tych, co nie mogą albo nie chcą poddać się dyscyplinie mrowiska.

Najdroższa Liii,

Oto list od człowieka-marionetki, który późno i boleśnie odkrył, w jak małym stopniu może wpływać na swój los.

Już późno. Księżyc w pełni posrebrza całą okolicę. Jest bardzo spokojnie, tak spokojnie, że prawie słyszę, jak mysz oddycha za boazerią mojej sypialni. Ogień już prawie wygasł i zaczynam marznąć, ale nie chcę wracać do łóżka, bo nie będzie w nim Ciebie, a nie umiem śnić o Tobie. Podarłem Twój ostatni list, ponieważ chciałem usunąć Cię z moich myśli, dopóki się to wszystko nie skończy. Nic z tego. Nie potrafię o Tobie zapomnieć. Nie potrafię znieść pustki w moim sercu. Jestem zazdrosny, bo może znalazłaś kogoś, kto zajmie moje miejsce w Twoim sercu.

Kocham cię, Liii. Tutaj! Teraz! Wreszcie padło to słowo. Kocham cię. Przedtem po błazeńsku igrałem słowami. Okłamywałem i zdradzałem. Teraz po raz pierwszy jest w nich prawda. Czy wyjdiesz za mnie, Liii? Jeśli wezwę Cię któregoś dnia do jakiegoś zapadłego miejsca, które ledwie ma swoją nazwę na mapie, czy przybędziesz, byśmy złączyli dłonie, wargi i ciała na zawsze, na zawsze, a nawet o dzień dłużej? Nie odpowiadaj, dopóki nie będziesz miała pewności, bo kiedy już będziesz miała pewność, a ja będę wolny, pójdę za Tobą na koniec świata i z powrotem do domu.

Dom? Nie mam teraz domu, Liii. Jestem człowiekiem, który wiecznie ucieka. Sprawy ułożyły się dla nas źle, ale nadal jest nadzieja na pomyślne zakończenie. Jutro muszę opuścić to miłe schronienie i wrócić do świata podziemnego, gdzie żebracy spiskują przeciwko tyranom, a tyrani używają żebraków do szpiegowania. Szukamy testamentu pozostawionego przez człowieka, który zapewne nie żyje. Jeśli znajdę ten dokument, wszystko stanie się proste. Jeśli nie, być może zobaczysz mnie w Szwajcarii wcześniej, niż się spodziewasz.

Boję się, ale nie za bardzo, ponieważ powoli uczę się współżyć z człowiekiem, który mieszka w mojej skórze. Jeszcze nie spojrziałem mu prosto w twarz. Na to też przyjdzie pora. Salamandra nadal kwitnie i także od niego uczę się sztuki przeżycia... Będziesz się śmiała, ale nigdy nie myślałem, że potrafię żyć tak długo bez kobiety. Być może prawda

polega na tym, że moja kobieta nigdy nie jest do końca nieobecna, że zawsze czuję ją przy sobie.

Dziwne, jak wracają słowa: Quella ch'mparadisa la mia mente!... ta, która czyni raj z mojego umysłu. Mój imiennik napisał w swoim czasie kilka bardzo dobrych kawałków. Szkoda, że nie pisał więcej o ciele. Jest ono w tej chwili bardzo samotne.

Zawsze Twój,
Dante Alighieri...

Mam nadal ten list, ponieważ został mi zwrócony w okolicznościach, które opiszę poniżej.

Wróciłem do Mediolanu pewnego wczesnego popołudnia i zainstalowałem się w skromnym hoteliku-pensjonacie w pobliżu Biblioteki Ambrojańskiej. Czysto, wygodnie i tanio — właściwy rodzaj mieszkania dla agenta handlowego, którego jedynym widocznym dobytkiem jest tekturowa walizka i skórzana teczka z szyfrowym zamkiem służącym wyłącznie do tego, żeby imponować klientom.

Kiedy już się rozpakowałem, wyszedłem, żeby popatrzeć na zamek Sforzów, wielką twierdzę z czerwonej cegły wybudowaną przez Franccsca, czwartego księcia Mediolanu i założyciela dynastii Sforzów. Zaczął jako zwykły condottiere mający tylko konia, miecz u boku i trzy rady ojcowskie: nigdy nie bij sługi, nigdy nie dosiadaj konia o twardym pysku i nigdy nie kochaj się z mężatką. Przysłał jako zbrojny do Filippa Viscontiego, ostatniego z. rodu, spłodził dwadzieścioro dwoje bękartów, ożenił się z córką Viscontiego, a kiedy Visconti umarł, pojechał do głodującego miasta, obładowawszy chlebem wszystkich swoich zbrojnych. Umarł na puchlinę wodną w 1466 roku, ale bastion, który wybudował, nadal stanowi dumę Mediolanu.

W owych czasach ludzie byli szaleni, ale ich geniusz i występki przetrwały w dzisiejszej Italii i dobrze byłoby, gdyby każdy, kto ma z nami do czynienia, zdał sobie z tego sprawę. W oczach cudzoziemca jesteśmy jak postacie z opery, przerysowane i większe niż w rzeczywistym świecie. Prawdą jest coś odwrotnego. Opera to tylko błąd cień naszej historii i nasza historia powtarza się w krótszych cyklach niż ich historia. Na przykład Filippo Visconti był dokładnie taki jak Chirurg. On też wyrzucał ludzi przez okno. Wymyślał spiski i szpiegów, napełnił całe miasto awanturnikami, którzy mieli dbać o jego bezpieczeństwo. Galeazzo Maria została zamordowana w kościele świętego Stefana przez trzech młodzieńców, którzy przyszli na mszę przede wszystkim, żeby przeprosić świętego Stefana za to, że zbrukają jego kościół. Tam, gdzie Leonardo napisał swój *Kodeks-atlas*, stoją budynki Pirellego niby pomnik następców Leonarda.

Być może są to bezcelowe myśli człowieka czującego się zbyt swobodnie w mieście, gdzie każdy policjant zna jego nazwisko. A jednak nie takie bezcelowe,

nie takie ni w pięć, ni w dziewięć. Generał-major Leporello sięga wyżej niż Visconti i Sforza mogli zamaryć. Zadowalali się księstwami i prowincjami. On chce wziąć pod swój but całe Włochy. Dysponuje bronią i środkami transportu, jakich oni nie mogli sobie wyobrazić, a w dodatku nie ma na karku cesarza ani papieża.

Spacerując po korytarzach i galeriach twierdzy, zastanawiałem się, jak nawiązać kontakt z Heleną Leporello. Stanowiła moją ostatnią szansę: ostatnia klacz w ostatniej gonitwie. Jeśli przegram tę szansę, spokojnie mogę udać się w kierunku Alp. Napisać do niej? List mógł przechwycić mąż albo jakiś szpicel spośród domowników. Zaczepić ją na ulicy? Mogłaby zacząć wrzeszczeć, wzywać na pomoc policję. Zatelefonować? Prawdopodobnie trzaśnie słuchawką w widelki, zanim zdążę się odezwać. Zdecydowałem się jednak zadzwonić. Dałem dozorcę w łapę, żeby pozwolił mi zadzwonić od siebie. Odpowiedziała pokojówka. Spytałem:

— Czy mógłbym mówić z generałem?

— Przykro mi. Generała nie ma w domu. Może spróbuje pan zadzwonić do komendy?

— Dzwonię właśnie z komendy. Czy jest pani?

Czekałem bardzo długo, a kiedy wreszcie Helena Leporello odezwała się, powiedziałem szybko i przekonywająco:

— Bardzo panią proszę, signora, niech pani nie odkłada słuchawki, dopóki nie skończę mówić, bez względu na to, co powiem. Tu Dante Alighieri Matucci. Został wystawiony nakaz aresztowania na moje nazwisko. Od wielu dni ukrywam się. Czytałem gazety. Nie wiem, czy kapitan Roditi żyje, czy może jest martwy albo normalnie wykonuje swoje obowiązki. Może mi pani to powiedzieć?

— Nie mogę, nie w tej chwili.

— Sprawozdania gazet sugerują, że albo go zabiłem, albo porwałem. Ani jedno, ani drugie. Jeśli Roditi żyje, muszę go odnaleźć. Czy zechce pani ze mną rozmawiać?

— Tak.

— Kiedy?

— Dowolnego dnia między dziesiątą a szóstą.

— Dziękuję pani. Proszę teraz słuchać uważnie. Jutro o dziesiątej trzydzieści proszę udać się do Biblioteki Ambrozjańskiej. Niech pani poprosi o *Wergiliusza* Petrarcki. Bibliotekarz przyniesie książkę. Stanie obok, kiedy pani będzie ją oglądać. Mój przyjaciel podejdzie wówczas i zawiezie panią do mnie. Czy to jasne?

— Tak, dziękuję.

— Czy kiedykolwiek śledzono panią?

— Nie wiem.

— Jeśli dojdzie pani do wniosku, że jest śledzona, proszę nie przychodzić. Ta sama umowa obowiązywać będzie przez następne trzy dni. Jeśli w tym czasie nie uda się nam skontaktować ze sobą, zadzwonię znowu i zorganizuję wszystko inaczej.

— Rozumiem.

— Mój przyjaciel poda pani hasło. Zapyta: „Czy pani Raquela Rabin?” Pani zaś odpowie: „Tak”. Potem proszę wykonywać jego polecenia i przygotować się na cztero-, pięciogodzinny pobyt poza miastem.

— Rozumiem.

— Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. Proszę mówić tylko „tak” lub „nie”... Czy mogę ufać Laurze Balestra?

— Nie.

— Czy może pani ufać służbie?

— Nie.

— A mnie?

— Tak, aż do chwili spotkania.

— Dziękuję. Powtórzę wszystko jeszcze raz. Biblioteka Ambrożyńska, dziesięć trzydzieści przez trzy dni. *Wergiliusz* Petrarci. Czy pani Raquela Rabin?

— Tak. Dziękuję. Do widzenia.

Jak na razie wszystko idzie dobrze; ale jak długo może człowiek być pewny swego, mając do czynienia z kobietą nawykłą do intryg? Wsunąłem do automatu następny żeton i wykręciłem numer hotelu Steffico.

— Steffi? Tu Rabin. Szalom.

— Witam cię, stary przyjacielu. Jak leci?

— Jeszcze żyję. Nie jesteś umówiony na kolację?

— Kiedy osiągniesz mój wiek, nigdy nie będziesz umówiony na kolację. Gdzie?

— Wynajmij samochód. Zabierzesz mnie o szóstej sprzed zamku Sforzów.

— Kto je kolację o szóstej?

— Nikt. Najpierw pojeździmy. Podobają ci się rude?

— Nawet z zielonymi włosami.

— Coś nowego?

— Jedynie to, że nudzę się.

— To dobra wiadomość. Sbrigati eh! Ruszaj się. Masz daleko, a ruch jest duży.

Była już szósta trzydzieści, kiedy mnie znalazł, i minęło następne czterdzieści minut, zanim dojechaliśmy do autostrady. Pędziliśmy sto dwadzieścia na godzinę w kierunku Wenecji. Prując przez ciepłe, łagodne powietrze, wśród okrytych mgłą pól z topolami i drzewami owocowymi, opowiedziałem mu o rozmowie z Heleną Leporello i o moich względem niej zamiarach.

— ...Jeśli Roditi mówił prawdę — ciągle wracamy do tego punktu — Helena Leporello ma filmy i taśmy magnetofonowe, które pozwolą powiesić Leporella wyżej niż najwyższa szubienica.

Steffi obrócił się na siedzeniu i spojrzał na mnie przejrzystymi współczującymi oczami. Uśmiechnął się i skinął energicznie głową, w górę i w dół, w górę i w dół, jak porcelanowy mandaryn. Skarcił mnie z płacziwą cierpliwością.

— Matucci, braciszku, to jasne jak słońce, że nigdy nie byłeś żonaty. Co wiesz o tej kobiecie? Pisz piękne listy miłosne do zastraszonego rajfura, który służy jej mężowi za naganiacza. Robi mężowi świństwa podczas prośzonej kolacji. Która żona tego nie robi? Szkoda, że nie słyszałeś mojej, kiedy rozleję sos na krawat albo rzucę jakąś uwagę o jednej z tych ślicznotek, które są u niej modelkami. Poza tym jej przyjaciółka powiedziała, że Helena szaleje za tobą. Ajajaj! I na tę kartę stawiasz życie? Największy kłopot z wami, kawalerami, polega na tym, że nie słyszeliście ani słowa z tego, co mówi się między dzień dobry a dobranoc. Posłuchaj, braciszku. Patrz uważnie na jezdnię, przecież prowadzisz, i słuchaj, *co stary żonaty mężczyzna ma ci do powiedzenia*. Ta kobieta jest niespełna zmysłów. Gorzej, ona doskonale wie o tym i jest jej z tym dobrze. Potrzebuje męża, którego może kopać i którym może poniewierać. Jeśli facet jest w swoim zawodzie kimś, tym lepiej dla niej. To dodatkowy pieprzyk. Potrzebny jej jest kochanek tego samego pokroju. Pewnie, pisze do niego listy miłosne... lepsze nawet niż Petrarca! Ale obarczyła go dwójką dzieci, wynikiem letniej miłości, a biedny sukinsyn godzi się na tę sytuację, ponieważ jest tylko sukinsynem i cholernym małym stręczycielem...

— Wiem o tym wszystkim, Steffi, ale...

— Ale nie wiesz nic, Matucci. Patrz na jezdnię i pozwól mi dokończyć. Przychodzisz sobie tanecznym krokiem na przyjęcie, wystrojony jak tort urodzinowy. Jesteś nowy, jesteś mężczyzną. Jasne, że zainteresowała się tobą. Stanowisz wyzwanie, Helena musi dowieść, że potrafi cię oswoić, że będziesz jak inni jadł grzecznie z jej ręki. Helena ma coś, czego ty na gwałt potrzebujesz — nie mówmy nawet o tym, że to nie jest ta rzecz, którą ona pragnęłaby ci dać — i ona każe ci błagać o to, położy cię do łóżka po to tylko, żebyś widział, kto trzyma bat... Jeśli ci się nie podoba, możesz się z tym nie zgadzać, ale właśnie tak odczytuję Helenę Leporello.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, Steffi, to nie rozwiązuje mojego problemu. Ona ma coś, co jest mi potrzebne. Jak to coś zdobyć?

— Pierwsze pytanie. Gdzie ona ma to coś?

— Nie wiem.

— Drugie pytanie: z kim to coś dzieli?

— Nie rozumiem.

— Kobieta tego rodzaju mająca wspaniałą brudną historię i ilustrującą tę historyjkę obrazki!... Myślisz, że trzyma to tylko dla siebie? Nigdy! Musi komuś o tym powiedzieć. Kto więc jest jej błaznem?

— Laura Balestra?

— Możliwe. Prawdopodobne. Co o niej wiesz?

— Niewiele. Mówiono mi, że jest bogata. Wiem, że nie jest zamężna.

— Ile ma lat?

— Och, trzydzieści... trzydzieści pięć.

— Co jeszcze?

— Jest zabawna, lubi flirtować i, jak przypuszczam, lubi popić, więc nie musi mówić „tak” i zawsze może mieć za złe, jeśli rano znajdzie się w łóżku, które jej nie odpowiada. Jest prawie dziewczyną, prawie zakochaną, prawie zaręczoną, prawie na pewno nigdy nie wyjdzie za mąż.

— Robi wrażenie kandydatki do skandalu... Matucci, czy ty zawsze prowadzisz wóz w ten sposób? Wiesz, że cierpię na niestrawność. Daj pożyć, daj radować się czekającą na nas kolacją.

— No więc, Laura wie, gdzie ukryto dokumenty. Mówi mi o tym i co dalej?

— Dalej, braciszku, masz bicz. Grozisz damie. Jeśli nie odda materiałów, powiesz mężowi, że je ma.

— Nie, Steffi, z tego nic nie będzie.

— Mówię ci. Nigdy nie zrozumiesz kobiet... zanim jedna z nich nie stanie się twoją żoną, ale wtedy i tak będzie już za późno.

— Pozwól się zastanowić.

— Skoro już o tym myślisz, proponuję ci mały zakład. Dziesięć tysięcy przeciwko tysiącowi, że dama nie pokaże się jutro w Bibliotece Ambroziańskiej.

— Dobra! A co sobie wymyśliłeś na kolację?

— Najpierw chciałbym wypić koktajl bacardi w towarzystwie rudej...

Miał swojego bacardi w barze Harry'ego. Miał swoją rudą: ale Gisella Pestalozzi to było za dużo nawet dla zgrubiałego podniebienia Steffi'ego. Jej pojawienie się znokautowało go, jej sprośne dowcipy wprawiły w idiotyczne zmieszanie, tak że przez całą kolację bałem się, że nie wytrzyma i schowa się pod stołem. Jednakże mieszkanie, które nam wskazała, było perłą: wejście frontowe ze spokojnej alei, wyjście tylne prowadzące prosto do łodzi i okno na poddaszu, z którego można wyjść na dachy i chodzić nimi, dopóki dachówki wytrzymają ciężar człowieka. Ogrzewanie bardziej niż wystarczające, telefon działał, w meblach ani śladu robaków, a bielizna świeżo wyprana. Przy pierwszym spotkaniu zażądała dwustu tysięcy miesięcznie. Dobiliśmy targu na sto pięćdziesiąt. Żadnej kaucji; nazwisko Salamandry wystarczyło obu stronom za gwarancję. Zapłaciłem dwumiesięczne komorne z góry. Podała mi klucze i gratis już pewną radę:

— Jeśli będzie potrzebna łódź, zadzwoń do mnie. Jeśli zechcesz przekupić policjanta, porozum się najpierw ze mną. Jeśli masz kłopoty, trzymaj się z daleka od baru Harry'ego i korzystaj z telefonu. Falszywe dokumenty dostarczam w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Kosztuje to taniej, jeśli usługa nie

jest ekspresowa. Żadnych hulank. Żadnych burd. Dyskredytowałyby to moje dziewczęta... Ty zaś, starcze, nie wstydz się. Widziałam już, jak osiemdziesięcioletni kaleka odrzucał szczudła...

Wyszła z brzękiem świecidełek i podrzutem swoich niesłychanych włosów. Steffi opadł na krzesło i wybelkotał:

— O Boże! Ta kobieta przyszła prosto z muzeum figur woskowych!... Rzeczywiście bezpieczna meta! Z takim potworem bezpieczniejszy byłbyś w rzeźni. Ale po co ci to mieszkanie?

— Nie śmieć się, Steffi. Jutro ty możesz znaleźć się w mojej sytuacji.

Następnego ranka o dziesiątej w szoferskim kaszkiecie i kombinezonie wytłuszczonym smarami dłużałem pod karłowatym fiatem, sześćdziesiąt metrów od wejścia do Biblioteki Ambrożyńskiej. Silnik samochodu był oczywiście w porządku; ale skręcałem się ze zdenerwowania, mając właściwie nadzieję, że Steffi wygra swój zakład i ze spokojnym sumieniem będę mógł rzucić to wszystko w diabły. O dziesiątej piętnaście Steffi przeszedł wzdłuż ulicy, rozglądając się po świecie niby emerytowany profesor, który potrafi rozszyfrować piętnastowieczną kursywę lub postanowił podjąć dyskusję nad kształtem swojego czarnego kapelusza. Pogwizdywał *Wzgórza w kwiatach*, co, jeśli byłbym w stanie rozpoznać melodię, miało oznaczać, że na razie nie widać na horyzoncie żadnych poliziotti.

O dziesiątej dwadzieścia pięć przyjechała białą lanią Helena Leporello. Była sama, co stanowiło jeszcze jeden dobry znak. Zamknęła samochód, włożyła klucze do torebki i nie oglądając się weszła do biblioteki, spokojna i obojętna jak każda mediolańska dama dokonująca porannych zakupów. Wyprostowałem się, wytarłem ręce w szmatę, zapaliłem papierosa i rozejrzałem się po ulicy w jedną i drugą stronę od wejścia. Normalny ruch pieszych. Żadnych podejrzanych włóczęgów, żadnego skupiska samochodów lub ludzi, co wskazywać by mogło, że zaraz nastąpi aresztowanie niebezpiecznego osobnika. Ebbene! Nie miałem nic do roboty poza czekaniem, a czekanie mogło być długie, jako że przeglądanie *Wergiliusza* Petrarcki to jedna z najpoważniejszych ceremonii w Bibliotece Ambrożyńskiej.

Tom jest opasły. Sam główny kustosz musi wydać upoważnienie. Czujny i pełen szacunku pracownik musi stać przy tobie, kiedy przewracasz stronicie iluminowane przez Simone Martiniego ze Sieny. Jeśli nie możesz odczytać inskrypcji wykonanej ręką samego poety, pracownik ci ją przetłumaczy:

„Laura, w blasku wszystkich swoich jaśniejących cnót, tak długo sławiona w moich wierszach, po raz pierwszy ukazała się moim oczom u zarania mych lat męskich, w szóstym dniu miesiąca kwietnia roku pańskiego 1327, wczesnym rankiem w kościele Świętej Klary w Awinionie...”

Zawsze miałem sentyment do ceremonii. Kiedy jeszcze zajmowałem się oprowadzaniem turystów, spostrzegłem, że czytanie Petrarki w oryginalne czyni cuda, jeśli chodzi o wrażliwe młode niewiasty. W tej chwili, zniecierpliwiony i spocony ze zdenerwowania, przeklinałem własną głupotę. Wyrzuciłem papierosa, zamknąłem pokrywę silnika i wsiadłem do samochodu, żeby patrzeć w lusterku wstecznym na wejście.

O dziesiątej pięćdziesiąt pięć Steffi wyszedł razem z panią Leporello z biblioteki. Wsiadli do lancii i odjechali. Jechałem za nimi, patrząc, czy jakiś samochód nie śledzi naszej kawalkady. W pełnym zgiełku ruchu ulicznym trudno się było zorientować w czymkolwiek, nawet czy sam jestem przy zdrowych zmysłach. Widziałem, albo wydawało mi się, że widzę, dwa samochody, które jechały za nami, ale oba wkrótce skrzyły. Kiedy znaleźliśmy się na autostradzie, zwolniłem, pozwalając innym samochodom wcisnąć się między mnie a lancję; ale po minięciu skrzytu na Weronę byłem prawie zupełnie pewien, że nikt za nami nie jedzie. Za Padwą upewniłem się całkowicie. Pozwoliłem się więc znacznie wyprzedzić na szosie do Mestre. Steffi miał jechać do Wenecji, kupić pani Leporello kanapkę na placu Świętego Marka i ulotnić się, kiedy ja przyjadę. Miał pójść do naszej mety i czekać na mnie. Helena Leporello sama wróci do Mediolanu. Miałem nadzieję, że cała ta strategia upewni ją, że wyjechałem z Mediolanu i zamelinowałem się gdzieś w mieście dożów.

Pojechałem prosto do domu, umyłem się i doprowadziłem do porządku, włożyłem spodnie i zielony sweter, a następnie pomaszerowałem na plac Świętego Marka. Steffi zobaczył, że idę, i odszedł, zanim zbliżyłem się do stolika. Helena Leporello powitała mnie lodowato:

— Mam nadzieję, pułkowniku, że w tym ponurym scenariuszu, jaki pan przygotował, jest jakiś sens.

— Mam nadzieję, signora, że pomoże mi pani nadać temu wszystkiemu sens. Czy słyszała coś pani o kapitanie Roditim?

— Ani słowa.

— Czy mąż pani wie, gdzie znajduje się Roditi?

— Nie. Cały zespół agentów pracuje nad tym dzień i noc. Mąż twierdzi, że wie, co stało się w mieszkaniu Roditego. Zmusił go pan do podpisania fałszywych oskarżeń, a następnie zabił albo porwał.

— A skąd o tym wie?

— Od notariusza, który poświadczał dokument w mieszkaniu Matteo. Został aresztowany i podpisał odpowiednie zeznanie.

— Czy mąż pani widział dokument podpisany przez Roditego?

— Tego nie powiedział.

— Więc skąd wie, że jest fałszywy i że zawarte są w nim oskarżenia?

— Oczywiście powiedział mu o tym notariusz.

— Notariusz nie czytał dokumentu. Przystawił jedynie pieczętkę i złożył podpis.

- Ale ten dokument istnieje?
- Tak.
- Czy jest obciążający?
- Tak, ale nie fałszywy. Czy chciałaby pani go zobaczyć?
- Tak, proszę.

Podałem pani Leporello kopię wyznania Roditiego i przyglądałem się jej uważnie, kiedy czytała. Jej twarz zbladła. Drżała i przez moment obawiałem się, że zemdleje. Chciałem ją podtrzymać, ale gestem kazała mi cofnąć rękę i czytała dalej. Zanim skończyła, odzyskała całkowicie kontrolę nad sobą i to nagle opanowanie uczuć było przerażające. Złożyła starannie dokument i oddała. Spojrzała następnie na mnie zimno i z pogardą.

- To stek kłamstw, pułkownika, potwornych, obrzydliwych kłamstw.
- To charakter pisma Roditiego.
- Ale pan mu dyktował, co ma pisać; notariusz wszystko słyszał w sypialni.
- Dyktowałem po wypytaniu Roditiego. Czy to także słyszał?
- Słyszał pańskie groźby, musiał słyszeć także resztę.
- Jest pani pewna, signora, że wszystko jest fałszywe?
- Każde słowo.
- Zatem pani i Roditi nie byliście kochankami?
- Oczywiście nie.
- Czytałem pani listy, signora. I widziałem podpisaną przez panią fotografię. Roditi trzymał ją w szufladzie toalety.
- Nie, pułkownika. Nie ma żadnych listów.
- Ma pani na myśli, że zostały zabrane na rozkaz męża. Nie wszystkie. Jeden z nich mam w kieszeni. Mogę pani powiedzieć, że zdjęcie zostało zrobione w Bolonii, u Donatiego. Wykonał dla mnie dodatkową odbitkę... Proszę pozwolić, że powiem coś jeszcze. Roditi, pani kochanek, był przyjacielem Giuseppe Balba, który został zabity kilka dni temu przez policję. Widziałem ich razem w „Alcybiadesie”. Nie, signora. Ten dokument mówi prawdę. Ja też mówię prawdę. To pani kłamie. Dlaczego? Boi się pani męża? Tego, co może zrobić z dziećmi?
- Nie, pułkownika.
- Proszę więc mnie wysłuchać. Roditi powiedział, że ma pani materiały, fotografie i taśmy magnetofonowe, które potwierdzają wszystkie oskarżenia wysunięte przeciwko pani mężowi w zeznaniach Roditiego.
- Nie mam tego rodzaju materiałów, pułkownika.
- Ale jeśli pani listy cokolwiek znaczą, kochała pani Roditiego. On kochał panią także. Powiedział mi to.
- Stara miłość nic obecnie nie znaczy, pułkownika.
- Powiedział także, że taśmy i fotografie stanowią jedyne pani zabezpieczenie przeciwko mężowi.

— Nie mam tego rodzaju materiałów. I zabezpieczenie nie jest mi potrzebne.

— Dlaczego? Bo Roditi nie żyje?

— Pan to powiedział, nie ja.

— Czy też dlatego, że jego zeznanie zostało obalone, a mąż pani zaniechał na razie swoich sztuczek... Co z panią? Jaka pani właściwie jest?

— Powiem panu, jaką kobietą jestem, pułkowniku. Jeśli mój mąż jest dostatecznie sprytny, żeby poradzić sobie z całą tą sytuacją, to jest także dostatecznie sprytny, żeby wspiąć się na sam szczyt. Ja też chcę się tam znaleźć. Jeśli mężowi się nie uda... Cóż, jest jeszcze przede mną całe życie.

— Może pani rozstrzygnąć tę sprawę już teraz, signora. Niedaleko stoi policjant, a przy wejściu do katedry dwaj karabinierzy. Niech pani ich wezwie. Niech pani powie, kim jestem. Aresztują mnie.

— Nie, drogi pułkowniku, nie jestem całkowicie pewna, do jakiego stopnia jest pan sprytny i czy jest pan godnym przeciwnikiem dla mojego męża. To gra, nie widzi pan tego? Jestem widzem znajdującym się w uprzywilejowanej sytuacji. Siedzę sobie i patrzę. Mogę również spędzić z panem godzinę w łóżku, jeśli jest pan tym zainteresowany, a pańskie mieszkanie niezbyt daleko. Nie? Może innym razem. Jestem znacznie lepsza niż Laura... A propos, słyszał pan, co się z nią stało?

— Co?

— Wpadła na drzewo. Zadużo pije, sam pan wie. Ostrzegałam ją tyle razy; ostrzegał ją również mąż.

— Czy to poważny wypadek?

— Doktorzy sądzą, że wyżyje, ale pewnie będzie wegetować jak roślina... Szkoda! Taka ładna dziewczyna! Do widzenia, pułkowniku.

Podawała mi rękę, nie zdobyłem się na to, żeby ją uścisnąć. Nie byłem nawet w stanie uklonąć się, kiedy odchodziła. Siedziałem i patrzyłem, jak idzie przez plac z podniesioną głową, kołysząc biodrami, beztroska jak dziewczyna, która wyszła się przejść. Gołębie wbiły się chmarą w powietrze, kiedy przechodziła, a kelner, licząc pieniądze, westchnął żałośnie, że tyle kobiecości się marnuje. Był wenejaninem, ale zapomniał cynicznej mądrości swoich przodków. Kiedy wysyłali za granicę posła, pozwalali mu zabrać ze sobą kucharza. Ale żonę musiał zostawić w domu.

Porażka, klęska i żadnego wyjścia. Steffi podsumował sytuację w dosadnych słowach pożegnalnych:

— Szach i mat! Nie masz dokąd iść, braciszku. Ostatnia nadzieja — bardzo wątpliwa — to depozyt w banku. Chciałbym ci pomóc. Nie mogę. Wracam do Rzymu. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, dzwoń. Ale przyjmij radę.

Znikaj stąd, jedź do Szwajcarii, do swojej dziewczyny. Niech Manzini martwi się dalej. Tutaj jesteś w pułapce. Gorzej, znalazłeś się w próżni, a to demoralizuje. Znasz system. Unieruchomili cię. Wystarczy, że będą czekać. Wcześniej czy później popełnisz drobny błąd i oni tylko zamkną pułapkę. Lubię cię, Matucci — Bóg jeden wie, dlaczego, bo przez ciebie mam same zmartwienia oraz wrzód w żołądku! Nie chcę patrzeć, jak cię wykańczają, nie pozostawiając szansy na osiągnięcie wieku dojrzałości umysłowej...

Kiedy wyszedł, zadzwoniłem do Manziniego, który był równie posepny. Oznajmił, że zastanawiał się nad kampanią prasową, żeby trochę poruszyć mulistą wodę, ale ryzyko jest za duże, ryzyko oskarżenia o zniesławienie, ryzyko, że powołają się na stare prawo, żeby powstrzymać publikację, ryzyko, że lękliwych przyjaciół z Kwirynału można stracić wskutek przystąpienia do działania w nieodpowiednim momencie, ryzyko sprowokowania publicznego zamętu. On także sugerował, żebym wyjechał do Szwajcarii. Robił wrażenie zmęczonego i przybitego, tak że zacząłem zastanawiać się nad stanem jego zdrowia.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, nagle nastąpiło gwałtowne odreagowanie. Kłamię, bluźnię i miotałem się po mieszkaniu, ogarnięty szałem bezsilności. Nie do wiary, że mając tyle dowodów, nic jesteśmy w stanie nic zrobić. Było rzeczą potworną, że jeden człowiek może manipulować ramieniem sprawiedliwości, by uczynić z niego narzędzie zbrodni. Czułem wstyd, że taki sukinsyn jak Leporello robi ze mnie człowieka ściganego, a ta dziwka, jego żona, zanoszą się śmiechem i proponuje mi łóżko. Kielich goryczy przepełniło to, że byłem tu w pustym domu, nie mając nic do jedzenia ani picia i nagle bojąc się wystawić nos na zewnątrz. Niech to wszyscy diabli! Nie jestem przestępcą. Dlaczego więc mam się zachowywać jak przestępca. Do diabła z całą tą cholerną zgrają! Wytrwam!

...W jaki sposób zamierzałem wytrwać, to już inna sprawa. Musiałem przemyśleć sprawę siedząc nad talerzem i butelką wina. Nie zadbałem o to, żeby zmienić swoje przyzwyczajenia. Poszedłem wzdłuż Calle dei Fabbri i znalazłem miejsce, gdzie jedzenie miało przyjemny zapach, a kelner był przyjazny ludziom. Wieczór był balsamiczny, więc usiadłem na zewnątrz, żeby patrzeć na weneckie dziewczyny, które mają więcej ciała, niż przedstawił to niegdyś Tycjan. Zamówiłem risotto, frutti di mare i butelkę barolo. Był to dobry posiłek i smakowałem go z rozkoszą. Siedziałem swobodny i zadowolony nad kawą, kiedy dwaj karabinierzy zdjęli mnie jak pomarańczę ze straganu i zawieźli do Kwestury.

Byli bardzo uprzejmi. Zaoszczędzili mi zwykłej policyjnej procedury i zaprowadzili prosto do komendanta. Komendant spojrział na moje dokumenty i zapytał, czy rzeczywiście jestem osobą w nich opisaną: Aldo Camera, agent

handlowy. Zapewniłem, że tak. Zapytałem o powód aresztowania. Zapewnił mnie, że nie ma żadnego powodu. Chodzi po prostu o zielony sweter. Czy byłem dziś po południu na placu Świętego Marka? Byłem. „Ach, to wyjaśnia wszystko.”

Nic mi to nie powiedziało i poprosiłem, by wyjaśniono mi, co osobliwego jest w zielonym swetrze. Przyznał, że nie ma w nim nic osobliwego, poza tym że on sam osobiście nie przepada za kolorem zielonym. Jednakże... o trzeciej po południu jakaś kobieta, która odmówiła podania swojego nazwiska, zadzwoniła do Kwestury z informacją, że zidentyfikowała mężczyznę noszącego taki właśnie sweter jako Dantego Alighieri Matucciego, poszukiwanego w Mediolanie w związku z toczącym się śledztwem. Widziała jego zdjęcie w gazetach.

Komendant wiedział o sprawie Matucciego; wiedział również, że jest to sprawa związana z polityką, do której sam osobiście wolałby się nie mieszać. Rozumie, że funkcjonariusz tajnej służby używa często fałszywych dokumentów. Tak więc, jeśli rzeczywiście jestem pułkownikiem Matucci, sprawa tych papierów zostanie szybko zatuszowana. Następnie wydobyl moją fotografię i odciski palców przysłane z Rzymu. Uśmiechnąłem się, on uśmiechnął się także i obaj doszliśmy do porozumienia, że po prostu nie poszczęściło mi się w mojej grze.

Poczęstował mnie kawą. Zapytałem, czy mogę zadzwonić. Uśmiechnął się znowu i pokazał rozkaz mówiący, iż w przypadku zatrzymania pułkownika Dante Alighieri Matucciego należy uniemożliwić mu komunikowanie się ze światem zewnętrznym, zgodnie z instrukcjami nadesłanymi z mediolańskiej komendy. Za chwilę zadzwoni do Mediolanu. Jest mu przykro, że musi tak postępować ze swoim starszym kolegą. Ma nadzieję, że rozumiem, że nie ma w tym żadnych jego osobistych spraw. Prosi, żebym rozgościł się, zanim wróci.

Przymrużył oko tak wymownie, jakby dawał znak ślepemu słoniowi, skorzystałem więc z jego telefonu, poprosiłem o połączenie z centralą międzymiastową i wykręciłem prywatny numer Manziniego. Nie było go w domu. Telefon odebrał lokaj. Przekazałem mu wiadomość. Byłem rozczarowany, ale tak czy inaczej Manzini dowie się jednak, co się ze mną stało. Była też inna maleńka pociecha. Chirurg nie żył i zostanie mi oszczędzona jego czuła opieka.

Komendant długo nie wracał. Kiedy w końcu się zjawił, był poważny i zaaferowany. Oznajmił, że od tej chwili jestem formalnie aresztowany, muszę więc oddać wszystkie rzeczy osobiste, na które dostanę pokwitowanie. Polecono mu przetrzymać mnie przez noc w Kwesturze, a rano odesłać do Mediolanu.

Brigadiere odprowadził mnie do celi. Jakies piętnaście minut później wrócił w towarzystwie strażnika i typa w białym kitlu niosącego przykryte ręcznikami pudełko ze strzykawkami. Przedstawił się jako lekarz policyjny i polecił mi podwinąć rękaw. Oznajmił, że da mi środek uspokajający. Protestowałem

energicznie przeciwko naruszeniu moich praw oraz mojej osoby. Lekarz wyraził przekonanie, że prościej będzie, jeśli nie będę stawiał oporu, gdyż w przeciwnym wypadku będzie zmuszony użyć przemocy. Zrobiłem, co mi kazano. Podwinąłem rękaw i zacisnąłem opaskę. Zacisnąłem również pięść i wyciągnąłem rękę gotową do zastrzyku. Skrzywiłem się przy ukłuciu i zacząłem liczyć raz-dwa-trzy...
I wszystkie światła zgasły.

Księga trzecia

Wszystko to zmieniliśmy.
Moliere Lekarz mimo woli

Obudziłem się — albo tylko śniłem, że się obudziłem — wśród absolutnych ciemności i w absolutnej ciszy. Unosiłem się — lub śniłem, że się unoszę — w nieokreślonej przestrzeni w ponadczasowym obszarze. Nie było mi smutno, nie byłem zadowolony, nie czułem żadnego bólu, po prostu istniałem. Najpierw to wystarczało: unoszenie się w powietrzu, sny i zwykły fakt istnienia. Potem doszło poczucie obcości, z początku słabe, potem coraz bardziej wyraziste. Czegoś brakowało. Ale nie umiałem tego zdefiniować. Niczego nie umiałem zdefiniować. Mój umysł był obłokiem mgły. Bezręki, oślepy szedłem poprzez nicłość.

Mgła rozpływała się stopniowo pasmami i wirami. Powoli, z przerwami, zacząłem gromadzić rozrzucone cząstki mojego ja. Kciuk poczuł dotyk palca wskazującego. Język dotknął podniebienia. Powieki zaczęły mrugać. Gdzieś daleko, we mgle, moje stopy otarły się o siebie. Wtedy cząstki stały się całością i dotarła do mnie świadomość, że moje ciało i ja stanowimy jedno. Mogłem unieść rękę — obie ręce — i wodzić nimi po ciele, ramionach, piersiach, brzuchu i genitaliach. Istniałem. Leżałem nagi na twardej, płaskiej powierzchni, cieplej przy dotyku.

Potem ogarnęła mnie panika. Zostałem pogrzebany żywcem. Byłem ślepy, byłem głuchy, byłem niemy. Kiedy krzyknąłem, żaden dźwięk nie wydobył się z mojego spieczonego, skurczonego gardła. Strach oblepił mi ciało potem i sprawił, że skuliłem się jak płód w łonie matki, chroniący s*ię przed przerażeniem i nicością. Panika rosła i opadała bez końca jak fale na plaży, ale powoli ustępowała miejsca stałemu poczuciu zagrożenia. Dzięki Bogu, nie było to już szaleństwo. Mgła wokół mojego mózgu składała się teraz z macek i pajęczyn, ale wiedziałem jednak, że mam mózg i muszę zacząć jakoś się nim posługiwać.

Najpierw nakazałem ciału, żeby rozprostowało się, i ciało, choć niechętnie, wykonało polecenie. Potem poprosiłem palce, żeby zbadały najbliższe otoczenie. Płyta, na której leżałem, robiła wrażenie marmuru albo wypolerowanego kamienia. Kończyła się po obu stronach w odległości kilku centymetrów od ciała, ponad nią zaś i dokoła była pusta przestrzeń. Poniżej palce napotkały ziemię, gołą, chropowatą w dotyku. Ziemia była zimniejsza niż płyta. Jak

daleko sięgała, nie miałem pojęcia. Wystarczy, że znalazłem punkt zaczepienia w rzeczywistości.

Teraz muszę podjąć poszukiwania mojego wewnętrznego ja, macając za punktami zaczepienia w czasie i sworzniami w pamięci. To było trudniejsze. W mojej czaszce mieścił się kalejdoskop wytwarzający wzory, które zaraz się rozsypywały, potem układały w inny sposób, by wreszcie rozpuścić się w jednobarwną ciecz. Niosła mnie fala paniki, zapadałem się w otchłań rozpaczy, waliłem w zagłębienie fali, a potem znowu unosiłem się na powierzchni.

Wreszcie jeden obraz zatrzymał się, jeden sworzeń utkwił nieruchomo: kobieta idąca w chmarze gołębi, mężczyzna w zielonym swetrze siedzący przy stoliku i patrzący na nią. Stąd mogę ruszyć do przodu. Mogę się cofnąć. Spozrzegłem, że łkam cicho w ciemności. Łzy niosły ulgę. Rozlewały się niby oliwa na wodzie paniki. Kiedy płyną, wiem, że ciągle jeszcze jestem człowiekiem. Wiedziałem i wiedziałem, że wiedziałem, co przydarzyło mi się i co stanie się już wkrótce.

Jeśli zwiedzisz muzea całego świata, zobaczysz ogromną różnorodność narzędzi tortur: koła tortur, śruby do ściskania palców, bicz z kolcami, żelazne dziewice, cęgi, żelaza do piętnowania, urządzenia do elektrowstrząsów. Ale nigdy nie zobaczysz najpotężniejszych instrumentów. Są nimi ciemność i cisza. Każda z tych rzeczy jest nieobecnością, negacją. Ciemność jest negacją światła. Cisza jest negacją dźwięków. Zło — powiada święty Tomasz z Akwinu — to nieobecność dobra. Mój imiennik Dante Alighieri napisał poemat o piekle, który stał się klasyczną pozycją literatury światowej. Gotów jestem teraz świadczyć, że nie miał pojęcia, o czym mówi. Piekło to po prostu ciemna i niema przestrzeń. Potępienie to zamknięcie w niej — samotne.

Pozwól, że to wyjaśnię. Muszę. Jeśli nadejdzie dzień tyranów, ty też będziesz musiał tę rzecz zrozumieć. Czy znasz słowo „parametr”? Wiele osób używa go, zbyt mało pojmuje jego znaczenie i wagę. Słownik definiuje je jako „wielkość, którą przyjmuje się za stałą w danej sytuacji, ale odmienną od innych wielkości”. Przyznaj: ta definicja oznacza dla ciebie niewiele, może zgoła nic. Ale przypuśćmy, że pewnego wieczoru zasypiasz, a kiedy budzisz się rano, dzwonnica albo dąb, który zawsze widziałeś w oknie, już się tam nie znajduje. Powiedzmy, że otworzyłeś drzwi do kuchni, a znalazłeś się w ogrodzie pełnym róż. Zniknęłyby stałe wielkości w twoim życiu. Byłbyś zagubiony. Powiedziałbyś: nie wiem, gdzie jestem. Gdyby te zmiany trwały dzień po dniu, stałbyś się ofiarą ich niestałości. Powiedziałbyś w końcu: nie wiem, kim jestem.

Ale przypuśćmy... przypuśćmy, że nagle przepadły wszystkie stałe: płot i kuchnia, i wschód słońca, i zachód słońca, i słońce, i księżyc, i gwiazdy, i nawet światło?... Przypuśćmy, że usunięte zostało także to wszystko, co niestałe, samochody na ulicach, gołębie w ogrodzie warzywnym, kapiący kran, przepływające chmury, wiatr, odgłos deszczu, zabłąkane ludzkie głosy?... Wtedy byłbyś nieodwołalnie potępiony.

To właśnie dzieje się, kiedy się zamknie człowieka w ciemnej i niemej przestrzeni. Nie ma nic, w stosunku do czego mógłby sam siebie zmierzyć, poza granicami podłogi, a monotonia tych wymiarów przyczynia się do tego, że popada w szaleństwo. Nie ma poczucia wysokości, poczucia czasu. Jest odcięty od przeszłości. Nie istnieje żadne oczekiwanie na przyszłość. Jego teraźniejszość to ciemność i cisza. Nie znajduje rozrywki w najdrobniejszej choćby rzeczy — nie ma muchy bzyczącej na szybie, nie ma mrówki maszerującej po podłodze, nie ma pyłu wirującego w promieniach słońca. Jedynym punktem odniesienia są kontury własnego ciała, stałe kontury ścian, podłogi i legowiska oraz mały świat pamięci wewnątrz czaszki. A to za mało, o wiele za mało, żeby wytrwał przy zdrowych zmysłach.

Mogę ci powiedzieć, co się dzieje, bo stało się to właśnie ze mną. To było zaplanowane. Było wymyślone, było narzucone jako najsubtelniejszy odwet, jaki jeden człowiek może wziąć na innym... Jesteś samotny w tym ciemnym i milczącym „nigdzie”. Mówisz sobie: wiem, kim jestem. Wiem, co chcą mi zrobić. Nie dopuszczę do tego. Wycofam się do wnętrza mojej czaszki i będę tam żył karmiąc się pamięcią, nadzieją, wiarą i miłością, tym kapitałem całego życia. Będę się trzymał kurczowo faktów, które znam: że to „nigdzie” jest w istocie „gdzieś”, że na zewnątrz są istoty ludzkie, zwierzęta i solidne, namacalne rzeczy. Wiem, że będą musieli mnie karmić, a przynajmniej dawać coś do picia. Ten wieczny bezruch jest równie niemożliwy, jak wieczny ruch. Coś musi prędzej czy później pęknąć, po co w przeciwnym wypadku zadawaliby sobie cały trud, żeby mnie dręczyć? Ktoś przyjdzie, choćby po to, żeby napawać się moim widokiem. W przeciwnym razie prościej byłoby wpakować mi kulę w łeb i rzucić mnie do rowu.

...Akurat! To złudzenie. Nikt nie przychodzi. Cisza i ciemność pozostają nie naruszone. Przy pierwszym spacerze przy ścianach odkrywasz, że zostawili trzy plastikowe naczynia z wodą, której wystarczy, żeby utrzymać cię bardzo, bardzo długo przy życiu. Odkrywasz też inne rzeczy. Świat wewnątrz twojej czaszki szybko popada w zamęt. Szukasz jakiegoś wspomnienia, a pojawiają się inne. Obrazy rozbłyskują i nie jesteś w stanie ich zogniskować. Zawierzasz nadziei, a walisz się w szlochającą rozpacz. Próbujesz się modlić, a stwierdzasz, że przeklinasz. Recytujesz wiersze i słyszysz, że bełkoczesz nonsensy. Po trzech dniach, chociaż od dawna zapomniałeś, czy jest czas, stale masz halucynacje i jeśli by nawet ktoś przyszedł, nie wiedziałbyś, czy jest istotą rzeczywistą, czy nie.

Na tym, widzisz, polega cała sztuczka. Przychodzą, ale ty o tym nie wiesz. Zbierają cię z podłogi i pompują ci barbituraty, żebyś nadal miał halucynacje. Wstrzykują ci wystarczającą ilość glukozy w żyły, żeby utrzymać cię przy życiu, i karmią cię nowymi lekami, by doprowadzić coraz bliżej do otchłani trwałego obłądzenia. Dowiedziałem się później, że spędziłem tam piętnaście dni. Kiedy mnie wyprowadzili, byłem przez jakiś czas ślepy, głuchy i bezwładny

ruchowo, powłóczyłem nogami jak zwierzę, byłem zarośnięty i umazany własnymi odchodami. Podano mi mocne środki uspokajające i zapadłem na czterdzieści osiem godzin w głęboki sen, a kiedy się z niego wydobyłem, byłem pewny, że umarłem i przez jakiś kosmiczny cud znalazłem się w raju.

Światło było tak gwałtowne, że mogłem je znieść tylko przez moment, a potem musiałem zamknąć oczy. Na stole stały kwiaty. Pamiętam, że były to irysy, niebieskie, żółte i śliwkowopurpurowe. Ilekroć otwierałem oczy, w pokoju znajdowała się ładna pielęgniarka. Czasami stała przy łóżku, czasem siedziała w fotelu czytając. Przez jakiś czas myślałem, że to Liii, ale później, kiedy mogłem się już trochę skoncentrować, powiedziała, że ma na imię Claudia i że byłem bardzo chory, ale teraz jest już coraz lepiej.

Kiedy tylko światło dzienne zaczynało słabnąć, ogarniał mnie niepokój i wzburzenie, i przerażenie, że zgaśnie całkowicie. Ale nigdy nie zgasło. Zawsze przychodziła inna pielęgniarka i zapalała lampy, a kiedy spałem, zawsze paliło się małe światełko. Nocna pielęgniarka nie była taka ładna jak Claudia, ale była bardzo łagodna i życzliwa. Była też bardzo cierpliwa. Czasem mówiłem i mówiłem, aż sam nie potrafiłem przestać. Kiedy indziej byłem ponury i milczący, wpatrywałem się w mały krążek światła na suficie, nienawidząc siebie samego, nienawidząc wszystkiego, niezdolny odmienić nieustannego i przerażającego nurtu moich myśli. Kiedy mówiłem, słuchała. Kiedy milczałem, mówiła ona, i był to spokojny strumyk łagodnej i pozbawionej znaczenia paplaniny, która kołysała mnie w końcu do drzemki.

Lekarz codziennie przychodził mnie badać i rozmawialiśmy o mojej chorobie, która, jak powiedział, polega na rozbiciu funkcji psychicznych, a związana jest z pobytem w więzieniu. To wyleczy się samo, powiedział. Wszystko, czego potrzebuję, to czas i cierpliwość, trochę środków uspokajających i najprostszej terapii: kontaktów z ludźmi. Jeszcze parę dni zupełnego odpoczynku i pozwoli mi spacerować po ogrodzie. Kiedy zapytałem go, gdzie jestem, wyjaśnił, że jestem w jego klinice, i na tym poprzestał.

Powiedziałem mu, że dręczą mnie koszmary senne. Skinął głową i oznajmił, że to także jest proces powrotu do zdrowia: podświadomość pracuje nad tym, żeby to, co nie do zniesienia, stało się do zniesienia. Powiedziałem mu, że mam trudności z pamięcią, że nie potrafię się skoncentrować nawet na jednej pokrytej drukiem stronie i że proces rozumowania nad najprostszym stwierdzeniem stanowi ogromny wysiłek. Wyjaśnił, że jest to naturalna odpowiedź obciążonego ponad wytrzymałość organizmu. Po prostu odmawia funkcjonowania, dopóki nie odpocznie i nie przygotowuje się. Kiedy zapytałem, czy nadal jestem aresztowany, uśmiechnął się i oświadczył, że jestem wolny, ale trzeba mnie przygotować do tego, bym cieszył się wolnością, którą mam.

Wszystko to było przyjemnie niewyraźne, ale stopniowo, pojedynczo ustaliły się nowe parametry i zacząłem znajdować pewniejsze punkty zaczepienia w otaczającej mnie rzeczywistości. Rzeczywistość odległa była nadal pozbawiona wyrazistości. Często myślałem o Liii, Manzinim i Steffim, ale nie byłem w stanie ani uchwycić ich obecności, ani żałować zbyt, że są nieobecni. Przyjdą tutaj albo ja udam się do nich w jakiejś bliskiej przyszłości, której nie potrzebowałem na razie określać dniami lub tygodniami. Całe moje poczucie czasu było nadal bardzo niepewne. Nigdy nie zapytałem o datę ani o porę dnia. Nieprzyjazne rzeczywistości, Leporello, jego żona, dyrektor, były tak niewyraźne, że prawie abstrakcyjne. W pewien sposób, którego nie potrafiłem na razie opisać, przeżyłem ich. Przeszedłem przez nich, jakby byli ścianą z papieru, i wyłoniłem się po drugiej stronie. Gdy spojrzałem za siebie, zobaczyłem tylko strzępy obrazów porwanych przez wiatr.

Kiedy po raz pierwszy pozwolili mi wstać, byłem zdumiony, że jestem tak słaby i tak niepewnie trzymam się na nogach. Miałem uszkodzony zmysł równowagi i czułem się jak statek przechylający się to w jedną, to w drugą stronę. Jeśli zbyt gwałtownie poruszyłem głowę, ogarniało mnie uczucie zawrotu. Pierwszy spacer do okna wyczerpał mnie zupełnie i wywołał drżenie. Nawet widok z okna był wstrząsem. W pierwszym momencie widziałem wszystko płasko. Potem nagle widok ustalił się, nabrał perspektywy.

Widziałem piękny taras z trzciniowymi fotelami i parasolami. Za nim trawnik przecięty grządką kwiatów, a dalej nieprzerwaną ścianę cyprysów, ciemnych na tle przejrzystego nieba. Był to widok przyjemny, ale nic mi nie mówiący. Żadnych ludzi, żadnych punktów orientacyjnych. Wkrótce poczułem się znużony i z zadowoleniem wróciłem do łóżka. Claudia otarła moje wilgotne czoło, poprawiła poduszki, dłonią zasłoniła oczy i powiedziała, żebym spał.

Kiedy obudziłem się, lampka nocna była zapalona, a w nogach łóżka stał Bruno Manzini. Podeszedł do mnie, ujął moją dłoń i długo trzymał ją w tym niemym geście powitania. Nagle, bez powodu, zacząłem płakać. Manzini wyjął chusteczkę z kieszonki marynarki i otarł moje policzki z łez. Potem usiadł na brzegu łóżka i mówił, aż wróciło mi opanowanie.

— ...To była ciężka droga, Dante. Ale przeżyłeś. Jeszcze dziesięć dni i wyjdiesz stąd. Zabiorę cię do domu, do Pedognany. Chcesz tego, prawda?

— Tak, chcę. Czuję się taki słaby i zagubiony. Nie wiem, co ze mną było.

— Twój umysł przeszedł przez piekło, mój przyjacielu. Trzeba czasu, żeby po czymś takim odzyskać siły.

— Tak przypuszczam. Gdzie jestem?

— W pobliżu Como. Mała klinika psychiatryczna. Finansowana przeze mnie... Och, nie martw się, jesteś zupełnie normalny; ale byłoby źle z tobą, gdyby potrzymali cię jeszcze trochę.

— Jak się tu dostałem?

— Przywiozłem cię. Potrzebowałem dziesięciu dni i wydałem masę pieniędzy na łapówki, zanim udało mi się odkryć, gdzie cię trzymają. Musiałem następnie uzyskać sądowy nakaz zwolnienia. Z tym było gorzej, ale jakoś udało się. Jesteś oczywiście zwolniony tymczasowo. Oskarżenie przeciwko tobie nie zostało wycofane.

— Nie mogę pojąć, dlaczego Leporello wypuścił mnie ze swych rąk.

— Był przekonany, że zostałeś bezpowrotnie złamany. A Ruch straciłby czek na znaczną sumę ode mnie. Generał nadal może postawić cię przed sądem. Na szczęście mamy teraz lekarskie świadectwo traktowania, jakiemu zostałeś poddany. I nie wydaje mi się, żeby w tej chwili chcieli doprowadzić do jego ujawnienia.

— Nie masz pojęcia, jak to jest... nie możesz mieć żadnego pojęcia...

— Masz to już za sobą, Dante. Koniec z tym. Jestem z ciebie dumny.

— Wszystko w rozsypce. Ja... ja nie potrafię tego scalić.

— Scaliłeś wszystko, zanim to się zdarzyło. Wszystko jest w naszych rękach. Twoje notatki dotyczące mikrofilmów, taśmy i fotografie z sejfu bankowego. Możemy teraz zniszczyć Leporella. A następnie dyrektora.

— Czy wiesz, co stało się z Roditim?

— Tak. Jest na bezterminowym urlopie zdrowotnym. Przeszedł to samo, co ty. Nie stanowi już niebezpieczeństwa dla Leporella i nikt nie może go już wykorzystać.

— Obawiam się, że ze mnie też nie będziesz miał wielkiego pożytku.

— Posłuchaj, Dante, i posłuchaj uważnie... Jesteś szczęściarzem, zbyt wielkim szczęściarzem, żeby się nad tobą litować. Nie możesz się poddać właśnie teraz. Nie poddasz się; bo jeśli się poddasz, dasz Leporellowi do ręki zwycięstwo i wszystko, co przeszedłeś, będzie zmarnowane. Poza tym kosztowałeś mnie ogromną sumę pieniędzy... No, człowieku! Byłem kiedyś tam, gdzie ty jesteś teraz. Pokonałem ciemny szczyt i osiągnąłem światło słońca po drugiej stronie. Ty także osiągniesz.

— Jestem taki zmęczony...

— Pomyśl, przyjacielu, o nienawiści. To bodziec najlepszy na świecie.

— To zbyt wielkie i zbyt skomplikowane. Jedyne, czego pragnę, to rzucić to wszystko i wyjechać.

— Odpoczywaj, nabieraj sił. Pomówimy o tym innym razem. Przyjadę znowu za kilka dni.

Byłem zadowolony, że poszedł. Chciałem litować się nad sobą. Zasługiwałem na odrobinę litości, a ten straszny stary człowiek był bez miłosierdzia. Będę mógł o nim zapomnieć. Później, kiedy wyzdrowieję, wyrzucę go z mego życia.

Nazajutrz byłem silniejszy i przez godzinę siedziałem na tarasie oglądając tygodniki zajmujące się skandalami. Następnego dnia wyszedłem na pierwszy obchód ogrodu i odkryłem, że mogę chodzić nie zataczając się i rozmawiać bez

uczucia niepewności i znużenia. Wieczorem oglądałem program kabaretowy w telewizji i zauważyłem, że śmieję się z dowcipów, wybijam takt i dziwię się, że moja pielęgniarka nie siedzi tutaj i nie dzieli ze mną tej zabawy.

Tej nocy po raz pierwszy nie podano mi środków uspokajających i przeko-dowałem się przez całą serię rozsypujących się snów, tak więc obudziłem się z zaczerwienionymi oczyma i rozdrażniony, ale ze świadomością, że pokonałem duży dystans w swojej wspinaczce na ciemną górę. Potem co rano schodziłem do ogrodu i przechadzałem się jak pogrążony w medytacji mnich od jednego końca trawnika do drugiego, nasiąkając słońcem i barwami kwiatów, wiedząc, że parametry trzymają się już mocno i z powrotem zaczynam być człowiekiem. Czytałem teraz słowo drukowane, kolorowe magazyny i lekkie powieści, których nigdy nie kończyłem, bo potrafiłem się skupić tylko przez godzinę. Przynoszono mi gazety, ale nie byłem w stanie zmusić się do tego, by do nich zajrzeć. Gazety to dzień dzisiejszy. Gazety to odpowiedzialność, której nie mogłem jeszcze wziąć na moje barki.

Potem przyjechał znowu Manzini. Przywiózł butelkę szampana, słoik świe-żutkiego kawioru i urządziliśmy sobie piknik na tarasie, a następnie spacerowaliśmy po ogrodzie. Pogodził się ze zmianami, jakie we mnie zaszły; ale ja miałem się na baczności. Nie chciałem, żeby zakłócił mój tak ciągle jeszcze nietrwały spokój. Nie zakłócił. Roztrzaskał jednym uderzeniem.

— Mam dla ciebie złe wiadomości, Dante. Liii Anders jest z powrotem we Włoszech. W rzymskim więzieniu Maddalena.

— Nie... to nie może być prawdą.

— A jednak jest. Wczoraj zadzwonił do mnie dyrektor, żeby podzielić się dobrą nowiną. Poprosił, żebym przekazał ją tobie.

— Ale dlaczego? W jaki sposób? Czy deportowano ją ze Szwajcarii?

— Wróciła dobrowolnie. Przekroczyła punkt graniczny na przełęczy Bren-ner i została aresztowana przez straż graniczną.

— Przecież to szaleństwo! Nic nie rozumiem!

— Zdaje się, że wezwałeś ją telegraficznie.

— W jaki sposób? Przez cztery tygodnie byłem niezdolny do jakiegokol-wiek działania.

— Tak twierdzi dyrektor. W telegramie zapewniałeś ją, że może bezpie-cznie wrócić. Miałeś spotkać się z nią w Bolzano i zorganizować bez zwłoki wszystko tak, żebyście mogli się pobrać. Miała telegram w torebce. Okazała go, kiedy policja znalazła jej nazwisko na czarnej liście i zaczęła przesłuchiwać.

— To musiała być pułapka!

— Oczywiście. Ale Liii dała się na to nabrać.

— Musimy ją wydostać!

— Jak? Zebrałeś dowody przeciwko niej. Sam przygotowałeś dossier. Roz-biłeś jej siatkę, wpakowałeś do więzienia jej szefa, Dziecioła. Trudno będzie zaprzeczyć własnym zeznaniom.

— Ale dyrektor obiecał, że pozwoli jej wyjechać!
— I pozwolił. Ale wróciła. Zaczęła od nielegalnego przekroczenia granicy.
— Matko Boska! Co za śmierdząca, brudna kombinacja! Muszę ją z tego wydobyć, Bruno!

— Nie jestem pewien, czy to rozsądne z twojej strony.
— Nie obchodzi mnie, czy to rozsądne, czy nie. Muszę to zrobić! Wracamy. Zrobię to zaraz.

— Jeśli tego pragniesz, niech będzie.

Byliśmy w połowie drogi przez trawnik, kiedy nagle myśl zastopowała mnie w miejscu. Złapałem go za rękę i nie zważając na jego wiek, szarpnąłem tak, że znalazł się naprzeciw mnie. Brutalnie zaatakowałem:

— To ty zrobiłeś, Bruno?

Nawet nie drgnął. Stał prosto i mocno jak sosna, patrząc mi w oczy. Miał wzrok zimny. Usta pod wielkim orlim dziobem były ściągnięte jak pułapka.

— Myślisz, że jestem do tego zdolny?

— Tak, tak myślę.

— Dobrze. Więc czegoś jednak się nauczyłeś.

— Zrobiłeś to?

— Mógłbym, gdybym uważał to za potrzebne. W rzeczywistości jednak nie. Myślę natomiast, że ty to zrobiłeś podczas tych piętnastu dni dysfunkcji i halucynacji. Wiem, że mówiłeś różne rzeczy o mnie, ponieważ później musiałem w związku z tym kłamać. Wiem, że omal nie poszkapiliśmy sprawy depozytu w sejfie. Leporello uzyskał sądowy nakaz otwarcia sejfu w dzień po opróżnieniu go przez nas.

— Chryste, przykro mi!

— Może ci nie być przykro. Pomyśl o tych, którzy wydobyli z ciebie te wiadomości wbrew twojej woli.

— Zabiję tych sukinsynów.

— Będą się spodziewać, że spróbujesz tego dokonać. Będą na ciebie czekać. I jeśli uda się im dostać cię po raz drugi, nie będzie już dla ciebie ratunku... Nie, Dante, teraz przeprowadzimy wszystko po mojemu... Pogadajmy z doktorem. Nie zrobisz kroku za bramę, dopóki nie powie, że jesteś już zdrowy.

Doktor wahał się, wyrażał wątpliwości. Jest gotów pozwolić mi wyjść jedynie pod warunkiem, że rozumiem, na jakie narażam się ryzyko. Jestem jeszcze rekonwalescentem. Pewne dysfunkcje mogą znowu zaostrzyć się pod wpływem stresu. Pamięć może płatać mi dziwne figle. Jeszcze przez długi okres moja zdolność koncentracji będzie ograniczona. Mogę ulegać stanom depresji i lękom. Nie powinienem rezygnować zbyt szybko z pomocy środków uspokajających. Jeśli chodzi o resztę, powinienem ufać naturze i nie forsować się zbyt. Zbyt.

Łatwo powiedzieć, trudno zrobić. Świadomość sytuacji, w jakiej znalazła się Liii, dokuczają jak ból zęba. Po opuszczeniu murów kliniki, jadąc przez słońce-

czną Lombardię, popadłem w głębokie przygnębienie. To Liii powinna być na wolności, a nie ja. To Liii powinna podróżować luksusowo ze słońcem rozjaśniającym jej twarz i całym światem uśmiechającym się do niej. Zamiast tego zamknięta była ze złodziejami, prostytutkami i zabójcami dzieci w średniowiecznym lochu nad brzegiem Tybru. Manzini pozwolił mi przez jakiś czas dumać, a potem zwrócił się do mnie z brutalnie szczerym pytaniem:

- Do jakiego stopnia traktujesz poważnie tę kobietę?
- Kocham ją.
- Na tyle, żeby ją poślubić?
- Już ją o to poprosiłem.
- Kiedy?
- Napisałem do niej tuż przed ostatnim wyjazdem z Pedognany. Dałem ci ten list, żebyś go wysłał przez Chiasso.
- Myślałem, że masz być stryjem Pawłem.
- Nie byłem nim, kiedy pisałem ten list.
- Czy nie było to trochę szalone?
- Powierzchnownie rzecz biorąc, tak.
- Nie wiesz więc, czy ona chce wyjść za ciebie?
- Nie, dlaczego pytasz?
- Taka niejasna myśl. Pozwól, że zastanowię się nad tym przez chwilę... Jest jeszcze coś ważniejszego. Myślę, że znamy datę colpo di stato.
- Kiedy?
- W połowie jesieni, trzydziestego pierwszego października. Nie będzie już turystów. Dyplomaci powrócą z letnich urlopów. Plany ćwiczeń zostaną zrealizowane. Komunikacja funkcjonować będzie zupełnie swobodnie, w przeciwieństwie do połowy zimy. A przede wszystkim wtajemniczeni znają już datę... i zgadza się ona z tym, co podałeś w swoich notatkach dotyczących mikrofilmów.
- Mamy więc pięć miesięcy czasu.
- Nigdy nie licz na czas, Dante. Mija zawsze za szybko. Społeczeństwo podzielone na dwa obozy. Leporello jest znakomitym organizatorem; i nie jesteś jedynym, którego wyeliminował lub unieruchomił. Sprawy zamachów bombowych w Mediolanie nie trafiły przed sąd. Wielu ważnych świadków zniknęło, inni byli systematycznie zastraszani. Nie, musimy to zrobić przed latem.
- Czego oczekujesz ode mnie?
- W tej chwili dokładnie tego, co zalecił lekarz: odpoczywaj, nabieraj sił. Jest jednakże jedna sprawa, którą możesz się zająć nie szkodząc zdrowiu.
- Jaka sprawa?
- Porozmawiaj z przyjaciółmi. Przypuszczam, że masz w korpusie przyjaciół tej samej rangi i takich samych poglądów.
- Kilku. Ale rozrzućeni są po całym kraju. Nie lubię pisać listów. Niełatwo w tych warunkach podtrzymać kontakt.

— Będziesz miał teraz dużo czasu. Napisz kilka listów. Zadzwoń. Byłeś chory. Miałeś osobiste kłopoty. Chciałbyś zobaczyć ich kiedyś w Pedognanie. Mamy dużo pokojów gościnnych. Można jeździć konno, polować... Przyjadą.

— Co chcesz przez to osiągnąć, Bruno?

— Zorganizować pretoriańską gwardię. Wystarczy dziesięciu, jeśli tylko będą na wszystko zdecydowani i jeśli będą rozumieć, o co gra się toczy. Według twojej własnej oceny sporo jest niezadowolonych z powodu Leporella i jego polityki.

— Jeśli żądasz zorganizowania rewolty sił zbrojnych, Bruno, przestań o tym myśleć. Nie jestem w tej chwili zbyt inteligentny, ale wydaje mi się, że jest to mistyczne szaleństwo.

— Kto mówi o rewolcie? Przeciwnie, potrzebni są nam ludzie dumni z tradycji korpusu, przywiązani do honoru i przysięgi; staromodni patrioci, którzy nie lubią, gdy ich kumpli, obywateli tego kraju, kopie się w zęby, i którzy nie lubią rujnowania powagi sprawiedliwości przez przekupnych świadków.

— Kup mi megafon i lampę, Bruno. Łatwiej ich znaleźć.

— Mamy dzisiaj gorzki dzień, prawda, Dante? Ale zgadzam się. Baw się w Diogenesa. Znajdź mi jednak dziesięciu porządnym ludzi gotowych jak jeden mąż nadstawić karku, kiedy zajdzie potrzeba... Aha, przywiozłem twoje ubrania z Mediolanu. Trochę schudłeś, ale nadal pasują. Nie mogę patrzeć na łachy, które masz na sobie.

Nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej, a ja byłem zbyt zmęczony, żeby nalegać. Odchyliłem się do tyłu i spałem spokojnie do samej Pedognany.

Tego wieczoru przy koktajlach odkryłem, że w willi jest jeszcze jeden gość, księżna Pia Faubiani, primadonna rzymskiego świata mody, kochanka Bruna Manziniego. Była szczupła, czarnowłosa, długonoga, o płaskich piersiach i, jeśli tylko podobają ci się zasuszone lodowate modelki, bardzo piękna. Przy pierwszym spotkaniu nie okazywałem jej ani trochę względów. Byłem rozdrażniony, zazdrosny o intymność mojego świata i nie w nastroju do skupiania na niej uwagi, czego ona najwyraźniej oczekiwała. Byłem nieufny także z tego powodu, że Manzini bardzo dwuznacznie opisał więzy, jakie go z nią łączą. Był to jednak jego dom i mógł go otworzyć przed każdym, przed kim tylko zechce. Musiałem zdobyć się w najgorszym razie na uprzejmość.

Zostałem hojnie wynagrodzony za moje trudy. Pia Faubiani była dowcipną i inteligentną kobietą, która miała dosyć sprytu, żeby utrzymać się na powierzchni w nieprzyjaznym świecie będącym terenem jej działania, oraz taką nadwyżkę czułości i dobrego humoru, że mogła obdarzyć tym swoich przyjaciół. Cieszyłem się, że nie jest moją żoną, miała zbyt ostre pazurki, by dało się żyć przy niej wygodnie, ale jeśli chodzi o koleżeństwo i dobrą kompanię... owszem, choć bez żadnej ubocznej myśli. Nosiła szpilkę z salamandrą z pokazu u Fosca, a kiedy to skomentowałem, oznajmiła wesoło:

— Prezent na pożegnanie. Był to mój pierwszy i ostatni sezon z Brunem. Manzini zachichotał i uniósł kieliszek.

— Jesteś za młoda, ja zaś za stary, kochanie, a nie pogodzę się nigdy z tym, że mógłbym znaleźć się w jakiejś dziedzinie na drugim miejscu. Zresztą przy twoim sposobie życia będziesz musiała otworzyć własny bank, po prostu, żeby płacić rachunki. Ta kobieta, Dante, jest najlepszym projektantem i najgorszym księgowym w tym biznesie. Powtarzam jej, że powinna wydać się za kopalnię złota, gdyż w przeciwnym razie skończy w więzieniu za długi.

— Myślałam o zakonie, mój drogi, oczywiście teraz, kiedy mnie porzuciłeś.

— Nigdy nie porzuciłem żadnej kobiety i dobrze wiesz o tym. Po prostu ustąpiłem z pola. Z wszystkimi honorami.

— Z honorami! Tylko posłuchajcie! Jesteś starym lisem, Bruno! Buon giorno, buona notte, ciao, bambina, i już jesteś daleko stąd, za polami, za lasami i lizasz po drodze swoje rany. Ten człowiek, Dante, miał tyle kochanek, ile ja urodzin, i wydaje mi się, że przez całe życie nie był ani razu zakochany... A ty, Dante, czy byłeś kiedykolwiek zakochany?

— Bądź dla niego miła, Pio. Jest zakochany, a jego dziewczyna znalazła się w więzieniu.

— Och, przepraszam...

— Tak więc zrobisz to dla mnie i postarasz się go rozweselić.

Był to najwyraźniej równie wielki szok dla niej, jak dla mnie. Usiadła trzymając ostrożnie na końcu widelca kawałek ciastka z kremem, i wpatrywała się w Manziniego.

— Postaram się? Cieszę się, żeś mi to powiedział, najdroższy.

— Jeśli upuścisz ciastko, zniszczysz sobie bardzo drogą suknię. Włóż je więc do ust, jak przystało na grzeczną dziewczynkę... To zrozumiałe, że Pan Bóg się nudzi, Dante. Nikt nie próbuje Go nigdy zadziwić. O czym to mówiłem? O, mam już, o tym, co ty, Pio, zrobisz dla mnie. Kiedy otwierasz swój show w Bolonii?

— W najbliższą środę.

— A w Mediolanie i Turynie?

— Dziesięć dni jedno po drugim.

— Potem będziesz wolna.

— No, niezupełnie wolna, mój drogi. Muszę wrócić do Rzymu i...

— Wiem, ale przyjedziesz tutaj na parę dni, prawda? Ze względu na ostatni sezon?

— Oczywiście, ale o co chodzi?

— Chcę, żebyś pełniła dla mnie obowiązki pani domu podczas przyjęcia, które odbędzie się tutaj, w Pedognanie. Od momentu przybycia Dantego do Mediolanu obiecywałem mu, że przedstawię go różnym ludziom. Miał ciężkie przejścia i uważam, że należy mu się odrobina rozrywki.

— Proszę cię, Bruno. Przyjęcie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

— Może być ostatnia, jaką będziesz miał, jeśli postawią cię przed sądem. Zresztą masz jeszcze cały miesiąc, żeby przyzwycząić się do tej myśli. Ciesz się życiem, człowieku! Ciesz się! Już wkrótce wzniosą toast na naszym pogrzebie... Zrobisz to dla mnie, Pio?

— Wiesz, że tak.

— I jeśli zobaczysz, że ten facet snuje się osowiały niby sowa w stodole, zabierzesz go, przedstawisz naszym dziewczętom, sama go uwiedziesz, jeśli tylko zechcesz... Ale wydobędziesz go z tego stanu, jasne?

— Jestem na twoje usługi, cavaliere.

— Chciałbym, żeby tak było, kochanie. Myślę, że wtedy wytrwalibyśmy dłużej. Ale i tak było zabawnie, prawda?...

Położyła rękę na jego dłoni i powiedziała łagodnie:

— Było zabawnie, caro. I przykro mi...

— Dosyć, proszę! Miałem dobre życie i jestem za to wdzięczny. Zachowałem też więcej siły, niż im się wydaje... I powiem ci coś jeszcze, Pio. Byłem zakochany. Dwa razy. To zupełnie wystarczy jak na jednego mężczyznę.

— Wiem o Raqueli. Na ten temat nawet ja nie ważyłabym się żartować. Ale kto był tą drugą?

— Moja żona.

Oboje spojrzeliśmy na niego. Obdarzył nas dziwnym, pełnym zakłopotania uśmiechem i wzruszył ramionami, jakby się usprawiedliwiał.

— Przepraszam. Tym razem wcale nie starałem się was zaskoczyć. Ostatnio bardzo dużo o niej myślałem, zastanawiając się, czy jeszcze się spotkamy i czy poznamy się wzajemnie, jeśli do tego dojdzie... Ożeniłem się z nią w Paryżu w 1934 roku... Miała dziewiętnaście lat. Ja trzydzieści pięć. Przemierzyłem cały świat, ale uważałem, że jest ona najpiękniejszym stworzeniem, jakie na nim żyje. Sprowadziłem ją tutaj, do Pedognany, i od pierwszego wejrzenia zakochała się w tym miejscu. Zapytajcie kogoś ze starszych tubylców, a zobaczycie, że jeszcze pamiętają, jak objeżdżała posiadłość z zarządcą, jak klękała w kaplicy w niedzielę w otoczeniu wszystkich dzieci.

Urodziła się, żeby żyć na wsi. Jej rodzice mieli wielką posiadłość ziemską koło Poitiers. To miejsce rozkwitło pod jej ręką w ciągu tych dwóch zadziwiających lat... Jesteś zbyt młoda, Pio, żeby to pamiętać, ale były to naprawdę zadziwiające lata. Zdobyliśmy Addis Abebę i anektowaliśmy Etiopię. Mieliliśmy imperium. Ciano został ministrem spraw zagranicznych, Faruk królem Egiptu, Niemcy zajęły Nadrenię, a Charlie Chaplin nakręcił *Nasze czasy*... Ale tutaj, w Pedognanie, prawie zapominaliśmy o szaleństwie, jakie szerzyło się wokół nas. Byliśmy absurdalnie szczęśliwi. Interesy szły jak najlepiej. Gdyby sprawy w Europie ułożyły się źle, miałem ulokowany stale rosnący kapitał za granicą, a co najlepsze ze wszystkiego, Marie Claire zaszła w ciążę. Dla mężczyzny takiego jak ja, który nigdy nie znał życia rodzinnego, było to jak zapowiedź drugiego przyjścia Zbawiciela. Odchodziłem od zmysłów ze

szczęścia. Głowę miałem pełną niezwykłych planów co do przyszłości mojego syna, gdyż miał to być, oczywiście, syn.

W czwartym miesiącu ciąży Marie Claire zachorowała i umarła po tygodniu na zapalenie opon mózgowych... Została pochowana w kaplicy na terenie posiadłości. Wiem, Dante, że nie jesteś człowiekiem pobożnym, ale zobaczyłbyś napis, gdybyś skłonił ten twój sztywny kark. Marie Claire, ukochana żona Bruna Manziniego. Urodzona w Paryżu 20 kwietnia 1915 roku. Umarła w Pedognanie 17 czerwca 1936 roku. Requiescat... O Boże! Jak dawno, jak daleko. Przejdźmy do gabinetu na kawę. Tam jest przytulniej.

Kiedy przyniesiono kawę, podziękował za nią i oznajmił oschle, że idzie spać. Pia Faubiani zrobiła ruch, jakby chciała pójść za nim, ale łagodnie pchnął ją z powrotem na krzesło i pochylił się, żeby pocałować ją w czoło. Jego głos był pełen czułości.

— Zostań tutaj, kochanie. Jestem dzisiaj bardzo zmęczony.

— Ale najdroższy...

— Nie martw się, zasną. Jutro porozmawiamy o przyjęciu... Dobranoc, Dante. Pomyśl o gwardii pretoriańskiej. To bardzo ważne. Życzę wam obojgu złotych snów.

Kiedy wyszedł, Pia Faubiani zsunęła pantofelki, skuliła się w fotelu i wydała głębokie westchnienie ulgi i zadowolenia.

— Dio! Jaka jestem szczęśliwa, że tak się to skończyło! To jedyny mężczyzna, którego za nic nie chciałabym urazić. Nigdy nie myślałam, że pozwolę jakiemuś na to, żeby mnie po prostu odprawił, ale ten, niech Bóg go błogosławi, jest bardzo szczególnym mężczyzną.

— Wiem, co masz na myśli.

— Ty też jesteś dosyć szczególny, Dante Alighieri. Jeszcze nie zdołałam cię rozszyfrować.

— Nie próbuj, Pio. W tej chwili jest we mnie tylko zamęt. Tak więc odszyfrowałabyś błędnie.

— Bruno cię lubi.

— Wiem. Powiedział mi.

— A jakie są twoje uczucia wobec niego?

— Sam nie wiem. Bardzo go podziwiam. Czasem chciałbym być taki jak on. Często się z nim spieram. Nigdy nie potrafię go do końca zrozumieć... Czy jest bardzo chory?

— W rzeczywistości wcale nie jest chory. Jest stary. Ma zmęczone serce i forsuje je. Może umrzeć lada chwila i wie o tym. Myślę, że najbardziej boi się, że mogłoby się to przeciągnąć. Żałuje, że nie ma syna... Czy nie o to chodziło w tej smutnej historyjce o żonie?

— Jak najbardziej. To najkrótsza historia, jaką mi kiedykolwiek opowiedział... Co zamierzasz teraz robić?

— Ja? To samo, korzystając z pieniędzy kogoś innego. Widzisz, jestem bardzo odporną rośliną. Wystarczy odrobina słońca, bym zapuściła korzenie w byle jakim miejscu. Opowiedz lepiej o sobie.

— O czym tu mówić? Jestem człowiekiem wywiadu, który dostrzegł, że może zniszczyć system. Ale to system zniszczył mnie.

— Sam w to nie wierzysz.

— Wierzę. Spójrz na moje ręce. Nie mogę utrzymać szklanki. Czy wiesz, dlaczego? Boję się pójść do łóżka i zgasić światło. Wiem, że to minie, ale jeszcze się boję.

— Czy bili cię w więzieniu?

— Nie. Nikt nie tknął mnie palcem. Napijesz się jeszcze brandy?

— Proszę. Ja też nie chcę iść do łóżka.

— A czego ty się boisz?

— Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała.

— Spróbuj.

— Że stanę się stara i wymalowana jak Coco Chanel i że jakiś zdolny chłopak napisze o mnie musical.

— Obiecuję, Pio, że nigdy do tego nie dojdzie.

— Czy mógłbyś przysiąc?

— Na kości moich przodków.

— Więc i ja coś ci obiecuję, Dante. Dzisiejszej nocy będziesz spał dobrze.

I rzeczywiście spałem dobrze. Nie dręczyły mnie koszmary senne. Rankiem przy stole Bruno Manzini pobłogosławił nas uśmiechem i weneckim przysłowiem: El leto xe'una medicina... łóżko jest najlepszym lekarstwem. Stary potwór jak zwykle miał rację.

Stwierdziłem, że nie jestem w stanie pisać listów.' Dzwoniłem więc z jednego końca kraju na drugi. Rozmawiałem z ludźmi, którzy niegdyś byli moimi przyjaciółmi, ale już nie są. Rozmawiałem z przyjaciółmi, którzy byli zachwyceni, że mogą ze mną pogadać, ale są zbyt zajęci, żeby jechać pociągiem do miejsca tak odległego jak Pedognana. Byli tacy, którzy mówili, że przyjadą z radością, ale nie można było jakoś ustalić daty. Było wreszcie niewielu, zaledwie sześciu, którym zależało na starym kumplu i którzy przejęli się tym, co, jak słyszeli, z nim się działo. Ci gotowi byli zrezygnować ze swoich urlopów, przyjechać tu pewnego dnia, zjeść ze mną kolację i pogadać. Zastanawiałem się, coraz bardziej rozczarowany, dlaczego było ich tak niewielu. Kiedy zasiadaliśmy w gabinecie, przeglądając dokumenty, fotografie i przesłuchując taśmy, Manzini przedstawił mi swoje wytłumaczenie:

— Konie wyczuwają, skąd wieje wiatr, Dante. Odwracają się do niego ogonami i czekają, żeby minął. Trzcina pochyla się zgodnie z wiatrem i dobywa z siebie muzykę, jaką on zechce. Plewy ulatują precz przy lada podmuchu i zostaje tylko dobre ziarno. Ciesz się z najskromniejszego plonu. Rozmawiałem dzisiaj w Watykanie z Frantiskiem. Jeśli chcesz, odwiedzi twoją

Liii w więzieniu Maddalena. Jeśli zechce za ciebie wyjść, być może uda się zorganizować dla ciebie odwiedzin, byćście mogli zareczyć się w więzieniu. Przepisy to przewidują, ale musisz być bardzo pewny, czego chcesz. Nie możesz przeżyć życia w poczuciu winy i litości. Poza tym musisz stanąć oko w oko z faktem, że być może nie uda się nam jej wydostać. Prawo w tym kraju jest szaleństwem rodem ze średniowiecza. Ludzie całymi latami mogą gnić w więzieniu bez procesu. A nie ma nic równie destruktywnego jak zawiedziona nadzieja. Tak więc przemyśl wszystko starannie, zanim zwalisz nowy ciężar na barki tej dziewczyny...

Wiedziałem, że muszę to przemyśleć. Wiedziałem też, że nie zdobędę się na to, by całe życie spędzić samotnie, dochowując wierności. W tym, że się przyznaję, nie ma nic chwalebego — O Boże, pomóż! — ale taki był fakt, brutalny i nieunikniony. Próbowałem usunąć go z umysłu i skupić się na robocie, którą miałem przed sobą, to znaczy na sprawdzaniu materiałów, jakimi dysponowaliśmy — żeby zobaczyć, czy wszystko pasuje do sprawy, która miała wysadzić z siodła Leporella i dyrektora.

Wyłoniły się dwa problemy. Moje notatki dotyczące mikrofilmów z Ponzy były materiałem z trzeciej ręki. A przecież nawet oryginały stanowiły własność Pantaleonego i przedstawiały jego koncepcję wojskowego zamachu stanu, nie zaś Leporella. Z punktu widzenia wywiadu był to materiał wartościowy. Z punktu widzenia prawnego — zupełnie bezwartościowy. Pozostały nam więc jedynie fotografie i taśmy ilustrujące seksualne poczynania Leporella w mediolańskim mieszkaniu Roditego. Mogliśmy przy ich użyciu wywołać skandal. Ale skandalowi, przynajmniej we Włoszech, można zapobiec, ponieważ prawo zakazuje publikacji dokumentów o charakterze obscenicznym. Mogliśmy opublikować materiały za granicą, ale wówczas trudno byłoby nam bronić się przeciwko oskarżeniom o fałszerstwo i o polityczne szykanowanie. Jednakże niewykluczone, że będziemy zmuszeni podjąć to ryzyko.

Czy uda się nam wykorzystać materiały obsceniczne w sądzie, było jeszcze bardziej wątpliwe. Fotografie bardzo łatwo sfalszować. Roditi mógłby wprawdzie potwierdzić ich autentyczność, ale Roditego poddano praniu mózgu i przestał być wiarygodnym świadkiem. Taśmy stanowiły jeszcze bardziej problematyczny dowód. Leporella można zidentyfikować na podstawie analizy głosu, ale obrona wysunęłaby twierdzenie, że same taśmy były opracowane, a więc sfalszowane.

Był także inny problem. Wykroczenia obyczajowe to najpospolitsza ludzka słabość; i chociaż każdy lubi skandale, sympatia ludzi jest na ogół po stronie sprawcy — chyba że zamieszane w to są dzieci; ale w naszym przypadku dzieci nie było. Gdybyśmy mogli zidentyfikować partnerów Leporella jako młodych funkcjonariuszy służących pod jego dowództwem, mielibyśmy w rękę sprawę, i to mocną, która pozwoliłaby doprowadzić do zwolnienia go ze służby... Ale, jak zauważył Manzini, byłaby to sprawa bardzo odległa od morderstwa i

politycznego spisku, a poza tym wysoko postawione osoby, łącznie z dyrektorem, wyszłyby z tego bez szwanku. Roditi mógł dowieść morderstwa. Balbo je popełnił. Ale Balbo nie żyje, a Roditi jest dla nas stracony.

Po godzinnej dyskusji postanowiliśmy skupić się na fotografiach. Wziąłem od Manziniego wspaniałą soczewkę i usiadłem, żeby szczegółowo je przestudiować. Było ich trzydzieści, większość wyraźnych, niektóre zamazane, niektóre przedstawiały pozy tak wymyślne, że nie sposób było zidentyfikować uczestników. Był tam Leporello. Co do tego nie było wątpliwości. Zależało mi, żeby zidentyfikować chociaż jednego z jego partnerów. Problem polegał na tym, że dysponowaliśmy jedynie stykowymi odbitkami trzydzieści sześć na dwadzieścia cztery milimetry, a każda z nich musiała być zbadana bardzo szczegółowo.

W końcu udało się. Na jednym ze zdjęć był człowiek, którego mogłem zidentyfikować z całą pewnością — Giuseppe Balbo. Na innym znajdowała się twarz, która była mi — chociaż, nie w sposób tak oczywisty — znajoma. Przypominałem sobie bezskutecznie nazwisko, ale moja pamięć po wstrząsach, przez które przeszedłem, ciągle jeszcze mnie zawodziła. Wezwałem Manziniego i pokazałem mu, co odkryłem. Ucieszył się.

— Jeśli to Balbo, mamy wszystko, czego nam potrzeba. Znany kryminalista, prawdopodobnie morderca. Możemy go zidentyfikować na podstawie odcisków palców i twojego świadectwa. Zabity został w obszarze podległym Leporellowi. Tak, to wystarczy. Tamten drugi... No, z czasem przypomnisz sobie... Posłuchaj teraz. Nie możemy wypuścić tych dokumentów z rąk. Musimy sprowadzić do willi cały potrzebny nam sprzęt. Czy możesz to załatwić?

— Nie, jedynie sprzęt podstawowy. Tu potrzebny jest ekspert. Taki, któremu będziemy mogli zaufać.

— Więc sprowadzimy eksperta. Zadzwoń do moich ludzi w Zurichu; znajdą kogoś i przyślą tu drogą lotniczą. Krok za krokiem zbliżamy się do celu, Dante... Może twoje przyjęcie stanie się świętem zwycięstwa. Zaraz dzwonię do Zurichu. Schowaj materiały. Nie możemy gorszyć służby.

Brakowało jeszcze godziny do kolacji, wyszedłem więc na taras i przechadzałem się tam i z powrotem próbując spokojnie przemyśleć sytuację, w jakiej znalazła się Liii. Jakkolwiek bym na to patrzył, nie było dla niej wyjścia. Ucieczka nie wchodzi w rachubę. Uniewinnienie nie do pomyslenia. W przygotowanym przeze mnie dossier było dosyć materiałów, żeby skazać ją dwadzieścia razy. Dyrektor mógł zalecić deportację lub wymianę, jeśliby widział w tym korzyści polityczne. Ale jego siłę stanowiła Liii tutaj, we Włoszech.

Następna myśl była jeszcze mniej pocieszająca. Liii lepiej niż ja знаła swoje położenie. Najbardziej bała się obecnej rzeczywistości: małego pomieszczenia, światła, dochodzących znikąd pytań. Nie mogła targować się nawet o chwilę wytchnienia. Ograbiłem ją z ostatnich atutów, jakie miała w ręku. Skoro raz już zakosztowała wolności i nadziei, jakże mogłaby pogodzić się z rozpaczą?

Manzini wyszedł do mnie zacierając z zadowoleniem dłoń. Sprzęt został już spakowany w Mediolanie. Ekspert przyleci z Zurichu jutro. Kiedy zobaczył, że te wiadomości wcale mnie nie uradowały, zmarszczył brwi i warknął:

— Matucci, daj temu spokój! Nie myślę dłużej cię rozpieszczać. Twoja Liini nie jest dzieckiem. Wyjdzie z tego, jeśli sama będzie chciała. Dopóki żyje, jest nadzieja. Nie pomagasz jej zamartwiając się i zapierając samego siebie. Skojarzyłeś już nazwisko z twarzą na fotografii?

— Jeszcze nie.

— Próbuj! Ustaliłem datę przyjęcia. Za cztery tygodnie. Mój sekretarz zajmuje się sporządzaniem listy gości i zaproszeniami. Będzie to przyjęcie galowe. Musimy wprowadzić trochę życia w ten stary dom. Staram się to robić. I ty też się staraj.

— Naprawdę, Bruno. Nie widzę...

— Nie widzisz końca własnego nosa, Dante Alighieri! Na tym polega kłopot z tobą! Tylko pomyśl! Sądzisz, że będziesz mógł powrócić do Służby? Nigdy, nawet jeśli obmyją cię we krwi baranka i dadzą ci nową sukienkę do chrztu. Musisz więc zaczynać od początku. Z jakiego miejsca? Jako spazzolino, który zamiata ulice? Jasne, że nie. Chcesz zacząć na możliwie najwyższym szczeblu drabiny. Potrzebujesz więc przyjaciół, potrzebujesz rekomendacji. Stąd całe przyjęcie... A ponieważ jest to także moje przyjęcie, musi być coś, w czym każdy zechce wziąć udział i co każdy zapamięta. Che vale petere... e poi culo stringere... Jeśli chcesz pierdnąć, nie możesz się napinać. Bo zaciśniesz pośladki. Zostawiłem ci w sypialni pewną książkę, może uznasz, że jest pouczająca.

Tą książką były *Ricordi* Francesca Guicciardiniego; zagłębiłem się w nią po kolacji w gabinecie, ponieważ Bruno wcześniej poszedł spać, a Pia Faubiani nie wróciła jeszcze z Bolonii. Mój ojciec był moim księzkowym i ja przejąłem od niego nawyk czytania, chociaż ostatnio, między pogonią za informacjami a pogonią za spódniczkami, trochę machnąłem na to ręką. Teraz niby chory szatan gotów byłem popaść w nastrój kontemplacyjny i uznałem to doświadczenie za raczej przyjemne. Doszedłem też do wniosku, że Messer Francesco Guicciardini to bardzo zajmujące towarzystwo.

Podobnie jak ja pochodził z Toskanii, był florentyńczykiem, którego w wieku dwudziestu dziewięciu lat Republika mianowała ambasadorem przy królu Hiszpanii. Papież Leon X, Medyceusz całą gębą, zrobił go gubernatorem Reggio, Modeny i Parmy, a Klemens VII naczelnym wodzem papieskiej armii. Był absolutnie bezlitosny, ale umiał rządzić i kochał kobiety najrozmaitszych rodzajów, w najrozmaitszym wieku i najrozmaitszego stanu. Jedyнным człowiekiem, który umiał sobie z nim poradzić, był Kosma Medici, który wspiął się do władzy po jego ramionach, a następnie kopnął go tak, że Guicciardini znalazł się w stanie spoczynku. Ale Guicciardini mocno trzymał się życia. Wycofał się z wdziękiem, uprawiał winnice, pisał książki i umarł spokojnie na zawał w wieku lat pięćdziesięciu i ośmiu.

Ricordi to jego sekretne wspomnienia, rodzaj dziennika poglądów i przeżyć; był człowiekiem wystarczająco mądrym, żeby nikomu nie pokazać tego dzieła za życia, zostało więc opublikowane wiele wieków po jego śmierci. Manzini zaznaczył kilka stron i opatrzył je notatkami wykonanymi swoim precyzyjnym piśmem.

„Szczerość i otwartość to rzeczy szlachetne i szczodre, ale często szkodliwe. Z drugiej strony korzystne jest, a często staje się konieczne, udawanie i zwodzenie, albowiem ludzie są z natury źli." (Uśmiechaj się więc, Dante. Pokaż im, że jesteś człowiekiem, który niczym nie musi się przejmować, ponieważ ma asa w rękawie!)

„Nie ganię tych, którzy gorejąc miłością do swojego kraju stawiają czoło niebezpieczeństwu, byle ustanowić wolność... aczkolwiek sądzę, że to, co czynią, jest brzemiennie w zagrożenia. Niewiele przewrotów zakończyło się pomyślnie, a jeśli nawet tak, człowiek bardzo często stwierdza, że nie przyniosły tego, czego się spodziewał..." (Właśnie dlatego wycofałem się z publicznego zamętu i starałem się raczej kusić grzeszników po cichu.)

„Prawie wszystkim ludziom bardziej zależy na własnym interesie niż na chwale i honorze." (Pamiętaj o tym, kiedy staniesz oko w oko z dyrektorem, który jest zupełnie nieznośnym patriotą.)

„Uważam, że dobry obywatel... powinien utrzymywać przyjazne stosunki z tyranem nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, ale także ze względu na dobro innych." (Dlatego wpłacam pieniądze na Ruch i jadam kolacje z dyrektorem, a jednocześnie spiskuję z tobą, żeby ich powalić. Zastanawiałeś się nad tym, wiem!)

„Nie bierz ludzi zbyt poważnie, kiedy bajdurzą o korzyściach, jakie płyną z wolności... Jeśli zdołają znaleźć dobre zajęcie w państwie tyrańskim, rzucą się na nie bez zwłoki." (Ja posunąłbym się nawet dalej. Jeśli sami mogą być tyranami, będą pięli się po górach czaszek, byle to osiągnąć.)

„Stanowisko sprawowane pod rozmaitymi papieżami zmusiło mnie do starań o ich chwałę dla mojej własnej korzyści." (Zastanawiam się, czy dyrektor to właśnie miał na myśli, kiedy oddał swój głos na Leporella. Pomyśl o tym jako o motywie zabójstwa. Stary Guicciardini sprzątnął w swoich czasach mnóstwo ludzi.)

„Przeszłość rzuca światło na przyszłość; świat był zawsze taki sam... Ta sama rzecz wraca pod rozmaitymi imionami i pod odmiennymi sztandarami..." (Ty i ja, Dante, próbujemy odmienić bieg historii. Ale nie spodziewajmy się zbyt wiele. Rzeka pozostaje ta sama.)

„Nikt nie zna tak mało swoich poddanych jak władcy." (Na to właśnie stawiamy, ty i ja. Myślą, że mnie kupili. Wiedzą, że cię przerażili. Nie wiedzą, że jeszcze nie podjęliśmy na nowo walki.)

W tym miejscu odłożyłem książkę i poszedłem spać. Nadal nie mogłem zdobyć się na zgaszenie światła i leżałem, długo nie zasypiając, patrząc w sufit, dopóki Pia Faubiani nie wróciła z Bolonii.

Następnego dnia zaczęło się w Pedognanie dziać wiele. Silny oddział rzemieślników przybył z posiadłości do willi i w ciągu kilku godzin przekształcił pokoje na poddaszu w zupełnie niezłe atelier fotograficzne. Z Zurichu przyjechał ekspert; został wprowadzony w sprawę i zobowiązany do zachowania tajemnicy. Zabrał się do roboty, instalując sprzęt sprowadzony z Mediolanu. Wczesnym wieczorem pojawił się Corrado Buoncompagni, wydawca gazet Manzinicgo, w towarzystwie baryłkowanego, niskiego turyńczyka, którego przedstawił jako Milo de Salisa, znanego reżysera filmowego.

Tego wieczoru zasiedliśmy w pięcioro do kolacji: Manzini, Pia Faubiani, Milo de Salis, Buoncompagni i ja. Fotograf jadł kolację sam w swoim apartamencie i pracował dalej przez cały wieczór. Uczta przekształciła się w naradę wojenną, podczas której Manzini po raz pierwszy przedstawił zasięg swoich planów. Widziałem go w rozmaitych nastrojach i odgrywającego rozmaite role, ale nigdy do końca nie potrafiłem pojąć go jako dyrektora olbrzymich przedsiębiorstw, jako stratega podejmującego wielkie i ryzykowne kampanie. Teraz zobaczyłem go wreszcie w pełni i byłem zdumiony subtelnością i śmiałością jego geniuszu. Był spokojny, beznamiętny, niespieszny, a jednak przykuwał naszą uwagę, jak nie potrafiły tego uczynić żaden mówca.

— ... Nic żądam od was przysięgi, przyjaciele. Od tego momentu wszyscy jesteście konspiratorami. Wszyscy narażamy się na ryzyko. Rozumiecie doskonale naturę tego ryzyka. Będziemy musieli zaangażować do pomocy dalsze osoby. Tego nie da się uniknąć. Damy im tylko tyle informacji, ile konieczne będzie do wykonania konkretnego zadania. Jeśli chodzi o resztę, będziemy kłamać, skrywać, wprowadzać w błąd i zaciemniać, tak żeby prawdziwy zakres naszego działania jasny był tylko dla nas, zebranych w tym pokoju.

Powiem, o jakie działanie chodzi. Podejmujemy próbę zdyskredytowania i odsunięcia od władzy ludzi, którzy pragną siłą albo groźbą użycia siły narzucić rząd, jaki im odpowiada. Uważamy, że tego rodzaju rząd jest nie do przyjęcia dla znacznej większości społeczeństwa. Wiemy jednak, że można go narzucić, jak to bywało w przeszłości, i że przy wszystkich nowoczesnych mechanizmach kontroli można go będzie utrzymać przy władzy przez bardzo długi okres czasu. Musimy zatem udaremnić colpo di stato, który — jak wiemy — już się planuje.

Dysponujemy ograniczonymi środkami. Ograniczenia to względy humanitarne i zwykła ostrożność, a także sama natura demokratycznej procedury. Mamy w rękach wybuchową informację, która, jeśli będziemy się z nią niewłaściwie obchodzić, wprawi w zamęt opinię publiczną i doprowadzi do zamieszek, które same w sobie mogą dostarczyć najlepszego uzasadnienia dla narzuconego porządku. Nie możemy odwołać się bezpośrednio do narodu, który jest w tej chwili rozdarty przez walki frakcyjne. Musimy odwołać się do tych, którzy sprawują władzę, leży to bowiem w ich własnym interesie, bez

względu na to, czy ten interes jest ślepy, czy też oświecony. Innymi słowy mówiąc, działamy w kontekście historycznym tego kraju, nie zaś żadnego innego. Ludzie tutaj mówią, ale nikt ich nie słucha. A zatem nie próbujemy manipulować wielogłosowym potworem. Natomiast przedstawimy zagrożenie tym, którzy boją się potwora: ministrom stanu, wyższym urzędnikom państwowym, członkom wybieralnych zgromadzeń, przemysłowcom takim jak ja, wszystkim, którym ich niezbywalne interesy nakazują zabiegać o porządek i bezpieczeństwo publiczne.

Groźba nie będzie jawna, lecz pośrednia. Nie będzie długotrwała, lecz nagła i zaskakująca. Będzie wymagała natychmiastowego przystąpienia do działań. Działanie musi być tego rodzaju, żeby wzbudziło aprobatę tych wszystkich, którzy widzą grożące im niebezpieczeństwo. Musimy być gotowi do jego podjęcia.

Przygotowania zaczną się natychmiast. Corrado, począwszy od czwartkowego wydania, zmienisz artykuły wstępne i politykę informacyjną gazety. Nie jesteśmy już centrystami, bardzo szybko przesuwamy się na prawo. Wiem, że ci to nie w smak. Wiem, że nie spodoba się to zespołowi. Twoja głowa w tym, żeby byli zadowoleni, i możesz uciec się do najlepszych kłamstw, jakie zdołasz wymyślić. Nie myślę, żeby posunęli się do strajku, ale nawet to byłoby dla nas korzystne. Chcę takich wstępniaków, żeby moi przyjaciele faszyści czytali je i zgadzali się z nimi. Chcę dużego artykułu poświęconego pracy generała Leporello. Będzie to panegiryk zmodyfikowany przez przekonywujące i krytyczne zalecenia. Innymi słowy, nie chcę, żebyśmy wyszli na kretynów lub wazeliniarzy. Nie chcę tracić moich dziennikarzy ani czytelników, ale chcę dać do zrozumienia, że pod pewnymi warunkami gotów jestem poprzeć prawicę. Chcę, żeby zaprosili mnie do współpracy. Wówczas będę mógł zaprosić ich tutaj.

Milo, twoje zadanie jest delikatniejsze, ponieważ chodzi tu o czas i problemy techniczne. Na górze mamy masę dokumentów i notatek przygotowanych przez Matucciego. Najważniejsze to mapy wojskowe i plany zamachu stanu. Poza tym mamy kolekcję sprośnych fotografii i taśm magnetofonowych. Masz dostęp do pewnych dalszych materiałów z archiwum filmowego i kronik. Daję ci trzy tygodnie na przygotowanie, nakręcenie i zmontowanie dziesięciominutowego filmu opartego na tych materiałach. Film będzie mówił o tym, że generał Leporello uprawia homoseksualizm z własnymi podkomendnymi, że jest mordercą, że przygotowuje zamach stanu. Matucci będzie pracował nad filmem razem z tobą. Będzie także komentatorem i oskarżycielem. To nie jego specjalność, potrzebuje więc wielu wskazówek. Mam nadzieję, że odniesiesz sukces tam, gdzie ja poniosłem porażkę.

Matucci, będziesz pracował z Milem nad filmem. Zwerbujesz i oddasz mi do dyspozycji w ciągu tych samych trzech tygodni gwardię pretoriańską złożoną ze starszych oficerów, którzy zgodzą się uczestniczyć wraz z tobą w

pełnieniu funkcji oficjalnych i wesprzeć cię, jeśli ujawni się spodziewany kryzys. Chodzi tu o najbardziej ryzykowny punkt planu, ponieważ trzeba skrupulatnie rozważyć, w jaki sposób i kiedy należy wyjawić im naturę tego kryzysu. Nie znam twoich przyjaciół. Nie mogą rościć sobie prawa do decydowania, jak masz się z nimi obchodzić. Mogę powiedzieć tylko jedno: jeśli zawiodą nas w ostatnim momencie, wszyscy znajdziemy się na dnie, a grzesznicy przeżyją i będą jeszcze silniejsi niż kiedykolwiek.

Pozwólcie, że opiszę teraz moment, kiedy nasz plan przyniesie triumf lub klęskę. Zakończyłem właśnie pracę nad projektem, który ma być jednym z największych przedsięwzięć mojego życia: chodzi o sieć hoteli turystycznych i zagospodarowanie całego południowego wybrzeża półwyspu. Realizacja tego zamierzenia spowoduje napływ turystów i związanych z turystyką inwestycji w tym zacofanym rejonie kraju. Rząd jest zainteresowany projektem. Mogę już teraz powiedzieć, że konsorcjum włoskich i zagranicznych banków zgodziło się na finansowanie. Mam zamiar ogłosić to właśnie podczas zebrania w tym domu, za niecałe cztery tygodnie. Przyjęcie będzie prywatne. Prasa nie zostanie zaproszona, ale będzie tu Corrado jako mój osobisty gość i jako łącznik ze środkami masowego przekazu. Jeśli tutaj poniesiemy klęskę, będziemy musieli, dla własnego bezpieczeństwa, opublikować wszystkie posiadane materiały.

Lista gości jest już przygotowana. Obejmuje ministrów i wyższych urzędników państwowych — wszystkich ludzi, o których już wspominałem. Generał-major Leporello oraz dyrektor SID są także na liście gości. Mam nadzieję, że nowy ton w naszych komentarzach redakcyjnych i artykułach zachęci ich do przyjścia...

Nadal nie postanowiłem, co zdarzy się tego wieczoru. Musimy czekać na potwierdzenie zaproszeń, a dopiero później będziemy mogli przygotować protokół i porządek ceremonii. Przed podjęciem decyzji będę od czasu do czasu konsultował się z każdym z was. Pozwólcie jednak, że jedno wyłożę jasno wam wszystkim. Jeśli wygramy, pies z kulawą nogą nie potrudzi się, żeby nam podziękować. Jeśli przegramy... Cóż! Najlepiej będzie wyruszyć najbliższym samolotem do Rio!

Następnego dnia zidentyfikowałem człowieka na fotografii. Kapitan Girolamo Carpi, były adiutant Pantaleonego. Było to oszałamiające odkrycie. Stanowiło ogniwo łączące Leporella z Pantaleonerri. Wydobyło również na światło dnia oczywistą lukę w moich informacjach o Carpi, ponieważ w jego dossier nie znalazłem wzmianki o żadnych skłonnościach do zbrodni. Posługiwałem się Carpi. Zwolniłem go, kiedy przestał być potrzebny, i załatwiłem mu bezpieczny azyl w bazie ćwiczebnej na Sardynii. Muszę teraz przemyśleć jego sprawę od nowa i, jeśli to możliwe, zorganizować jego powrót na

półwysep. Ani jedno, ani drugie nie będzie łatwe. Nie byłem już oficerem służby czynnej. Nie miałem żadnego dostępu do kartotek i nie mogłem zwrócić się do władz wojskowych.

Zaniosłem tę wiadomość, a także kłopot z nią związany, Manziniemu. Zastanawiał się przez chwilę, a potem oznajmił:

— Dante, ten człowiek może stać się naszym najważniejszym świadkiem. Musimy go mieć tutaj, wypytać, doprowadzić do tego, że się załamie, i jeśli zdążymy, pokazać go na filmie. Jak tego dokonamy nie wykładając kart na stół przed władzami wojskowymi?

— Pojadę na Sycylię z fotografią w kieszeni i zastraszeniem wymuszę zeznania.

— Nie, Dante. Nie mogę pozwolić sobie na ryzyko wypuszczenia cię poza bramy Pedognany.

— Jeśliby udało się uzyskać przeniesienie Carpiego do Bolonii, mielibyśmy do niego łatwy dostęp. Masz pewnie przyjaciół postawionych w wojsku dostatecznie wysoko, żeby mogli dokonać przeniesienia służbowego.

— Mam. Problem polega na tym, że nie wiem, jak dalece mogę im ufać w obecnej sytuacji... Zostaw to mnie, Dante. Muszę spokojnie pomyśleć. Co z twoimi pretorianami?

— Jeden przyjeżdża jutro, dwaj za tydzień, pozostali w ciągu kolejnego tygodnia.

— Czy przemyślałeś już, co im powiesz?

— O niczym nie mogę decydować, dopóki się z nimi nie zobaczę. Czy ważne jest, ilu ich będzie?

— Liczba jest mniej ważna niż bezpieczeństwo. Oficerowie czynnej służby, w pełnym umundurowaniu — to wywoła odpowiednie wrażenie, ale wolę mieć trzech starannie dobranych i gotowych na wszystko niż ryzykować z jednym chociaż chwiejnym.

— Złożę ci sprawozdanie po rozmowie z nimi.

— Chciałbym zadać ci jeszcze kilka pytań w związku z Carpim. Jak doszło do wciągnięcia go do pracy?

— Zaraz, niech pomyślę... Został wyznaczony na adiutanta twojego brata jakieś osiemnaście miesięcy temu. Sześć miesięcy później wezwał mnie dyrektor i zasugerował, żeby wciągnąć Carpiego na listę domowych donosicieli. Dał mi dossier Carpiego, z którego wynikało, że kapitan żyje ponad stan i jest poważnie zadłużony u jednego z rzymskich lichwiarzy. Zaproponowałem mu, że jeśli zgodzi się pracować dla SID, zapłacimy za niego długi, a oprócz tego będziemy płacić miesięczny ryczałt. Rzucił się na tę ofertę...

— Ale dossier Carpiego wręczył ci dyrektor. Nie występowałeś o nie do władz wojskowych?

— Nie.

— A znając sposoby obchodzenia się dyrektora z dokumentami... czy coś ci przychodzi na myśl?

- Dossier mogło zostać ocenzone, zanim trafiło do moich rąk.
- Właśnie. Coś ci teraz powiem, Dante. Dyrektor znał dosyć dobrze mojego brata. Pamiętasz, że Pantaleone sprzedawał swoją kolekcję?
- Tak. Korespondował z del Giudicem.
- A dyrektor był moim rywalem przy kupnie pewnych dzieł.
- Sądziłem, że nie interesuje się starymi mistrzami.
- Rzeczywiście nie interesuje się, chyba że chodzi o dzieła, które można odsprzedać. Kupuje, chociaż nie wolno wywozić ich z kraju. Sprzedaje z wielkim zyskiem pośrednikowi mniej uczciwemu niż del Giudice. Pośrednik daje obraz do skopiowania, uzyskuje zezwolenie na wywiezienie kopii, a wysyła oryginał. Trzy obrazy z kolekcji mojego ojca przebyły tę drogę. Był to główny temat mojej rozmowy z Pantaleonem ostatniego wieczoru.
- Czy możesz to udowodnić?
- Tak. Ale nie łudź się, Dante. To tylko użyteczna informacja do dossier. Nie wystarczy, żeby obalić dyrektora. On umie się zabezpieczyć. Mamy dowiesć morderstwa.
- Jaki motyw?
- Korzyści. Pod każdym względem. Pantaleone umiera. Leporello zastępuje go jako przywódca wojskowy. Leporello zorganizował morderstwo, dyrektor czuje się już głową państwa, ma w ręku dokumenty. Nie widzisz tego? To klasyczna metoda. Działają jak kreteńscy tancerze skaczący przez byka. Ten, który przeskakuje przez ostatniego byka i ostatni poklepie zwierzę po zadzie, jest mistrzem. Tak, kapitan Carpi jest nam potrzebny. Jakoś postaram się go tu sprowadzić... Powiedz mi, jak twoje samopoczucie?
- Lepsze. Miałaś rację. Łóżko leczy dobrze, ale jeszcze lepiej nienawiść. Jakie mamy szanse?
- Così-cosi... pięćdziesiąt procent. Wszystko zależy od nastroju zebranych. Jeśli wyjdą, koniec z nami. Jeśli zostaną, zwyciężymy. To zupełnie jak w operze, Dante. Wszyscy znają partyturę. Problem polega na tym, czy koncepcja reżysera okaże się dobra i czy artyści właściwie zaśpiewają... Wiem, że będzie to stanowczo moje ostatnie pociągnięcie. Mam nadzieję, że potrafię wziąć wysoką nutę, wytrzymać ją do ostatniego akordu i wykonać jeszcze pożegnany ukłon. Mam nadzieję... tylko tyle. Ale jeśli zobaczysz, że opadam z sił, wypchnij mnie ze sceny, zanim kurtyna opadnie... Słuchaj, Dante, nawet jeśli sprowadzę tu Carpiego, nie będzie czasu na dokładne przesłuchania. Być może, będziesz musiał z nim blefować.
- Nie pociąga mnie taka perspektywa. Poczekajmy i zobaczymy, czy zdołasz go sprowadzić i co można z niego wyciągnąć... Martwi mnie jedna sprawa, Bruno.
- Cóż takiego?
- Sprowadzisz sto, może sto pięćdziesiąt osób, które przyjdą tu na przyjęcie. Jak skłonisz ich do siedzenia przez dziesięć minut i oglądania plugawego

filmu, atakującego niektórych z nich i stawiającego ich wszystkich w bardzo podłej sytuacji?

— Wierz mi, Dante, zdaję sobie sprawę z wagi tego problemu. Jutro przyleci z Monachium niejaki profesor Mueller. Jest znanym specjalistą od psychologii tłumu i sterowania zespołami ludzi. Chcę przedstawić mu problem w możliwie najbardziej precyzyjny sposób i chcę, żeby zapoznał się z atmosferą, w jakiej ten problem się wyłoni. Wolałbym kogoś znającego lepiej charakter latynoski, ale boję się wezwać kogoś z naszych specjalistów. Stara jak świat historia, przyjacielu: nieprzyjaciółmi człowieka są jego domownicy. Smutne, prawda?

— To dziwne...

— Co?

— Tych samych słów użył Pantaleone w rozmowie z Liii Anders.

— W jakim kontekście?

— Pozwól, że zastanowię się... chwilę... Chciałbym przypomnieć sobie dokładnie, a pamięć ciągle jeszcze płata mi figle. O, mam. Zdaje się, że Pantaleone miał zwyczaj rzucania zagadkowych uwag i odmawiania wyjaśnień. Liii skojarzyła dwie uwagi: „Moja przyszłość nie może być prosta, bo moja przeszłość jest skomplikowana” i następnie słowa, których użyłeś przed chwilą.

— W związku z czym wygłosił te uwagi?

— Wtedy wydawało mi się, że w związku z Salamandrą.

— Może myślał o nowym szpiclu, Carpim?

— Bardzo możliwe.

— Pomyśl nad tym, Dante. Myśl o Carpim jako o człowieku bliskim Leporellowi, jako o człowieku dyrektora, jako o człowieku, który miał swobodny dostęp do mieszkania Pantaleonego... Jako o człowieku, który zabił mojego przyrodniego brata.

— A o sobie samym jako o człowieku, który korzystał z usług Carpiego. Ładna historia!

— Cieszę się, że to dostrzegłeś. Powiedziałeś, że dyrektor przygotowuje Czarną Księgę poświęconą tobie. Jeśli postawimy w stan oskarżenia Carpiego, ty także możesz znaleźć się w trudnej sytuacji.

— Bruno, spójrzmy prawdzie prosto w oczy. Możesz karmić mnie jabłkami i owocami granatu, możesz otoczyć mnie chórami anielskimi, ale ja jestem i tak po szyję zanurzony w łąjnie. Ode mnie wszystko się zaczęło. Ja muszę zakończyć sprawę. Pod tym kątem przygotowuję film. Jeśli sprawy będą wyglądały niedobrze, musisz się mnie wyprzeć.

Uniósł białą głowę i obdarzył mnie zagadkowym uśmiechem.

— Dante, synu mój, nigdy nie kładź nacisku na sprawy oczywiste. Jeśli przegramy — odpukaj w drzewo — nie będę mógł cię podtrzymywać. Jeśli wygramy, obaj będziemy bardzo zajęci. Zbyt zajęci, żeby pozwolić sobie na dramatyczne gesty.

Następne trzy tygodnie były okresem narastającej paniki, łagodzonej jedynie dzięki spokojowi Manziniego. Salą balową willi zawładnęła cała armia malarzy, dekoratorów i elektryków. Stodoła przekształcona została w laboratorium, biura i montażownię dla Mila i jego ludzi. Manzini pracował czasem w domu, otoczony zespołem sekretarek, czasem zaś w Mediolanie, skąd wracał z szarą twarzą, zmęczony, ale zawsze ze słowami zachęty. Lista gości zapełniała się. Kampania prasowa została dobrze przyjęta przez prawię. Leporello i dyrektor przyjęli zaproszenie. Niektórzy z ministrów przysłali Manziniemu osobiste pozdrowienia.

Milo wyklócał się ze mną przez cały czas przygotowywania filmu; jemu zależało na wizualnym efekcie, a ja żądałem przestrzegania logiki sprawy, którą mamy przedstawić. Moi przyjaciele przybywali pojedynczo i sondowałem ich jak spowiednik, zanim odważałem się dać im do zrozumienia, o co tu właściwie chodzi. Wszyscy martwili się sytuacją w Republice, rozbiem politycznym armii. Ale nie byli zgodni w sprawie środków, jakie należy podjąć. Ostatecznie zostało jedynie czterech takich, którym mogłem rzeczywiście zaufać. Tym powiedziałem, co następuje:

— Zostaniecie zaproszeni na oficjalne przyjęcie, które odbędzie się tutaj w willi. Jest to wielka okazja, więc ubierzcie się w mundury wyjściowe. Każdemu z was gwarantuję eskortę w postaci ładnej dziewczyny. W czym rzecz? Będzie tu mnóstwo ważnych osobistości: ministrowie, urzędnicy państwowi. Towarzyszyć im będzie normalna ochrona, ale nie chcę, żeby ludzie z ochrony znaleźli się w jadalni. Dlatego potrzebni mi jesteście wy; goście bawiący się na przyjęciu... Podobno tego wieczoru może dojść do pewnego wydarzenia. Nic nie mogę wam na ten temat powiedzieć. Nie zadawajcie pytań. Chcę, żebyście ufali mi i przyszliz tutaj jako przyjaciele... i być może, żeby bronić tej sprawy, o której rozmawialiśmy. Nikt nie oczekuje jednak od was niczego poza uczestnictwem w przyjęciu. Otrzymacie takie same zaproszenia jak pozostali goście. Godzicie się na to, czy nie? Jeśli tak, czy przyjmiecie jeszcze jeden warunek? Jest to tajemnica stanu i tak trzeba na tę sprawę patrzeć.

Zgodzili się, a ja ufałem im. To przyjaciele od serca, ludzie bliscy jak rodzina, a jedynie na rodzinie mógłbym polegać w tej trudnej i niecodziennej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Kiedy powiedziałem o wszystkim Manziniemu, wyraził krótko zgodę i uznał sprawę za załatwioną. To moje terytorium. Jestem tu sam za siebie odpowiedzialny. Kiedy zapytałem go o Carpiego, zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Na razie nic. Jutro lecę do Rzymu zobaczyć się z jednym z przyjaciół, który pracuje w ministerstwie obrony. Sprawa jest ryzykowna i wymaga okężnej drogi, przez sztab. Ale mam nadzieję, że Carpi znajdzie się tu w porę.

Spotkał go zawód. Ostatni tydzień minął w podnieceniu gorączkowych przygotowań. W dniu przyjęcia kapitana Carpiego jeszcze nie było.

W trakcie końcowej narady wojennej, która odbyła się o trzeciej po południu, podjęto decyzję, że nie będę pełnił zadnej funkcji, ale mam pojawić się dopiero w decydującym momencie. Powód był prosty i całkowicie przekonujący. Moja obecność mogłaby wprowadzić w zakłopotanie Leporella i dyrektora i wprowadzić niebezpieczną nutę skrępowania, a przecież sukces zgromadzenia zależał od starannego przygotowania atmosfery.

Po tym spotkaniu Manzini zabrał nas na końcową inspekcję. W hallu gości miały witać dziewczęta Pii, które zaprowadzą ich następnie do pierwszego salonu, gdzie zostaną przedstawieni Manziniemu i Pii i popijając koktajle ruszą na obchód ogromnego, oświetlonego schematu inwestycji — wielkiej plastycznej mapy włoskiego buta, na której zaznaczono trasy turystyczne, lokalizację obszarów przeznaczonych do zagospodarowania; rozmieszczono tam również szereg modeli ujawniających kompletne wyposażenie.

Po koktajlach goście mieli przejść do sali balowej, która tym razem będzie pełniła rolę jadalnego. Pomieszczenie jaśniało od kwiatów, a oświetlenie zostało pomyślane tak, by pochlebiali najmniej ładnej z kobiet. Rozmieszczenie gości było, jak na taką okazję, dość niezwykle: ustawiono wszędzie małe prostokątne stoły, przy których mieściły się trzy osoby po jednej stronie, tak że każda grupa gości tworzyła jakby małą zamkniętą wspólnotę. Na końcu każdego stołu znajdowała się srebrna misa, w której spoczywało sześć płaskich, prostokątnych paczuszek owiniętych w złoty papier i związanych wstążką — prezenty dla gości. Przy drugim końcu każdego stołu ustawiono mały odbiornik telewizyjny najnowszej generacji podłączony w obwodzie zamkniętym do centrali urządzonej w sąsiednim pokoju. Stół gospodarza, przy końcu sali, miał kształt podkowy, a odbiornik telewizyjny umieszczono między końcami owej podkowy.

Każdy z gości dostanie kartę z programem, iluminowaną przez Carla Metapontego, a ostateczny wyraz zuchwałej ironii stanowiło to, że kartoniki z nazwiskami gości wetknięto w małe srebrne uchwyty w kształcie salamandry. Program był prosty: toast na cześć prezydenta i Republiki, powitalna mowa ministra turystyki, odpowiedź Bruna Manziniego i pokaz krótkiego filmu telewizyjnego poświęconego nowym inwestycjom, a wyprodukowanego i reżyserowanego przez Mila de Salisa.

Było jeszcze jedno udoskonalenie: trzy monitory telewizyjne umieszczone w rozmaitych punktach sali. Dwa skierowano na stoliki, przy których mieli siedzieć Leporello i dyrektor. Trzeci obejmował całą salę, tak że wszystkie poczynania można było podglądać i nagrywać na taśmę, by mogły następnie posłużyć za dowód. Leporello i dyrektor zostali posadzeni po przeciwległych stronach sali, żeby nie mogli się nawzajem widzieć. Po jednym z moich pretorianów posadzono przy każdym z tych dwóch stolików, a kolejnych przy stolikach sąsiadujących. Manziniemu musiało to wszystko kosztować fortunę. Ile kosztuje wyobraźni i pomysowości, było po prostu niewiarygodne, jeśli

uświadomić sobie wiek tego człowieka. Po zakończonym obchodzie zaprowadził mnie do swojego gabinetu, nalał nam obu brandy i wygłosił ostatni toast za powodzenie przedsięwzięcia.

— ... Nie będę ci życzył powodzenia, Dante. Do tego punktu doprowadziło nas to, żeśmy wierzyli, pracowali i mieli odwagę. Co zdarzy się dzisiejszego wieczoru, zależy od tego, czy dość skrupulatnie wyliczyliśmy wzajemne oddziaływanie małych grupek ludzi poddanych niespodziewanemu i szokującemu doświadczeniu. Wedle tego, co twierdzi Mueller, stawiamy na to, że ciekawość przeważy nad odrazą i każe im dotrwać do końca. Mówi jednak, że punkt kryzysowy nastąpi, jeśli Leporello albo dyrektor spróbują opuścić salę, licząc, że to nagłe poruszenie wywoła zamieszanie wśród widzów. Musisz za wszelką cenę temu zapobiec. Będziesz oczywiście uzbrojony, ale możesz posługiwać się tylko groźbą. Nie ma mowy o aktach przemocy. Jak się to wszystko zakończy, jest oczywiście w ręku Boga... a chociaż, Dante, pewnie w to nie wierzysz, On nie może pozostać obojętny na to, co się tutaj dzisiaj zdarzy... Być może taki właśnie powinienem wznieść toast: modłę się, żeby Bóg zachował cię w zdrowiu, Dante, i żeby ci pozwolił przybić do bezpiecznej przystani.

Powiedziałem: amen, i było to najbliższe modlitwy z wszystkiego, co od wielu lat padło z moich ust. Wypiliśmy i odstawiliśmy kieliszki. Wtedy Manzini wyskoczył z ostatnią już niespodzianką.

— Dante, przyjacielu, czy zastanawiałeś się nad jutrem?

— Nad jutrem?

— Tak. Przecież ono nadejdzie, chyba że obaj umrzemy we śnie.

— I co z tego?

— To, że jeśli nasza strategia okaże się skuteczna, będziesz miał jutro Leporella i dyrektora pod kluczem i obciążonych wieloma oskarżeniami. Jak \ będziesz postępował począwszy od tego punktu wyjścia?

— Tak, jak piszą w podręcznikach. Zeznanie oficera, który ich aresztował, zeznanie podejrzanego. Przekazanie dokumentów władzom sądowym. Rozpatrzenie ich przez sąd, przedstawienie zarzutów obrońcom i publiczny proces.

— Który oczywiście wywoła skandal na skalę międzynarodową.

— Tak.

— I będzie miał głębokie konsekwencje polityczne?

— To nieuniknione.

— Konsekwencje, do których ani rząd, ani kraj nie jest na razie przygotowany.

— To prawda.

— Wymień mi te konsekwencje tak, jak je rozumiesz.

— Udaremnimy faszystowski zamach. Naruszymy zaufanie opinii publicznej do wyższych urzędników. Znacznie podbudujemy siły lewicy... Z drugiej strony potwierdzimy fakt, że państwo jest zdolne oczyścić się i uporządkować samo z korzyścią dla narodu.

— A ostateczny wynik?
— Potencjalnie zdrowy.
— Potencjalnie?
— Według mojej najlepszej oceny.
— Co nadal nie niweczy zagrożenia, poważnego zagrożenia.
— Owszem.
— Pierwsze zagrożenie dotyczy ciebie. Ty przygotowałeś film. Ty dokonasz aresztowań, ty wniesiesz oskarżenie. Musisz przedstawić zarzuty. Czy dokumentacja jest kompletna?
— Przeciwno Leporellowi tak. Przeciwno dyrektorowi nie. Dobry prawnik może go wyciągnąć.
— A wtedy ty będziesz przyparty do muru.
— To jasne.
— I jesteś na to przygotowany?
— Mam nadzieję.
— Mógłbyś tego uniknąć.
— Jak?
— Zdarzają się wypadki, szczęśliwe wypadki.
— Wiem... „Więzień został zastrzelony podczas próby ucieczki. Więzień miał atak serca podczas rutynowego przesłuchania i lekarz policyjny stwierdził, że chodziło o zadawnioną wadę serca. Podejrzany został tymczasowo zwolniony na wniosek obrońcy i nie stawił się na przesłuchanie przed trybunałem...” Nie, Bruno! Nie tym razem! Nie dla mnie. Nie dla ciebie. Nie dla ministra i nawet nie dla samego prezydenta.
— Ani nie dla narodu? Twojego narodu, Dante.
— Naród jest sam dla siebie. Ja jestem jedynym człowiekiem, który należy tylko do mnie. Ty udzieliłeś mi tej lekcji, Bruno. Nie mogę się jej wyprzeć.
Obdarzył mnie przeciągłym, drwiącym spojrzeniem, uśmiechnął się i zbył sprawę wzruszeniem ramion. Podeszedł do biurka, otworzył szufladkę i wyjął małe pudełeczko z aksamitu. Podał mi je i powiedział po prostu:
— To prezent. Mam nadzieję, że ci się spodoba.
Otworzyłem pudełeczko i zobaczyłem złoty sygnet wciśnięty w zagłębienie poduszki z aksamitu. Symbolem wygrawerowanym na oczku była salamandra w koronie.
Moja równowaga uczuciowa była nadal zachwiana. Poczułem głębokie wzruszenie. Jednak Manzini nie dopuściłby do żadnych objawów wdzięczności z mojej strony. Stał nade mną niby szyderczy mędrzec i wygłosił jeszcze jedną mowę ostrzegawczą.
— ... Jesteśmy ofiarami tych, których kochamy, Dante. Oni swymi marzeniami określają nasze losy i oni pogrążają nas w koszmary sennie. Oni planują bajeczne podróże i mają do nas pretensje, kiedy podróże kończą się katastrofą morską. A jednak nie mamy na to żadnej rady, ponieważ my także jesteśmy

urodzonymi marzycielami i konspiratorami... Mój ojciec obrabował mnie z nazwiska i dziedzictwa historii i pomyślał, by wynagrodzić mi to fundamentem fortuny, którą dysponuję dzisiaj. Twój ojciec snuł szlachetne marzenia o nowym świecie, a jego rodzina z ich powodu cierpiała. Wreszcie ty, Dante, przywdziałeś mundur tych, którzy przyszli, żeby go aresztować.

A jednak każdy z nas nauczył się tej samej lekcji: nie ma żadnych gwarancji, nie ma żadnej trwałości, życie to zagadka podsunęta przez Boskiego Aktora, a rozwiązanie jest tak proste, że nigdy go nie dostrzegamy, dopóki nie jest za późno. Nigdy ci tego nie powiedziałem, ale po wojnie, kiedy przez dłuższy okres byliśmy narodem żebraków, żyjących z amerykańskich funduszy na odbudowę, dobijając wszelkiego rodzaju podłych targów, z których dzisiaj próbujemy się wycofać, igrałem z myślą o tym, żeby opuścić całkowicie Europę i wszystko, co zostało z mojego życia i fortuny, zainwestować w Nowym Świecie. Tutaj byłem uwikłany w historię, schwytyany niby jagnię w krzak jeżyny, zraniony, przestraszony i całkowicie zagubiony. Tam, czułem to, mógłbym stać się innym człowiekiem, budowniczym patrzącym tylko w przyszłość...

Wróciłem tutaj, do Pedognany. Pewnego wieczoru poszedłem do kaplicy i długo siedziałem patrząc na płytę pokrywającą grobowiec Marie Claire. Próbowałem z nią rozmawiać. Nie było żadnej odpowiedzi, taka bowiem jest natura Boskiej zagadki: wymowność tych, którzy jej nie pojmują, milczenie tych, którzy w końcu ją rozwiązali. Zacząłem płakać i były to ostatnie łzy, jakie kiedykolwiek przelałem. Przyszedł stary don Eggidio. Poznałeś go. To typowy wiejski ksiądz, niezbyt wykształcony, niechlujny i zrzędny, także trochę pijak, ale przy tym wszystkim bardzo rozumny.

Nie próbował mnie pocieszać. Zbyt dobrze mnie znał. Wiedział, że odepchnąłbym go jako człowieka zbyt ciemnego, żeby potrafił zrozumieć złożoność mojego losu. Usiadł obok mnie i opowiedział mi historię szczeniaka ze słomianym ogonem... Nie znasz jej? Jest bardzo prosta. Był raz szczeniak, który przyszedł na świat z bardzo krótkim ogonkiem. Wstydził się tej ułomności, tak więc wykonał sobie długi i piękny ogon ze złocistej słomy. Był z siebie nader dumny. Machał tym ogonem dwa razy szybciej niż inne psy we wsi. Chodził nadęty jak paw, pysznił się i zabiegały o niego wszystkie suki. Potem, pewnego dnia, kiedy leżał sobie przy ogniu w chacie swojego pana, ogon zapalił się... Oczywiście nie mógł go ugasić. Biegał w kółko skowycząc, aż pan wrzucił go do stawu, żeby ugasić ogień.

Potem było jeszcze gorzej. Ogon stał się krótszy, cały zadek był pokiereszowany i wszystkie psy śmiały się ze szczeniaka. Co więc zrobił? Był bardzo szczęśliwy ze swoim słomianym ogonem, więc zrobił sobie jeszcze jeden, ale zawsze potem baczył, żeby trzymać się z dala od ognia... Mógł, oczywiście, dokonać innego wyboru. Mógł zrezygnować z fałszywego ogona, opatrzyć swoje rany i spać wygodnie przez całą zimę tak blisko ognia, jak tylko zapragnął.

... Domyślasz się, że morał jest oczywisty. Ale nie dla don Egidia. On wyciągnął całkiem inny wniosek: człowiek nie jest szczeniędem, obejmuje wszystkie elementy, przez wszystkie jest obejmowany i może je wszystkie przeżyć: może zawrzeć układ z życiem; jedyną rzeczą, o jaką nie może się targować, jest cena ostateczna: śmierć i samotność... Będziesz dzisiaj wieczorem samotny, Dante. Będziesz samotny po wszystkim, bo nie można ufać nikomu, kto przebywa w towarzystwie człowieka, który publicznie wykonuje wyroki. Pierścień, który ci dałem, jest symbolem, nie zaś talizmanem. Jedyną w nim rzeczą magiczną jest miłość, jaka towarzyszy dawaniu. Przypomnij sobie o tym, kiedy cię opuszczę, jak powinienem, jak muszę...

Miałem jeszcze bardzo dużo czasu. Goście przyjdą dopiero o ósmej trzydzieści. Nie usiądą przy stole przed dziewiątą trzydzieści. Wtedy zejdę do pokoju kontrolnego i przeprowadzę ostatnią odprawę z Milem i jego ludźmi. Kiedy Manzini skończy przemówienie, mają zgasić światła, a włączyć ekrany telewizyjne. Jednocześnie ja miałem wejść do sali balowej i zamknąć drzwi. Jeśli ktokolwiek zechce wyjść, mam zatrzymać go aż do końca seansu, chyba że będzie to kobieta. Była dopiero za dwadzieścia szósta. Poszedłem do swojego pokoju, nastawiłem budzik na ósmą, przeczytałem kilka stron Guicciardiniego i zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się wypoczęty i dziwnie spokojny. Ogoliłem się, starannie wykapałem i założyłem nowy mundur. Kiedy przejrzałem się w lustrze, zobaczyłem mężczyznę, którego rozpoznałem z najwyższym trudem: pozostający w służbie czynnej oficer Korpusu, którego przysięga zachowała królewski nimb, którego tradycja, aczkolwiek zbrukana przez jednostki, nadal stanowiła zaszczytny herb. Odznaki stopnia, na które osobiście zasłużyłem. Ja, syn politycznego banity, miałem prawo przypisać sobie zasługi wobec kraju, dla którego on się na swój sposób poświęcił. Mimo wszystkich brudnych sztuczek, po które sięga się w moim zawodzie, mogłem czuć jakąś dumę i szczyptę niepewnej siebie miłości wobec człowieka mieszkającego w mojej skórze. Dosty tego! Czas ruszać.

Kiedy schodziłem na dół do pustego hallu, majordomus otworzył frontowe drzwi i wprowadził kapitana Carpiego. W pierwszej chwili Carpi nie poznał mnie; a kiedy wreszcie przypomniał sobie, kim jestem, był zaszokowany. Powiedział, że przysłano go z Sardynii z pilnym meldunkiem, który miał przekazać osobiście generałowi-majorowi Leporello. Oznajmiłem mu, że generał jest na przyjęciu, ale że będzie mógł zameldować się mu dopiero po kolacji. Zapytał, co tu robię. Odparłem, że powierzono mi specjalne zadanie. Nie miał najmniejszego pojęcia o całej sprawie. Wiedział jedynie, że jego dowódca wezwał go do siebie, powierzył rolę specjalnego kuriera i wysłał w tę niezrozumiałą podróż. Zastanawiałem się, jakie sztabowe zabiegi pozwoliły na

dokonanie tego manewru. Zaprowadziłem go do pokoju kontrolnego, dałem kieliszek szampana i kanapkę; odciągnąłem Mila na bok i ostrzegłem przed jakimis aluzjami w obecności Carpiego. Potem usiedliśmy i przyglądaliśmy się przedstawieniu. Jednocześnie zastanawiałem się gorączkowo, jaki użytek zrobię z tego spóźnionego przybycia kapitana. Kiedy Manzini wstał, żeby zapowiedzieć toasty, podjąłem już decyzję.

Minister turystyki wygłosił przemówienie eleganckie i dowcipne, być może odrobinę za długie, ale musiał przecież zaimponować koledze, ministrowi spraw wewnętrznych. Zwrócił uwagę na rozmaitość i rozmach przedsięwzięć Manziniego. Wychwalał śmiałość jego wizji sprawiającą, że niektórzy ludzie mrużą oczy, inni zaś zamykają je i czekają na grom z jasnego nieba. Wyraził fiodziw dla bankierów za ich dalekowzroczność i zaufanie do gospodarki kraju oraz jego politycznej stabilności. Był wdzięczny za wystawne powitanie zgotowane przez cavaliere gościom. Widział w tym symbol powitania zgotowanego przez Italię milionom, które przybywają co roku z wizytą. Życzył pomyślnej realizacji planów, zapewnił uczestników o życzliwości rządu, dorzucił jeden czy dwa kwiatki metafor i usiadł obdarzony grzecznościowymi oklaskami.

Następnie wstał Bruno Manzini i wygłosił swoją mowę:

— Dziękuję panu ministrowi za ciepłe słowa. Dziękuję mu za ufność, z jaką patrzy na nasze przedsięwzięcie, które samo w sobie stanowi akt wiary w przyszłość naszego umiłowanego kraju. Ten akt wiary jest całkowicie szczery, jako że moi koledzy i ja włożyliśmy ogromne sumy pieniędzy w rozwój Włoch w czasie, kiedy wbrew optymizmowi mojego dobrego przyjaciela kraj jest w wielu sprawach podzielony. Mogę powiedzieć o tym dzisiaj, na tym zgromadzeniu, gdyż nie ma tu prasy, która zrelacjonowałaby moje uwagi, wy zaś, drodzy państwo, jesteście mądrymi ludźmi, równie jak ja zainteresowanymi przyszłością tego kraju i jego dzieci. Podziały, o których wspomniałem, są bardzo głębokie. Niektóre mają charakter historyczny, niektóre polityczny, niektóre społeczny. Jesteśmy narodem żyjącym pod jednym sztandarem, ale stanowimy również wiele narodów, z których każdy ma własną historię. Mamy za dużo partii, a za mało powszechnej zgody, byśmy łatwo mogli osiągnąć rządy dla narodu i przez naród. Zbyt wielkie bogactwa skupione są w zbyt małej ilości rąk, a zaliczam tutaj także moją fortunę. Jednak próby pogodzenia tych odmienności, do czego niektórzy, jak się wydaje, zmierzają, stosując środki gwałtowne i złowrogie, stanowią niebezpieczne szaleństwo, tak w istocie niebezpieczne, że może zanegować za jednym zamachem wszystko, co osiągnęliśmy od zakończenia wojny, wszystko, co mamy nadzieję zbudować w nadchodzących latach...

Rozległy się oklaski. Te tezy mogli zaakceptować wszyscy, ponieważ nie musieli się im zbyt blisko przyglądać. Wiedzieli o podziałach, wiedzieli o przemocy i każdy miał jakiegoś złowrogiego kozła ofiarnego, który może

zanieść jego grzechy na pustynię zapomnienia. Manzini uciszył ich bez pośpiechu, uśmiechem i gestem. Jego zachowanie zmieniło się. Był teraz zadowolony i złośliwy.

— ...Czy zastanawialiście się kiedyś nad taką sprawą, przyjaciele: w ciągu całej naszej historii uczt stanowiły okazje niezwykle ważne. To dziwne, ponieważ nie jesteśmy żarłokami jak Niemcy ani nie pijemy tyle co Francuzi. Radujemy się winem, jedzeniem i towarzystwem pięknych kobiet, których jest tu dzisiaj wiele. Ale faktem jest, że historia rozgrywa się u nas podczas posiłków. Była uczta u Trymalchiona. Wszyscy to pamiętamy: bardzo gruby, bardzo odrażający, nawet jeśli podniesiony do godności przez sztukę wielkiego Petroniusza. Następnie była fatalna uczta Tolomei i Salimbeniego, o której na pewno pamiętają ci wszyscy, którzy mają zaszczyt być Toskańczykami. Ta uczta zakończyła się morderstwem. Ale zapewniam was, przyjaciele, że dzisiejszego wieczoru nie dojdzie do morderstwa. Następnie były canacoli świętej Katarzyny ze Sieny, gdzie w toku natchnionej rozmowy dusze nabierały wzniosłości, a ciała były udręczone bardzo surową dietą. Oddając ukłon monsignore Frantiskowi, który jest dzisiaj z nami jako nieoficjalny przedstawiciel Ojca Świętego, z ubolewaniem muszę stwierdzić, że nie osiągnęliśmy tego stopnia duchowej doskonałości. Aczkolwiek śmiem stwierdzić, że jest to spotkanie historyczne.

W srebrnych wiaderkach znajdujących się przy końcu każdego stołu znajduje paczuski. Bardzo proszę, rozdajcie panowie te paczuski. Nie, nie, proszę ich jeszcze nie otwierać. Są one bez sensu, zanim zobaczycie film, film, którego, muszę powiedzieć, nie zapowiedzieliśmy w programie... Ten film to szczególnie dokument. Prasa nie wie jeszcze o jego istnieniu. Publiczność nigdy go nie zobaczy, jedynie wy, moi drodzy przyjaciele i rodacy. Czeka was niezwykle doznanie. Niektórzy z was, szczególnie panie, mogą poczuć się zmieszani i zakłopotani. Błagam o cierpliwość i wyrozumiałość aż do momentu, kiedy film sam siebie wyjaśni... A teraz, jeśli obrócicie nieco krzesła, będziecie mogli wygodnie obserwować ekran telewizyjny znajdujący się przy końcu każdego stołu.

To był sygnał. W zamieszaniu, jakie powstało, moi pretorianie wstali i ostrożnie przesunęli się przy ścianie, tak że znaleźli się o krok od Leporella i Baldassarego. Pozostali mężczyźni postąpili podobnie, cały więc manewr robił wrażenie swobodnego, towarzyskiego przetasowania. Manzini ciągnął:

— Jeśli ktokolwiek waha się przed wzięciem udziału w tym seansie, błagam, żeby wyszedł od razu... Wszyscy są zdecydowani? Doskonale. Za moment rozbłyszczą ekrany telewizyjne, a sala pogrąży się w ciemności. Wszyscy chyba zgodzą się ze mną, że tajemnice powinny być wyjawiane w mroku, a cieszyć się nimi trzeba w pełnym świetle.

To sygnał dla mnie. Pchnąłem Carpiego i weszliśmy do sali w momencie, kiedy zgasły światła i rozbłysły ekrany. Zamknąłem drzwi, włożyłem klucz do kieszonki marynarki i skupiłem uwagę na najbliższym ekranie.

Milo de Salis wybrał technikę filmową prostą jak elementarz i zabójczą jak wyrok śmierci. Sprowadzała się ona do serii prostych i kategorycznych stwierdzeń — obrazów i komentarzy. Ekran był trochę za daleko, żeby wygodnie widzieć, ale znalazłem komentarz na pamięć.

„...To zdjęcie przedstawia generała-majora Pantaleonego, który zmarł w tym roku, podczas nocy karnawałowej, w Rzymie.

Oto świadectwo zgonu, które stwierdza, że przyczyny śmierci były naturalne... W rzeczywistości generał umarł na skutek wstrzyknięcia powietrza w arterię udową. Został zamordowany...”

Przyspieszone oddechy, szelesty, lawina szeptów; potem cisza, bo komentator podjął:

i, „Oto kopia późniejszego opisu sekcji zwłok, podpisana przez trzech znanych lekarzy.

Oto fotografia biurowca przy Via Sicilia, gdzie papiery generała złożono po jego śmierci. Papiery zostały skradzione, dwaj ludzie zamordowani — awokato Bandinelli i funkcjonariusz Calvi ze Służby Wywiadu Obronnego.

Oto dowód osobisty człowieka, który ich zamordował: Giuseppe Balbo, kryminalista używający szeregu fałszywych nazwisk.

Wśród papierów generała znajdowały się te mapy: Mediolan... Rzym... Neapol... Tarent... Oto mapy wojskowe, które od tego czasu zostały zmienione w szczegółach, ale nie w zasadniczej wymowie. Pokazują one, w jaki sposób trzydziestego pierwszego października bieżącego roku junta wojskowa planuje obalić legalny rząd Włoch i ustanowić dyktaturę.

Ruchove strzałki pokazują, w jaki sposób plan będzie wprowadzany w życie.

Mapy i plany, które przed chwilą państwo widzieliście, znajdują się obecnie w posiadaniu następcy nie żyjącego generała Pantaleonego, generała-majora Leporello, który jest dzisiaj na sali”.

Znowu szmer, bo wszystkie głowy odwróciły się w kierunku Leporella. Nie można go było dojrzeć w przyćmionym świetle, więc znowu uwaga obecnych skupiła się na obrazie i komentarzu.

„Oto niedawna fotografia adiutanta generała Leporello, kapitana Matteo Roditiego. Jest obecnie pod opieką psychiatrów, ponieważ przeszedł tortury, które doprowadziły go do obłądzenia, a które miały na celu uniemożliwić mu stawienie się jako świadek w sądzie.

Oto następne zdjęcie Giuseppe Balba, mordercy, który zastrzelony został, bo stawiał opór przy aresztowaniu go przez ludzi generała Leporello.

To klub » Alcybiades«, siedlisko zboczeńców. Kapitan Roditi spotykał się tu często z Giuseppe Balbem, który, jakkolwiek może wydać się to dziwne, służył w korpusie karabinierów, dowodzoną przez generała Leporello.

Ta kobieta z dziećmi dokonująca zakupów w Mediolanie jest żoną generała-majora Leporello.

Oto jeden z trzydziestu listów miłosnych, które napisała do kapitana Matteo loditego, adiutanta męża i prawdziwego ojca jej dzieci. Ten miłosny związek ieszyl się pobbłążaniem generała, i nie bez przyczyny."

Był to moment krytyczny, przewidziany zresztą przez Muellera. Leporello ie mógł bronić sam siebie, ale mógł i musiał bronić żony. Natychmiast zerwał ię na równe nogi, jego sylwetka wyglądała monstrialnie w półmroku. Krzy- nął: „To obraza niewinnej kobiety. Żądam..."

Nie zażądał niczego. Moi pretorianie znajdowali się przy nim z pistoletami /ciśniętymi pod jego żebra. Głos Manziniego zadźwiewał znowu donośnie:

— Proszę usiąść, generale. Panie i panowie, proszę o panowanie nad sobą. ^ie jesteśmy tu po to, żeby obrażać kobietę, ale żeby zapobiec rozlewowi krwi.

Salę przebiegł jęk wzburzenia, który odczuć mogłem prawie fizycznie. Nie d razu usiedli. Patrzyli i czekali, aż Leporello opadł na krzesło, wreszcie agubieni i pozbawieni przywódcy, poddali się w milczeniu wymowie ostat- lich brutalnych faktów.

„Następna fotografia wywoła oburzenie, ale proszę przyjrzeć się jej dokład- lie. Pokazuje generała-majora Leporello podczas stosunku seksualnego z iuseppem Balbo, mordercą.

Ta fotografia pokazuje go natomiast podczas stosunku z człowiekiem ziden- yfikowanym jako jego osobisty adiutant i prawdopodobny morderca genera- a-majora Pantalconego. Jego nazwisko: kapitan Girolamo Carpi.

Ten człowiek, generał-major Leporello, panie i panowie, wybrany został na >rzywódcę zamachu stanu. Jednakże on sam nigdy nie sprawowałby władzy, kał za nim kto inny...

... Tym kimś jest książę Filippo Baldassare, dyrektor Służby Wywiadu 3bronnego. To on zaplanował śmierć Pantaleonego, to on wynajął Carpiego, :eby zabił generała. To on poprowadził sprawę w ten sposób, że następcą 'antaleonego został Leporello."

Widownia znowu obróciła głowy, by wśród ciemności rozpoznać Baldassa- ego. Należałem do niewielu, którzy mogli go widzieć. Siedział spokojnie, bez uchu, sącząc brandy z kryształowego kielicha.

„Kim ja jestem? Jestem pułkownikiem Dante Alighieri Matuccim z tej ;amej Służby. Zebrałem te informacje. Ja także byłem uwięziony i poddany psychologicznej torturze mającej na celu wydobycie ode mnie tych dokumen- :ów. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za treść filmu. Oświadczam, że wszystko jest prawdą i przedstawię właściwym władzom dokumenty potwier- dzające te fakty."

Ekrany zgasły. Rozbłysły światła i sto pięćdziesiąt osób siedziało w milcze- niu, z zawstyżeniem patrząc na siebie. Wyszedłem na środek sali z idącym ze mną jak lunatyk Carpim. Przez moment ogarnęła mnie ślepa panika. Po chwili odzyskałem możliwość mówienia.

— Proszę obecnych tu oficerów o aresztowanie generała i księcia Baldassare.

I wtedy zacząłem się modlić. Mówiłem w duchu: Chryste, spraw, żeby się ruszyli!... I ruszyli się. Położyli dłonie na ramionach dwóch mężczyzn. Był to akt ostateczny i zupełny. Teraz musiałem odezwać się znowu. Usłyszałem własny głos:

— Cavaliere, panie i panowie. Jest tu ze mną aresztowany kapitan Girolamo Carpi, który we właściwym miejscu złoży zeznania dotyczące jego udziału w tej sprawie.

Komendę objął teraz od swojego stolika Manzini.

— Moi ziomkowie! Zostaliście dzisiaj obrażeni. Byliście wstrząśnięci i zawstyżeni. Być może nigdy nie wybacycie mi cierpienia, jakiego byłem powodem. Nie chcę się usprawiedliwiać. Powiem jedynie, że nie jest to wygórowana cena za zapobieżenie rozlewowi krwi, domowym zamieszkom i nowej tyranii... A teraz proszę was, żebyście przeszli do salonu, gdzie podane zostaną napoje i kawa.

Wstali wolno i wyszli, pobledli. Szli jak automaty, niosąc nadprogramowy dar — dossier tego, który przegrał, i kartkę z pozdrowieniami od Salamandry. Helena Leporello przeszła obok, nie spojrzawszy na mnie. W końcu pozostali pretorianie, oskarżeni, minister spraw wewnętrznych, Manzini i ja.

Manzini i minister wstali zza głównego stołu i podeszli do mnie, krocząc przez pokój. Zatrzymali się. Spojrzeli na mnie lodowato i bez wyrazu. Minister powiedział:

— Dziękuję, pułkowniku. Zrobi pan z tymi panami, co należy. Zaczekam tutaj. Przed wyjściem przedstaw mi pan swój raport.

Bruno Manzini nie powiedział ani słowa. Zrobił dokładnie to, co obiecał. Wyszedł.

Była to chwila pełna grozy. Trzech więźniów i trzech dozorców — milczących pośród szczątków po ucztach bogaczy. Byliśmy niby aktorzy, którzy zastygli na pustej scenie, czekając na reżysera, który tchnąłby w nich życie. Potem zrozumiałem, że to ja jestem reżyserem i że beze mnie akcja sztuki ani się nie rozwinie, ani nie zakończy. Muszę coś zrobić. Muszę mówić. Muszę decydować. Usłyszałem słowa padające jakby z ust innego człowieka:

— Książę Baldassare, generale Leporello, proszę nie wstawać ze swoich miejsc. Wy, panowie, zechciejcie zaprowadzić kapitana Carpiego do pokoju z monitorem i poczekać tam, aż zostaniecie przeze mnie wezwani.

Dwaj oficerowie wzięli kapitana Carpiego pod ramiona i wyprowadzili go z pokoju, milczącego i nie stawiającego oporu. Ci, którzy pilnowali dyrektora i Leporella, zostawili aresztowanych i wyszli. Jeśli właściwie odczytałem ich spojrzenia, byli zadowoleni, że mogą odejść. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, zostałem wreszcie sam na sam z moimi wrogami. Nie miałem poczucia triumfu, lecz tylko dziwne wrażenie zawodu, straty i jakiegoś niewyraźnego

upokorzenia, jakby nie wypalił mój popisowy żart. Obaj mężczyźni siedzieli sztywno w fotelach, dłonie położyli płasko na stole, twarze odwrócili w drugą stronę. Znajdowali się tak daleko jeden od drugiego, że gdybym zechciał mówić do nich jednocześnie albo nawet objąć jednym spojrzeniem, musiałbym trzymać się na dystans niby sędziego ringowy lub teatralny tyran. Trzeba było więc rozmawiać z nimi pojedynczo, patrząc każdemu prosto w twarz. Najpierw zwróciłem się do Leporella. Usiadłem naprzeciwko niego okrakiem na krześle i zobaczyłem przed sobą martwą maskę. Powiedziałem:

— Generale, pańskim przywilejem jest możliwość pozostania w areszcie wojskowym, pod strażą oficerów służby czynnej. Może pan również, jeśli tak pan zdecyduje, być sądzony przez sąd wojskowy. Jeśli nie skorzysta pan z tego przywileju, automatycznie podlegał pan będzie procedurze cywilnej. Co pan wybierze?

Nic odpowiedział. Siedział zimny i nieruchomy jak głaz. Spróbowałem jeszcze raz.

— Panie generale, trzeba załatwić pewne formalności. Chcę, żeby przebiegły możliwie najprościej i najłatwiej. Jeśli chce pan rozmawiać z żoną, sprowadź ją tutaj. Potem, jak sam pan wie, nie będzie to takie łatwe. Jeśli źle się pan czuje, wezwę lekarza. Panic generale, radzę odpowiedzieć. Dla pańskiego dobra.

Nawet mnie nie słyszał. Wargi miał zaciśnięte, oczy pozbawione wyrazu, jak z kwarcu. Wysunąłem rękę i ująłem go za przegub dłoni. Czuję puls, ale nic poza tym. Mięśnie były sztywne jak żelazo, żadnego odruchu rozpoznania mnie czy niechęci. Usłyszałem zimny i ironiczny jak zawsze głos dyrektora.

— Klasyczny przypadek ucieczki w chorobę, Matucci. Całkowite zamknięcie się w sobie. Nic pan dzisiaj z niego nie wyciągnie — i może już nigdy. Na pana miejscu wezwałbym lekarza i sprowadził żonę, żeby była obecna przy stawianiu diagnozy — musi pan być kryty.

Obróciłem się. Siedział spokojny i uśmiechnięty, sączył brandy i palił z widoczną przyjemnością cygaro. Podniósł kieliszek wznosząc toast:

— Gratulacje, Matucci... Rozprawa telewizyjna. Dziwne, że nigdy o tym nie pomyślałem. Nie jest to procedura zbyt demokratyczna, ale niezwykle skuteczna.

Nalał mi kielich wina i pchnął go przez stół w moją stronę.

— Proszę siadać! Niech się pan odpręży. Ja będę chętnym świadkiem. Może pan sobie pozwolić na uprzejmość. Wyobrażam sobie, że ma pan za sobą raczej ciężki wieczór. Musi pan jednak być bardzo z siebie zadowolony. Ma pan wszystko poza facetem śpiewającym *Sic transit* i palącym kadzidła pod pańskim nosem. Jaki więc będzie następny ruch?

— Zna pan kodeks równie dobrze jak ja.

— A jeszcze lepiej znam nasz fach, Matucci. Zgromadził pan dowody przeciwko Leporellowi, chociaż nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek miał

stanać przed sądem. Ten facet był zawsze typem psychotycznym, zawsze uciekał od rzeczywistości. Dzisiaj przepchnął go pan przez krawędź i wąpnię, żeby kiedykolwiek wrócił na tę stronę. Nawet jeśli tak się stanie, dobry prawnik bez trudu wybroni go przed procesem, a państwo w swoim własnym dobrze pojętym interesie przyłoży do tego ręki. Co ma pan natomiast przeciwko mnie? Carpiego, człowieka niegodnego zaufania, który zostanie zastraszone, podporządkowany albo usunięty, zanim wydobędzie pan z niego choćby linijkę porządnego zeznania. Jest to jednak pańska sprawa i trzeba ją prowadzić bez względu na to, czy czeka pana zwycięstwo, czy porażka. Oczywiście, chyba że...

— Chyba że...

— Chyba że skłonny jest pan wysłuchać małego wykładu na temat sztuki rządzenia państwem. Zawsze był pan słaby w tej gałęzi wiedzy, już to mówiłem. To właśnie obciążenie, które hamowało pańską karierę.

— Jeśli proponuje pan układ, odpowiedź brzmi: nie.

— Mój kochany Matucci! Dlaczego zawsze zbyt nisko mnie pan ocenia? Czy sądzi pan, że jestem naiwny i proponowałbym układ człowiekowi prawemu i radującemu się właśnie swoim triumfem? Przeciwnie, namawiam pana do dojrzałego rozważenia realiów... Sztuka rządzenia państwem nie ma nic wspólnego z moralnością, nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, względną czy absolutną. Jest to sztuka i umiejętność kontrolowania wielkich mas ludzi, utrzymania delikatnej równowagi między nimi oraz ich sąsiadami. Mąż stanu dysponuje wszelkimi środkami i musi być przygotowany na to, że wszystkich ich użyje, kiedy przyjdzie pora, od topora katowskiego po świąteczne igrzyska. Nie może nigdy przeceniać swojego triumfu ani zniechęcać się przy chwilowych niepowodzeniach. Od czasu do czasu potrzebuje ofiary, jeśli chce uniknąć holokaustu. Pobłażliwość to dla niego nic cnota, ale strategia... Tylko cel pozostaje niezmienny, utrzymanie wielogłowego potwora pod kontrolą, ugłaskiwanie go, kiedy zaczyna ryczeć, pohamowanie go, kiedy staje się zbyt rozbawiony, zdumiewanie się jego wizjami, ale też aplikowanie środków uspokajających, zanim owe wizje przemienia się w koszmary senne... Pan, Matucci, nadal jest sługą państwa... Nie jest pan jeszcze mężem stanu. Dzisiaj ma pan okazję, żeby nim zostać.

Przerwał, wysączył mały łyżeczek brandy, pociągnął cygaro i uśmiechnął się do mnie poprzez kłąb wonnego dymu. Nic nic powiedziałem i po chwili zaczął nowy wątek:

— W tym momencie, Matucci, może pan przemawiać z pozycji siły. Zapobiegł pan wojskowemu zamachowi stanu. Zdyskredytował pan jego autorów. Ma pan dwie wysoko postawione ofiary, które można rzucić lwom na pożarcie: Leporella i mnie. W Manzinim zyskał pan potężnego przyjaciela. W ministrze ma pan znakomitego protektora, który tylko czeka, żeby udzielił mu pan właściwej rady... Proszę pomyśleć o ministrze, Matucci. Jest politykiem,

myślącą trzcina, którą pochyla każdy podmuch żądań ze strony opinii publicznej, każdy szept w kulisach Zgromadzenia Narodowego. Czego chce? A czego pan by chciał, gdyby znalazł się w jego sytuacji? Dyskretnego i dobrze pomyślanego triumfu, czy tacy pełnej zakrwawionych głów?... Jedna głowa może się przydać. Wetknie się ją na pikę i będzie pokazywać pospólstwu ku przestrodze. Więcej niż jedna to masakra... Którą głowę wybrałby pan na pikę? Moim zdaniem, które, przynaję, może być stronnnicze, tę zawierającą najmniej mózgu. Ma pan taką tutaj... Moja jest zbyt cenna dla pana i dla ministra, jeśli tylko zostawi mi ją pan na karku. Zostałem zdyskredytowany, nie mogę więc szkodzić, jeśli tylko nie zechce pan postawić mnie przed sądem, mogę bowiem obiecać, że tam wywołałbym skandal, który rozległby się potężnym echem od Moskwy po San Francisco. Z drugiej strony, jeśli zaproponuje mi się pobłażliwość, przyjmę ją z wdzięcznością. Sam usunę się ze sceny i zostawię bogatą spuściznę informacji mojemu następcy... Czy mówię jasno? Wstydiłem się za niego. Przez chwilę był przekonywający. Teraz zaledwie przymilny. Powiedziałem bez ogródek:

- Ja też muszę mówić jasno. Nie mam władzy okazywania pobłażliwości.
- Wiem o tym, drogi kolego. Posunę się więc dalej. Dla pana byłoby rzeczą beзуżyteczną, a nawet niebezpieczną, prowadzić ze mną jakiegokolwiek układy. Powinien pan i musi układać się wyłącznie z ministrem.
- Czego więc oczekuje pan ode mnie?
- Chciałbym teraz porozmawiać w cztery oczy z ministrem.
- Może nie zechcieć z panem rozmawiać.
- Zechce. A potem zechce spotkać się z panem.
- I co dalej?
- Proszę pana wyłącznie o to, żeby dał mu pan uczciwą, profesjonalną odpowiedź na pytania, które panu zada.
- Czy może pan być pewien, że tak postąpię?
- Nie. Mam tylko nadzieję. Nie ma pan powodów, żeby mnie kochać. Nie mógłbym mieć żalu, gdyby wykorzystał pan do samego końca przewagę, jaką pan zyskał. Prawdę mówiąc, byłbym nawet zaskoczony, gdyby postąpił pan inaczej. Jednak wygłosiłem tu wykład i musi pan zrobić z nim to, co się panu spodoba. Czy przekaze pan moją prośbę ministrowi?
- Proszę mi pomóc odprowadzić Leporella do sypialni. Wezwę lekarza, a potem zobaczę się z ministrem.

Rozmowa księcia Baldassarego z ministrem trwała ponad trzy godziny. Nie byłem przy niej. Zamknąłem się z profesorem Malpensą z wojskowego szpitala psychiatrycznego w Bolonii, którego wyrwano z łóżka i przywieziono helikopterem do Pedognany. Był też doktor Lambrusco, gość na przyjęciu i osobisty lekarz Manziniego. Poprosiłem, żeby zbadali Leporella oddzielnie i razem, a następnie przekazali mi wspólnie opracowaną diagnozę. Ujęli ją na piśmie: „....

Stan katatoniczny albo pseudokatatoniczny, który wyraża się głębokim pragnieniem ucieczki wywołanym poczuciem winy i wstrząsem. Zalecamy hospitalizację w celu obserwacji pacjenta. Naszym zdaniem pacjent jest w tej chwili niezdolny do racjonalnego komunikowania się z innymi ludźmi i poddanie go przesłuchaniu albo aresztowanie byłoby bezcelowe i niebezpieczne. Perspektywy wyleczenia wątpliwe".

Zaakceptowałem ten dokument, podpisałem przekazanie generała w ręce profesora Malpenty, który zabrał go helikopterem do Bolonii. Następnie poszedłem poszukać Manziniego. Goście już dawno wyszli, siedział więc samotny w salonie. Twarz miał poszarzałą, ale ciągle był ożywiony i pełen radości. Powitał mnie uśmiechem i zawziętym oschłym chichotem:

- No, Matucci, udało się.
- Tak... Teraz jest bardzo spokojnie.
- Czego oczekiwałeś? Girland i triumfu?
- Błogosławiony niech będzie, kto nie oczekiwał niczego, ponieważ uzyskał to na pewno... Myślę, że chciałbym napić się brandy.
- Obsłuż się sam — wskazał w kierunku gabinetu. — Nasz przyjaciel Baldassare stara się dobić targu z ministrem.
- Wiem.
- Będziesz zaskoczony, jeśli powiem, że to ja zaleciłem takie rozwiązanie?
- Na jakich warunkach, Bruno?
- Argumentowałem, że bez współpracy i przychylności dyrektora nie byłibyśmy w stanie wyreżyserować dzisiejszego dramatu.
- To nieprawda.
- Wiem. I ty wiesz. Wie też minister. Ale tak się składa, że ten scenariusz jest w tym momencie najodpowiedniejszy. Zastrzeżenia?
- Żadnych.
- Aprobujesz więc?
- Nie aprobuję. Myślę, że to wygodne.
- Robisz postępy, Dante.
- Ciężko mi to przychodzi. A jak wiele z dzisiejszej afery trafi do prasy?
- Bezpośrednio, nic. W wyniku przecieków i pogłosek prawie wszystko.
- Czy możesz w tej chwili skontaktować się ze swoim wydawcą?
- Oczywiście. Po co?
- Chciałbym, żeby gotów był podać sprawozdanie dalekopisowe. Nie zdążymy na wydania poranne, ale zdążymy na wieczorne, a korespondenci zagraniczni będą to mieli na dalekopisach rano, zaraz po otwarciu biur.
- Co masz zamiar zrobić?
- Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie porozmawiam z ministrem.
- Rzucił mi szybkie, pełne podziwu spojrzenie i skinął z satysfakcją.
- Dobrze. Muszę cię pochwalić, Dante Alighieri. Długo zastanawiałem się...

— Nad czym?

— W jakim stopniu naprawdę jesteś człowiekiem, a w jakim zbiegiem toliczności. Wybacz, skąd można wiedzieć, czy orzech jest zdrowy, dopóki e pęknie skorupa? Jesteś człowiekiem pełnym sprzeczności, Dante. Jesteś hórzem i bohaterem, jesteś mądry i głupi, jesteś miękki jak glina i twardy jak al. Przyjaciel może kupić cię za uśmiech. Sakiewka ze złotem nie przekupi ę. Jak skończysz, Bóg jeden wie; ale wiem, że nie roztrwoiłem mojego udu... Przepraszam, zadzwonię do wydawcy.

Jakieś trzy minuty po jego wyjściu otworzyły się drzwi gabinetu i zjawił się linister. Kiedy zobaczył, że jestem sam, oznajmił szorstko:

— Mam do pana kilka pytań, pułkowniku.

— Słucham, ekscelencjo.

— Proszę odpowiadać po prostu: tak lub nie.

— Rozumiem.

— Czy oskarżenia, które sformułował pan dzisiaj, są prawdziwe?

— Tak.

— Czy może udowodnić je pan w sądzie?

— Tak, przeciwko generałowi Leporello. Trudniej będzie dowieść oskar-
icń przeciwko księciu Baldassare.

— Czy może pan zagwarantować wyrok skazujący?

— Zagwarantować, nie.

— Ale chce pan wnieść oskarżenie?

— Jako funkcjonariusz w służbie państwowej, tak.

— Sformułował pan to zdanie z zastrzeżeniem. Dlaczego?

Podałem mu świadectwo stanu zdrowia Leporella i czekałem w milczeniu, sby je przeczytał. Złożył świadectwo i oddał.

— Powtarzam pytanie, pułkowniku. Dlaczego sformułował pan ostatnie danie w trybie warunkowym?

— Ponieważ pełnię obowiązki funkcjonariusza bezpieczeństwa publicznego, ekscelencjo. Nie proszono mnie o definiowanie moich przekonań politycznych.

— Dobrze, przyjmuję ten punkt widzenia. Proszę więc przedstawić w sposób bezstronny swoje przekonania polityczne. Dzięki pańskiemu wysiłowi uniknęliśmy kryzysu państwowego. Jak powinniśmy działać, żeby unąć skandalu na cały kraj?

— Aresztowaliśmy dwie bardzo ważne osoby, panie ministrze. Jedna z tych osób jest w sposób oczywisty niepoczytalna. Dowody przeciwko drugiej nie są ompletne; a nawet gdybyśmy zdołali je skompletować, ryzykowalibyśmy, że ozpowszechnione zostaną kłopotliwe rewelacje, szkodliwe dla bezpieczeństwa publicznego. Ryzykowalibyśmy również głębokie skłócenie wewnątrz lepubliki, a także między Republiką a jej sojusznikami. Radziłbym więc, z ałym szacunkiem, żeby księciu Baldassare pozwolono wycofać się z życia (ublicznego i opuścić w ciągu dwunastu godzin granice kraju.

- Czy uda się to przeprowadzić nie wywołując wzburzenia opinii?
- Nie uniknie się niechętnych komentarzy, i to znacznej ich liczby. Będą trudności polityczne. Ale według mnie jest to zło mniejsze niż organizowanie skandalicznego procesu.
- Jaki jest pański osobisty stosunek do księcia Baldassare?
- Podziwiam jego zdolności. Wiele się od niego nauczyłem. Potępiam jego politykę i osobiste ambicje. Mam własne powody, żeby z zadowoleniem przyjąć jego porażkę.
- Jakże to powody?
- Osadził w więzieniu kobietę, która niegdyś była obcym agentem, a którą kocham. Zniszczył moją karierę. Jemu zawdzięczam, że poddany zostałem psychologicznej torturze, po której dopiero niedawno doszedłem do siebie.
- Mimo to zaleca pan zwolnienie?
- Tak, bo jest to wygodne z politycznego punktu widzenia.
- Czy zorganizuje pan wszystko i przypilnuje wykonania?
- To znaczy, ekscelencjo, czy zgodzę się wziąć na siebie odpowiedzialność?
- Tak.
- I w konsekwencji, czy uwolnię od tej sprawy ministerstwo i rząd?
- Właśnie o to chodzi, pułkowniku.
- Oczywiście, można to przeprowadzić inaczej.
- Jak?
- Pan daję mi polecenie. Jako minister. Ja je wykonuję. Bardzo proste.
- Zbyt proste, pułkowniku, i pan o tym wie. Polityk w momencie, kiedy został wybrany, nie może pozwolić sobie na taki luksus. Wiem, że decyzja jest trudna. Czy chciałby pan mieć czas na przemyślenie tego, pułkowniku?
- Nie mamy czasu, ekscelencjo.
- Może więc jakieś warunki? Może jakoś osłodzić panu to ryzyko?
- Nie, panie ministrze. Nie jestem na sprzedaż — już nie. Zrobię to. Jeszcze tej nocy przewiozę go przez granicę. Cavaliere Manzini pomoże mi uporać się z prasą.
- Dziękuję, pułkowniku.
- Czy jeszcze coś?
- Jeszcze jedna sprawa. Chciałbym, żeby możliwie jak najprędzej złożył mi pan raport w Rzymie. Musimy zacząć sprzątać nasz dom.
- Jeśli można, przypominam panu, ekscelencjo, że jestem wciąż tymczasowo zwolniony z aresztu, gdzie umieszczono mnie na rozkaz generała Leporello.
- Oskarżenie zostanie wycofane. Od tej chwili jest pan znowu w służbie czynnej.
- Odpowiedzialny przed kim?
- Przede mną, pułkowniku. Myślę, że zanim wróci pan do Rzymu, zyskam zatwierdzenie pana na stanowisku dyrektora.

W jego mniemaniu było to jak pasowanie na rycerza, jak manna na pustyni urzędniczej kariery. Dla mnie jednak miało smak owocu Morza Martwego, smak pyłu i popiołu. Przez chwilę czułem się jak patriota, ale on natychmiast znowu zrobił ze mnie dziwkę. A jednak takie są właśnie reguły gry. Nie miałem wyboru, musiałem ją prowadzić albo rzucić karty i wstać od stołu. Skłoniłem się, uśmiechnąłem i powiedziałem:

- Dziękuję, panie ministrze. To dla mnie zaszczyt.
- Dziękuję, pułkowniku. Dobranoc.

Dziwnie czułem się siedząc w fotelu dyrektora. Jak na takiego eleganckiego człowieka gabinet miał bardzo obskurny. Żadnych ozdób, żadnych obrazów, żadnych fotografii, brak nawet liktorskiego topora. Jedynymi symbolami władzy były szare szuflady z aktami, szyfrujący telefon i tablica intercomu, dzięki czemu na każde moje życzenie przybiegało dwudziestu ludzi. Stary Steffi, który siedział po drugiej stronie biurka, nastroszył swoją papuzią głowę i zagadał:

— No no no! Więc wspiąłeś się tu, Matucci! Jak to jest? Czy twój zadek pasuje do fotela możliwych? I co teraz, braciszku? Jaka polityka? Lewicowa, prawicowa czy centrowa?

— Środek drogi, Steffi. Toleranza. Myślę, że wszystkim nam przyda się odrobina wytchnienia.

— Żadnych zmian, prawda? Dopóki ktoś nie rzuci bomby w Turynie albo policjanci nie zaczną strzelać do buntowników w Catanzaro i chłopcy na górze nie popadną w popłoch i nie zaczną domagać się działania. Zastanawiam się, do jakiego stopnia będziesz wówczas tolerancyjny!... Cóż, speriamo bene! Nie traćmy nadziei!

— Daj pokój, Steffi, muszę mieć trochę czasu!

— Nie żałuję ci go. Bierz go sobie, ile zechcesz. Ale co z nimi?... Co z tobą?

— Proszę cię, stary przyjacielu!...

— No tak, nadal jestem bez pracy i zżera mnie zawiść. Przepraszam. Czego oczekujesz ode mnie?

— Dzwoniłem do komendanta Maddaleny. Oczekuje cię. Pokażesz list ministra i mój. Wydadzą ci Liii. Odwieź ją do domu. Będę tam na was czekał.

Przyglądał mi się, jakbym był jakimś osobliwym zwierzęciem wydobytym spod kamieni. W jego spojrzeniu była pogarda i jakiś rodzaj zamyślenia i smutku.

— O Boże! Cóż z ciebie za mężczyzna? To twoja kobieta, a ty nie raczysz się po nią pofatygować? Co ty masz w żyłach, wodę?

Byłem wściekły, gorzko i rozpaczliwie wściekły. Wylałem na niego całą dławioną furję, jaka nagromadziła się w ostatnich miesiącach.

— Powiem ci, Steffi, co ze mnie za mężczyzna. Krwawię jak wszyscy. Kaleczę się jak wszyscy. Jestem chory i zmęczony od tego ciągłego popychania mnie i kierowania, od tego wykorzystywania i niewłaściwego wykorzystywania, i niewłaściwego osądzania i niewłaściwego rozumienia przez każdego obdartusa, który myśli, że poznał wszystkie sekrety wszechświata. Rzygać mi się chce na widok wszystkich tych kołtuńskich sukinsynów jak ty, którzy myślą, że mogą mnie podsumować w jednym słupku i zapłacić mi jak dziwce po spędzeniu godziny w łóżku. Rzygać mi się chce, kiedy widzę przyjaciół, którzy poczynają sobie jak spowiednicy i oczekują, że przez resztę życia będę paradował w worku pokutnym i z głową posypaną popiołem. Chcesz wiedzieć, dlaczego sam nie jadę do więzienia? Powiem ci! Bo kiedy Liii zobaczyłaby mnie po raz pierwszy, byłbym w towarzystwie komendanta, notariusza i klawisza z pistoletem u boku. Wyglądałbym dokładnie tak samo jak oni, a nie chcę, żeby takiego mnie zobaczyła, ponieważ nie jestem tego rodzaju człowiekiem... w każdym razie nie dla niej. Chciałbym wziąć ją w ramiona, całować i utulać, a nie będę mógł tego robić, podczas gdy wszystkie dziwki i wszyscy kieszonkowcy będą pozwalali sobie na brudne żarty, a każdy byle gryziopiórek będzie dłonią zakrywał uśmiezek... Nie narażę jej na to. Poprosiłem, żebyś pojechał, ponieważ myślałem, że jesteś moim przyjacielem. Ale ty siedzisz tutaj i znieważasz mnie, i stroisz wszawie żarty rodem prosto z getta, jakby sam Bóg dał ci prawo do tego, byś był sumieniem świata. A teraz wynoś się stąd do diabła! Znajdę sobie kogoś innego.

Nie ruszył się z miejsca. Siedział przygnębiony, poruszając wargami, jakby nie był w stanie wypowiedzieć dwóch słów do sensu. Wreszcie spojrzął mi prosto w twarz, a w jego spojrzeniu było współczucie i nowy rodzaj szacunku. Oznajmił spokojnie:

— Jestem starym błaznem o ptasim mózdzku i żabich ustach. Przepraszam. Chętnie to dla ciebie zrobię.

— Dziękuję.

— Boisz się, prawda?

— Tak, Steffi, boję się.

— Piano, piano... Nie przejmuj się!

Nawet dla dyrektora formalności muszą trwać w Rzymie długo. Urzędnicy krążą tam i z powrotem, a wielka papierowa machina obraca się i obraca, mieszając tysiące i miliony ryz carta bollata, sygnowanego, kontrsygnowanego, ostemplowanego i opieczetowanego, i gromadzonego w przegródkach, i składowanego hałdami w podziemnych magazynach, aż pewnego pięknego albo pochmurnego dnia jakiś biedaczyna idzie do więzienia i patrzy, jak grzebią albo twierdzą, że grzebią, w poszukiwaniu linijki tekstu, który dowodziłby, iż jest niewinny.

Zastawiłem mieszkanie koszami kwiatów. W wiaderku mroził się szampan, kanapki leżały sobie na srebrnej tacy, a lodówka była pełna jedzenia. Miałem

dokumenty z Comune pozwalające złożyć zapowiedzi na Wzgórzu Kapitolińskim. Miałem nawet pierścionek zaręczynowy ze szmaragdem, specjalnie zaprojektowany przez Bulgarięgo. Ale musiałem czekać półtorej godziny, zanim Liii znalazła się w domu.

Dzwonek do drzwi był jak dzwonek wielbłąda na pustyni. Kiedy otworzyłem, stała samotna i bardzo spokojna. Porwałem ją w ramiona i byłem zdumiony tym, że jest taka lekka. Całowałem ją i tuliłem, i zastanawiałem się, gdzie uleciała cała namiętność. Posadziłem ją w fotelu i obsługiwałem jak księżniczce. A potem spojrzałem na nią... Była tak blada, że prawie przezroczysta. Sama skóra i kości. Ubranie wisiało na niej jak na strachu na wróble. Usta miała zaciśnięte, poruszała nerwowo dłońmi. Jej oczy, jej wymowne oczy były szkliste i bez wyrazu, jak z agatu. Jadła i piła bez apetytu, mechanicznie, i kiedy położyłem dłonie na jej skroniach i policzkach, nie protestowała, ale też nie reagowała. Ukląknłem przy niej i błagałem:

— Powiedz, Liii, co się stało? Co ci zrobili?

— Niewiele. Czasami mnie przesłuchiwali. Przeważnie zostawiali mnie w spokoju.

— Liii, wiesz, że to nie ja wysłałem telegram...

Spojrzała na mnie obojętnie.

— Jaki telegram?

— Powiedziano mi, że wróciłaś, bo dostałaś telegram ode mnie.

— Nie było żadnego telegramu.

— Czemu więc wróciłaś?

— Dostałam twój list. Czytałam go co wieczór przed pójściem spać. Którejś nocy okazało się, że go nie ma. Myślałam, że gdzieś się zawieruszył. Następnego dnia wyszłam na spacer. Przyjaciel z Lugano zatrzymał się i zaproponował, że mnie podwiezie. Wsiadłam do samochodu. Ktoś zarzucił mi poduszkę na twarz. Następne, co pamiętam, to fakt, że znaleźliśmy się we Włoszech, w pobliżu Bolzano. Potem przejęli mnie jacyś dwaj inni mężczyźni i dowieźli tutaj, do Rzymu. To wszystko. Poza tym, że powiedzieli mi, że ty też jesteś w więzieniu.

— Och, najdroższa, najdroższa... Tak mi przykro.

— To bez znaczenia.

— Posłuchaj, ukochana. Powiem ci, co się stanie. Zamieszkałam tu z tobą. Będę cię pielęgnować, aż poczujesz się dobrze i wtedy weźmiemy ślub. Zapowiedzi od jutra na Wzgórzu Kapitolińskim. Potem nie będzie już żadnych kłopotów! Będiesz moją żoną. Będiesz pod moją osobistą ochroną jako dyrektora SID, na zawsze, na zawsze, amen... Jak ci się to podoba?

— Podoba mi się jak coś najpiękniejszego w świecie, Dante Alighieri. Ale ja tego nie chcę.

Kiedy patrzyłem na nią, niczego nie rozumiejąc, zobaczyłem pierwszy blask życia na jej policzkach, pierwszy brzask wzruszenia w jej oczach. Wyciągnęła

dłonie, już nie bezwładne, ale drobne i szorstkie jak surowy jedwab, i ujęła w nie moją twarz. Potem powiedziała bardzo łagodnie:

— Dante, ja wiem, że mnie kochasz. Twój list był najbardziej wzruszającym wyrazem podziwu, jaki mnie kiedykolwiek spotkał, ale chcę ci go zwrócić. Nie mogłabym mieć go przy sobie. Nie chcę go zniszczyć.

— Przecież powiedziałeś, że list zginął.

— Oddali mi go w więzieniu. Nie wiem, dlaczego, ale oddali. Robią dziwne rzeczy, okrutne i miłe, i nigdy człowiek nie wie, która z dwóch możliwości go czeka. Ja też cię kocham, Dante. Chyba zawsze będę cię kochać... ale nie tak, bym za ciebie wyszła, nie tak, by żyć z tobą na zawsze.

— Liii, proszę cię...

— Nie, posłuchaj mnie, Dante! Musisz wiedzieć!... Przystałam rozumieć was, Włochów. Jesteście tacy żarliwi i mili, a potem nagle stajecie się przebiegli i zimni, i tak okrutni, że krew zastyga mi w żyłach. Rano uśmiechacie się, a wieczorem spiskujecie jedni przeciwko drugim. Nie macie żadnego poczucia lojalności, Dante. Może tylko wobec rodziny i wobec dnia dzisiejszego. Poza rodziną i poza dniem dzisiejszym wszystko staje się zwątpieniem i kalkulacją. Och, Dante Alighieri, jaka jestem nieszczęśliwa, że muszę cię ranić, ale nie mogę tego przemilczeć. Jesteście narodem, który zawsze przeżyje, bez względu na to, co się wam przydarzy. To coś cudownego i dodającego otuchy. Ale jest to także straszne, gdyż będziecie się nawzajem tratować, żeby zdobyć ostatnią kroplę wody na ziemi... Nawet ty, Dante, nawet twój Bruno! Nie potrafię już tego znieść. Chcę żyć bezpiecznie, z małą książką, która powie mi, co mam robić. Chcę mieć pewność, że jeśli będę trzymała się reguł, te reguły będą mnie chronić lepiej niż małżeństwo, Dante Alighieri, lepiej niż obietnice, lepiej nawet niż miłość. Mogę to uzyskać w Szwajcarii. Tutaj nie... nie mogę bać się o siebie.

Cóż mi pozostawało? Była to szczerza prawda. Symbolizował ją pierścień na moim palcu: bajeczna bestia, która potrafi przeżyć w największym żarze. A jednocześnie nie była to prawda. Nie w ten sposób, w jaki to powiedziała. Księga z regułami to nie jest żadna odpowiedź. Nie dla nas, dzieci słońca. Światło było zbyt jasne. Ukazywało zapisane w poprzek linijki na palimpseście. Jakże mogliśmy wierzyć w trwałość, która szła do urzędu po kości zmarłych cesarzy? Nie możemy ufać jutru, możemy dojść do ładu jedynie z dniem dzisiejszym. Klęczałem długo z twarzą ukrytą w jej dłoniach, z których nadal dobywał się stęchły zapach więzienia. Czulem dla niej litość. Kochałem ją. Nie potrafiłem znaleźć słów, które pocieszyłyby ją albo mnie. Potem usłyszałem, jak mówi:

— Proszę cię, Dante, pomóż mi się spakować i zorientuj się, czy mogę uzyskać miejsce w samolocie do Zurichu. Chciałabym wylecieć możliwie jak najszybciej.

Wtedy właśnie odkryłem, jak ważnym człowiekiem jest dyrektor. Mogłem zamówić bilet pierwszej klasy na wyprzedany już lot. Mogłem parkować samochód w zakazanej strefie lotniska Fiumicino. Ofiarowano mi za darmo napoje w poczekalni dla ważnych osobistości. Mogłem odprowadzić Liui do samego samolotu, pomóc jej usadowić się i powierzyć ją opiece starszego stewarda. Wszystko dzięki małemu kartonikowi w skórzanej okładce, ostemplowanemu godłem Republiki.

Nie czekałem na odlot. Wróciłem do Rzymu i zadzwoniłem do Pii Faubiani. Nie było jej w domu, pojechała do Wenecji, żeby dokonać otwarcia swojego pokazów. Połączyłem się z agencją i poleciłem im znaleźć mi możliwie największy apartament w najbardziej eleganckiej dzielnicy. Potrzebna mi była lepsza „figura”, skoro będę teraz miał do czynienia z wysoko postawionymi osobistościami i sprawami wagi państwowej. Kolację zjadłem w dawnym miejscu w Trastevere, ale nagle spostrzegłem, że jest tam ciasno i prowincjonalnie. Wydawało mi się nawet, że muzyk utracił zręczność swych palców. Wróciłem wcześniej do domu i próbowałem przeczytać do poduszki fragment z mojego imiennika. Byłem zbyt śpiący, żeby skupić się na jego ciężkawych obrazach — a poza tym nie wierzyłem z tego ani słowa... Nie, to nieprawda. Były trzy linijki, w które musiałem wierzyć:

E quella a me, „Nessun maggior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria; e cio sa'l tuo dottore”.

A ona: „Nie ma dotkliwszej boleści
Niżli dni szczęścia wspominać w niedoli,
I mistrz powiada o tym w swej powieści...”*